



**ODLICZANIE
SIĘ ROZPOCZĘŁO.**

KTO UMRZE NASTĘPNY?

S A M H O L L A N D

S A M H O L L A N D



Dwadzieścia

przełożył
Radosław Madejski



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: *The Twenty*

Projekt okładki: *Claire Ward* © *HarperCollinsPublishers Ltd*
2023

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Barbara Milanowska (Lingventa), Renata Kuk*

Zdjęcia wykorzystane na okładce: *Shutterstock.com*

© Sam Holland 2023

Sam Holland asserts the moral right to be identified as the author of this work

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2024

© for the Polish translation by Radosław Madejski

ISBN 978-83-287-3012-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2024

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków
kliknij **TUTAJ**

Dla Matta

Spis treści

Prolog

CZĘŚĆ 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

* * *

Raport z sekcji zwłok

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Wcześniej

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Oficjalne (poufne)

Wcześniej

Rozdział 17

Rozdział 18

* * *

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Wcześniej

Część 2

Rozdział 23

Rozdział 24

* * *

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Miejscowy lekarz oskarżony o cztery morderstwa

Rozdział 30

Rozdział 31

* * *

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Oddział Psychologii Klinicznej Karta informacyjna pacjenta

Rozdział 41

Rozdział 42

Wcześniej

Rozdział 43

Rozdział 44

31 lat temu

Rozdział 45

Fragment książki Lucasa Richardsa Dobry doktor –
prawdziwa historia Elijah Cole’a Rok wyd. 1998

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

* * *

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Część 3

Rozdział 60

* * *

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

* * *

Epilog

Podziękowania

Prolog

Pierwsza rzecz, na którą zwraca uwagę, to zimny beton pod jego bosymi stopami. Między palcami czuje ostre ziarenka piasku. Jest ciemno. Tak ciemno, że nic nie widzi.

Porusza głową i wszystko zdaje się wirować. Mruga i z ciemności wyłania się niewyraźny kształt, w którym rozpoznaje brzeg stolika.

Jest oszołomiony. Nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. Próbuje nabrać głęboki haust powietrza, ale coś zasłania mu usta. Coś lepkiego i duszącego. Chce się od tego uwolnić, ale wtedy uświadamia sobie, że nie może unieść ręki. Cały tężeje, a potem zaczyna się szarpać, oddychając coraz szybciej.

Próbuje poruszyć nogami, ale też na próżno. Są do czegoś przywiązane, tak samo jak ręce. Znajduje się w pozycji siedzącej, prawdopodobnie na krześle. Jest mu zimno w stopy; nie ma butów ani skarpetek. Wilgoć wisi w powietrzu, które niczym chłodna mgła wpełza mu pod koszulę, wywołując dreszcze.

Tępy ból w czole pulsuje w rytm szaleńczych uderzeń serca. Ale poza tym nic go nie boli.

Co się stało? Jak się tu znalazł? Pomyśl. Przypomnij sobie. Wyteżę umysł, ale ma pustkę w głowie. Jest tylko ciemność. Tylko paniczny strach. Dyszy ciężko i z braku tlenu ogarnia go lekkie zamroczenie. Zmusza się do skupienia, by zapanować nad oddechem. Tak jak go kiedyś uczono. Wdech sześć

sekund. Wydech drugie sześć. Wciąga spazmatycznie powietrze przez nos. Za szybko. Nie pomaga. Próbuje jeszcze raz – zamyka oczy i odlicza powoli.

Jego tętno spada, a oddech zwalnia. Jeżeli mu się uda, jeżeli zdoła zachować spokój, nic mu się nie stanie. Wszystko będzie dobrze.

Ale wtedy wyczuwa coś niepokojącego. W jego dłoni coś tkwi. Ma coś pod skórą. Twardy zimny metal. Gorączkowo przebiera palcami, starając się nie myśleć o swoim położeniu. Wyczuwa podobny kształt wbity w drugą dłoń. O Boże, nie. Nie!

W stopach tak samo. Rozpoznaje to uczucie, którego z niczym nie da się pomylić. Ostra igła przebija skórę i zagłębia się w żyłę. Znowu ogarnia go panika. Zaczyna się pocić. Wstrząsają nim dreszcze. Tylko nie zemdlej, napomina się w myślach. Nie teraz, nie w tym miejscu. Tylko nie to. Bo jeśli zemdlejesz, to nie wiadomo, co się z tobą stanie.

Ale jego głowa staje się coraz cięższa, obraz przed oczami się rozmywa. Krew nieubłaganie odpływa w dół. Słyszy jeszcze zgrzyt zamka i skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem zapada się w ciemność.

CZĘŚĆ 1

*Kłucie w palcach mi powiada,
Że tu złego coś się skrada.*

W. Szekspir, *Makbet*, akt 4, scena 1,
przeł. L. Ulrich

Dzień 1
Sobota

Rozdział 1

Przychodzi późno, więc bar jest już pełny. Przeciska się przez tłum i zajmuje miejsce pod ścianą w głębi sali. Jest głośno i tłoczno, tak jak lubi. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Może zachować anonimowość, ukryć się wśród podobnie ubranych mężczyzn.

Rozgląda się, popijając piwo z butelki. Napuszeni faceci przy barze, pijani awanturnicy wykrzykujący przekleństwa. Hałaśliwy i mocno zakrapiany alkoholem wieczór panieński. Najgorsze, co społeczeństwo może z siebie dać. W obliczu takiego zepsucia patrzył na swoje wady z większą pobłażliwością.

Jakaś blondynka zatacza się, idąc do toalety. Nosi krótką spódniczkę, a na palcu ma obrączkę, ale facet, który się na nią gapi, nie wygląda raczej na jej męża.

Na drugim końcu sali diler podchodzi do klienta na głodzie, który wierci się niespokojnie i przestępuje z nogi na nogę. Handlarz rozgląda się czujnie, po czym przeprowadza błyskawiczną transakcję. W jego kieszeni ląduje gotówka w zamian za obietnicę spokojnej nocy. Znowu ktoś chce zapomnieć.

Wychwytuje drobne szczegóły, taki jest jego sposób na życie. Ma ochotę zareagować, ale się powstrzymuje. Nie po to

tutaj przyszedł. Pociąga łyk piwa i po raz kolejny omiata wzrokiem salę. Znowu coś przykuwa jego uwagę i sprawia, że nieruchomieje. Stłoczeni ludzie rozstępują się przed mężczyzną w czarno-białym mundurze; ten kieruje się w jego stronę. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, gliniarz pochyla głowę, zbliżając usta do zawieszzonego na ramieniu radia.

Dopija piwo. Czeka. Mundurowy pokazuje go palcem facetowi, który pojawia się w barze. Ten drugi ma zwalistą sylwetkę i nosi cywilne ubranie. Koszula opina się na jego wydatnym brzuchu, gdy idzie w głąb sali, przeciskając się przez tłum.

To było zbyt piękne, żeby mogło się udać. Kolejny zmarnowany wieczór. Wzdycha, pogodzony z losem. Po chwili zwalisty facet zatrzymuje się obok niego.

– Ile już wypijeś? – pyta, wskazując na butelkę po piwie.

– Za mało. Myślałem, że jesteś w podróży poślubnej.

– Wróciłem dziś rano. Powinienem był wyłączyć telefon. Marsh przysłał mnie tu po ciebie.

– Nie mogłeś zadzwonić, Jamie?

– Tu nie ma zasięgu, szefie. Przecież wiesz.

Powoli kiwa głową. Oczywiście, że wie. Nie chciał, żeby mu przeszkadzano w sobotni wieczór. Miał wolne, a do dyspozycji byli inni detektywi. Dlaczego okazał się niezastąpiony?

Czuje delikatny skurcz i już zna odpowiedź. Stało się coś poważnego. Coś nadzwyczajnego. Odstawia pustą butelkę na stolik i rusza w stronę wyjścia.

– Nadinspektor Adam Bishop – mówi, machając legitymacją, po czym przedstawia swojego towarzysza: – Sierżant Jamie Hoxton.

Jamie również pokazuje legitymację umundurowanemu funkcjonariuszowi, który podnosi biało-niebieską taśmę i wpuszcza ich na miejsce zdarzenia. Noc jest mroźna i Adam mocniej otula się płaszczem.

Detektywi zatrzymują się i omiatają wzrokiem okolicę. Przed nimi płynie czarna rzeka, a za majestatyczną bryłą mostu majaczą kontury odległych budynków. Na otwartej przestrzeni wściekle wieje lodowaty wiatr. Znajdują się na placu budowy ogrodzonym metalową siatką i płytami ze sklejki. Na przekrzywionej tabliczce widnieje głowa psa z wyszczerzonymi zębami, ale nikt nie pilnuje tego miejsca. Każdy może tu wejść.

Adam dobrze zna tę dzielnicę. Uznano ją za obszar do ponownego zagospodarowania, ale skończyły się fundusze, a rada miasta odkryła, że gentryfikacja ma sens, jeżeli bogaci inwestorzy faktycznie wykładają kasę. Nikt nie chce tutaj mieszkać. Widok na rzekę, po której pływają jedynie barki wyrzucające czarne kłęby spalin, nie należy do malowniczych. Tak więc plac stoi pusty i służy za dzikie wysypisko śmieci, wśród których gnieźdzą się bezdomni.

Detektywi wkładają kombinezony ochronne, rękawiczki, maseczki, po czym brodząc w błocie, kierują się tam, gdzie w blasku reflektorów panuje największa krzątanina. Adam Bishop nie musi zadawać zbędnych pytań; domyśla się, po co go wezwano. Wszystkie znaki potwierdzają jego przypuszczenia.

Ciało leży na plecach między starą lodówką a materacem pokrytym ciemnymi plamami. Dokoła wala się mnóstwo innych śmieci – puszki po farbie, plastikowe opakowania, popękane skrzydło drzwi. Nie zachowało się nic, co pozwoliłoby na identyfikację czy nawet wstępne określenie płci denata. Z twarzy zostało niewiele i spomiędzy strzępów tkanek miękkich prześwituje biała kość. Pokryte strupami ciemne oczodoły wypełnia brunatna zasklepiona maź. Gałki oczne, najłatwiejszy łup dla padlinożerców, prawdopodobnie zniknęły pierwsze. Tułów, z którego zwisają resztki ubrania, wygląda jak wypatroszony. W głębi otwartej jamy widać żebra i kłębowisko narządów wewnętrznych. Wszystko zdaje się drgać za sprawą larw, które żerują na gnijącym mięsie.

– Zwierzęta zajęły się nim dużo wcześniej niż my – zauważa Jamie.

Adam słyszy szmer dobiegający z pobliskiej sterty śmieci. Kieruje w tamtą stronę latarkę i wzdryga się na widok kilku par żółtych oczu, które spoglądają na niego z ciemnych zakamarków.

– Pieprzone szczury – mruczy. – Kto to zgłosił?

– Jeden z bezdomnych. – Jamie wskazuje na pstrokate zbiegowisko za taśmą policyjną. – Powiedział, że trzeba z tym zrobić porządek, bo strasznie im tu cuchnie.

– Dobrze, że mają jasno określone priorytety. Patolog już jest?

– Wciąż na niego czekamy.

Jak na zawołanie słyszą gwar za plecami. Gdy podchodzi do nich postać w białym kombinezonie, Adam wzdycha zrezygnowany. Niech to będzie ktokolwiek, byle nie Greg

Ross, myśli. Chociaż nie widzi ukrytej pod масечką miny lekarza, jest gotów się założyć, że on też ucieszyłby się na widok innego detektywa.

– Dotykałeś ciała, nadinspektorze Bishop? – pyta doktor Ross z wyraźną dezaprobatą w głosie, jakby miał do czynienia z niedoświadczonym nowicjuszem.

– Jasne, że nie. Kiedy czegoś się dowiemy?

– Kiedy będę gotowy – odpowiada błyskawicznie patolog.

Adam zbywa milczeniem jego cierpką ripostę. Obraca się na pięcie i kiwa ręką na Jamiego. Sierżant rusza za nim. Oddalają się, żeby przystąpić do oględzin miejsca zdarzenia.

– Żadnych zabezpieczeń ani monitoringu – mówi Hoxton, tocząc wzrokiem po dzikim wysypisku.

– Jesteś pewien? – Adam wskazuje niewielką czarną kamerę na słupie, przy którym zaparkowali samochód. – Sprawdź to.

Jamie kiwa głową i rusza przez błotnisty plac, tymczasem uwagę Adama przykuwa młoda kobieta idąca w jego stronę energicznym krokiem. Nie widział jej nigdy wcześniej. Dostrzega w jej ruchach zapał, który kontrastuje zarówno z posępną atmosferą otoczenia, jak i z zachowaniem pozostałych członków ekipy. Zaciekawiony wychodzi jej naprzeciw. Znalazłszy się po drugiej stronie taśmy, zdejmuje kaptur kombinezonu, масечkę i rękawiczki. Kobieta zbliża się do niego z entuzjastycznym uśmiechem na twarzy. Ma zarumienione policzki.

– Posterunkowa Ellie Quinn – mówi, wyciągając na powitanie rękę w oficjalnym geście.

Rozbawiony Adam ściska jej dłoń wilgotną od potu.

– Co cię tu sprowadza, Quinn? – pyta.

– Właśnie dostałam przeniesienie do wydziału zabójstw. Mam zacząć od poniedziałku, ale usłyszałam, że coś się wydarzyło. Pomyślałam, że mogłabym się przydać.

Rzeczywiście mieli im przydzielić kogoś nowego. Teraz Adam przypomina sobie, że Jamie napomykał o tym kilka tygodni temu.

– Skąd jesteś?

– Z gospodarczego – odpowiada Quinn. – Ale potrzebowałam czegoś bardziej... ekscytującego.

– W takim razie dobrze trafiłaś.

Adam uśmiecha się do swojej nowej podwładnej, drobnej kobiety o przyciętych na pazia jasnych włosach, bladej cerze i piegopatym nosie. Duże oczy nadają jej wygląd jelonka z filmu Disneya. Mało kto pasuje mniej do tego miejsca niż ona. Sprawia wrażenie, jakby przez przypadek znalazła się w środku nocy na tym nieprzyjaznym pustkowiu. Mroźny wiatr targa jej włosy i nadaje policzkom różowy odcień. Wydaje się krucha i niewinna, jeszcze nieskażona obcowaniem ze śmiercią.

Adam słyszy za plecami cichy szmer i ogląda się przez ramię. Większość bezdomnych odeszła, ale jeden wciąż stoi przy biało-niebieskiej taśmie. Najwyraźniej nie chce zmarnować okazji do złożenia zeznań w charakterze świadka.

– Zgłoś się do sierżanta Hoxtona – zwraca się Adam do młodej policjantki, wskazując prowizoryczny parking, po

którym kręci się Jamie. – On ci wszystko wyjaśni. A teraz pozwolisz, że cię opuszczę.

– Oczywiście – przytakuje skwapliwie Quinn.

Nadinspektor odwraca się i rusza w stronę grupki gapiów. Idzie powoli, unikając kontaktu wzrokowego z bezdomnym. Mężczyzna cały sztywnieje na widok zbliżającego się detektywa. Jest jak płochliwy pies. Ma na sobie długi brudny płaszcz, zniszczone buty i czarną dokerkę naciągniętą nisko na czoło. Adam zapala papierosa i częstuje bezdomnego.

– To ty nas wezwałeś? – pyta, podając mu zapalniczkę.

Mężczyzna stoi zwrócony do niego bokiem i patrzy na rozciągające się pod mostem obozowisko. Kartonowe pudła i obwisłe płachty namiotów. Jego bezpieczne schronienie. Oddaje zapalniczkę i łapczywie zaciąga się papierosem.

– Jestem Adam.

Detektyw wyciąga rękę w przyjaznym geście. Bezdomny przygląda mu się podejrzliwie, aż w końcu ściska jego dłoń i szybko cofa się o dwa kroki.

– Harry – odpowiada.

– Kiedy zauważyłeś ciało?

– Kilka godzin temu. Dowiedziałem się od Jima. – Harry wskazuje głową grupkę postaci skulonych pod mostem. – Ale nie chcę mu narobić kłopotów.

– Nic z tych rzeczy – zapewnia go Adam, ale zapamiętuje imię drugiego świadka. – Czy ten Jim kogoś widział? Czy w ogóle widzieliście ostatnio, jak ktoś się tutaj kręci?

– Nie. – Harry odsuwa się jeszcze dalej.

– Żadnych samochodów? Nikt nie wyrzucał śmieci?

– Może i wyrzucił...

Adam nie ma wątpliwości, że bezdomny mężczyzna coś ukrywa.

– Może jednak coś sobie przypominasz? – naciska. – Każdy szczegół może okazać się pomocny.

Harry znowu się zaciąga, a potem gwałtowny atak kaszlu wstrząsa całym jego ciałem. Gdy w końcu dochodzi do siebie, spogląda na Adama przekrwionymi oczami.

– Czy ten gość... – zaczyna, po czym zawiesza głos i wbija wzrok w ziemię. – Czy on nie żyje? Może powinniśmy... lekarza...?

– Nie, ten gość jest tak martwy, że bardziej być nie może.

– Ale... – Harry wskazuje w stronę dzikiego wysypiska. – Gdyby lekarz...

– Przykro mi. Lekarz już nic nie może dla niego zrobić.

Bezdomny kręci głową i znowu spuszcza wzrok.

– Nie – mówi. – Niczego sobie nie przypominam.

Adam musi pogodzić się z porażką. Wie jednak, że bezdomni nie należą do wiarygodnych świadków. Nawet gdyby Harry powiedział coś przydatnego, dobry adwokat od razu wytknąłby luki w jego zeznaniach.

Harry pokazuje mu papierosa wypalonego prawie do samego filtra.

– Mogę jeszcze jednego?

Adam wręcza mu całą paczkę wraz z zapalniczką.

– Proszę – mówi i zanurza dłoń w kieszeni. Wygrzebuje całą gotówkę, jaką ma przy sobie, po czym daje Harry'emu

garść monet i zmiętych banknotów. – To za pomoc.

Bezdomny chwyta pieniądze i oddala się pośpiesznie, nerwowo zerkając przez ramię. Gdy Adam dopala papierosa, podchodzi do niego Jamie Hoxton.

– Widział coś? – pyta sierżant.

– Nic. Dziwi mnie, że w ogóle to zgłosili. Co zrobiłeś z naszym nowym narybkim?

– Ellie Quinn? Posłałem ją z mundurowymi na rozpoznanie. – Jamie spogląda w stronę miejsca znalezienia zwłok. – Nie powinna tego oglądać. Nie w pierwszym dniu pracy.

Adam w myślach przyznaje mu rację. Cieszy się, kiedy jego zespół zasilają nowi ludzie. Zwykle mają dużo zapału i bardzo chcą się wykazać. Ellie właśnie taka jest. Ale wydaje mu się zbyt wrażliwa. Daje jej trzy miesiące, zanim poprosi o przeniesienie. Góra sześć.

Podąża wzrokiem za spojrzeniem Hoxtona. Sterty śmieci otaczające ciało tworzą abstrakcyjne kształty, a ich widok nawet z takiej odległości przyprawia go o dreszcz.

Dochodzi do wniosku, że przynajmniej na początku powinni oszczędzić Ellie Quinn takich wrażeń.

– Co z kamerą? – pyta.

– Atrapa, zresztą nie najlepsza. Zorientowałem się od razu. To idealne miejsce do porzucenia zwłok. Żadnych wiarygodnych świadków, żadnych domów w pobliżu. Bezproblemowy dostęp.

Adam kiwa głową i rozgląda się dokoła. Odłamki potłuczonego szkła mieniają się w blasku reflektorów. Technicy

zalewają gipsem nieliczne ślady opon odcisnięte w błotnistej ziemi. Fotograf już kończy pierwszy etap pracy.

– Swoją drogą, jak twój miesiąc miodowy?

– Wspaniale. Kalifornijskie słońce, piaszczyste plaże, błękit nieba. – Jamie zawiesza głos i patrzy wymownie na dzikie wysypisko. – Trochę inaczej niż tutaj.

Stojący nad ciałem doktor Ross obraca się w stronę detektywów i przywołuje ich szybkim machnięciem ręki. Adam i Jamie podchodzą do niego.

– Mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką – odzywa się patolog, przechodząc od razu do rzeczy. – Nie żyje od co najmniej kilku dni, chociaż będę mógł powiedzieć więcej, kiedy zabiorę go do prosektorium i przyjrzę się larwom. Znaczne ubytki tkanek miękkich spowodowane przez zwierzęta, które dobrały się do jego twarzy i brzucha.

– Podejrzany przypadek? – pyta Jamie.

Doktor prychnął pogardliwie.

– Sam tu nie przyszedł, sierżancie Hoxton – mówi. – Jutro przeprowadzę autopsję. Bądźcie u mnie o dziesiątej.

Potem obraca się na pięcie i odchodzi bez słowa pożegnania. Adam robi głęboki wdech.

– Zwięźle, ale sympatycznie – mruczy pod nosem Jamie.

Technicy znowu zaczynają się krzątać, a jeden z nich robi ostatnie zdjęcia przed zabraniem zwłok.

– Sprawca nawet nie zadał sobie trudu, żeby ukryć ciało – odzywa się Adam.

– Może liczył, że natura zrobi swoje, zanim ktoś je tu znajdzie – zauważa sierżant.

Wysypisko śmieci, na którym roi się od szczurów i innych padlinożerców, a wilgoć i skoki temperatury dopełniają dzieła zniszczenia, nie jest najlepszym miejscem ostatniego spoczynku.

– Albo miał to gdzieś.

Nadinspektor znowu się rozgląda. Coś przyciąga jego uwagę. Na ścianie porzuconej lodówki widnieją namalowane zieloną farbą w spreju trzy znaki: XII. Dostrzegł je już wcześniej, ale nie zastanawiał się nad nimi. Teraz błyski flesza i światło reflektora sprawiają, że ten na pozór nieistotny szczegół wyróżnia się na tle ogólnego bałaganu. Jest w nim coś nienaturalnego – lodówka leży przekrzywiona na boku, a napis jest idealnie pionowy. I znajduje się nad głową ofiary. Jak oznaczenie.

– Co o tym myślisz? – zwraca się Adam do Jamiego, ale nie czeka na odpowiedź.

Rusza przed siebie i zaczyna przeszukiwać wysypisko, oświetlając latarką zwały śmieci. W ciemności rozlega się chrobot, gdy wystraszone szczury uciekają w popłochu. Jamie rusza w ślad za swoim szefem, rozglądając się uważnie.

– Coś tu jest! – woła nagle. – Zobacz.

Adam kieruje snop światła we wskazane miejsce. Jego oczom ukazują się trzy kolejne znaki. Opuszcza latarkę, oświetlając rozrzucone poniżej odpady z budowy – drewniane palety, cegły i pokruszone bryły betonu. Ale napis wygląda tak samo jak ten na lodówce. Zielone linie namalowane farbą w spreju: XIV.

– Cholera – mamrocze sierżant. – Chyba nie myślisz, że...

Adam odwraca się w stronę placu, po którym kręcą się technicy i mundurowi.

– Hej! – woła i wymachuje rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdy w końcu gwar rozmów cichnie i wszystkie spojrzenia skupiają się na nim, wskazuje namalowane sprejem znaki. – Zabezpieczcie to miejsce i zacznijcie tu kopać. A pozostali niech sprawdzą całe wysypisko. Macie przerzucić wszystkie śmieci. Szukamy takich napisów.

Wszyscy stoją jak skamieniali i patrzą na niego.

– Do roboty! – krzyczy Adam i gdy ludzie zaczynają się rozchodzić, spogląda znacząco na sierżanta. – Numer czternaście – mówi, po czym wskazuje na leżące pod przewróconą lodówką ludzkie szczątki. – I numer dwanaście.

– Chyba nie myślisz... – powtarza niepewnie Hoxton.

– Tak właśnie, kurwa, myślę. Jest ich więcej.

Rozdział 2

Spod zwałów gruzu wyłania się znajomy kształt. Ludzkie ciało spoczywało zagrzebane pod cegłami i warstwą żwiru, gdzie szczury nie miały do niego dostępu. Jest owinięte kocem w jasnoniebieską kratkę. Maggie Clarke, szefowa ekipy kryminalistycznej, przywołuje Adama, kiedy jej ludzie kończą odkopywać zwłoki. Chwyta brzeg koca i unosi go powoli, odsłaniając kobiecą twarz okoloną długimi czarnymi lokami.

– W porównaniu z tamtym to niebo a ziemia – zauważa.

Adam już nie raz współpracował z tą skuteczną, inteligentną i doskonale zorganizowaną specjalistką. Darzy ją sympatią, chociaż niektórzy za nią nie przepadają. W innym życiu Maggie mogłaby być przewodniczącą komitetu rodzicielskiego i organizować radosne festyny albo zbiórki na cele dobroczynne, jednak świetnie zarządza swoim zespołem techników. Zamiast świątecznych wypieków i wystaw psów nadzoruje zabezpieczanie dowodów w błocie albo krwi. Potrafi być szorstka w obyciu, ale działa błyskawicznie i jest dokładna.

– Wygląda prawie, jakby spała – odzywa się Adam, patrząc na zamknięte oczy i gładką, nienaruszoną skórę martwej kobiety.

Maggie omiata wzrokiem rozrzucone dookoła sterty śmieci.

– Skoro tak mówisz – odpowiada z uśmiechem, po czym odwraca się i odchodzi, bo jej uwagę przyciąga coś innego.

Na miejsce przybywa ekipa z psami tropiącymi i po chwili dwa czarno-białe spaniele zaczynają krążyć po wysypisku. Sprawiają wrażenie zdezorientowanych.

– Nie mogą niczego zwęszyć? – pyta Jamie.

Jeden z przewodników spogląda na niego zasepiony.

– Nie o to chodzi. Problem w tym, że nie wiedzą, od czego zacząć.

Wkrótce psy natrafiają na kolejne ludzkie szczątki. Tym razem są to tylko rozkawałkowane kości rąk i nóg. Nad miejscem, w którym spoczywają, widnieje namalowana zieloną farbą liczba XVI. Gdy ekipa odkopuje czwarte zwłoki, na wysypisku pojawia się szef wydziału zabójstw nadkomisarz Marsh. Staje przy biało-niebieskiej taśmie i kiwa długim szczupłym palcem na grupę podwładnych w białych kombinezonach ochronnych.

– Jest więcej ofiar? – pyta, gdy Adam się do niego zbliża.

W świetle reflektorów jego twarz ma szarą barwę, a policzki wydają się jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle. Adam potakująco kiwa głową, po czym zdejmuje foliowy kaptur i maseczkę.

– A myślałem, że mamy to już za sobą – dodaje Marsh z ciężkim westchnieniem.

Adam obmacuje kieszenie i klnie półgłosem. Przypomina sobie, co zrobił z papierosami. Teraz, gdy uświadamia sobie, że ma przed sobą długą noc, żałuje tego wspaniałomyślnego gestu. Marsh wyciąga z kieszeni paczkę i częstuje go.

– Dzięki – mamrocze Adam z papierosem w ustach i nachyla się nad płomieniem zapalniczki, którą podsuwa mu nadkomisarz.

Przez chwilę obaj w milczeniu wydmuchują kłęby dymu, a ciszę zakłóca jedynie skwierczenie palonego tytoniu.

– Miałem trochę inne plany na sobotnią noc – odzywa się Adam.

– Jeśli chcesz się ukrywać po godzinach pracy, musisz sobie poszukać innego miejsca – odpowiada Marsh, strzepując popiół. – Daleko ci do nieuchwytnego widma, Bishop. Jesteś przewidywalny jak my wszyscy. A swoją drogą, dlaczego tam bywasz? W takiej podrzędnej spelunie nie spotkasz kobiety swoich marzeń.

– Nie o to mi chodzi.

Nadkomisarz parska śmiechem.

– Zresztą nieważne. Ciesz się życiem, jak potrafisz najlepiej.

Pojawia się doktor Ross. Mijając detektywów, pozdrawia Marsha skinieniem głowy, a jego podwładnego nie zaszczycza nawet przelotnym spojrzeniem.

– Widzę, że wszędzie zjednujesz sobie sympatię – dodaje Marsh ironicznym tonem, po czym rzuca niedopałek w błoto i rusza w ślad za patologiem.

Adam dopala papierosa i odprowadza szefa wzrokiem. Kiedy Marsh wkłada kombinezon ochronny, nie sposób odróżnić go od doktora Rossa. Obaj starsi mężczyźni są wysocy i szczupli, jednak nadkomisarz zawdzięcza swoją figurę nieregularnym posiłkom oraz nadmiarowi papierosów

i kawy, natomiast Ross dba o formę, zdrowo się odżywia i systematycznie ćwiczy. W oddali Adam rozpoznaje zwalistą sylwetkę Jamiego Hoxtona, który od dwóch tygodni jest szczęśliwym mężem. Kiedy na niego patrzy, przypomina sobie jeden z uroków małżeńskiego życia, jakim było przymykanie oka na odstępstwa od zasad – błogie lenistwo na sofie, smaczne domowe obiady i słodczyce w ilościach hurtowych.

Z zamyślenia wyrywa go wołanie sierżanta Hoxtona. Odrzuca niedopałek i rusza w kierunku swojego partnera.

– Mamy pięć ofiar – oznajmia Jamie.

Adam patrzy, jak psy tropiące z zadowoleniem merdają ogonami, gdy przewodnicy nagradzają je po zakończonej pracy i odprowadzają do samochodu.

– Skąd pewność, że nie ma ich tu więcej?

– Mało ci?

Adam kiwa głową z posępną miną. Technicy ustawiają właśnie reflektory i otaczają każde nowe miejsce znalezienia zwłok policyjną taśmą, żeby zabezpieczyć ślady. Pięć ciał w różnych stadiach rozkładu. Pięć ofiar, z których każda miała kiedyś swoje życie, kochała i była kochana.

Jednak pomimo tych ponurych refleksji Adam Bishop jest daleki od zwątpienia i apatii. Czuje dreszczyk emocji na myśl o wyzwaniu, które go czeka. Miał do czynienia z tyloma morderstwami, że nie potrafiłby ich wszystkich zliczyć. Awantury domowe, które wymknęły się spod kontroli; knajpiane burdy z tragicznym finałem; a nawet jeden przypadek dzieciobójstwa. Ale nigdy nie widział czegoś takiego.

Ta sprawa jest dużo poważniejsza. Świadczą o tym liczby namalowane sprejem nad każdym z ciał. Z ofiary numer szesnaście zachował się jedynie niekompletny szkielet. Grasujące na wysypisku szczury obgryzły ciało i rozwlekły większość kości. Natomiast ofiara numer dwanaście – mężczyzna, na którego natrafili bezdomni – jest dopiero we wczesnym stadium rozkładu.

Dla Adama wszystko jest jasne. Dla Jamiego również. Tak samo dla Marsha, w przeciwnym razie nie pofatygowałyby się w środku nocy na to odludzie.

Morderca zaczął odliczanie. To dopiero początek gry.

Rozdział 3

Przed snem powtarza wszystko według ustalonego wzoru. Sprawdza drzwi – łańcuch od frontu, dwa zamki z tyłu. Upewnia się, że wszystkie okna są zamknięte. Gasi lampy jedną po drugiej, ale dopiero kiedy stoi na progu bezpieczna w plamie światła z sąsiedniego pomieszczenia. Sprawdza, czy włączyły się tkwiące w gniazdkach diody z czujnikiem zmierzchu, które roztaczają delikatną i krzepiącą poświatę.

Kiedy dociera do sypialni, Phil zazwyczaj leży w łóżku. Z zazdrością myśli o jego życiu, które jest takie nieskomplikowane. Kiedy słyszy jego powolny miarowy oddech, domyśla się, że już zasnął. Zapala lampkę na stoliku obok swojego łóżka; to dziecięcy gadżet, ale właśnie tego jej trzeba. Wyświetla gwiazdki na suficie, napędzając wnętrze niebieskim blaskiem. Gasi światło w sypialni i kładzie się obok swojego partnera, który obraca się do niej, przyciąga ją do siebie i obejmuje. Czuje się bezpieczna.

Budzi się i od razu dociera do niej, że coś jest nie tak. Czuje na sobie ciemność, która spowija wszystko, gęstą i przytłaczającą. Powoli próbuje unieść powieki. Nic nie widzi. Lampka na stoliku nocnym jest wyłączona i wszystko dookoła tonie w nieprzeniknionej czerni. Jej oddech przyspiesza, a ręce wyciągają się w stronę Phila, ale natrafiają na chłodne prześcieradło.

Momentalnie wracają wspomnienia. Leży samotna w ciemności i nasłuchuje odgłosów dobiegających z za okna. Pohukiwanie sowy, skrzekliwe ujadanie lisa. A potem rozlega się coś jeszcze. Coś zwierzęcego, co jednak bez wątplenia pochodzi od człowieka. Przeróżny krzyk przepełniony bólem i strachem.

Leży nieruchoma z dłońmi zaciśniętymi na brzegu kołdry i mruga, jakby liczyła, że dzięki temu jej oczy zdołają przeniknąć mrok. Udaje się jej wykrzesać z siebie dość siły, by sięgnąć do stolika przy łóżku. Jej palce natrafiają na przewód lampki. Odnajduje przełącznik i naciska go, ale nic się nie dzieje. Nic. Zaczyna szlochać. Z początku cicho, ale jej głos z każdą sekundą przybiera na sile, aż w końcu zamienia się w krzyk. Kiedy brakuje jej tchu, wciąga głęboki haust powietrza i znowu krzyczy.

Nagle czuje obok siebie czyjeś ciało. Czyjeś ramiona obejmują ją mocno. Rozedrgane światło latarki przesuwa się po ścianach.

– Rom! Romilly! – rozlega się znajomy męski głos. – Jestem przy tobie. Przepraszam. Wysiadł prąd.

Wczepia się w jego rękę, która przyniosła jej wybawienie od ciemności, a on przyciąga ją do siebie i tuli.

– Przepraszam, nie powinienem był cię zostawiać. Poszedłem tylko po latarkę. – Phil podciąga kołdrę, okrywając ich oboje. – Tak lepiej? – pyta łagodnie.

Romilly leży wtulona w swojego partnera, a jej łzy wsiąkają w podkoszulek na jego piersi. Zaciska dłoń na latarce i oświetla ściany sypialni. Swojej sypialni. Złe wspomnienia znikają w mroku. Jest tu i teraz.

Paniczny strach stopniowo ustępuje. Jest bezpieczna. Obydwoje są bezpieczni, przekonuje się w myślach i powoli zapada w płytki, niespokojny sen.

Dzień 2
Niedziela

Rozdział 4

Nad dzikim wysypiskiem wschodzi słońce, ale ekipy techników nadal pracują. Znaleziono pięć ofiar, więc trzeba zabezpieczyć mnóstwo śladów. Nadkomisarz Marsh już kilka godzin temu wrócił do domu i pewnie śpi teraz w ciepłym wygodnym łóżku. Doktor Ross odjechał niedługo po nim. Tymczasem Adam siedzi w samochodzie Jamiego Hoxtona. Wypił letnią kawę, którą przyniósł mu jeden z mundurowych, i wciąż ściska w dłoni pusty kubek. Obok w fotelu kierowcy drzemie zwalisty sierżant zwinięty w niewygodnej pozycji. Oddycha ciężko przez nos, a jego głowa opada na pierś, opierając się na podwójnym podbródku. Adam też jest zmęczony, ale duża dawka kofeiny i świadomość wyzwania, przed którym stoi, dodają mu energii. Próbuje uporządkować myśli, żeby przygotować się na rozpoczęcie śledztwa w sprawie serii morderstw. Nagle z zadumy wyrywa go delikatne pukanie w okno. Wzdryga się i opuszcza szybę, za którą widzi zmęczoną twarz Maggie Clarke. Szefowa ekipy techników, wciąż ubrana w kombinezon ochronny, kuca obok samochodu.

– Śpiąca królewna smacznie sobie chrapie?

Adam zerka na swojego kolegę, który śpi niewzruszony.

– Zawsze zazdrościłem mu tego, że wszędzie potrafi się przekimnąć – mówi. – Masz coś dla mnie, Mags?

– Nie, i będziesz musiał poczekać jeszcze kilka godzin, dopóki nie przekopujemy się przez te wszystkie śmieci.

– I nie możesz mi nic powiedzieć? – nalega.

Maggie zerka przez ramię na wysypisko.

– Nieoficjalnie? – pyta, marszcząc czoło.

Adam szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Nieoficjalnie.

– To pierwsze wnioski, ale działanie sprawcy wydaje się celowe i dokładnie zaplanowane.

– To znaczy?

Maggie podobnie jak Adam jest wytrawną specjalistką w swoim fachu. Bogata wiedza teoretyczna i wieloletnie doświadczenie pozwalają jej rozpoznać, co jest normalne, a co odstaje od normy. W każdym razie co jest normalne w tego rodzaju okolicznościach.

– Wszystkie ciała spoczywają na plecach, zwrócone głowami w kierunku... – Maggie zawiesza głos i nakreśla palcem kwadrat w powietrzu.

– Pomników nagrobnych?

– Można tak to ująć. Ktokolwiek ułożył je w ten sposób, chciał nam coś przekazać. – Szefowa ekipy kryminalistycznej wraca do pozycji stojącej, a jej twarz wykrzywia przelotny grymas. – Zadzwoń do ciebie, kiedy będę wiedziała coś konkretnego. Teraz się wyśpij.

Obraca się i przechodzi z powrotem pod białą-niebieską taśmą, spinając niesforne loki w koński ogon, żeby naciągnąć

na głowę kaptur kombinezonu. Adam odprowadza ją spojrzeniem. Nie ma mowy o spaniu. Teraz nie zmrużyłby oka. Jest gotów do działania.

Wyciąga rękę i zaciska palce na nozdrzach Jamiego. Po kilku sekundach sierżant prychnął i budzi się, gwałtownie podskakując na siedzeniu. Unosi ciężkie powieki i rozgląda się na wpół przytomny.

– Ale z ciebie kutas, Bishop – mamrocze.

– Musimy jechać.

Jamie wlepia zaspany wzrok w piętrzące się na dzikim wysypisku sterty śmieci.

– Jechać? Dokąd?

– Do komendy – wyjaśnia Adam. – Zaczynamy śledztwo w sprawie wielokrotnego morderstwa.

Mimo że jest weekend, w sali odpraw tłoczą się detektywi. Nadinspektor Bishop wydał jasne polecenie – ściągnąć każdego, kto jest dostępny. Jednak nikt nie narzeka, że musiał przyjść do pracy w niedzielę rano. Większość oglądała już wiadomości i zna najnowsze spekulacje reporterów. *Ciała znalezione na wysypisku. Tożsamość nieznana. Wkrótce więcej szczegółów.* Żaden detektyw nie chciałby przeoczyć tak sensacyjnej sprawy, a wszyscy wiedzą, że prawdopodobnie właśnie taka się szykuje.

Adam staje naprzeciwko zebranych i rozpoczyna odprawę. Relacjonuje wszystko, co już wiadomo, posiłkując się naprędce naszkicowanym planem wysypiska, który widnieje na ekranie za jego plecami. Pięć ofiar, mężczyźni i kobiety. Ciała w różnych stadiach rozkładu. Patolog ma je zbadać

jeszcze tego ranka i jeden z detektywów oddelegowany do udziału w autopsji opuszcza salę przy wtórze okrzyków i gwizdów.

– No więc zaczynamy od podstaw – odzywa się Adam, gdy hałas cichnie. – Na placu nie ma monitoringu, ale musimy namierzyć najbliższe kamery, zwłaszcza te przy drogach dojazdowych. Jeśli mają funkcję odczytu tablic rejestracyjnych, zabezpieczyć dane. Tim – jeden z posterunkowych kiwa głową na znak gotowości – razem z Ellie Quinn przyłączycie się do mundurowych, którzy prowadzą wywiad w okolicy. Chcę mieć zeznania każdego, kto w ciągu ostatnich kilku miesięcy choćby spojrział w stronę tego śmietniska. Notujcie wszystko, nawet nieistotne szczegóły, i meldujcie mi, jeśli natraficie na coś wyjątkowo intrygującego.

Adam wyznacza zespoły, które mają za zadanie ustalić tożsamość ofiar, a koordynację ich poczynań powierza sierżantowi Hoxtonowi. Salę wypełnia gwar podnieconych głosów. Ludzie rwą się do działania, ale Adam uspokaja ich gestem dłoni.

– Musimy zbadać wszystkie możliwe tropy – zaczyna znów mówić, gdy już wszyscy patrzą na niego z uwagą, czekając na ostatnie dyspozycje. – Doskonale wiecie, jak duże znaczenie w takich śledztwach mają pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Ludzie zapominają, dowody spływają z deszczem, systemy monitorujące nadpisują dane. Oczywiście i tak jesteśmy daleko w tyle, bo niektóre z tych ciał leżą tam od jakiegoś czasu. Ale jeśli cokolwiek się zachowało, chcę to mieć. I to natychmiast.

Chociaż śledztwo dotyczy makabrycznej zbrodni, Adam czuje się podekscytowany. Na koniec przyzwalająco kiwa głową i gdy jego ludzie się rozchodzą, przeciska się między nimi i staje obok Jamiego Hoxtona.

– Przesadziłem? – szepcze z uśmiechem.

Sierżant śmieje się cicho.

– Było w sam raz.

Adam patrzy na detektywów tłoczących się przy wyjściu. Czuje, że są pełni determinacji i rozpiera ich energia. Rozkoszuje się tą atmosferą, jednak ogarnia go niepokój. Ma złe przeczucia i nieodparte wrażenie, że pochwyciło go coś, nad czym nie panuje. Jakaś siła, która unosi go w nieznane.

Na zatracenie.

Rozdział 5

Jamie Hoxton siedzi przy komputerze i czuje, jak ogarnia go senność. Głowa mu ciąży, a powieki same opadają. Od dwudziestu czterech godzin działa na wysokich obrotach, nie licząc drzemki w samochodzie.

Myśli o tym, gdzie powinien teraz być. Mija ostatni dzień jego urlopu. Mógłby wylegiwać się na sofie z Pippą i oglądać jakiś film. Mogliby się wybrać na niedzielny lunch, a potem spacerować po lesie, trzymając się za ręce.

Jamie energicznie kręci głową, żeby skupić się na pracy. Znalaziono martwe ciała. Pięcioro ludzi zostało zamordowanych. Musi się dowiedzieć, kim byli. Otwiera na monitorze kolejną pozycję w bazie osób zaginionych. Wprowadził odpowiednie parametry wyszukiwania, jednak wyników wciąż jest bardzo dużo. Niewiele z nich może wykluczyć, gdyż na tym etapie śledztwa dysponuje zbyt skromną wiedzą.

Rozgląda się po sali. Jego ludzie pracują przy komputerach, a Bishop rozmawia przez telefon w swoim biurze – prawdopodobnie stara się zorganizować dodatkowe środki i fundusze. Kiedy Jamie na niego patrzy, czuje dobrze znane połączenie szacunku i podziwu. Adam jest jak maszyna. Na jego twarzy nie widać zmęczenia ani oznak apatycznego odrętwienia, jakiego można się nabawić po latach pracy

w wydziale zabójstw. Jamie chciałby być taki jak jego szef. Mieć tyle determinacji i wytrzymałości co on.

Jednak monotonia stopniowo bierze górę nad entuzjazmem. Jamie musi zrobić sobie przerwę. Czeka na dogodny moment, żeby wymknąć się z biura. Wkłada kurtkę i wychodzi przez podwójne drzwi na parking przed budynkiem. Potrzebuje otwartej przestrzeni, gdzie mógłby spędzić kilka minut w ciszy.

Kiedy patrzy na rozsiane luźno samochody, przypomina sobie, że jest niedziela. Na placu przed wysokim betonowym budynkiem komendy hula lodowaty wiatr. Jamie wyjmuje kluczyki z kieszeni, siada za kierownicą i zatrzaskuje za sobą drzwi. Przeklina swojego szefa, gdy w nozdrza uderza go drażniący woń dymu tytoniowego. Nie zważając na pogodę, opuszcza szybę i wybiera numer żony. Pippa odbiera po pierwszym sygnale.

– No i jesteś – mówi głosem pełnym czułości.

Jamie nie może powstrzymać uśmiechu.

– Jestem.

– Nadal w pracy?

– Tak. Jeszcze trochę to potrwa – wyjaśnia Jamie, ale nie dodaje nic więcej.

Woli zachować dla siebie szczegóły tego, z czym ma dzisiaj do czynienia. Chce oszczędzić żonie krwawych historii o przemocy i śmierci.

Kocha swoją pracę. Składanie w spójną całość rozrzuconych elementów, odnajdywanie ładu w chaosie na początku śledztwa jest dla niego pasjonującym wyzwaniem. Nawet

zmudne ewidencjonowanie danych i rutynowe przesłuchania nie nużą go tak jak innych. Wie, że jest w tym dobry, ale zdarzają się dni, kiedy nie czuje satysfakcji ze swoich działań.

Pippa jest światłem jego życia, radosnym promieniem słońca, który wita go każdego dnia po powrocie do domu. Wyobraża ją sobie teraz, jak siedzi w salonie z nogami okrytymi kocem, a w tle gra muzyka. Poznali się przed sześcioma laty na plażowym grillu zorganizowanym przez Adama.

– Jesteś gliniarzem? – spytała go wtedy.

Był upalny dzień, a chłodny wiatr od morza rozwiewał jej włosy. Miała na sobie żółtą sukienkę bez rękawów, a Jamie nie mógł oderwać wzroku od jej nagich, usianych piegami ramion.

– Tak jak większość towarzystwa – odparł, pokazując grupkę ludzi na piaszczystym brzegu.

Właściciel plażowej chaty, znajomy Adama, stał przy grillu i opowiadał jakąś historię, wymachując szczypcami. W powietrzu unosił się apetyczny zapach pieczonych kiełbasek i burgerów.

– Ale ty... – powiedziała Pippa – jesteś zbyt sympatyczny.

Jamie nie był pewien, czy powinien się poczuć urażony, czy uznać jej słowa za komplement.

W ciągu pierwszej godziny znajomości przekonała go, żeby wygłosił dla jej uczniów pogadankę o pracy policjanta. Po drugiej godzinie był w niej zakochany. Nie wiedział, czemu upłynęło tyle czasu, zanim poprosił ją o rękę. Brakowało mu pewności siebie? Obawiał się, że jeśli poruszy kwestię przyszłości ich związku, Pippa przejrzy na oczy i poszuka

sobie kogoś bardziej odpowiedniego? Prawdopodobnie jedno i drugie było nie bez znaczenia. W każdym razie gdy w końcu pięć lat później podczas romantycznej kolacji po trzech kieliszkach wina zebrał się na odwagę, przyjęła jego oświadczenia. Zarzuciła mu ręce na szyję, cmoknęła go w policzek i powiedziała:

– Myślałam, że nigdy tego nie zrobisz, głuptasie.

– Postaram się wrócić na kolację – obiecuje Jamie.

– Przygotuję coś, co będziesz mógł sobie potem odgrzać – odpowiada Pippa. Doskonale wie, że musiałby się zdarzyć cud, żeby jej mąż wrócił do domu o czasie. – Nie możesz zostawić Adama w potrzebie. Jesteś taki oddany jako jego zastępca i w ogóle.

Wypowiada te słowa żartobliwym tonem, ale obydwie wiedzą, że ma absolutną rację. Jamie i Adam byli przyjaciółmi, zanim jeszcze ten drugi błyskawicznie awansował. Jakoś udało im się przetrwać wszystkie zmiany w jak najlepszej komitywie.

Jamie robi zboląłą minę. Nie cierpi sprawiać żonie zawodu.

– Poradzi sobie beze mnie – mówi. – I tak spędzam z nim zbyt wiele czasu.

– Tylko nie zamień się w niego, dobra?

Jamie parska śmiechem na myśl o tym mało prawdopodobnym przeobrażeniu. Nie mieści mu się w głowie, że on, łagodny olbrzym o aparycji pluszowego misia, mógłby kiedykolwiek wzbudzać taki respekt jak jego szef. To dla niego wręcz niewyobrażalne.

Żegna się z żoną i kończy rozmowę, a po chwili dzwoni do niego Ellie Quinn. Jego nowa podwładna kojarzy mu się z wróbelkiem, który ćwierka i lata wokół niego, trzepocząc skrzydełkami.

– Gdzie jesteś, sierżancie? – pyta Ellie. – Chyba mamy tożsamość jednej z ofiar.

– Musiałem coś zabrać z samochodu. – Jamie rzuca zmyśloną naprędce wymówkę, po czym otwiera drzwi i wysiada, wciąż trzymając komórkę przy uchu. – Chyba czy na pewno?

– Prawie na pewno. Podczas obdukcji znaleziono kartę płatniczą w tylnej kieszeni tego, co zostało ze spodni Numeru Dwunastego. Niejaki Stephen Carey, figuruje w rejestrze. Żona zgłosiła jego zaginięcie trzy dni temu.

– Czas by się zgadzał – przyznaje Jamie i milknie, gdy słyszy w tle odgłos stłumionej rozmowy.

– Szef mówi, żebyś został tam, gdzie jesteś – odzywa się po chwili Ellie. – Właśnie do ciebie idzie.

Jamie wzdycha ciężko i opada z powrotem na fotel kierowcy.

Rozdział 6

Na widok legitymacji policyjnych stojąca na progu kobieta kuli się w sobie i odruchowo unosi dłoń do ust.

– Chodzi o Stephena? – pyta drżącym szeptem.

– Tak. Możemy wejść?

Żona zaginionego mężczyzny wpuszcza detektywów do środka i prowadzi przez hol w głąb domu. Wchodzą do salonu, gdzie na dywanie dwaj mali chłopcy bawią się plastikowymi samochodzikami, wznosząc przy tym głośne okrzyki. Z sofy wstaje starsza kobieta. Ma poważną minę. Pani Carey przedstawia ją gościom – to jej matka, która zajmuje się dziećmi pod nieobecność Stephena. Wszyscy wymieniają oficjalne uściski dłoni. Narasta atmosfera niecierpliwego wyczekiwania.

Starsza kobieta wyprowadza chłopców, a pani domu proponuje detektywom herbatę. Adam i Jamie odmawiają. Dobrze znają tę wymianę uprzejmości, która stanowi standardowy wstęp do nieuniknionego. W końcu pani Carey wskazuje im miejsce na sofie, a sama zasiada naprzeciwko nich.

– Znaleźliście go, prawda? – wyrzuca z siebie.

Adam przybiera postawę wyważonej obojętności, sprawdzoną przez lata i niezawodną.

– Zeszłej nocy znaleźliśmy ciało przy moście Northbrook – mówi. – Wprawdzie musimy jeszcze przeprowadzić

odpowiednie testy, żeby zyskać całkowitą pewność, uważamy jednak, że jest to pani mąż. Bardzo nam przykro.

Kobieta wolno kiwa głową i jeszcze przez sekundę próbuje trzymać fason. Potem wykrzywia usta i ukrywa twarz w dłoniach, a jej ramionami wstrząsa bezgłośny szloch. Adam czeka. Zerka na siedzącego obok Jamiego, który pociąga nosem, a podbródek zaczyna mu niebezpiecznie drgać. Sierżant napotyka spojrzenie szefa i mocniej zaciska szczęki.

Pani Carey unosi głowę i spogląda na nich zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– Mówili o tym rano w wiadomościach i już wtedy wiedziałam. Wiedziałam, że to Steve.

– Może nam pani powiedzieć, w jakich okolicznościach zaginął pani mąż?

– Co tu dużo mówić? To było w czwartek wieczorem. Wyszedł pobiegać tak jak zwykle, ale tym razem nie wrócił. – Pani Carey ociera łzy chusteczką i unosi wzrok, a Adam skinieniem głowy zachęca ją, by kontynuowała. – Z początku uznałam, że przedłużył sobie trening, ale minęła kolejna godzina i robiło się coraz później. Martwiłam się o niego, więc poprosiłam sąsiadkę, żeby została z dziećmi, i poszłam go szukać. Nie znalazłam go na trasie, po której zawsze biegał, więc od razu zadzwoniłam na policję. Wiedziałam, że stało mu się coś złego. To było do niego niepodobne. Steve tak by mnie nie zostawił.

Adam czytał raport o zaginięciu. Mężczyzna po prostu przepadł jak kamień w wodę. Żadnych świadków. Nikt nie miał pojęcia, co mogło się z nim stać. Funkcjonariusze z jednostki interwencyjnej nieźle się namęczyli, próbując go

znaleźć. Obdzwonili szpitale, rozmawiali z jego przyjaciółmi i krewnymi, ale bez efektu. Teraz stało się jasne dlaczego.

– Czy pani mąż miał jakieś stałe zwyczaje? Robił coś regularnie?

– Niewiele było takich rzeczy.

Żona Stephen'a Careya próbuje odtworzyć jego typowy plan dnia. Zwyczajne przyziemne sprawy. Jeździł samochodem do pracy – był radcą prawnym w lokalnej kancelarii – i na zakupy. Zabierał synów do parku, a w weekendy na basen. Przykładowy mąż i ojciec.

– Ale zawsze bardzo dbał o formę – dodaje kobieta. – Biegał codziennie.

– Codziennie? O której?

– Około ósmej wieczorem, kiedy chłopcy już spali. Nie zajmowało mu to więcej niż pół godziny, dlatego niepokoiłam się, kiedy nie wrócił.

– A czy ostatnio wydarzyło się coś nietypowego? – dąży Adam. – Może coś odstawało od codziennej rutyny, chociaż od razu nie zwróciła pani na to uwagi?

– Nie, raczej nie... – odpowiada pani Carey, ale zaczyna się zastanawiać.

– Każdy nawet z pozoru nieistotny drobiazg może okazać się pomocny.

– Może to głupstwo, ale rzeczywiście było coś takiego. Kilka tygodni temu zeszłam rano na dół i zauważyłam, że tylne drzwi nie są zamknięte. Zamek nie był zaryglowany, chociaż Stephen zarzekał się, że go przekreślił. No i...

– I co?

– Na podłodze w kuchni był piach. Niewiele, ale zaciekało mnie, skąd się tam wziął.

– I to wszystko? Nic nie zginęło?

– Nie, tylko ten piach. Brzmi idiotycznie, kiedy teraz o tym mówię.

– Dziękuję pani. Każdy szczegół się liczy. – Adam zerka na swojego zastępcę, który robi notatki. – Czy moglibyśmy dostać grzebień pani męża? Albo szczoteczkę do zębów? Musimy pobrać materiał do analizy DNA, żeby oficjalnie zidentyfikować zwłoki.

– Myślałam, że sama będę musiała to zrobić, tak jak pokazują w serialach. – Pani Carey wzdycha przeciągle. – Ulżyło mi, jeśli mam być szczerą. Nie chcę go oglądać... w takim stanie. Wolałabym go zapamiętać takiego, jaki był za życia.

– Analiza laboratoryjna w zupełności wystarczy – stwierdza Adam.

Jest zadowolony, że nie musiał opowiadać tej nieszczęsnej kobiecie, co się stało z ciałem jej męża. Nie miał ochoty jej wyjaśniać, że i tak nie byłaby w stanie go rozpoznać, bo szczury, lisy i larwy zjadły mu twarz.

Pani Carey znów zaczyna płakać i wychodzi, żeby przynieść szczoteczkę do zębów męża. Detektywi zostają w salonie sami.

– Myślisz, że ktoś się włamał do ich domu? – odzywa się Adam szeptem. – Czegoś tu szukał?

Sierżant Hoxton wzrusza ramionami.

– Możliwe, tylko po co? I gdzie doszło do morderstwa? Ktokolwiek jest sprawcą, byłoby mu o wiele łatwiej zostawić ciało na miejscu zbrodni.

Jego szef kiwa głową. Przeglądał akta zaginionego i zapamiętał jego rysopis. Metr osiemdziesiąt, szatyn, piwne oczy. Wysportowany. Niełatwo kogoś takiego przenieść.

Detektywi milkną, gdy pani domu wraca z czerwoną szczoteczką do zębów. Adam chowa ją do przezroczystego foliowego woreczka na dowody.

– Jak umarł? – pyta kobieta z błagalną nadzieją w oczach.

Adam zna to spojrzenie. Tak patrzą krewni ofiar, którzy nade wszystko pragną usłyszeć, że ich bliscy nie cierpieli przed śmiercią.

– Jeszcze za wcześnie na takie pytania – odpowiada. – Wkrótce dowiemy się więcej i będziemy informować panią na bieżąco o postępach śledztwa.

– Ale ktoś go zamordował?

– Tak uważamy.

– O Boże. – Pani Carey znowu zalewa się łzami i ukrywa twarz w dłoniach.

Do salonu wchodzi z powrotem starsza kobieta, a za nią dwaj chłopcy, których widok zapłakanej matki wprawia w osłupienie. Adam uznaje to za sygnał do zakończenia rozmowy.

– Miał dwóch synów – odzywa się Jamie, siadając za kierownicą. – Widziałeś ich? Dwóch wspaniałych chłopaków, którzy będą się wychowywać bez ojca.

Adam patrzy z zakłopotaniem, jak jego zastępca pochlipuje i ociera nos rękawem.

– Mógłbyś przynajmniej użyć chusteczki – mówi.

– Przepraszam. – Jamie wygrzebuje z kieszeni zmiętą kulkę papieru. – To jest takie smutne, że ja pierdolę. Nie wiem, jak ty to robisz, że jesteś taki spokojny.

Adam uśmiecha się ponuro.

– Trzeba mieć serce z kamienia.

– Chciałbym, żeby to po mnie spływało jak po gęsi. Można by pomyśleć, że po piętnastu latach służby nie powinienem się wzruszać, przekazując ludziom takie wiadomości. – Jamie spogląda przez przednią szybę samochodu na dom rodziny Careyów. – Po prostu ciągle sobie wyobrażam, jakie to uczucie, kiedy widzisz dwóch gliniarzy na progu.

– Przesrane – przyznaje Adam i poklepuje go po ramieniu.

– Nigdy się nie zmieniaj, stary.

– Przestań się ze mnie nabijać.

– Nie nabijam się, przysięgam. Jesteś moim głosem sumienia. Sprawiasz, że tli się we mnie resztką człowieczeństwa. Cóż ja bym zrobił bez ciebie?

– Z twoją arogancją i pewnością siebie? Nie miałbyś żadnych zmartwień.

– Dzięki. – Adam parska śmiechem, a Jamie przygląda mu się niewzruszony. – Ale mówię poważnie, jesteś dobrym człowiekiem i dobrym gliną, dlatego nie przeszkadza mi, jeśli czasem się rozkleisz.

Przez chwilę Jamie mierzy wzrokiem swojego szefa.

– Z ciebie też jest porządny facet – odpowiada.

Adam krzywi się, gdy słyszy coś, co nie pasuje do jego wyobrażeń.

– Możemy jechać? – mówi i sierżant przekręca kluczyk w stacyjce.

Wracają do komendy w milczeniu i ciszę w samochodzie rozpraszają jedynie dźwięki muzyki z radia. Adam, pochłonięty bez reszty rozmyślaniami o sprawie, wyjmując z torby skoroszyt i jeszcze raz przegląda zdjęcia zaginionego. Na jednym przystojny mężczyzna uśmiecha się do obiektywu. Na innym pozuje z synami. Pozostałe dwa zostały zrobione na mecie biegu na dziesięć kilometrów. Stephen Carey wygląda na silnego i wysportowanego. Jamie miał rację. Nie byłoby łatwo go obezwładnić i zawlec w jakieś miejsce. Żywego ani martwego.

– Myślisz, że ktoś go obserwował? – pyta Adam. – Łaził za nim i poznawał jego zwyczaje? Skorzystał z okazji, kiedy drzwi były otwarte, i zakradł się do domu?

Jamie na sekundę odrywa wzrok od drogi.

– Całkiem możliwe. Dzięki temu morderca wiedział, kiedy może zaatakować i nie musi obawiać się świadków. Tylko dlaczego komuś na tym zależało?

– No cóż, właśnie to musimy ustalić.

Czy ktoś wziął Stephena Careya na cel? Ofiarami seryjnych morderców padają zazwyczaj osoby bezbronne i narażone na ryzyko – prostytutki, geje, dzieci, starcy i zbuntowani nastolatki na gigancie. Stephen Carey nie zaliczał się do żadnej z tych kategorii. Chyba że coś ukrywał. Nie byłby pierwszym wzorowym ojcem rodziny, który okazał się gejem.

Z zamyślenia wyrywa Adama dzwonek komórki. W słuchawce rozlega się głos policjanta oddelegowanego do asysty przy sekcji zwłok.

– Doktor Ross zaraz kończy – mówi z przejęciem posterunkowy. – Lepiej się pospiesz, szefie, bo sobie pójdzie i niczego się nie dowiemy.

Adam błyskawicznie daje ręką znak sierżantowi Hoxtonowi, a ten wykonuje gwałtowny obrót kierownicą, skręcając w stronę szpitala.

Rozdział 7

Kiedy Adam i Jamie dojeżdżają na miejsce, doktor Ross ma już na sobie płaszcz i trzyma w ręku aktówkę. Na widok detektywów wzdycha ciężko.

– Jak miło, że nareszcie się zjawiłeś, Bishop. Zapewne chcesz, żebym odłożył na później wszystko, co sobie zaplanowałem na resztę weekendu.

– Byłbym wdzięczny – odpowiada Adam, starając się unikać sarkastycznego tonu.

Patolog uśmiecha się protekcyjnie, po czym daje gościom znak, by przeszli w głąb pomieszczenia, na galeryjkę dla studentów. W sali sekcyjnej na stołach ze stali nierdzewnej spoczywa pięć ciał. Część jest okryta prześcieradłami i czeka na przeniesienie do chłodni; przy innych pracują asystenci, którzy umieszczają narządy wewnętrzne we właściwych miejscach i zaszywają otwarte jamy.

Ross wskazuje ciało leżące najbliżej.

– Ofiara numer szesnaście jest martwa najdłużej – oświadcza, po czym spogląda przez ramię na gości, unosząc brwi. – Zakładam, że oprócz Stephena Careya nie znamy tożsamości innych ofiar.

– Pracujemy nad tym.

– Powodzenia – mówi lekceważąco patolog. – A zatem będziemy używać numerów. Ciało tej kobiety było

w większości przysypane rumowiskiem. Odsłonięte części, jak ręce i głowa, są całkowicie pozbawione tkanek miękkich. Niektórych kości brakuje, prawdopodobnie rozwlekły je zwierzęta. Tułów zachował się nieco lepiej, ale i tak jest w fatalnym stanie i nawet moi wprawni asystenci niewiele wskórali.

Adam przygląda się zwłokom. Czarne grube szwy biegną przez klatkę piersiową i brzuch, które miejscami mają postać gęstej papki. Obok leżą szare kości i pozbawiona żuchwy czaszka, która zdaje się patrzeć w sufit pustymi oczodołami.

– Tułów był całkowicie wypatroszony – ciągnie Ross. – Śmierć nastąpiła wskutek wykrwawienia, do którego doprowadziły liczne rany kłute zadane nożem. Naliczyłem ich dosyć sporo, ponad dwadzieścia.

Jamie z wrażenia głośno wciąga powietrze.

– Jak długo ofiara mogła przeżyć z takimi obrażeniami? – pyta.

– Niezbyt długo, a poza tym wstrząs krwotoczny powoduje szybką utratę przytomności. Idziemy dalej.

Ross podchodzi do sąsiedniego stołu i daje znak asystentowi, który podnosi prześcieradło, odsłaniając kolejne zwłoki. Tym razem jest to młody mężczyzna, ciemnowłosy i dobrze zbudowany.

– Numer piętnaście miał trochę więcej szczęścia, ale nie dość, by przeżyć – kontynuuje patolog. – Trzy rany kłute, ostrze przebiło serce.

Adam spogląda na krwawe ślady znaczące szeroką klatkę piersiową denata.

– On również padł ofiarą morderstwa?

Doktor Ross kiwa głową.

– Potrzeba było sporo siły, żeby go zadźgać. Sprawca musiał być zdeterminowany.

Adam kątem oka dostrzega zasepioną minę Jamiego Hoxtona. Domyśla się, co jego zastępca chciałby mu powiedzieć: nieciekawie to wygląda.

– Przejdźmy do ofiary numer czternaście. – Patolog staje przy sąsiednim stole. Detektywi rozpoznają ciało kobiety, która spoczywała na wysypisku pod cienką warstwą żwiru, zawinięta w kraciasty koc. – Zarówno ona, jak i numer trzynasty umarli z tego samego powodu, mianowicie wskutek utraty krwi. – Na znak Rossa asystent unosi rękę leżącego obok mężczyzny, prezentując szereg głębokich nacięć. – Tak samo na drugim przedramieniu. U obu ofiar.

– Te rany doprowadziły do wykrwawienia?

– W każdym razie niektóre z nich. Na podstawie ukrwienia uszkodzonych tkanek można stwierdzić, że część ran sprawca zadał im po śmierci.

– Ale w jakim celu? – pyta zdziwiony Adam.

– Nie mam pojęcia. Może chciał coś ukryć?

– Na przykład tatuaż albo jakieś znamię, tak? – sugeruje Jamie.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnie Ross. – Te dwie ofiary były unieruchomione, o czym świadczą otarcia od więzów na ich nadgarstkach i kostkach. I to przez ponad dwadzieścia cztery godziny, jeśli sądzić po braku treści żołądka i stopniu odwodnienia. To ostatnie mogło spowolnić

upływ krwi, więc minęło trochę czasu, zanim nastąpił zgon. Może kilka godzin. Wysłałem do laboratorium koce, w które ciała były zawinięte.

– Więc nietrudno będzie rozpoznać miejsce zbrodni – zwraca się Adam do Jamiego.

– Jeśli tylko je znajdziemy.

Doktor Ross nie zwraca uwagi na ich wymianę zdań.

– No i wreszcie numer dwunasty, Stephen Carey – mówi. – Nie zapomniałeś o nim, Bishop, co?

– Jakżebym mógł?

– Niewiele z niego zostało, a to dzięki wyteżonym staraniom drapieżników i larw. Czekam na potwierdzenie od entomologa, ale przypuszczam, że zgon nastąpił mniej więcej trzy dni temu. Czy to się pokrywa ze zgłoszeniem zaginięcia?

– Zaginął w czwartek wieczorem. Jaka przyczyna śmierci?

– Taka sama jak w pozostałych przypadkach. Wykrwawienie, chociaż tutaj trudno mi było znaleźć ranę. Nie miał w sobie zbyt dużo krwi, kiedy dobrały się do niego zwierzęta. Z tego, co zostało, nie da się wiele wyczytać. To wszystko. Jak przypuszczam, chcecie znać czas zgonu każdej z ofiar, prawda? – upewnia się Ross, a Adam przytakuje. – No więc, idąc od lewej do prawej, tu mamy stosunkowo najświeższe ciała, a tamto na końcu spędziło w ziemi około sześciu miesięcy. Wysłaliśmy do laboratorium próbki krwi i wymazy ze wszystkich uszkodzonych tkanek.

– Dziękuję – mówi Adam, starając się nie pokazać, że jego wdzięczność jest wymuszona. – Zwłaszcza za poświęcenie nam czasu w niedzielę.

Patolog wzdycha.

– Nie miałem wyboru – odpowiada i przez chwilę mierzy Adama wzrokiem. – To odpowiednia sprawa dla ciebie, Bishop, co?

– Odpowiednia? No nie wiem...

– Dla twojej kariery. Będiesz w centrum uwagi, tak jak lubisz. Ostatnim razem szansa przeszła ci koło nosa, ale teraz możesz się wykazać.

Adam czuje wzbierającą irytację, ale tłumii ją w zarodku.

– Chcę tego samego co wszyscy – odzywa się po chwili milczenia. – Powstrzymać mordercę.

Piorunuje wzrokiem Rossa, który prychnął lekceważąco, ale wie, że patolog ma rację. To śledztwo wzbudzi powszechne zainteresowanie – będą się nim ekscytować zwierzchnicy, dziennikarze i każda komenda policji w kraju. Sukces może zadecydować o jego awansie, wywindować go do stopnia komisarza.

– A więc przyczyna śmierci jest taka sama we wszystkich przypadkach? – odzywa się Jamie, próbując rozładować nieprzyjazną atmosferę.

– Tak, zatrzymanie krążenia wskutek utraty krwi.

– I wszystkie ofiary zginęły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. – Adam patrzy na rząd ciał i myśli na głos. – Ale oprócz miejsca, w którym je znaleźliśmy, niewiele mają ze sobą wspólnego. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku, od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Różnią się także pochodzeniem etnicznym i budową ciała.

– Czyli analiza wiktymologiczna nie będzie łatwa – zauważa Jamie.

Cała ta sprawa nie będzie łatwa, myśli Adam, opuszczając prosektorium. Nic się tu nie zgadza. Pięć ofiar i te numery namalowane w miejscu ukrycia każdego z ciał. Pierwsze dwie umarły gwałtowną śmiercią, zadźgane w ataku szału. Pozostałe, jak wskazują obrażenia, były unieruchomione i torturowane. Umierały powoli, jakby morderca przedłużał ich agonię. A zatem jego modus operandi ewoluuje. Potem ukrywał wszystkie ciała na dzikim wysypisku śmieci. Dlaczego? Jaki miał w tym cel? To wielka niewiadoma. Lecz Adam jednego jest pewien – cokolwiek morderca chce osiągnąć, jakiegokolwiek motywy nim kierują, nie zamierza szybko przestać.

Rozdział 8

Dzień zaczyna się jak każda zwyczajna niedziela. Romilly budzi się i mruży oczy, oślepiona blaskiem słońca prześwitującym przez zasłony. Wie, że spała zdecydowanie zbyt długo. Jak przez mgłę przypomina sobie, co wydarzyło się w nocy. Dotyk ciepłych nóg pod kołdrą wprawia ją w zdumienie – jej facet, który zwykle biega o tej porze, już dawno powinien był wstać.

Obraca się na plecy i przeciąga powoli. Pod wpływem jej ruchu Phil się ożywia; czuje na brzuchu jego ciężką dłoń, która powoli zaczyna wślizgiwać się pod koszulkę. Czule odpycha jego rękę, całuje go w czoło i siada na łóżku.

Phil patrzy na nią spod ociężałych powiek.

– Będiesz tak miła i nastawisz wodę? – pyta z sennym uśmiechem.

– Skoro tak ładnie prosisz.

Romilly wstaje. W sypialni jest chłodno, więc chwytą leżącą najbliżej część garderoby – bluzę dresową Phila – i ją wkłada. W tym też nie ma nic nadzwyczajnego.

Po wyjściu z toalety myje ręce, przegląda się w lustrze i próbuje zmyć z policzków czarne zacieki tuszu do rzęs. Odgarnia włosy z twarzy i wiąże je w koński ogon frotką zsuniętą z nadgarstka.

Prąd znowu działa. Jej histeryczna reakcja w środku nocy przyprawia ją o zakłopotanie – w mglistym świetle zimowego

dnia problem wydaje się trywialny. Teraz nic jej nie zagraża, nie w tej chwili. Więc dlaczego myśli, że może ją spotkać coś złego?

Schodzi na dół do kuchni, napełnia czajnik elektryczny, stawia go na blacie i włącza. Kiedy woda zaczyna się gotować, wyjmuje z szafki dwa kubki. Do każdego wrzuca saszetkę herbaty, a do swojego dodaje łyżeczkę cukru – jej partner, entuzjasta zdrowego odżywiania, potępia tę rozpustę, ale ona nic sobie z tego nie robi.

Sięga po telefon, który ładował się na blacie kuchennym, i zaczyna przeglądać media społecznościowe. Znajomi z pracy wybrali się na imprezę, ale nikt jej nie zaprosił. Już nie robi to na niej wrażenia; nie boli jej odrzucenie i nie czuje się zraniona.

Na Twitterze trwa burza wokół pewnego znanego pisarza, który pozwolił sobie na kontrowersyjną wypowiedź. W zasadzie tylko powtórzył głęboko zakorzeniony pogląd, pewnie przez nieuwagę. A może to przemyślany zabieg, żeby zwiększyć sprzedaż książek? Tego Romilly nie jest pewna. Nie obchodzi jej to. Zresztą i tak nie była zachwycona jego ostatnią powieścią.

Snuje jałowe rozmyślenia pozbawione celu i sensu. Jej mózg jeszcze się nie obudził.

Gdy czajnik się wyłącza, Romilly odkłada komórkę i zalewa herbatę. Zastanawia się, co zjeść na śniadanie. Tosty? Płatki? Wkłada dwie kromki do tosterka.

Włącza telewizor i niespiesznie popijając herbatę, ogląda BBC News. I wtedy to dostrzega – jej uwagę przyciąga pasek u dołu ekranu. Wie, że nie powinna, mimo to zachowuje się

niczym ćma lecąca do ognia. Pozwala, by przywabił ją zdradziecki płomień, przy którym opali sobie skrzydła i runie na ziemię.

Znowu sięga po komórkę i przegląda zdjęcia, które pojawiają się na ekranie. Nocne sceny z dzikiego wysypiska śmieci. Ciemna sylwetka mostu, pod którym płynie czarna jak atrament rzeka. Czytała już wcześniej artykuły o morderstwach i za każdym razem bacznie śledziła każde słowo. Nigdy nie znalazła niczego nadzwyczajnego, w każdym razie jak na morderstwo.

Ale teraz...

Coś rzuciło jej się w oczy. Jakiś przebłysk, coś znajomego. Przeskakujący po synapsach impuls sprawia, że jej żołądek się kurczy, jakby zacisnęła się na nim żelazna dłoń.

Mruży oczy i wpatruje się w zdjęcie, szukając wśród drobnutkich pikseli tego, co tak ją zaintrygowało. Bez efektu. Jeszcze raz czyta tekst. Śledztwo prowadzi nadinspektor Adam Bishop, detektyw z wydziału zabójstw. Dochodzi do wniosku, że właśnie to wywołało taką reakcję, i uśmiecha się ponuro, ale czuje, że jest to uśmiech wymuszony.

Gdy kromki wyskakują z tosterka, odkłada komórkę i sięga po nóż. Smaruje tosty masłem, a potem dżemem. Próbuje się skupić na zwykłych czynnościach, ale wciąż czuje, że coś jest nie tak. Przenika ją chłód. Poczucie zagrożenia. Strach.

Przerażona zastyga w bezruchu.

Ma wrażenie, że coś się zmieniło. Coś zakorzenionego głęboko, utrwalonego przez te wszystkie lata. To wydaje się niemożliwe, ale jej intuicja się nie myli.

On wrócił.

Rozdział 9

Udało się zidentyfikować kolejną ofiarę – numer czternasty. Kobietę zawiniętą w jasnoniebieski kraciasty koc. Nazywa się Louise Edwards i zaginęła trzy miesiące temu. Jej najbliższe krewne, matka i siostra, zalewają się łzami. Zawiadomienie rodziny zaginionej o jej śmierci Adam zostawił sobie na koniec dnia i tym razem nie zabrał ze sobą Jamiego. Przeglądając akta sprawy, odkrył, że głównym podejrzanym był jej chłopak, ale z braku obciążających dowodów nie postawiono mu zarzutów.

– Nie był dla niej dobry – powiedziała matka Louise przez łzy. – To jego wina, że...

Kobieta zaniósła się szlochem. Po skończonej wizycie siostra ofiary odprowadziła nadinspektora do drzwi.

– Proszę nie wierzyć w te wszystkie plotki na jej temat. Była dobrą dziewczyną i zasługuje na sprawiedliwość – zapewniła go, jakby mógł zaniechać śledztwa, gdyby było inaczej.

Wieczorem biuro wydziału zabójstw w komendzie opustoszało; większość detektywów skończyła już pracę i poszła do domu. Siedząc przy biurku, Adam rozmyśla o chłopaku Louise Edwards. Przegląda protokół z jego przesłuchania; facet mocno nagiął fakty. Między wierszami można wyczytać, że z ofiarą łączył go w najlepszym wypadku niezobowiązujący romans. Owocem ich namiętności było

dziecko, które zabrała opieka społeczna. Matka, jak wynikało z dokumentacji, okazała się niezdolna do sprawowania opieki, zdaniem Adama jednak przyczyna tkwiła gdzie indziej. Ta kobieta potrzebowała pomocy. Miała problemy z alkoholem, narkotykami i nieodpowiednimi mężczyznami. Smutna historia.

Louise mieszkała sama w kawalerce na parterze. Zdaniem detektywa, który prowadził sprawę zaginięcia, właśnie tam doszło do porwania. Ofiara nie przywiązywała szczególnej wagi do bezpieczeństwa, a podczas oględzin miejsca zamieszkania okazało się, że tylne drzwi nie były zamknięte na klucz.

Do biura zagląda Ellie Quinn.

– Szefie? Mamy raport z centralnej bazy danych na temat numeru trzynastego – mówi posterunkowa. – Przesłałam ci mejlem.

Ostatnio zidentyfikowany denat nazywał się Ian Rhodes, a ponieważ jego bliscy mieszkają dosyć daleko, obowiązek przekazania im smutnej wiadomości spadł na funkcjonariuszy z innej komendy. Adam nie krył ulgi z tego powodu.

– Jest coś istotnego?

– Liczne zarzuty o nagabywanie prostytutek na ulicy.

– Naprawdę? – Adam unosi wzrok znad papierów. – Jak ci minął pierwszy dzień w pracy?

– Dobrze. Właśnie dlatego starałam się o przydział do twojego zespołu. Słyszałam, że... – Ellie nagle przerywa.

– Co takiego słyszałaś?

Na twarzy młodej policjantki pojawia się rumieniec.

– Że potraficie dokonywać cudów?

– Cudów?

– No wiesz, podejrzani nagle przyznają się do winy. Nieoczekiwanie znajdują się dowody, które prowadzą do rozwiązania sprawy. Po prostu magia.

– Nie, to efekt ciężkiej pracy i zasługa doświadczonych ludzi – wyjaśnia Adam swojej nowej podwładnej, która wpatruje się w niego z podziwem. – Dziękuję za raport, Quinn. Do jutra.

Ellie znowu się rumieni, a potem kiwa głową i wychodzi. Adam zastanawia się, czy nie popełnił błędu, kiedy przyjął ją do zespołu. Jej zachwyty i poważanie są grubo przesadzone. W policyjnej robocie nie ma cudów, zwłaszcza na początku śledztwa w sprawie morderstwa. Praca do późna, brak wolnego czasu, niezdrowe posiłki. Co do tego ostatniego, Adam sięga po leżący na biurku pasztecik, który kupił w automacie, i rozdziera foliowe opakowanie. Odgryza kęs i krzywi się z niesmakiem.

– Czyżbyś obniżył swoje standardy w zakresie rozkoszy podniebienia, Bishop?

W drzwiach stoi Marsh. Mimo że jest weekend, ma na sobie czarny garnitur i białą koszulę. Gęste szpakowate włosy nosi zaczesane do tyłu, więc jego wiecznie zmarszczone czoło jest odsłonięte. Jedynym odstępstwem od elegancji, na jaki pozwolił sobie w niedzielny wieczór, jest brak krawata i rozpięty pod szyją guzik koszuli. Adam zdaje sobie sprawę, że drugi dzień nosi to samo ubranie, a przeupocony podkoszulek klei mu się do skóry.

– Nie przypuszczałem, że jeszcze tu siedzisz – mówi i odkłada nadgryziony pasztecik, ale po chwili zastanowienia wyrzuca go do kosza.

– Ugrzązłem w papierkowej robocie. Właśnie tego chcę ci oszczędzić. Biurokracji i bzdur. – Nadkomisarz zawiesza głos.
– Jakież konkretne tropy?

– Na razie żadnych. Powiem ci, kiedy coś znajdziemy.

Marsh nie ma co do tego wątpliwości, nie po tylu latach współpracy. Tymczasem Adam zastanawia się, czemu tak naprawdę zawdzięcza wizytę szefa, który dziwnie milcząco stoi na progu, zapatrzonego w głąb pustej sali.

– Potrzebujesz konsultacji z nadinspektorem Elliott – odzywa się Marsh ściszonego głosem, wciąż nie odrywając wzroku od białej tablicy pokrytej rzędami liter.

– Co takiego?

Dopiero teraz Marsh odwraca się i patrzy na Adama. Jego twarz ma posępny wyraz.

– Zadzwoń do Cary Elliott.

Adam marszczy czoło.

– Nie po raz pierwszy ścigam mordercę.

– Ale nie seryjnego...

– Znam się na swojej robocie.

Nadkomisarz mierzy podwładnego surowym spojrzeniem.

– Musisz być przygotowany na wszystkie ewentualności – mówi. – A Cara może ci w tym pomóc.

– Bo jej wszystko poszło jak z płatka? – rzuca Adam drwiącym tonem.

– Właśnie przez wzgląd na to, jak jej poszło. Cara przekonała się na własnej skórze, ile rzeczy podczas takiego śledztwa może się spieprzyć. Musisz być przygotowany, bo nie wyobrażam sobie, żeby coś takiego się powtórzyło. Rozumiesz?

Adam niechętnie kiwa głową.

– To zadzwoń do niej – dodaje na koniec jego szef, po czym obraca się na pięcie i odchodzi.

Adam odprowadza go wzrokiem.

– Dobra – mamrocze pod nosem.

Postanawia zadzwonić do nadinspektora Cary Elliott. Ale tylko po to, żeby się dowiedzieć, czego nie robić, kiedy rozpęta się piekło.

* * *

Obserwuję ich, zaglądam im w okna, patrzę na te rozświetlone dioramy szczęścia i radości. Widzę, jak przyrządzają posiłki, całują swoje żony, rozmawiają z dziećmi. Wszystko widzę.

Ich występki i obłudę. Ułomności, które starają się ukryć.

Widzę ich.

Ale oni nie widzą mnie.

Noc jest zimna. Lodowaty wiatr przenika przez moje ubranie, przyprawiając mnie o dreszcze. Ale muszę to zrobić. Staję przed oknem. Zastony są lekko rozsunięte i przez szczelinę widzę ją, jak siedzi na sofie. Jest sama, ogląda telewizję, a obok niej stoi kieliszek wina. Wygląda na zadowoloną.

Nie chcę tego. Czuję ukłucie żalu z powodu tego, co ma się stać. Mityczny duch, który mną kieruje, nie jest wymysłem. To moja nienawiść, mój gniew i rozgoryczenie. Moje ciało nie chce zabijać, ale wiem, że muszę to zrobić. To moja misja. Po raz pierwszy w życiu mam jakiś cel. Jestem częścią czegoś wyjątkowego.

Stoję na chodniku, a obok przechodzi jakiś mężczyzna. Pozdrawia mnie i uśmiecha się przyjaźnie, kiedy jego pies obwąchuje moją nogę, ale widzę, jak mi się przygląda. Nie mogę tu zostać. Odchodzę kawałek dalej i czekam, aż mężczyzna z psem zniknie z pola widzenia, a potem skręcam w zaułek, który biegnie za jej domem. Dobrze znam tę okolicę. Każdy dom tutaj ma furtkę prowadzącą do ogrodu na tyłach albo na patio i do kuchennych

drzwi. Drzwi, których ona nigdy nie zamyka na klucz. I do okna, które można otworzyć jednym pchnięciem.

Jej furtka nie jest zaryglowana. W ogrodzie nie ma reflektorów z czujnikami ruchu, które mogłyby zadziałać i zniechęcić mnie nagłym blaskiem. Idę powoli przez trawnik.

Zaglądam do kuchni. Na blacie stoi brudny talerz po kolacji i napoczęta butelka czerwonego wina. Nie widzę jej, bo siedzi w salonie, ale wyobrażam sobie, jak pachnie. Czuję miękkość jej skóry i słodkawą woń jej perfum.

Zastanawiam się, jak długo będzie umierała.

Kładę dłoń na klamce, która ustępuje, gdy ją powoli naciskam. To kolejny znak. Tak ma być.

Otwieram drzwi i nasłuchuję. Z salonu dobiega jej śmiech – pewnie ogląda coś zabawnego w telewizji.

Czuję, jak przepętnia mnie siła. Mam teraz absolutną władzę. Przystępuję próg, wchodzę do kuchni i zamykam za sobą drzwi. Zakradam się przez ciemny korytarz, ale gdy stoję już przy wejściu do salonu, z zewnątrz dobiegają jakieś odgłosy. Od frontu parkuje samochód. Trzask drzwi. Ciężkie męskie kroki. Wyobrażam ją sobie, jak unosi głowę i się uśmiecha. Jak całuje go na powitanie i przytula. Zazdroszczę im tej czułości każdą cząstką swojego jestestwa.

Niechętnie rezygnuję ze swojej misji. Zawracam i wchodzę na piętro. Popycham uchylone drzwi. Jestem w sypialni. Zaścielone łóżko i szafki nocne po obu stronach. Na jednej dwie książki w miękkich oprawkach – powieści historyczne. Okulary i inhalator. Na drugiej tylko jedna książka, w różowej okładce i z pękniętym grzbietem. To jej.

Staję po jej stronie łóżka, chwytam poduszkę, przykładam ją do twarzy i powoli wciągam powietrze. Teraz już nie mam wątpliwości, że to ma być ona. Jej życie, to jej wspaniałe życie, budzi we mnie zazdrość. Chcę mieć to wszystko, co ona. Miłość. Spokój. Rodzinę. Pragnę tego. I wezmę to sobie.

Pod poduszką leży koszulka nocna. Delikatne koronki na cienkich ramiączkach. Ściskam w palcach miękki materiał, wyobrażając sobie, że to jej skóra. Idealna, bez skazy.

W kieszeni mam nóż. Długi i ostry, chociaż to zwykły scyzoryk. Równie łatwo go ukryć, jak szybko wyciągnąć i użyć. Wiem, że jest już splamiony krwią. Krwią tych, którzy okazali się niegodni. Jednak o niej nie można tego powiedzieć. Kiedy przyjdzie jej czas, zamierzam się delektować każdą chwilą. Jest tego warta.

Przyciskam czubek noża do cienkiej koronki. Gładko przechodzi na wylot. Naciskam i czuję, jak tkanina pęka. Wyobrażam sobie, że to jej ciało, i podniecenie ściska mnie za gardło. Przepętania mnie pożądanie, ale nie jest to sprośna zwierzęca chuć. To coś więcej. Zakorzenione w duszy pragnienie. Przesuwam nóż dalej i oczami wyobraźni widzę jej rozciętą skórę i krew sączącą się z rany.

Słyszę wołanie. Męski głos w kuchni. Wybiegam z sypialni i spoglądam w dół ze szczytu schodów. Mężczyzna podaje jej kieliszek wina, a potem nucąc cicho, napełnia swój i z butelką w dłoni idzie do salonu.

Wpycham pociętą koszulkę do kieszeni i chowam nóż. Potem zbiegam na dół. Są tak zajęci rozmową, że nie słyszą, jak szczęka zamek kuchennych drzwi. Szybko przemierzam ogród i niemal bezgłośnie zamykam za sobą furtkę. Wychodzę z powrotem na ulicę. Znów mogę tylko przyglądać się z daleka.

Tymczasem jej się wydaje, że jest bezpieczna w swoim domu. Że może spokojnie spać. Myśli, że nikt nie może jej dotknąć. A ja patrzę na nią i wiem.

Jeszcze nie dzisiaj. Ale już niedługo.

Niedługo.

Raport z sekcji zwłok

Data: 20 listopada 1995

Denatka zidentyfikowana przez członka rodziny jako Grace Summers. Wiek: 34 lata (ur. 4 kwietnia 1961 roku). Polecono wydanie karty stomatologicznej i pobrano materiał DNA celem formalnego potwierdzenia tożsamości.

Ciało denatki znaleziono w szopie ogrodowej domu „The Beeches” przy Gloucester Road. Zgon stwierdzono na miejscu znalezienia zwłok. Ratownicy medyczni podjęli próbę reanimacji. Okoliczności śmierci zakwalifikowano jako podejrzane.

Grace Summers, z zawodu tancerka baletowa, była zamężna i miała dwuletnie dziecko. Zaginęła 12 września 1995 roku, o czym zawiadomił policję jej mąż.

Przed zaginięciem nie miała problemów zdrowotnych. Nie cierpiała na choroby przewlekłe. Nie zażywała leków. W wieku trzynastu lat doznała złamania ręki, która zagoiła się prawidłowo. Miała założoną wkładkę domaciczną.

Ciało znaleziono częściowo ubrane w czerwony podkoszulek i majtki oraz przykryte pościelą. Ubranie wysłano do analizy laboratoryjnej. Ze wstępnych ustaleń wynika, że denatka miała je na sobie w dniu zaginięcia.

Temperatura w pomieszczeniu wynosiła 5°C; temperatura ciała zmierzona w odbycie: 33°C; waga ciała: 50 kg. Na tej

podstawie ustalono przybliżony czas zgonu na około 8 godzin przed znalezieniem ciała, czyli między godz. 23 w piątek 17 listopada a godz. 2 w sobotę 18 listopada. W momencie znalezienia zwłok nadal utrzymywały się objawy stężenia pośmiertnego.

Opis zwłok

Denatka rasy białej, szczupłej budowy ciała, brak tatuaży i znaków szczególnych. Włosy jasne, średniej długości, przetłuszczone i zmatowiałe. Paznokcie długie i zaniedbane. Oznaki poważnego niedożywienia i odwodnienia.

Umieszczenie plam opadowych wskazuje, że po śmierci ciało leżało na plecach. Brak wybroczyn na skórze i gałkach ocznych.

Po prawej stronie głowy widoczne liniowe zranienie skóry o długości ok. 7 cm oraz wgniecenie kości czaszki, do których doszło wskutek uderzenia tępym narzędziem. Stwierdzono pokaźny krwiak nadtwardówkowy spowodowany uszkodzeniem tętnicy oponowej i krwawienia do przestrzeni zewnątrzoponowej. Zgon w następstwie takiego urazu mógł nastąpić w ciągu dwóch do czterech godzin.

Na nadgarstkach i kostkach liczne otarcia, powstałe prawdopodobnie od więzów. Na plecach i stopach denatki otwarte rany z objawami zakażenia. Również na plecach oraz na kolanach i przedramionach widoczne otarcia o charakterystycznej postaci: równoległe linie oddalone o 2 cm, które nakładają się na siebie prostopadle, tworząc wzór kratki.

Ślady wcześniejszych obrażeń twarzy, między innymi złamany nos i liczne otarcia, częściowo zagojone. Na dłoniach i przedramionach obrażenia defensywne, jak zdarte paznokcie,

złamania paliczków środkowych palców wskazującego i środkowego prawej dłoni, a także zwichnięcia stawów.

Rozległe krwiaki, otarcia oraz rozcięcia skóry w okolicy pochwy i odbytu, w tym blizny i zagojone rany, wskazują na duże prawdopodobieństwo wielokrotnego gwałtu. Pobrano wymazy z pochwy i szyjki macicy do analizy laboratoryjnej.

Przyczyna zgonu:

Ia) Krwotok zewnątrzoponowy

Ib) Uraz czaszki powstały wskutek uderzenia tępym narzędziem

II) Niedożywienie i odwodnienie

Dzień 3
Poniedziałek

Rozdział 10

Gdy rozlega się sygnał budzika, Jamie wydaje przeciągły jęk. Jest szósta rano. Zdecydowanie za wcześnie. Czynności, które jeszcze wieczorem uważał za konieczne, teraz wydają się szaleństwem.

Pippa z pomrukiem niezadowolenia daje mu ręką znak, który mówi: wyłącz to. Jamie sięga do szafki nocnej i chwyta komórkę, która wciąż głośno brzęczy. Na wyświetlaczu widzi serię esemesów od Bishopa. Ignoruje je wszystkie oprócz ostatniego: *Przynieś kawę.*

Domyśla się, że szef już dawno wstał i pracuje na wysokich obrotach. Ktoś taki jest potrzebny jako wzór motywacji i zaangażowania, bez których śledztwo na taką skalę nie miałyby szans powodzenia. Jamie przepracował siedem lat w wydziale zabójstw, z czego trzy pod komendą Adama, ale jeszcze nigdy nie miał do czynienia z czymś takim. Wie, że jego szef dopilnuje, żeby wszystko chodziło jak w zegarku. Adam Bishop ma swoje wady, ale gdy kieruje śledztwem, nie pozostawia niczego przypadkowi – żadnych niezbadanych wątków czy niedopełnionych formalności. Jest mistrzem w swoim fachu.

Jamie w pośpiechu bierze prysznic, po czym schodzi do kuchni i zaparza herbatę. Wraca do sypialni z parującym

kubkiem i stawia go na szafce nocnej. Potem budzi żonę, delikatnie muskając wargami jej czoło. Pippa spogląda na niego zaspanymi oczami.

– Miłego dnia – mówi z uśmiechem i podnosi się, żeby go pocałować.

Ma nieświeży oddech i jest rozczochrana, ale Jamiemu nie przeszkadza to ani trochę.

– Może się uda – odpowiada.

Na ulicach nie ma dużego ruchu, gdy jedzie do pracy, podśpiewując do wtóru piosenki z radia. Chociaż wie, co go dziś czeka, jest w dobrym nastroju. Żyje jeszcze wspomnieniami miesiąca miodowego. Przypomina sobie, jak Pippa tuliła się do niego zeszłej nocy; jak odgarnął niesforny kosmyk włosów, żeby pocałować ją w szyję; jak poczuł pod palcami aksamitnie gładką skórę, gdy dotknął jej uda. Życie jest piękne, myśli, podjeżdżając do okienka drive-thru Costa Coffee. Kupuje dwie kawy i ciastko czekoladowe. Czeka na odbiór zamówienia, wyjmuje komórkę. Nie zwraca uwagi na mejle i od razu przechodzi do serwisu informacyjnego. Już pierwszy nagłówek na stronie głosi: *Ciała pod mostem Northbrook. Czy to ofiary seryjnego mordercy?* Jest tylko kwestią czasu, kiedy ludzie zaczną snuć domysły, ale nadkomisarz Marsh zamierza jeszcze tego ranka wydać oświadczenie dla prasy. Jamie marszczy czoło, przeglądając zdjęcia. Wykonane z pewnej odległości, z założenia mają wypełnić wolną przestrzeń na stronie, widać jednak na nich zbyt wiele szczegółów. Każde z miejsc znalezienia zwłok, a nawet jeden namalowany sprejem numer. Trzeba coś z tym zrobić, zawiadomić dział PR, żeby ktoś je usunął. Jeszcze tylko

brakuje, by różnej maści szaleńcy wypełzli ze swoich nor i zawracali im głowę wyssanymi z palca zeznaniami.

Jamie parkuje samochód przed komendą i strząsa okruchy ciastka z wydatnego brzucha, który wciąż zwiększa swoją objętość. W drodze do sali odpraw uświadamia sobie, że rozpoznaje kobietę, która idzie przed nim w asyście jednego z posterunkowych. Pochłonięta własnymi myślami, nie zauważa go, gdy obydwoje zatrzymują się przed wejściem. Ma na sobie granatowe džinsy i kozaki do kolan, na przedramieniu niesie gruby płaszcz złożony na pół. Mundurowy otwiera przed nią drzwi, a ona przeczesuje dłonią włosy sięgające do ramion i wchodzi do środka.

Jamie, ciekaw powodu jej wizyty, rusza w ślad za nią.

Kobieta idzie przez open space prosto do gabinetu Adama, który zauważa ją, wstaje od biurka i podchodzi do drzwi. Detektywi skupiają na niej spojrzenia, a rozmowy w sali stopniowo cichną.

Do Jamiego podchodzi Ellie Quinn z kartką w dłoni. Orientuje się, że jest czymś zaabsorbowany, i podąża wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Nadinspektorze Bishop – odzywa się kobieta.

– Doktor Cole – odpowiada Adam i dziękuje skinieniem głowy posterunkowemu, który odchodzi. – Masz do mnie jakąś sprawę?

Ich rozmowa jest przesadnie oficjalna. Obydwoje mówią nienaturalnie oschłym tonem. Jamie widzi, że jego szef jest zaskoczony, ale stara się to ukryć.

– Tak, to ważne.

– Mam nadzieję, bo jestem trochę zajęty, jeśli nie zauważyłaś.

– Oczywiście zauważyłam – warczy doktor Cole. – Nie przyszedłabym tutaj, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

Nadinspektor wzdycha.

– Dobra. Porozmawiajmy w środku.

Odsuwa się, żeby wpuścić kobietę do biura, i zamyka drzwi. W sali znowu rozlega się gwar rozmów. Na razie wystarczy sensacji. A przynajmniej takich, które dałoby się podsłuchać.

– Kto to był? – pyta Ellie teatralnym szeptem.

– Doktor Romilly Cole – wyjaśnia Jamie.

Wciąż trzyma kawę, którą kupił szefowi, ale postanawia mu nie przeszkadzać i wręcza kubek Ellie. Młoda policjantka jest zaskoczona jego hojnością, lecz nie odrywa wzroku od zamkniętych drzwi.

– Oni się znają?

Jamie parska śmiechem. Przygląda się postaciom za przeszklonymi drzwiami. Skrzyżowane ramiona, defensywna mowa ciała.

– Można tak powiedzieć – mówi. – To była żona Bishopa.

Rozdział 11

Zeszłej nocy Romilly prawie nie zmrużyła oka. Rano zdecydowała, że musi się spotkać ze swoim byłym mężem. Phil nie krył zaskoczenia, gdy powiedziała mu o tym przy śniadaniu. Uniósł wzrok znad miski pełnej owsianki i zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – spytał. – Nie mogłabyś porozmawiać z kimś innym?

– Adam prowadzi to śledztwo – odparła Romilly, siląc się na swobodny ton. – Minęły już trzy lata. Jestem pewna, że potrafimy się dogadać.

– Ale tu chodzi o wielokrotne morderstwo. Jesteś na to gotowa?

– Właśnie dlatego muszę do niego iść.

Romilly wyszła z kuchni, żeby uniknąć kolejnych pytań. Phil wytrącił ją z równowagi swoimi obiekcjami, ale nie mogła się z nim nie zgodzić.

Prawie całą niedzielę płakała. Snuła się bez celu po domu, zamartwiała i zachodziła w głowę, co robić. A Phil tylko wyraził na głos jej obawy. W lepszych czasach, kiedy jeszcze była z Adamem, często rozmawiali w domu o różnych przypadkach, z którymi miał do czynienia. Jej mąż był wtedy sierżantem, ambitnym i pełnym zapału młodym detektywem. Jako lekarz pomagała mu dostrzegać i analizować pewne aspekty, dzięki czemu udawało mu się zaimponować swoim

przełożonym. Czy taka lub inna choroba mogła wpłynąć na sposób myślenia sprawcy? Jakie wnioski na temat ofiary da się wyciągnąć z obrażeń, których doznała?

Ale wkrótce stało się to dla niej nie do zniesienia. Przestali rozmawiać o jego pracy i to był początek ich końca. Odcięła się od tej sfery jego życia, która z czasem pochłaniała go coraz bardziej. Ale teraz, patrząc na znajomą szarą fasadę komendy policji, powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze. Wzięła torebkę i z uniesioną dumnie głową wysiadła z samochodu.

Wchodzi do gabinetu byłego męża. Z zadowoleniem patrzy na to, do czego doszedł. Należało mu się. Nie zna nikogo równie pracowitego; nikogo, kto byłby zdolny do takiego zaangażowania i kto myślałby z taką przenikliwością. Ale gdy spogląda przez przeszkloną ścianę na rzędy biur, przy których pracują jego ludzie, coś sobie uświadamia. Swoją pozycję i uznanie osiągnął bez niej. Cały ten sukces jest wyłącznie jego zasługą. Okazuje się, że mimo wszystko lepiej mu w pojedynkę.

– Słyszałam, że dostałeś awans – mówi, starając się zacząć rozmowę w przyjazny sposób.

– To prawda.

– Moje gratulacje.

– Dzięki.

Znów zapada milczenie, które tylko podkreśla dzielącą ich przepaść.

– Jak twoje zdrowie, Adamie?

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, pierwszy podczas ich spotkania, ale wydaje się wymuszony i pełen napięcia.

– Lepiej być nie może.

– Cieszę się. Wciąż robisz badania okresowe?

– Co cię do mnie sprowadza? – pyta Adam.

Romilly robi głęboki wdech, po czym wyjmując z torebki kilka kartek i kładzie je na biurku. Nie jest pewna, od czego zacząć.

– Zobaczyłam to wczoraj – mówi.

Adam zerka na tekst. Rozpoznaje artykuł ze strony BBC News. Zdjęcia na czarno-białym wydruku są rozmyte i niewyraźne.

– No i...?

Romilly wie, że musi czym prędzej to z siebie wyrzucić, bo zaraz zabraknie jej odwagi.

– To on, Adamie – mówi. – To on.

– Proszę...

– Ja to wiem. Naprawdę.

– Świat nie kręci się wokół niego. Nie każde morderstwo musi być...

– Nie, wysłuchaj mnie.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego jesteś taka pewna, że to on.

Romilly milczy. Przez cały dzień prowadziła poszukiwania w sieci, przeczytała każdy artykuł, każdą notatkę prasową, jaką udało jej się znaleźć. I wciąż nie potrafi tego wyjaśnić. Dlaczego tak się boi, dlaczego czuje się taka niepewna, jakby straciła grunt pod nogami.

– Mam przeczucie... – zaczyna, ale znowu milknie, gdy widzi, jak na twarzy Adama wyraz współczucia ustępuje miejsca ledwie skrywanej irytacji.

– Przeczucie? Daj spokój. Czy ty siebie słyszysz?

Jej były mąż składa zadrukowane kartki w równiutki stosik. Romilly zna ten gest. Pełna dezaprobaty. Koniec dyskusji.

– Ale...

– A jak twoje zdrowie? – przerywa jej Adam. – Nadal chodzisz na sesje do doktor Jones?

– No przecież nie zwariowałam.

Adam nie odpowiada, ale cichy głosik w jej głowie pyta: czyżby? Bo jeśli nie zwariowała, to co się z nią dzieje? W ich związku to Adam zawsze twardo stąpał po ziemi. To on ją uspokajał i sprawiał, że oddzielała rzeczywistość od tego, co roilo się w jej głowie. Ale to już nie jest jego rola. Rozwiodła się z nim i jest teraz z Philem. Są o wiele lepiej dobraną parą. Pracują w tym samym miejscu i Phil dobrze zna perypetie wynikające z zatrudnienia w publicznej służbie zdrowia, mimo że jest fizjoterapeutą, a ona onkologiem. Adam za dużo pije. Nigdy nie ćwiczy, tymczasem dla jej nowego chłopaka aktywność fizyczna to chleb powszedni. Phil ma o wiele lepszą figurę, chociaż swojemu byłemu mężowi też nigdy nie mogłaby zarzucić kiepskiej formy. Adam jest gibki i żyłasty, a jego organizm zdaje się czerpać energię z samej tylko woli działania. A na początku ich małżeństwa...

Romilly nagle wraca do rzeczywistości. Wyczuwa słaby, ledwie uchwytny ślad zapachu. Na biurku Adama zauważa paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Znowu palisz? – pyta o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Widzi poczucie winy na jego twarzy, które jednak szybko ustępuje miejsca rozdrażnieniu.

- Co to ma do rzeczy?
- Chodzi o to, co przeszedłeś.

Adam prostuje się w fotelu, przybierając buntowniczą pozę.

- Nie możesz mi mówić, co mam robić, Milly.
- Jako twoja lekarka...
- Nie jesteś moją lekarką. Już nie.

Romilly czuje, jak jej ciało się napina. Zdeprymowana jego lekceważącym podejściem nie powstrzymuje dłużej irytacji.

- Wiesz, jakie to głupie, prawda?
- Owszem, głupota zawsze była moim problemem – odpowiada Adam. – Kiedyś byłem głupi, bo ci ufałem. Teraz jestem głupi, bo pozwalałam ci marnować swój czas.
- To ja już pójdę...
- Dobry pomysł.

Życzliwe nastawienie Adama zniknęło bez śladu. Zaciskając szczęki, spod przymrużonych powiek mierzy wzrokiem byłą żonę. Unosi dłoń i bez słowa pokazuje jej drzwi.

- Dobrze.

Romilly wychodzi z gabinetu i szybkim krokiem przemierza open space. Czuje na sobie zaciekawione spojrzenia detektywów, ale nie zatrzymuje się ani na chwilę. Zbiega na dół po schodach, mija recepcję i pospiesznie kieruje się do samochodu.

Nic się nie zmienił, myśli, powstrzymując łzy. Ten facet jest takim dupkiem... takim przeklętym dupkiem...

Nie powinna była dopuścić, żeby wytrącił ją z równowagi. Nikt inny nie potrafiłby tak bardzo jej wkurzyć. Ale przecież nie jest jej mężem, już nie. I bez niego jest dużo szczęśliwsza. To nic, że nie potraktował jej poważnie, że nawet nie raczył jej wysłuchać.

Skarciła go za palenie, żeby odwrócić uwagę od własnej winy. Dobrze o tym wie. Jest na siebie wściekła. Wściekła o to, że znowu pozwoliła Adamowi, żeby zdominował jej życie, tak jak to robił przez lata. Miał rację, że ją odrzucił. Miał rację, że jej nie ufał.

Jest idiotką. Nieracjonalną i histeryczną idiotką. Właśnie tak zachowała się przed Adamem. Rumieniec zażenowania oblewa jej twarz. Co za upokorzenie. Jak mogła być taka głupia?

– Kurwa! – krzyczy, uderzając dłońmi w kierownicę. – Kurwa!

Rozdział 12

Adam czuje, że skupiają się na nim spojrzenia wszystkich podwładnych. Szybkim krokiem podchodzi do drzwi i zatrzaskuje je z taką siłą, że szklane tafle głośno brzęczą. Wraca za biurko i z impetem opada na fotel. Nie do wiary, myśli, zaciskając szczęki. Jak to możliwe, że tak bardzo wytrąciła go z równowagi?

Przecież nie są razem już od dawna. Minęły lata od ich rozwodu. Próbuje sobie przypomnieć, kiedy widział ją poprzednim razem. To było kilka lat temu, na imprezie u Jamiego i Pippy. Obydwoje zostali zaproszeni i próbowali udawać, że potrafią wytrzymać ze sobą w jednym pomieszczeniu. Oczywiście skończyło się awanturą. Romilly załała się łzami, a Jamie delikatnie zasugerował Adamowi, żeby sobie poszedł. Ale to nie była, kurwa, jego wina, że się rozstali.

Rozlega się ciche pukanie i w uchylonych drzwiach pojawia się głowa sierżanta Hoxtona.

– Wszystko w porządku, szefie? – pyta.

– A jak myślisz?

Jamie wchodzi do biura i zamyka za sobą drzwi.

– Czego chciała?

– Wydaje się jej... – Adam zawiesza głos. Nie chce roztrząsać paranoicznych wymysłów swojej byłej żony. Ma dosyć innych zmartwień. – Mniejsza o to, nic ważnego. –

Dostrzega leżącą na biurku paczkę papierosów i wrzuca ją do szuflady razem z zapalniczką. – Tak czy inaczej, wszystko po staremu – dodaje i wzdycha ciężko. – Coś nowego?

– Laboratorium zbadało koce, w które były zawinięte ciała. Mieszanka poliestru i bawełny. Kupione w Marks and Spencer. Ich sieciówki w całym kraju sprzedały ćwierć miliona takich koców.

– Świetnie – burczy Adam z przekąsem.

– Na jednym były stare plamy nie pochodzące od zwłok. I jakieś włókna. Na wyniki analizy chemicznej musimy jeszcze trochę poczekać. – Jamie przerywa i opiera się o ścianę. – Monitoring też niewiele dał. Prawie wszystkie drogi prowadzą na to wysypisko. W okolicy jest kilka kamer, więc gdybyśmy wiedzieli, jakiego samochodu szukamy, może coś udałoby się znaleźć. Ale tak... Zbyt wiele niewiadomych.

– Jakież szanse na identyfikację pozostałych ofiar?

– Zawężamy trafienia z bazy osób zaginionych.

– A wywiad w terenie?

– Na razie bez efektu – mówi Jamie. – Przykro mi, szefie. Tylko same skargi na wyrzucanie śmieci.

– Śmieci? – Adam marszczy czoło. – Zbadaliście ten trop? Może warto pogrzebać w tym wysypisku, żeby ustalić, kto z niego korzysta.

Jamie w zamyśleniu kiwa głową.

– Jeżeli komuś raz się udało, mógł to robić regularnie.

– Otóż to. A jeśli przy okazji coś zobaczył? Trzeba go tylko dobrze przycisnąć. Zagrozić grzywną, żeby odświeżyć mu pamięć.

– Zrobi się. – Jamie rusza do drzwi, ale Adam zatrzymuje go gestem.

– I trzeba przesłuchać faceta Louise Edwards. Może być naszym podejrzanym, więc to już temat na konkretną rozmowę. Albo przynajmniej można go wykluczyć.

– Teraz?

– Tak, teraz. I weź ze sobą Quinn. Zadzwoń do ciebie, kiedy będziecie w drodze, i przekażę ci, co już wiemy.

Jamie salutuje z uśmiechem i wychodzi. Adam zostaje sam. Podnosi jedną z kartek, które zostawiła Romilly. Nie stało się nic nadzwyczajnego. On też widzi go wszędzie – w każdym zaginięciu, każdym podejrzanym zgonie. Nie może mieć do niej pretensji. Tak głęboko zakorzeniona trauma musiała ją okaleczyć na całe życie.

Ale na pierwszy rzut oka Romilly prezentowała się rewelacyjnie. Przeżył szok, kiedy zobaczył ją po tylu latach. Natychmiast odżyły dawne uczucia. Serdeczne ciepło, czułość i troska. Miłość, ale również gorzka zdrada i odrzucenia.

Zgniatą kartkę i rzuca ją do kosza, ale nie trafia. Papierowa kula odbija się od ściany i wpada pod szafkę. Adam ją tam zostawia. Poza zasięgiem wzroku, zapomnianą.

Tam, gdzie jej miejsce.

Rozdział 13

Wizyty bez kolejki są dopuszczalne tylko w nagłych wypadkach. Ale to jest nagły wypadek. Romilly naciska guzik dzwonka obok złotej wizytówki na wielkich czerwonych drzwiach. Spodziewa się, że ten wydatek doda jej otuchy. Ci ludzie znają się na tym, co robią.

Idzie przez cichą poczekalnię prosto do gabinetu. Milczący pacjenci zerkają na nią ze zrozumieniem. To jedna z nich, zdają się mówić ich spojrzenia. Na szczęście ze mną nie jest tak źle jak z nią.

Siada w tym samym fotelu co zwykle. Czeka, wodząc wzrokiem po schludnych regałach z książkami, wiszących na ścianie dyplomach i uporządkowanym biurku, na którym stoi biały komputer Apple. Nie ma tu tablicy korkowej obwieszanej kartkami z podziękowaniami. Ani zdjęć. Żadnych osobistych akcentów wskazujących na kobietę, która wie o niej wszystko.

Pamięta, jak trafiła tu po raz pierwszy. Pamięta gabinet numer dwa. Płacz i histerię. Tak bardzo zanosila się szlochom, że twarz bolała ją jeszcze przez kilka godzin. Doktor Jones dotarła do źródeł zakorzenionej od lat traumy, a potem rozmawiała z nią kojącym tonem i udzielała rad, aż uczyniła z niej normalnie funkcjonującą osobę, jaką jest dzisiaj. Ale teraz coś znowu burzy jej spokój. Nowa zmora. Romilly obawia się, że koszmar powraca.

Do pokoju wchodzi doktor Jones. Uśmiechnięta stawia szklankę wody na stoliku obok fotela. Roztacza wokół siebie chłodną aurę niezawodności i pogody ducha. Romilly zawsze zazdrościła jej opanowania.

Siedzą naprzeciwko siebie. Terapeutka kładzie splecione dłonie na udach i czeka. Włosy ma upięte na karku w schludny kok, z którego nie wymyka się ani jeden kosmyk.

– Dziękuję za niezwłoczne spotkanie – odzywa się Romilly.
Doktor Jones kiwa głową.

– Miło mi, że pomyślałaś o mnie.

Następuje długa chwila milczenia. Gdy słyszy tykanie ściennego zegara, Romilly uświadamia sobie, ile cennego czasu przecieka jej przez palce, ale nie wie, od czego zacząć.

– Zaczynaj od tego, jak się czujesz – sugeruje doktor Jones, jakby czytała w jej myślach.

– Skołowana. Wystraszona. Zdenerwowana.

– Rozumiem. W takim razie czemu tego nie widzisz?

– Co masz na myśli?

– Uzewnętrznienie – wyjaśnia terapeutka z łagodnym uśmiechem. – Zazwyczaj ludzie, którzy proszą o wizytę w nagłych wypadkach, manifestują swoje uczucia. Płaczą, są wyraźnie zmieszani. Ty co najwyżej wyglądasz na wściekłą.

Romilly zawsze ceniła sobie takie podejście. Bezpośrednie, bez cienia protekcjonalności. Obie są lekarkami – kobietami inteligentnymi – i podoba się jej, że Jones traktuje ją jak równą sobie.

– Jestem wściekła – przyznaje. – Widziałam się dzisiaj ze swoim byłym mężem.

- Z Adamem?
- Tak.
- I jak się z tym czułaś?

Romilly wraca myślami do spotkania. Adam nie zmienił się zbyt wiele. Taka sama fryzura jak dawniej, może nieco dłuższe włosy, ale wygląda nieźle. Trochę więcej siwizny na skroniach, trochę więcej bruzd na czole, ale służy mu to. I nazwał ją Milly. Mimo wszystko. Jako jedyny zwraca się do niej w ten sposób, co w równym stopniu drażni ją i cieszy.

- Miałam sprzeczne uczucia – odzywa się w końcu, a jej terapeutka przekrzywia głowę w oczekiwaniu na ciąg dalszy.
- Adam jest taki...

Romilly zawiesza głos i zastanawia się nad odpowiednim słowem. Ma ochotę powiedzieć „atrakcyjny” albo „przystojny”, ale nie chce, żeby doktor Jones uznała ją za osobę płytką i powierzchowną. Atrakcyjność Adama zawsze miała w sobie coś więcej.

Romilly wie, że jej były mąż jest singlem. Wciąż ma kontakt z Pippą, która przekazuje jej wszystkie plotki od Jamiego. Podobno z łatwością zdobywa kobiety. Trochę się łajdaczy, powiedziała jej kiedyś Pippa. Żadnej nie traktuje poważnie, dodała, więc dobrze, że z nim zerwałaś. Romilly wie jednak, że Adam nie przejął się zbyt wiele ich rozstaniem.

Czuje przyływ zazdrości, wyobrażając go sobie z innymi kobietami. Zmusza się, by skupić uwagę na tych cechach swojego byłego męża, które nie są aż tak pociągające.

- Działa mi na nerwy – mówi. – Jest inteligentny i przebojowy. Kiedyś to mnie w nim pociągało, ale teraz

dostrzegam też jego arogancję. W jego oczach jestem wredną mendą, która go zawiodła.

– Powiedział ci to?

– Nie, ale nietrudno się domyślić. I lituje się nade mną. Uważa, że mam zjebaną psychikę.

– Czy ty też tak uważasz?

– Nie, zazwyczaj nie. – Romilly znowu czuje palący wstyd, kiedy przypomina sobie, jak bardzo wygłupiła się przed Adamem. – Chyba że dzisiaj... – dodaje półgłosem.

– A co takiego się dzisiaj wydarzyło? Dlaczego się z nim spotkałaś?

– Adam prowadzi śledztwo w sprawie tych zwłok znalezionych nad rzeką. No i pomyślałam... pomyślałam, że...

– Że ON za tym stoi?

– Tak.

– Dlaczego?

– Właściwie nie wiem... To było przeczucie.

Romilly czuje się idiotycznie, kiedy powtarza to słowo. Nic dziwnego, że Adam nie chciał jej słuchać. Jest człowiekiem, dla którego liczą się tylko twarde dowody.

– Ale twój były mąż nie potraktował cię poważnie? – domyśla się doktor Jones.

– No właśnie. I teraz obawiam się, że miał rację. Że znowu zaczynam popadać w obłąd.

– Myślenie katastroficzne?

– Otóż to. Wszystko kręci się wokół niego i mnie. Wokół tego, co stało się w dziewięćdziesiątym piątym.

– Czy widzisz jakąś różnicę w porównaniu z przeszłością?
– Teraz czuję się lepiej. A jeśli to początek kolejnego epizodu?

– Wcale nie musi tak być – odpowiada terapeutka. – A jeśli masz rację?

Romilly patrzy na nią zaskoczona. Od niedzielnego ranka powtarza sobie w myślach tylko jedno: uspokój się. Wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy. To nie mógł być on. Bo niby jak? Reakcja Adama tylko utwierdziła ją w przekonaniu o własnym obłędzie. Ale teraz słowa doktor Jones sprawiają, że zaczyna się temu przyglądać od innej strony.

– Znasz tę sprawę lepiej niż ktokolwiek inny – ciągnie terapeutka. – Przeżyłaś to, widziałaś wszystko na własne oczy. Musiałaś zobaczyć w wiadomościach coś, co ożywiło dawne wspomnienia. Coś, co bardziej cię zaniepokoiło, niż rozzłościło. Bardziej zmobilizowało, niż przyprawiło o histerię. Skąd taka różnica?

– Ale... ale... – jąka się Romilly. – Jak to możliwe?

Doktor Jones wzrusza ramionami.

– Jesteś lekarką – mówi. – Potrafisz robić użytek ze swojej inteligencji, analizować objawy. Dojdiesz do tego sama, musisz tylko pogrzebać trochę głębiej. Jeśli niczego nie znajdziesz, przynajmniej zyskasz pewność, że możesz odpuścić. Ale jeśli rzeczywiście jest coś... – Przerywa, pozostawiając niedokończone zdanie.

Jeśli rzeczywiście jest coś... Jeśli to nie obłąd.

Już sama ta myśl jest zbyt przerażająca, by dopuścić ją do świadomości.

Wcześniej

Ma plecy wygięte w łuk, nogi przyciśnięte do piersi, a jego głowa spoczywa na kolanach. Znajduje się w takiej pozycji już dosyć długo, ale czas nie ma tu większego znaczenia. Otacza go absolutna ciemność.

Dygocze z zimna. Cienki podkoszulek i krótkie spodenki nie dają żadnej ochrony przed lodowatymi podmuchami wiatru, które wdzierają się przez szczeliny pod drzwiami, w ścianach i w podłodze. Kałuża moczu ma pogardliwą woń strachu i klęski. Błogosławiona ulga, którą poczuł na początku, szybko zamieniła się w upokorzenie.

Rwanie w dole pleców zaczyna się rozprzestrzeniać. Próbuje zmienić pozycję, żeby złagodzić tępe pulsowanie, ale wtedy ból przeszywa jego ciało niczym błyskawica. Zaciska zęby. Siedzi tak zbyt długo i napięte mięśnie robią się twarde jak beton. Łapią go skurcze, więc próbuje masować łydki palcami. Na niewiele się to zdaje. Gdyby tylko mógł wstać, rozciągnąć się i uciec, byłoby to jakieś wyjście.

On jednak wie, że nie może się przeciwstawić. Żadnych protestów ani skarg. Milczenie jest jego jedynym sprzymierzeńcem. Milczenie i łzy wzbierające pod powiekami. Porusza się niezdarnie i ociera wilgotne policzki. Na płacz przyjdzie czas później. Kiedy będzie jeszcze gorzej. Bo zawsze jest jeszcze gorzej.

Rozlega się pukanie. Dwa szybkie uderzenia, a potem kroki. Stukot ciężkich butów.

Otwierają się drzwi i do środka wpada nowa fala zimna, przyprawiając go o drżenie. Słyszy, jak ojciec z kimś rozmawia, z jakąś kobietą. Z przejęcia gwałtownie wciąga powietrze. Rozpoznaje głos swojej nauczycielki, miłej pani, która zawsze przemawia łagodnym tonem, a jej ubranie pachnie letnią łąką i radością. Przyszła tutaj, do jego domu. Ale po co? Nachyla się do przodu, nie zważając na ból, który przenika jego zastępe mięśnie. Wytęża słuch. Rozmawiają o nim. Nie słyszy wszystkich słów, ale wie, że nauczycielka niepokoi się o niego. Pyta, czy wszystko w porządku, bo dawno nie było go w szkole. Wtedy odzywa się jego ojciec. Nigdy nie mówił takim tonem. Jest wręcz... uprzejmy. Uprzejmy. Śmieje się wesoło. Nadzieja zamienia się w rozpacz. Trzaskają zamykane drzwi. Nikt nie przyjdzie ich ocalić. Teraz już nie ma wątpliwości – zostali sami. W piekle.

Znowu słyhać kroki. Skrzypienie podłogi przed jego kryjówką. Tym razem kroki ustają, tylko cicho szurają podeszwy. Wyobraża sobie, jak jego ojciec stoi po drugiej stronie cienkich drewnianych drzwiczek kredensu. Zastanawia się, patrzy na zegarek.

Zgrzyt przesuwanego po podłodze mebla zwiastuje jego uwolnienie. Nie ma to jednak nic wspólnego z wolnością. Prawdziwy horror dopiero się zaczyna.

Rozdział 14

Romilly cieszy się, że Phila nie ma w domu. Powzięła nowe postanowienie – zrobić tak, jak doradziła jej doktor Jones. Dogłębnie zbadać wszystkie materiały związane z tamtą sprawą sprzed lat. Stawić czoła swojej paranoi.

Ma dzień wolny od pracy i żadnych planów oprócz tego, co sobie postanowiła. Otwiera klapę w suficie i ściąga drabinę. Kurz i pajęczyny osadzają się na jej włosach, gdy chwytą plastikowy pojemnik wypełniony starymi aktami. Znosi go na dół i stawia na kuchennym stole. Jest jak puszka Pandory. Nie wiadomo, jakie wspomnienia wylecą ze środka, kiedy go otworzy. Ale doktor Jones ma rację. Teraz Romilly jest inną osobą. Silniejszą.

Dwie godziny. Zamierza poświęcić na to dwie godziny. Wyznacza granicę. Zbiera się w sobie i nastawia czajnik, a wtedy zauważa, że zostawiła klucz w zamku kuchennych drzwi. Porusza gałką: są otwarte. Czuje dreszcz niepokoju i przeklina się w myślach za to, że nie sprawdziła drzwi rano przed wyjściem. Przekręca klucz, zaparza sobie herbatę i idzie do swojego gabinetu. Pojemnik z aktami stawia na krześle obok biurka.

Jej gabinet jest najmniejszym z pomieszczeń i znajduje się w głębi domu. Niewiele większy od schowka na miotły, z ledwością mieści regał i biurko, ale Romilly zawsze dobrze się w nim czuła. Półki są zapchane czasopismami

i podręcznikami medycznymi, a na podłodze piętrzą się sterty notatek i skoroszytów.

Otwiera pojemnik i patrzy na upchnięte w środku papiery. Jest tam wszystko, skrzętnie zebrane i zachowane. Teraz zaczyna rozgrzebywać przeszłość kawałek po kawałku.

Dopiero kiedy słyszy szcęk zamykanych drzwi i wołanie Phila, odzyskuje rachubę czasu. Obok niej stoi kubek z nietkniętą wystygłą herbatą. O lunchu nawet nie pomyślała.

– Jesteś? – powtarza Phil.

Romilly wraca do teraźniejszości i rozgląda się dookoła. Na podłodze i biurku leżą rozrzucone dokumenty. Fotografie. Pożółkłe wycinki z gazet. Dziennik z tamtych dni, które rozmyły się i pomieszały w jej pamięci.

Nie posunęła się ani o krok do przodu w swoich poszukiwaniach.

– Tu jestem – woła niechętnie.

W korytarzu narasta odgłos zbliżających się kroków i po chwili do gabinetu zagląda jej facet. Ma na sobie swój codzienny strój roboczy – popielaty dres z czarnymi wstawkami. Przystaje na progu i otwiera usta ze zdumienia.

– Jak ci minął dzień? – pyta Romilly, siląc się na normalny ton.

– Stara bieda – odpowiada wolno Phil, po czym wchodzi do pokoju, pochyla się i całuje ją w policzek. – A tobie jak poszło?

Pachnie szamponem. Włosy ma jeszcze wilgotne po prysznicu w siłowni, gdzie trenuje po pracy. Spogląda na jej notatki leżące na biurku. Wyglądają jak gryzmoły szaleńca. Romilly zauważa jego spojrzenie i szybko zamyka notatnik.

- Adam nigdy się nie zmieni. Spławił mnie.
- I dlatego teraz... Co ty właściwie robisz?
- Spotkałam się z doktor Jones. Powiedziała mi, żebym słuchała swojego instynktu.
- Powiedziała ci, żebyś... – Phil przerywa w pół zdania i zamiast dalej drążyć, pyta: – Może być curry na kolację?

Romilly przytakuje. Nie wie, czy jej facet rezygnuje z dociekań, bo woli nie znać odpowiedzi, czy po prostu go nie obchodzi. Odprowadza go wzrokiem, podziwiając jego żwawy, sprężysty krok. Phil ma ciało trenera fitnessu i energię nastolatka. Nie byłaby to dla mnie dobra reklama, gdybym się zapaścił, powiedział kiedyś. Co to za fizjoterapeuta, który nawet o sobie nie potrafi zadbać? Oprócz tego, że ćwiczy na siłowni, trenuje bieganie. Pływa w morzu w Nowy Rok, a nawet surfuje na rachitycznych falach angielskiego wybrzeża. Całymi godzinami jeździ na rowerze. Romilly czuje się tym wszystkim wyczerpana.

Słyszy dobiegającą z kuchni muzykę. Na razie nie zamierza dalej drążyć – ma taki sam mętlik w głowie jak wcześniej. Składa rozrzucone dokumenty i schodzi do kuchni, gdzie Phil ułożył już na blacie produkty potrzebne do kolacji. Romilly zaczyna siekać warzywa na drewnianej desce. Taki mają ustalony porządek, który jej odpowiada – on jest szefem kuchni, a ona mu asystuje. Podczas wspólnego gotowania Phil opowiada o pracy. Mówi o swojej nowej pacjentce, szczupłej atrakcyjnej mamusce, entuzjastce body pump i spinningu, która nadwerżyła sobie ramię podczas ćwiczeń.

- Kiedy tylko jej dotknąłem, wszystko było jasne. Przeciężenie i niewłaściwa technika. Powiedziałem jej, że

powinna odpocząć co najmniej tydzień.

– Nie była to porada, którą chciała usłyszeć? – domyśla się Romilly, podając mu pokrojoną cebulę.

– Bynajmniej. Próbuje zbić masę, Bóg jeden wie po co. Kiedy jej powiedziałem, żeby przestała redukować węglowodany i pozwoliła sobie na butelkę czerwonego wina, wyszła obrażona.

– Jedna butelka czerwonego wina w tygodniu wcale nie jest taka zła.

– Nie w tygodniu, Rom. – Phil patrzy na nią z wyraźnym zaskoczeniem. – Co wieczór.

Romilly parska śmiechem i podaje mu resztę posiekanych warzyw, a on wrzuca je na patelnię razem z przyprawami. Jest mu wdzięczna za tę rozmowę, która pozwala jej uwolnić się od natrętnych myśli. Gdy w powietrzu rozchodzi się apetyczny zapach kminu rzymskiego i imbiru, zaczyna jej burczeć w brzuchu.

Po tej krótkiej wzmiance po powrocie do domu Phil już nie przejawia zainteresowania jej dniem. Ale teraz, gdy siedzą nad potrawką curry z batatów z mlekiem kokosowym, Romilly nie może się powstrzymać.

– Doktor Jones mówi, że mogę mieć rację – zaczyna.

– Hm?

– Chodzi o to przeczucie. Muszę tylko odkryć, co je wywołało.

Jej partner kiwa głową i przeżuwa powoli, nie odrywając wzroku od talerza.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – odzywa się w końcu.

Romilly wie, że jego obiekcje podyktowane są wyłącznie miłością do niej, ale i tak czuje ukłucie irytacji.

– A dlaczego nie? Dlatego, że dotyczy mojej przeszłości, czy dlatego, że ma związek z moim byłym mężem? – pyta dużo ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

– Z obu tych powodów. Nie miałem okazji poznać Adama, ale z tego, co mówisz, pod koniec nie układało się wam najlepiej. – Phil odkłada sztućce i sięga nad stołem, by dotknąć jej dłoni, ona jednak cofa rękę. – Sporo się napracowałam, żeby zostawić w tyle to wszystko, co się stało. A teraz znowu drażysz? No cóż...

Milknie, ale Romilly domyśla się, o co mu chodzi. Koszmarne sny, jej strach przed ciemnością.

– Nawet jeżeli się mylę, muszę mieć pewność – mówi łagodnie.

Phil unosi wzrok. Przez chwilę przygląda się badawczo jej twarzy, a potem wolno kiwa głową.

– Jak uważasz.

Kończą kolację w milczeniu. Romilly wyczuwa jego dezaprobatę, ale wie, że nie ma sensu wdawać się w kłótnię – mogła go wysłuchać, gdy wyraził swoje zdanie, ale przecież i tak podjęła już decyzję.

Phil kończy jeść. Podnosi się od stołu z talerzem w dłoni i przystaje za jej plecami.

– Pewnego dnia uwolnisz się od niego – mówi, dotykając jej ramienia. – Pewnego dnia poczujesz, że już nie ma dla niego miejsca w twoim mózgu.

Romilly ściska jego dłoń. Wie, że chodzi mu o Adama.

– Mam taką nadzieję – odpowiada.

Phil idzie do kuchni i zaczyna zmywać. Romilly przygląda mu się z rozczuleniem, przeżuwając ostatnie kęsy. Nagle przestaje jeść. Zastyga w bezruchu, a potem z brzękiem odkłada widelec i zrywa się z krzesła. Biegiem wraca do swojego gabinetu, staje przy biurku i zaczyna wertować dokumenty. Wyjmuje z pojemnika jeden z raportów, a potem ogląda zdjęcie z wysypiska wydrukowane w niedzielę rano. Wtedy to zauważa. Drobnny szczegół, na który przez przypadek trafił zabłąkany snop światła z czyjejś latarki. Prawdopodobnie znalazł się na stronie serwisu, bo nikt go nie dostrzegł.

Wszystko dookoła znika za mgłą, gdy jej wzrok skupia się na tych kilku małych pikselach w rogu kadru. Pod Romilly uginają się nogi i z cichym jękiem osuwa się na podłogę.

Musi powiedzieć o tym Adamowi.

To nie może być prawda. Ale jest.

Rozdział 15

Dom jest ciepłym i przytulnym miejscem. Jamie przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi i przepelnia go szczęście. Obwieszcza swoje przybycie radosnym „Cześć!” i słyszy równie radosną odpowiedź. Zdejmuje kurtkę i szalik, a potem idzie do salonu.

– Co za dzień – mówi, opadając na sofę obok żony.

Pippa wtula się w niego i odchyła głowę, domagając się pocałunku.

– Ciężko było? – pyta.

Jamie całuje ją w usta.

– Jak cholera – odpowiada. – Lepiej nawet nie próbuj sobie wyobrazić.

Niedawno zakończył przesłuchanie Jacoba Nelsona, który był... właściwie nie wiadomo kim dla Louise Edwards. Nieszczęsna kobieta została porwana i zamordowana, tymczasem Nelson zaprzeczył, jakoby w ogóle ją znał.

– Dowiedziałem się od policji, że nie żyje – powiedział z ociąganiem. – Ale co to ma, kurwa, wspólnego ze mną?

– Więc nie jesteś ojcem jej dziecka? – spytał Jamie, bo wiedział, że jego rozmówca podawał taką informację podczas wcześniejszych przesłuchań.

– Może, ale kto to wie? Wszystkie te zdziiry zawsze się chwala, że je dymałem – odparł Nelson i mrugnął

porozumiewawczo.

Jamie z trudem zapanował nad sobą, żeby mu nie przywalić. Ten wysoki postawny facet z ogoloną głową i rzadkim meszkiem na brodzie był jednym z tych, których chciałoby się aresztować za sam wygląd. Już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, jakby było tylko kwestią czasu, aż wywinie coś głupiego. Jamie nie umiał pojąć, jak ktoś taki zdołał zaciągnąć jakąś kobietę do łóżka.

– Louise była u was – powiedział Nelson, zerkając z ukosa na Quinn. – Ale nic nie zrobiliście.

Jamie przewyciężył niechęć i wyprostował się na krześle.

– W jakiej sprawie? – spytał zaintrygowany.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę; detektywi niemal słyszeli, jak obracają się trybiki w jego głowie.

– Ktoś za nią chodził, ale nie potrafiła go opisać. Powiedziała, że to było raczej przeczucie.

– Przeczucie?

– Tak. Nawet mnie podejrzewała, ale nie, takie rzeczy to nie w moim stylu. – Nelson spojrzał na Jamiego i uniósł brwi.

– To było na tle seksualnym? Znaczy to morderstwo? Zgwałcił ją czy coś?

Jamie odmówił odpowiedzi, a wkrótce zwolnił Jacoba Nelsona. Miał go serdecznie dość i chciał jak najszybciej pozbyć się jego towarzystwa.

Ale nie, myśli teraz, żadne z ciał nie nosiło śladów napaści na tle seksualnym.

Odpędza nieprzyjemne myśli, żeby w spokoju rozkoszować się wspólnym wieczorem z żoną.

– A jak tobie minął dzień?

Pippa wybucha śmiechem.

– Te dzieciaki to istny żywioł, ale miło było do nich wrócić choćby na godzinę. No, może gdyby nie to. – Wskazuje na stertę prac domowych. – Zajęcie na dzisiejszy wieczór – dodaje, po czym spogląda na męża z podekscytowaną miną. – Zdjęcia ze ślubu są gotowe. Chcesz zobaczyć?

– No jasne – odpowiada Jamie. – I to bardzo.

Mieli wspaniały ślub. Ludzie mówili, że ślub w zimie to szaleństwo, ale tego dnia pogoda wyjątkowo dopisała. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki, biały szron skrzył się w słońcu. W ciepłej i przytulnej sali hotelowej buzował ogień w kominku, a migotliwe płomyki świec rzucały nastrojowy blask na girlandy z bluszczu, róż i innych kwiatów, których nazw Jamie nie znał.

Pippa wyglądała olśniewająco – Jamie nie może oderwać wzroku od zdjęć – w białej dopasowanej sukni do ziemi i z rozpuszczonymi włosami, które opadały jej luźno na ramiona. Zaparło mu dech, gdy pierwszy raz ujrzał ją w tym stroju.

– Zobacz, jak wyszedł mój nos! – woła z przejęciem Pippa.
– Mogłam uprzedzić, że nie chcę ujęć z profilu.

– Żartujesz sobie? – Jamie zdumiony patrzy na żonę. – Wyglądasz cudownie. W ogóle jesteś cudowna. Która żona nie miałaby nic przeciwko temu, żeby jej świeżo poślubiony małżonek poświęcał ostatni dzień podróży poślubnej na powrót do pracy?

– Szczerze mówiąc, miałam cię już dość. Dwa tygodnie w Kalifornii? Nie mogłam na ciebie patrzeć.

– Spadaj! – Jamie z uśmiechem wsuwa dłoń pod jej podkoszulek, żeby ją połaskotać.

Jego żona odpycha go z głośnym chichotem, próbując zrobić to samo. Kiedy jej się udaje, całuje go, najpierw delikatnie, a potem coraz bardziej namiętnie. A więc miesiąc miodowy jeszcze się nie skończył, myśli Jamie i ściąga jej podkoszulek przez głowę.

Gdy leżą na sofie przykryci kocem, Pippa, uśmiechając się szeroko, sięga po laptopa. Wracają do oglądania zdjęć ślubnych i przechodzą do galerii z przyjęcia weselnego. Ich przyjaciele i rodzice tańczą obok siebie na parkiecie. Jedna z fotografii przedstawia Adama z roześmianą twarzą i szklanką piwa w dłoni.

– Wiedziałaś, że twój przyjaciel przespał się z Jane? – odzywa się Pippa.

– Naprawdę? Nie wspominał o tym. Mam nadzieję, że Jane nie czeka na telefon od niego.

Pippa drwiąco wydyma wargi.

– Nie, jej wszystko jedno. Powiedziała, że zgodnie z tradycją drużna powinna przespać się z drużbą. Od razu wpadł jej w oko. – Nachyla się nad monitorem i uważnie lustruje zdjęcie. – Przystojny z niego skurczybyk.

– No proszę! – mówi Jamie z udawanym wyrzutem.

Jego żona parska śmiechem i przytula się do niego.

– To znaczy obiektywnie – precyzuje. – Jesteś dla mnie jedynym mężczyzną na świecie. Dopóki będziesz mnie chciał.

– Zawsze będę – odpowiada Jamie z powagą w głosie.

Delikatnie całuje żonę w czoło i myśli, jakim jest szczęściarzem. Potem jego myśli zwracają się ku innym ludziom, którzy są mu bliscy, i innym relacjom – tym zrujnowanym.

– Romilly była dzisiaj w komendzie – mówi. – Spotkała się z Adamem. Chodziło o coś związanego ze śledztwem.

Pippa błyskawicznie unosi wzrok.

– Serio? Nie przyszła na ślub, żeby uniknąć scysji, a teraz odwiedza go w pracy. Wiesz, czego chciała?

– Adam nie powiedział.

– A jak im poszła rozmowa?

– Źle.

Pippa milczy przez chwilę.

– Muszę do niej zadzwonić – oświadcza, po czym dodaje zdecydowanym tonem: – Jesteś głodny?

Jamie cmoka ją w policzek.

– Jak wilk.

Wstaje z sofy, naciąga na siebie symboliczne minimum garderoby i idzie na górę, żeby włożyć świeże ubranie. W łazience wrzuca przepoconą koszulę do kosza na pranie i nagle uderza go w nozdrza dziwna woń. Nie jest nieprzyjemna, tylko... inna. Przyprawia go o lekki niepokój jak przykre wspomnienie, które pojawia się znienacka. Jamie czuje się nieswojo. Jeszcze raz pociąga nosem i zaczyna chodzić w kółko, próbując znaleźć źródło zapachu, ale dziwna woń znika. Otwiera okno, upycha stertę brudów do kosza i wraca na dół.

W kuchni Pippa stoi przed otwartą lodówką i lustruje jej zawartość.

– Byłam wczoraj na zakupach, ale okazuje się, że nie mam z czego zrobić kolacji. – Spogląda na męża. – Masz ochotę na pizzę?

Przez ułamek sekundy Jamie zerka na swój brzuch, który nieustannie się powiększa, i przypomina sobie, że postanowił po powrocie z podróży poślubnej przejść na dietę. Potem uśmiecha się promiennie.

– Świetny pomysł – mówi i loguje się na stronie Domino's.

Rozdział 16

Jest po dziesiątej wieczorem, kiedy Adam wreszcie dociera do domu.

Został do późna w komendzie. Siedział w swoim biurze i przeglądał spisywane w pośpiechu notatki służbowe z całego dnia. Jego ludzie nie posunęli się daleko i ten brak postępów nie dawał mu spokoju. Żadnych tropów. Sfrustrowani detektywi wciąż przerzucają śmieci na wysypisku, testy laboratoryjne nie przynoszą żadnych rewelacji, a raportami mundurowych z rozpoznania w terenie można się podetrzeć.

W końcu doszedł do wniosku, że nie ma sensu tak ślęczeć w nieskończoność. Piekły go oczy i czuł się obolały ze zmęczenia. Wiedział, że niewiele wskóra, jeśli nie będzie wypoczęty.

Po powrocie do domu bierze prysznic i zjada przed telewizorem gotowe danie z mikrofalówki, popijając je piwem. Czuje, jak powieki zaczynają mu ciążyć, gdy rozlega się dzwonek. Spogląda na zegar – dziesięć po jedenastej – po czym idzie wolno do przedpokoju i otwiera drzwi. Na progu stoi jego była żona. Wyciąga do niego rękę, w której trzyma teczkę z dokumentami.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – warczy gniewnie Adam.

– Z papierów rozwodowych.

– A co to takiego? Kolejne przeczucie?

Romilly patrzy na niego ze złością.

– Przestań się zachowywać jak skończony fiut. Coś odkryłam.

Adam wzdycha ciężko. Nie spodziewa się, aby Romilly mogła mu pomóc w śledztwie, jednak wie z doświadczenia, że nie uwolni się od niej, dopóki jej nie wysłucha.

Zdarzyło się już coś podobnego, kiedy jeszcze byli małżeństwem. Przypomina mu się pewien incydent, jeden z wielu, lecz dosyć znamienny. Spacerowali po centrum miasta, trzymając się za ręce. Uliczni grajkowie zabawiali przechodniów, dzień był słoneczny, a on czuł się szczęśliwy i pełen optymizmu. Dopóki ona nie zauważyła tego człowieka.

To był starszy mężczyzna. Siwy i wysoki, choć lekko przygarbiony, szedł żwawym krokiem, przeciskając się przez tłum. Romilly zatrzymała się tak gwałtownie, że ktoś idący za nimi zaklął półgłosem z irytacją. Adam spojrzał na nią zaskoczony i zobaczył, że jest blada jak ściana.

– To on – wyszeptła, pokazując przed siebie palcem. – To on.

Dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi. Zdążył jeszcze dostrzec znikającą za rogiem postać. Spojrzał znów na żonę. Trzęsła się i z trudem łapała oddech.

– To on – wyjąkała. – Jest na wolności.

– Ale jak? – Staął naprzeciwko niej i chwycił jej spocone dłonie. – Milly, popatrz na mnie. Jak wy dostałby się z więzienia?

– Wypuścili go. Przedterminowe zwolnienie. Za dobre sprawowanie.

– Wiedzielibyśmy o tym. Poinformowaliby nas.

Uniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała na niego rozszerzonymi i pociemniałymi ze strachu oczami.

– Takie rzeczy się zdarzają. Biurokracja nie jest doskonała. Codziennie ktoś o czymś zapomina.

Próbował przemówić jej do rozsądku, ale była głucha na wszelkie argumenty. Dopiero kiedy po powrocie do domu zadzwonił do zakładu karnego i wykorzystał swoje znajomości, aby się upewnić, że jej obawy są nieuzasadnione, dała za wygraną i zatelefonowała do doktor Jones.

Wie zatem, że tak łatwo się jej nie pozbędzie.

– No to wejź – mówi niechętnie.

Romilly mijają go w drzwiach i rozgląda się po wnętrzu. Adam zdaje sobie sprawę, że jego obecne mieszkanie nie umywa się do tego, które dzielili. Zostawił jej dom, kiedy się rozwodzili; nie chciał mieszkać w miejscu, które przypominałoby mu na każdym kroku o ich małżeństwie. To ona wybierała meble i wszystkie elementy wystroju, które, jak się okazuje, były mu całkowicie obojętne.

Jego była żona bezbłędnie odnajduje drogę do kuchni, gdzie na blacie stoi brudny talerz i kilka butelek po piwie.

– Napijesz się czegoś? – Adam sili się na uprzejmość, wskazując na stół, po czym zgarnia piętrzące się na nim gazety, rachunki i inne ślady codziennego życia.

– Nie, dziękuję.

Romilly siada i kładzie przed sobą teczkę z dokumentami. Porusza się ostrożnie, jakby bała się ubrudzić. Adam celowo każe jej czekać – wyjmuje kolejne piwo i zajmuje miejsce naprzeciwko niej.

– Popatrz. – Romilly wyjmując z teczki wydruk ze strony BBC News. – Te zdjęcia już zniknęły.

– Kazaliśmy je usunąć dziś rano. Znajdowały się na nich szczegóły, których nie chcieliśmy podawać do wiadomości publicznej.

– Liczby rzymskie.

– Tak.

– Nad każdym ciałem.

Adam przygląda się swojej byłej żonie o kilka sekund za długo. Po raz pierwszy zauważa nerwowe drżenie jej rąk i rumieńce na policzkach.

– Tak – przyznaje w końcu.

– On też numerował swoje ofiary.

– Czytałem jego akta. Dawno temu, wiesz o tym. Niczego takiego sobie nie przypominam.

– Tego nie ma w aktach. Detektywom, którzy prowadzili tę sprawę, zależało na zatajeniu pewnych faktów przed prasą. Obawiali się naśladowców. Kogoś... – Romilly zawiesza głos – kto zechciałby kontynuować jego dzieło. Wszystko ocenzurowali. Wszystko oprócz tego. Musiało im umknąć.

Ponownie otwiera teczkę i przegląda jej zawartość. Stare wycinki z gazet. Pokryte niestarannym pismem kartki. Urzędowe dokumenty z pieczętkami. Znajduje w końcu to, czego szukała, i kładzie przed byłym mężem.

– Nie chcieli ryzykować – mówi. – Ale ja wiedziałam. Byłam tam i widziałam to na własne oczy.

– Co widziałaś? – pyta Adam.

Spogląda na leżącą przed nim kartkę. Jest to pochodzący z 1995 roku raport z zabezpieczenia dowodów na miejscu zbrodni.

– Takie same znaki na ścianie szopy.

Adam wstaje i podchodzi do pozostawionej w przedpokoju torby, z której wyjmuje akta pięciu ofiar znalezionych na wysypisku. Wraca do kuchni, otwiera jedną z teczek i kładzie na stole plik fotografii. Ogarnia go irytacja. Jest zmęczony i wie, że do rana nie zmruży oka. Musi znowu zająć się śledztwem, bo teraz ma konkretne dowody, a nie tylko mętne przeczucia byłej żony.

Unosi zdjęcie przedstawiające rzymskie cyfry namalowane zielonym sprejem obok jednego z ciał.

– Takie?

– Nie, tamte były wydrapane w futrynie.

– Wydrapane? Jak rysy w więziennej celi?

Romilly wyczuwa protekcjonalny ton w głosie byłego męża i krzywi się z niezadowolenia.

– To były liczby. Czytelne, bez dwóch zdań.

– Ale nie wspomniałaś o nich?

– Wtedy to nie miało znaczenia...

– Jakie to były liczby?

– Dwadzieścia. Dwa iksy. I jeszcze...

– Czyli zwykłe linie wydrapane w drewnie, tak?

– Tak, ale... – Romilly przygryza wargę i dodaje drżącym szeptem: – Nie jestem wariatką.

Wygląda, jakby za chwilę miała się rozplakać, i Adama ogarnia współczucie. Jego twarz przybiera łagodny wyraz, a ciało się rozluźnia.

– Nigdy ci tego nie zarzucałem, Milly. Ale to nie on, tylko jakiś inny popapraniec. On siedzi w więzieniu i dobrze o tym wiesz – mówi bardziej przyjaznym tonem i podaje jej piwo. – Masz. To pomaga.

Jego była żona uśmiecha się blado, po czym bierze od niego butelkę i pociąga długi łyk. W jej kieszeni rozlega się sygnał komórki.

– Twój chłopak?

– Chyba tak. – Romilly odczytuje wiadomość, odstawia butelkę i wstaje. – Muszę iść.

– Jasne.

Adam odprowadza ją do drzwi.

– Teraz dasz sobie z tym spokój, Milly, dobra? – mówi, zatrzymując się na progu.

– Ale...

– Proszę. W tej sprawie toczy się śledztwo. Doceniam twoją... pomoc, ale zostaw to mnie.

Romilly niechętnie przytakuje i przygarbiona, ze zwieszoną głową odchodzi do samochodu. Adam patrzy za nią. Szczerze jej współczuje, ale to, co się teraz dzieje, nie ma z nią nic wspólnego.

Zamyka drzwi i wraca do ciepłego wnętrza domu. Spogląda na stertę papierów rozrzuconych na kuchennym stole i jeszcze raz bierze do ręki raport technika kryminalistyki. Nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek go czytał. Romilly ma

rację – w raporcie znajduje się wzmianka o rzymskich liczbach wyrytych w drewnianej futrynie. Od dwudziestu do osiemnastu. Jednak znaleziono cztery ofiary, a zatem brakująca siedemnastka mogłaby je łączyć z nowymi morderstwami – od szesnastu do dwunastu.

Może powinien to rozważyć. Może...

Zdecydowanie kręci głową. Nie, nie ma sensu niczego rozważać. To zupełnie osobna sprawa. A tamten człowiek jest w więzieniu. Odsiadyje dożywocie. Nie ma mowy, aby cokolwiek mógł teraz zrobić.

Nie ma, kurwa, mowy.

Oficjalne (poufne)

Poniższe informacje nie są przeznaczone do wykorzystania w charakterze materiału dowodowego

Uproszczony raport kryminalistyczny		MG 22A	
DANE Z OGŁĘDZIN MIEJSCA PRZESTĘPSTWA			
Dotyczy:	Operacja Hursley	Nr sprawy kryminalnej:	00075690/HURS
Miejsce:	Blackstone, Hampshire	Nr dokumentacji kryminalistycznej:	5686/DR/A
Raport sporządziła:	Sarah Fox	Organ prowadzący:	Wydział Techniki Kryminalistycznej w Trenton
Data złożenia raportu:		20 listopada 1995	
Ustalenia			
<p>Przybyłam na posesję „The Beeches” przy Gloucester Road w niedzielę 19 listopada 1995 roku z moją asystentką Steph Stoddart. Obecni byli również inspektor Frank Langston i sierżant David Shepherd z wydziału zabójstw.</p> <p>Na posesji jest wolno stojący jednopiętrowy budynek mieszkalny. Dom jest ogólnie czysty i schludny, bez widocznych oznak wskazujących na poważne nieprawidłowości. W sieni na parterze po lewej stronie znajduje się wejście do salonu, na wprost do kuchni, a po prawej schody. Na piętrze mieszczą się trzy sypialnie i łazienka, wszystkie dostępne bezpośrednio z korytarza. W żadnym z pomieszczeń na piętrze i na parterze nie zauważono widocznych śladów krwi.</p> <p>Tylne drzwi kuchenne prowadzą do dużego ogrodu o powierzchni około jednego hektara. Zaniedbany trawnik przechodzi w niewielki zadrzewiony obszar. Na początku ogrodu po lewej stronie znajduje się stary zniszczony domek dla dzieci.</p>			

Dom i działka są otoczone ze wszystkich stron lasem. Najbliższe gospodarstwo oddalone o niecały kilometr nie jest widoczne z posesji ani połączone z nią bezpośrednio drogą.

W głębi ogrodu stoi jednokondygnacyjny duży budynek gospodarczy/szopa. Ma betonowe ściany, płaski blaszany dach i dwa okna zabite deskami od środka. W drzwiach szopy znajduje się kilka zabezpieczeń, w tym dwa zamki zasuwkowe i jeden z wkładką Yale. Nie noszą śladów uszkodzeń, jednak nie są zamknięte na klucz.

Za drzwiami szopy jest niewielki przedsionek i kolejne drzwi z dwoma zamkami. Wewnętrzne drzwi prowadzą do głównego pomieszczenia o kształcie prostokąta 9 na 6 metrów. Na drewnianej futrynie drzwi znajduje się kilka głębokich nacięć. Wyglądają na wykonane niedawno i przypominają liczby zapisane w systemie rzymskim od osiemnastu do dwudziestu (XVIII, XIX i XX). Umieszczone są jedna nad drugą, dwadzieścia na samej górze, a osiemnaście na dole.

Pomieszczenie było ciemne i panował w nim bałagan. Wśród różnych odpadków znajdowały się tam talerze z resztkami jedzenia, plastikowe butelki po wodzie, opakowania po produktach spożywczych i zabrudzony papier toaletowy. W głębi pomieszczenia w kącie po lewej stronie od wejścia stało wiadro, które służyło za toaletę – znajdowały się w nim fekalia, mocz i papier toaletowy. Po przeciwnej stronie pomieszczenia stało drugie wiadro zawierające wodę, prawdopodobnie ze zbiornika na deszczówkę znajdującego się na zewnątrz.

Na podłodze leżały dwa dwuosobowe materace, a na nich zakrwawiona pościel. Na jednym z nich znaleziono ciało kobiety przykryte pościelą. Druga kobieta została zabrana do szpitala przed naszym przybyciem. Na podłodze obok materaca, na którym leżała poszkodowana, znajdowały się opakowania po środkach opatrunkowych i zużyte jednorazowe przybory pozostawione przez ratowników medycznych.

W pomieszczeniu tym zauważono liczne ślady krwi w postaci plam kontaktowych i kropel na materacach i pościeli świadczących o tym, że ranna osoba lub osoby przebywały tam przez dłuższy czas. Na podłodze znajdowały się kałuże krwi. Po wewnętrznej stronie drzwi zauważono uszkodzenia, a w ich obrębie również znajdowały się ślady krwi.

Pod ścianą, w głębi pomieszczenia, na wprost wejścia stały trzy duże metalowe klatki różnej wielkości – największa 120×80×80 cm, a najmniejsza 90×60×60 cm. W jednej z nich znajdował się zaplamiony krwią koc, a pozostałe były puste. Na metalowych prętach zauważono kontaktowe plamy krwi, jak również kępkę włosów oraz kawałki naskórki i tkanki mózgowej. Drzwi wszystkich klatek były otwarte, a na skoblach wisały kłódki. We wszystkich trzech klatkach oraz na podłodze i ścianie aż do sufitu znajdowały się ślady krwi w postaci rozprysków uderzeniowych. Ich układ

wskazuje na to, że osoba lub osoby ranione w momencie ataku znajdowały się w klatkach.

Na suficie znajduje się solidna drewniana belka biegnąca przez całą długość pomieszczenia. Zwisają z niej dwa duże metalowe haki. Ponadto w ścianie na lewo od wejścia zamocowany jest metalowy pierścień. Na wszystkich tych elementach widoczne są ślady krwi, naskórka i innych tkanek. Haki prawdopodobnie tkwiły wbite w czyjeś ciało, czym można wyjaśnić pochodzenie owych śladów.

Budynek ma podwójne ściany z pustaków. Podczas oględzin odkryto grubą warstwę izolacji między wewnętrzną i zewnętrzną ścianą. Materiałem izolacyjnym pokryte są również deski zasłaniające okna.

Pobrano próbki z plam krwi do analizy DNA celem ustalenia, od kogo pochodzi krew. Obecnie nadal trwa przeszukanie terenu, a wszystkie nowe odkrycia wraz z wynikami analiz laboratoryjnych zostaną ujęte w osobnym raporcie.

Informacje zawarte w niniejszym raporcie opierają się na aktualnych danych i wstępnych ustaleniach oraz/lub ocenie miejsca zdarzenia i zabezpieczonych materiałów. Niniejszy raport jest przeznaczony dla prowadzącego śledztwo celem wsparcia czynności operacyjnych oraz/lub ustalenia, czy dostarczone informacje kryminalistyczne mają wartość dowodową.

Jeżeli w danym przypadku wymagana jest dalsza analiza kryminalistyczna lub porównanie, śledczy powinien się skontaktować z odpowiednim wydziałem techniki kryminalistycznej, aby zgodnie ze standardowymi procedurami operacyjnymi przedstawić swoje wymagania.

Wcześniej

Zaczyna się tuż po północy. Słyszy, jak otwarte gwałtownie drzwi z hukiem uderzają o ścianę. Leży w łóżku, jego serce bije mocno, a całe ciało jest napięte, w stanie podwyższonej gotowości.

Po chwili rozlega się głos matki, łagodny i kojący. On jednak nawet z daleka słyszy jej przerażenie. Syczy otwierana puszka piwa, zaczyna gadać telewizor. Potem odzywa się ojciec, szorstko i bełkotliwie.

Rodzice rozmawiają coraz głośniejsze. Bardziej nerwowo. Słyszą kroki. Najpierw matki, szybki tupot na schodach. Potem ciężkie dudnienie, gdy ojciec przesadza po dwa stopnie naraz. I urywki kłótni, z której siedmioletni chłopiec nic nie rozumie. „Chodź do łóżka... jutro... nie teraz, Maurice, nie teraz... proszę...”

Plaśnięcie dłoni uderzającej w policzek, coś upada z głuchym łoskotem. Słyszy, jak matka cicho szlocha. Wie, że będzie próbowała tłumić płacz, bo wszelkie przejawy emocji sprawiają, że ojciec wpada w jeszcze większą furję.

Podkrada się do drzwi swojego pokoju i uchyla je lekko. Przez wąską szczelinę widzi korytarz. Matka leży na brudnej wykładzinie, rozpuszczone włosy zasłaniają jej twarz. Nad nią stoi ojciec. Wciąż ma na sobie ubłocone buty robocze i grube spodnie. Pewnie zaraz po pracy poszedł do pubu, żeby przepić

całą wypłatę, i teraz matka nie będzie miała za co kupić jedzenia.

Matka krzyczy z bólu, gdy ojciec pochyla się, łapie ją za włosy i zaczyna wlec. Jej białe stopy ślizgają się po wykładzinie, dłonie wczepiają się w jego przedramię. Wolną ręką ojciec uderza ją w twarz, raz i drugi. Krew ścieka na podłogę.

Nie może odwrócić wzroku, chociaż wie, że powinien. Patrzy, jak jego ojciec brutalnie rzuca matkę na łóżko. Zdziera z niej ubranie i siłą rozchyla nogi. Potem rozpina pasek i spodnie opadają mu do kolan.

Chłopiec nie rozumie, co się dzieje. Wiele razy słyszał jednak takie odgłosy przez ścianę. Skrzypienie starego łóżka. Gardłowe męskie postękiwanie. Potem szloch matki.

Siedzi na podłodze i patrzy jak urzeczony. Twarz ojca ma zacięty gniewny wyraz. Zamknięte oczy, napięte mięśnie. Jego owłosiony brzuch trzęsie się miarowo z każdym mocnym pchnięciem.

Matka obraca twarz w stronę drzwi. Ma zakrwawiony nos, a jej lewe oko znikło już pod opuchlizną. Dostrzega syna i patrzy na niego zdrowym okiem otwartym szeroko z przerażenia. Mówi coś, poruszając bezgłośnie ustami, ale on nie potrafi jej zrozumieć i bezradnie kręci głową. Matka znowu próbuje i tym razem mu się udaje.

– Ukryj się – mówi kobieta. – Ukryj się.

Dzień 4
Wtorek

Rozdział 17

Nadinspektor Cara Elliott się spóźnia. Adam rozgląda się po wnętrzu kawiarni, wypatrując kobiety, której twarz nieraz widział w zeszłym roku w telewizyjnych wiadomościach. Na próżno. Krzywi się z niezadowoleniem. Gina ludzie, a ja mam tyle pracy, myśli. Mogłaby przynajmniej zjawić się punktualnie. Zamawia kawę i idzie z kubkiem do stolika w głębi sali.

Czekając, przegląda raporty z laboratorium. Przyszedł wynik analizy włókien znalezionych na kocu, w który było zawinięte jedno z ciał. Ciemnozielony poliester. Włókno syntetyczne często stosowane w izolacji termicznej, tapicerce, odzieży i wyrobach powroźniczych. Czyli linach, myśli Adam. Dlaczego nie można po prostu użyć słowa „lina”?

Analiza składu chemicznego plamy na kocu jest bardziej szczegółowa. Chlorek sodu, siarczan oraz śladowe ilości wapnia, potasu i magnezu. Sól morską.

– Adam?

Bishop unosi głowę.

– Cześć, Caro – wita ją, chowając papiery do teczki. – Jak się masz?

Nie musi pytać; odpowiedź może wyczytać z jej twarzy. Ma ciemne obwódki wokół oczu, zapadnięte policzki i chociaż nosi gruby czarny sweter, który zniekształca jej sylwetkę, widać wyraźnie, jak bardzo schudła.

- Wybacz spóźnienie.
- Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

Cara uśmiecha się blado.

- Marsh raczej nie dał mi wyboru – mówi.
- Napijesz się kawy? Może herbaty?
- Nie, dziękuję.
- Nad czym teraz pracujesz?
- Nadal jestem w wydziale kryminalnym, chociaż tego nie czuję. Napady rabunkowe, rozboje. Sprawy, których nikt nie chce brać.
- Rozumiem.

Dopełniwszy wstępnych uprzejmości, obydwójce siedzą przez chwilę w milczeniu, aż w końcu Cara wskazuje leżącą na stoliku teczkę na dokumenty.

- To jest ta sprawa? – pyta, a gdy Adam potwierdza skinieniem głowy, dodaje: – Mogę zerknąć?
- Nie krępuj się.

Adam przesuwa teczkę po blacie i patrzy, jak koleżanka po fachu ogląda zdjęcia z autopsji.

- Śmierć nastąpiła w wyniku gwałtownych ataków?
- W dwóch pierwszych przypadkach. Niekontrolowane działanie w napadzie szału.
- A pozostałe morderstwa?

– Wyglądają na bardziej przemyślane. Sprawca przetrzymywał ofiary przez jakiś czas.

– Owinął ciała kocami. To przejaw skruchy. – Cara Elliott milknie, skupiając się na raporcie patologa. – Myślisz, że sprawca jest jeden? Mimo tak różnych metod działania?

– Taką mamy hipotezę. To samo miejsce porzucenia zwłok. Są też inne cechy wspólne. Na przykład wykrwawienie. Widać, że jego modus operandi ewoluuje.

– Jaki ma cel?

– Tego nie wiemy. – Adam zawiesza głos, po czym decyduje się zadać pytanie, którego nie może uniknąć: – Jesteś pewna, że to nie...

Cara gwałtownie unosi wzrok znad rozłożonych fotografii.

– Nie, to nie jest Echo Man.

– Nawet jeśli założymy, że naśladował Richarda Chase'a?

Policjantka kręci głową.

– Shenton zbadał ten wątek – wyjaśnia, wspominając posterunkowego ze swojego zespołu; Adam spotkał kilka razy tego spokojnego i skromnego młodzieńca, który był w ich wydziale nieformalnym ekspertem od seryjnych morderców.

– Widać tu podobieństwo do Chase'a pod pewnymi względami, jak choćby nóż i sposób zadawania ran. Ale Chase zjadał swoje ofiary, wycinał ich narządy i zachowywał je na później. Zawsze był chaotyczny, jak to szalenie. – Cara przerywa i zastanawia się przez chwilę. – Nie, to nie mógł być on. Echo Man był skrupulatny, wręcz obsesyjny. Nigdy nie pozwalał sobie na odstępstwa od metod działania seryjnych

morderców, których naśladował. A poza tym, jak ci zapewne wiadomo, już go złapaliśmy.

Adam kiwa głową. W samą porę, myśli. Zastanawia się nad doborem słów Cary. Jego koleżanka mówi o Echo Manie w kategoriach abstrakcyjnych, jakby był dla niej kimś odległym. Nieznany.

– A co myślisz o naszym sprawcy? – pyta.

Cara wzdycha i znów wertuje leżące przed nią kartki.

– Bezładny charakter pierwszego morderstwa i niedbałość, z jaką pozbył się ciała ostatniej ofiary, mogą świadczyć o rosnącym napięciu. Morderca podbija stawkę. Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę porwanie i powolne tortury. Coś się zmieniło. Coś sprawiło, że teraz najzwyczajniej w świecie porzucił zwłoki. Jakby już nie chciał dłużej się ukrywać.

– Dlaczego?

– Bo to pochłania zbyt wiele czasu? Bo chce coś osiągnąć? Ma jakiś cel, do którego dąży?

Adam przypomina sobie liczby namalowane obok miejsc, w których spoczywały ciała ofiar. Odliczanie. Czyżby sprawca zamierzał dojść do zera?

Tymczasem Cara mówi dalej.

– Seryjni mordercy zwykle dzielą się na cztery kategorie. – Unosi dłoń i kolejno odgina palce. – Wizjonerzy, czyli szaleńcy cierpiący na zaburzenia psychiczne. Ideowcy wypełniający misję, która najczęściej polega na uwolnieniu świata od pewnej grupy ludzi. Hedoniści, którzy czerpią przyjemność z samego aktu zabijania, i nieważne, czy robią to z pożądania, chęci zysku czy dla dreszczyku emocji

wywołanego zadawaniem bólu. A ostatnia grupa to despoci, którzy zabijają, żeby poczuć władzę.

– A nie sądzisz, że wszyscy mordercy dążą do poczucia władzy?

– Do pewnego stopnia tak, ale zawsze istnieje jakiś motyw nadrzędny – wyjaśnia Cara. – No więc co chce osiągnąć nasz sprawca?

W miarę jak snuje swoje rozważania, jej twarz nabiera barw. Wstępuje w nią życie – najwyraźniej praca detektywa w wydziale zabójstw była czymś, co sprawiało jej radość. I mimo początkowej niechęci Adam jest zaintrygowany, gdy poznaje ją od tej strony. Z bliska.

Przede wszystkim zna jej reputację – ich nazwiska często padały w jednym zdaniu. Cara Elliott i Adam Bishop, dwoje nadinspektorów z dwóch dużych komend. I dwoje konkurentów do kolejnego awansu. Od dawna krążyły plotki, że góra szuka nowego nadkomisarza, bo mimo ograniczeń budżetowych Marsh nie może w nieskończoność sam kierować dwoma wydziałami zabójstw. A Elliott była dobrą policjantką. Rzetelną. Może nawet ulubienicą Marsha.

Ale tak było przedtem.

– Bishop?

Wyrwany z zamyślenia Adam wraca do rzeczywistości.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Że kiedyś powinie mu się noga. Ktoś go wreszcie przyuważy, o ile już się to nie stało. A poza tym... – Cara zawiesza głos i stuka palcem w kartkę, na której Adam pospiesznie naszkicował oś czasu. – Popatrz na te daty. Coś

musiało wyzwolić jego żądzę mordu. Tylko co to był za impuls? Dlaczego pierwsze morderstwo popełnił akurat wtedy? Nie powiesz mi, że ktoś tak niezrównoważony potrafi nad sobą panować przez wiele lat, po czym nagle bez przyczyny zaczyna mordować na chybił trafił. Taki obłąd nie pojawia się z dnia na dzień.

Trafne spostrzeżenia, myśli Adam i marszczy czoło. Nie podoba mu się, że jego koleżanka po fachu poucza go i zadaje pytania, które on już dawno powinien był wziąć pod rozwagę.

– Jak wybiera swoje ofiary? – ciągnie Cara. – Dlaczego akurat takie, a nie inne osoby. Jeżeli je śledzi, prawdopodobnie już wypatruje kolejnej. Musisz go powstrzymać. To niemożliwe, żeby ktoś o tak silnych skłonnościach do przemocy poczuł zaspokojenie. To tylko kwestia czasu, aż znów...

– Wiem o tym, Elliott – przerywa jej Adam.

Cara szybko odwraca wzrok, speszona jego szorstkim tonem.

– Przepraszam – mówi. – Nie zamierzam ci dokładać. Wiem, pod jaką jesteś presją.

– Daję radę – odpowiada Adam z uśmiechem.

Nie chce okazywać słabości. Przyciąga do siebie z powrotem teczkę i zaczyna przeglądać dokumenty. Cara wyczuwa jego niechęć, więc wstaje, bierze wiszący na oparciu krzesła płaszcz i ubiera się.

– Powodzenia, nadinspektorze Bishop – rzuca na pożegnanie.

– Wszystko będzie dobrze. Dorwiemy go.

– Też tak myślałam, kiedy zaczynaliśmy tamto śledztwo – odzywa się Cara po chwili wahania. – Tylko postaraj się go dorwać, zanim on wszystko ci odbierze. Zanim zrujnuje ci życie, tak jak Echo Man zrujnował moje.

Potem odwraca się i odchodzi zgarbiona w stronę drzwi. Adam odprowadza ją wzrokiem. Pamięta zeszłoroczne śledztwo. Bardzo chciał wziąć w nim udział, mieć swój wkład w najgłośniejszą sprawę seryjnego mordercy w historii Wielkiej Brytanii. Ale Marsh odsunął go na boczny tor, aby wraz z Jamiem i kilkoma posterunkowymi wypełniał bieżące zadania, podczas gdy pościg za Echo Manem pochłaniał wszystko.

Cara Elliott nie podołała temu zadaniu. To ją przerosło i zniszczyło. A teraz kolej na niego.

W jego kieszeni dzwoni komórka.

– Szefie? – W głosie Jamiego słychać panikę. – Mamy kolejne ciało.

– Co? Gdzie?

I tak szybko? – myśli, ale nie mówi tego głośno. Cara miała rację. Morderca podbija stawkę.

Słuchając swojego zastępcy, który przekazuje mu szczegóły, Adam zamyka teczkę z dokumentami i chowa ją do torby. Nie jestem jak Elliott, myśli, biegnąc do samochodu. Dam sobie radę.

Rozdział 18

– To też jego robota? Na pewno?

Doktor Ross odwraca głowę i Adam dostrzega lekceważące spojrzenie nad jego maseczką ochronną.

– Kto tu jest specjalistą od wykrwawionych zwłok?

Stoją w białych kombinezonach przed furtką na tyłach niewielkiego szeregowego domu. Plastikowy kontener na surowce wtórne jest wypełniony po brzegi. Wypadają z niego butelki, które piętrzą się na chodniku zaśmieconym niedopałkami papierosów i resztkami skrętów.

– Niech technicy zabezpieczą resztę śladów – mówi patolog. – Potem zabiorę go do kostnicy i obejrzę dokładnie.

Adam wyciąga szyję i zagląda do wnętrza pojemnika.

– Jakież wstępne ustalenia? – pyta.

– Utrata znacznej ilości krwi i uraz czaszki. Zresztą to świeży trup, jeszcze ciepły. Zgon nastąpił nie wcześniej niż osiem godzin temu. – Ross śmieje się ponuro. – Ale sam zobaczysz i ocenisz.

Adam dziękuje mu skinieniem głowy, po czym otwiera furtkę i wchodzi do niewielkiego zaniedbanego ogrodu.

– Uważaj na psie kupy – ostrzega go Jamie, który stoi na trawniku upstrzonym małymi brązowymi kopczykami. – Zgłosili to sąsiedzi. Powiedzieli, że było podejrzenie cicho. Pies ujadął bez przerwy dzień i noc, a dziś rano spokój.

Zauważyli, że drzwi kuchenne są otwarte, zajrzeli przez okno i zobaczyli... – Sierżant wskazuje wewnątrz domu, gdzie uwijają się technicy w białych kombinezonach i błyska flesz aparatu. – Ofiara to Wayne Oxford, lat dwadzieścia pięć, samotny. Jest w środku.

– A gdzie pies? – pyta Adam.

– Jeszcze go nie znaleźliśmy. – Jamie odwraca się w stronę domu. – Chodź.

Adam rusza za nim. Przystępuje próg i natychmiast przystaje. Kuchnia wygląda makabrycznie. Krew jest wszędzie – wielka kałuża na środku, rozpryski na ścianach, rozmazane ślady na podłodze. Martwy mężczyzna siedzi zgarbiony na krześle. Jego ręce zwisają luźno po bokach, a dłonie w całości pokrywa zakrzepła krew. Ma bladą twarz i zbielełe wargi.

– O kurwa – odzywa się wreszcie Adam. – Skąd się wzięła cała ta krew?

Kuca ostrożnie na podkładkach obok ciała i mrużąc oczy, ogląda zwisające ręce. Wzdłuż przedramion biegną głębokie rany, wciąż jeszcze wilgotne i lśniące od krwi. Między rozchylonymi brzegami białej skóry widać ścięgna i żyły.

– Ten różni się od poprzednich. Sprawca go nie związał ani nie zadźgał w napadzie szału.

– Ale mocno przywalił mu w głowę – zauważa Jamie.

Martwy mężczyzna ma włosy zlepione krwią, która spłynęła z rany po karku i wsiąkła w podkoszulek.

– Na tyle mocno, żeby pozbawić go przytomności?

– Prawdopodobnie.

– Nadinspektorze Bishop!

Adam patrzy w głąb kuchni, skąd dobiega wołanie, i widzi, jak jeden z techników macha ręką. Podchodzi do niego i podąża wzrokiem za palcem w lateksowej rękawiczce. Unosi brwi, pochylając się nad dużą butelką po taniej wódce z supermarketu, która leży na brudnym linoleum uwalana krwią.

– Czy to jest narzędzie zbrodni? – pyta zaskoczony.

– Miejmy taką nadzieję – odpowiada technik. – Ale to jeszcze nie wszystko.

Adam kuca i przygląda się butelce z bliska.

– Czy to...?

Technik kiwa głową.

– To może być odcisk palca.

– Zbadajcie to. – Adama ogarnia fala podniecenia. – Ale szybko.

To może być decydujący trop, myśli, odsuwając się na bok. Potrzebujemy tylko jednego trafienia w bazie danych i przyskrzynimy skurwiela. A jeśli zostawił również ślady DNA, już na pewno się nie wywinie.

Tym razem morderca nie porwał swojej ofiary. Nie stracił nad sobą panowania i nie zadał jej kilkunastu ciosów nożem. Wayne Oxford umarł w swoim domu. Wykrwawił się powoli na środku kuchni.

* * *

Siedzę w zaparkowanym samochodzie i popijam poranną kawę, patrząc z daleka na krzątanie policji wokół domu. Nie różnię się niczym od tych ciekawskich gapiów, którzy muszą przystanąć, gdy w drodze do pracy widzą coś niezwykłego. Ale mnie spowszedniała już zgroza, która przychodzi potem, ta masochistyczna świadomość własnego czynu, gdy przypominam sobie, jak zginął z mojej ręki.

Jeszcze raz odtwarzam w pamięci tamten wieczór. Parkuję na drodze przed jego domem i obserwuję go z samochodu. Przez okno salonu widzę wszystko jak na dłoni. Facet nie dba o prywatność – zostawia rozsunięte zasłony i siedzi przy zapalonym świetle. Wiedzie samotne i nieciekawe życie. Nie ma w sobie niczego nadzwyczajnego. Jest szczupły i nie wygląda na takiego, co odwiedza siłownię. Łatwo się domyślić, że nie będzie stwarzał większych problemów. Nosi workowate spodnie dresowe i tanie podkoszulki z Tesco. Takie z trójką – niebieski, czarny i biały. Już samo to budzi we mnie odrazę. Powinien mieć więcej godności.

Różni się od ciebie pod każdym względem.

Śledzę go od pewnego czasu. Jego życie nie jest zbyt bogate. Ma niewielu przyjaciół. Chodzi do pracy, gdzie siedzi przy komputerze. W porze lunchu wychodzi na papierosa z dziewczyną, którą nazywa niunią i która pokazuje mu faka, kiedy się odwraca. Gwiżdże na kobiety, które mijają, wracając do

domu. Trochę zbyt długo patrzy na ich piersi. Ma psa, małego jazgotliwego teriera, który szczeka bez przerwy, kiedy zostaje sam w domu. Sąsiedzi muszą go nienawidzić. Mam nadzieję, że docenią to, co zrobię.

Podglądam go, kiedy siedzi na sofie, opycha się czipsami i ogląda w telewizji jakiś film o seryjnych mordercach. Cóż za ironia.

Podchodzę do tylnych drzwi i poruszam gałką. Pewnie zostawił je otwarte, kiedy wypuszczał tego wstrętnego psa do ogrodu. Gdy wchodzę do kuchni, mały biały sierściuch rzuca się na mnie z wściekłym ujadaniem i zaczyna gryźć po kostkach. Łapię go za obrozę i podnoszę. Wije się, próbując dosięgnąć zębami mojej dłoni.

– Cicho! – dobiega krzyk z salonu, ale pies ciągle szczeka, coraz bardziej gorączkowo.

Wynoszę go do ogrodu i ciskam na drugi koniec trawnika, ale on, ledwie tylko dotyka łapami ziemi, znowu rusza na mnie z furią. Zatraskuję mu drzwi przed nosem. Wciąż ujada, ale podwójna szyba tłumi jego szczekanie.

Stoję na środku kuchni i wyteżam słuch. Żadnych dźwięków oprócz ryczącego na pełny regulator telewizora w salonie. Rozglądam się. Potrzebuję czegoś ciężkiego. Zauważam stojącą na blacie dużą butelkę po wódce. Chwytam ją i ważę w dłoni. Powinna się nadać.

Wolno podchodzę do niego od tyłu. Siedzi nieruchomo, zapatrzony w zbrodnię na ekranie, zupełnie nieświadomy tego, co za chwilę rozegra się w jego salonie. Unoszę butelkę nad jego głowę i opuszczam ją z impetem.

Szkło wytrzymało uderzenie, ale czuję, jak coś pęka. To jego czaszka. Ma rozciętą skórę, a wzdłuż rany wykwitają kropelki krwi. Szykuję się na kolejny cios, jednak nie muszę poprawiać. Mężczyzna wolno osuwa się na bok i nieruchomieje z otwartymi ustami. Kawałki czipsów, których nie zdążył przeżuć, oblepiają jego pożółkłe zęby.

Nie mam ani chwili do stracenia. Chwytam go za rękę i ciągnę. Bezwładnie zwała się z sofy. Wlokę go do kuchni, a krew ciekąca mu z głowy pozostawia ślad na podłodze. Nie waży zbyt wiele. Jest chudym odrażającym stworzeniem. Staje się jasne, dlaczego mój wybór padł akurat na niego. Co tak bardzo mi w nim odpowiadało.

Nie bez trudu sadzam go na krześle. Głowa opada mu na pierś, język wysuwa się z ust. Nie muszę go wiązać – nic nie wskazuje na to, że szybko się ocknie.

Pies wciąż ujada za kuchennymi drzwiami. Nie chcę, by cokolwiek mnie rozpraszało, więc go wpuszczam. Wpada z impetem do środka, a potem staje jak wryty. Orientuje się, że coś nie gra, ale jest już za późno. Łapię go za kark i z całej siły ciskam o ścianę. Oszołomiony, upada na podłogę, otrząsa się i rusza na mnie. Nie zamierzam się z nim cackać.

Znów sięgam po niego, ale robi unik, wbija mi zęby w nadgarstek i mocno zaciska szczęki. Nagły ból sprawia, że wpadam w furję. Ogarnia mnie fala gniewu i nienawiści. Kręci mi się w głowie, a serce wali jak oszalone, gdy mocnym szarpnięciem odrywam psa i trzymając go za kark, podnoszę na wysokość swojej twarzy. Jest już spokojny i tylko patrzy na mnie brązowymi oczami. To spojrzenie ratuje mu życie.

Jego łapy zwisają bezwładnie, kiedy niosę go do przedpokoju. Otwieram szafę i wrzucam go do środka. Kuli się w ciemnym kącie. Wie, że został pokonany przez silniejszego drapieżnika. Trzęsącą się ręką zamykam drzwi. Nie mogę teraz pozwolić, żeby opanował mnie strach. Muszę dokończyć swoje dzieło.

Kucam przed nieprzytomnym mężczyzną, chwytam jego rękę i obracam do siebie wewnętrzną stronę przedramienia. Błada gładka skóra zdaje się czekać na swoje przeznaczenie.

Ten człowiek nie ma w życiu żadnego celu. Nie jest nic wart. Poprzez swoją śmierć może się stać częścią czegoś wielkiego. Zyskać jakąś wartość.

Przepętnia mnie radosne podniecenie na myśl o tym, co zaraz nastąpi.

Zrobię to. Dla ciebie.

Rozdział 19

Adam przygląda się, jak technik fotografuje butelkę, wkłada ją ostrożnie do białego pudełka i odsyła w trybie pilnym do laboratorium. Może nam się poszczęści z tym odciskiem palca, myśli. A może nie. Ale każdy nawet najmniejszy trop przybliży nas do schwytania tego typu. Bishop czuje dreszcz emocji i przepełnia go optymizm. Właśnie dlatego uwielbia swoją pracę.

Przechodzi przez kuchnię i staje w drzwiach salonu. Nawet przez maseczkę ochronną dociera do niego zatechła woń piwa i przypalonego oleju, którą przesiąknięte są wykładzina i tapicerka. Patrzy na panujący w pomieszczeniu bałagan – na odrapanym stoliku stoją dwie puszki po piwie i plastikowy pojemnik po jakimś gotowym daniu do odgrzania z tkwiącym w środku widelcem. Ogarnia go niepokój: widok ten przywołuje skojarzenie z jego samotnym życiem.

A zatem facet spędzał wieczór w domu. Kolacja, piwo i telewizor. Czy zauważył, że ktoś się włamał, czy do końca żył w błogiej nieświadomości? Jego śmierć była skutkiem fatalnego zbiegu okoliczności czy padł ofiarą zaplanowanego morderstwa? Adam spogląda w stronę kuchni, a potem przenosi wzrok na pokrytą plamami krwi sofę. Przypomina sobie butelki wysypujące się z kontenera za ogrodzeniem, takie same jak ta, która prawdopodobnie posłużyła jako narzędzie zbrodni. Sprawca przychodzi, żeby zabić, być może powodowany wewnętrznym przymusem. Jego normalne

zwyczajnie zaburzyła obecność policji w miejscu, w którym dotychczas porzucał zwłoki. Ogłusza swoją ofiarę butelką, która przypadkowo nawinęła mu się pod rękę, i zadaje rany powodujące wykrwawienie. A potem co? Spokojnie odchodzi?

Kiedy Adam słyszy czyjeś kroki za plecami, odwraca się i widzi Jamiego, który wchodzi do salonu.

– Jakiś pożytek z sąsiadów? – pyta.

Sierżant kręci głową.

– Do dupy z nimi. Słyszeli szczekanie psa, a potem zrobiło się cicho. Żadnego wołania o pomoc. To takie sąsiedztwo, w którym każdy pilnuje swoich spraw.

– Jakieś podejrzone samochody na ulicy? Sprawca jakoś musiał się stąd wydostać. – Adam przypomina sobie słowa Cary Elliott: „Ktoś go wreszcie przyuważy”. – Mógł być zakrwawiony. Trudno, żeby nie rzucał się w oczy.

– Za domem jest wąski zaułek. Podobnie jak u nas. Cała sieć na tyłach, łączy wszystkie ogrody. Można się wymknąć niepostrzeżenie, zwłaszcza w taką noc jak ostatnia.

– Aha...

Adam milknie i wtedy do jego uszu dochodzi ciche skomlenie. Obraca głowę i nasłuchuje, próbując określić, skąd dobiega ten dźwięk. W końcu podchodzi do szafy w korytarzu i otwiera drzwi. Ze środka natychmiast wybiega mały biały terier. Skacze podekscytowany wokół detektywów i niemiłosiernie cuchnie; musiał być uwięziony przez całą noc i nie miał gdzie się załatwić. Adam pochyla się i przewyciężając obrzydzenie, bierze go na rękę. Odchyła głowę, gdy pies liże go po twarzy, i dostrzega coś na jego sierści. Czerwony ślad.

– Trzymaj. – Adam podaje zwierzaka stojącemu najbliżej technikowi. – Pobierz z tego próbkę.

Mężczyzna niechętnie chwyta psa.

– Myślisz, że to krew ofiary? – pyta.

– Możliwe, ale w takim wypadku pies byłby nią uwalany od stóp do głów. – Adam przerywa, gdy w jego kieszeni zaczyna dzwonić komórka. – I niech ktoś go wykąpie, na litość boską.

Wychodzi do ogrodu, wyjmuje telefon i oddzwania. Romilly odbiera natychmiast.

– Oglądałam wiadomości – mówi. – Kolejne morderstwo?

– Tak.

– Pasuje do wzorca.

– Nie. Gdybyśmy trzymali się twojej hipotezy, byłby to numer jedenasty, ale nie ma tu żadnych znaków. Ani namalowanych sprejem, ani wyrytych w ścianie – wyjaśnia Adam. – A teraz wybacz, muszę kończyć. Mam tu dużo pracy.

Żegna się i urywa połączenie, zanim jego była żona zdąży zaprotestować. Wie, że mu nie uwierzyła, o czym świadczyło jej wymowne milczenie.

Jamie, który wyszedł za swoim szefem do ogrodu, przygląda mu się badawczo.

– To była Romilly? – pyta. – W sprawie śledztwa?

– Ma pewną teorię. Jej zdaniem te morderstwa coś łączy.

Przez chwilę sierżant wygląda na zmieszanego, ale w końcu doznaje olśnienia.

– Chcesz powiedzieć... że z tym, co wydarzyło się prawie trzydzieści lat temu?

Adam mówi swojemu zastępcy o liczbach rzymskich wyrytych w futrynie szopy. Liczbach, które mogą mieć jakiś związek z tymi na wysypisku.

- A ten tutaj jest następny? – pyta Jamie.
- Nie ma przy nim żadnych znaków.
- No tak, ale...
- Ale co?

Jamie milczy przez chwilę, a gdy znów się odzywa, zdaje się ważyć każde słowo.

- A gdyby ktoś inny przedstawił ci tę teorię? Ktoś, z kim nie łączy cię wspólna przeszłość? Te nieprzepracowane uczucia...
- Ja tam wszystko przepracowałem.

Sierżant przewraca oczami.

- No dobra, w takim razie ktoś, kto zna tę sprawę tak jak ona. Uwierzyłbyś mu?
- Nie! Przecież to bez sensu – protestuje Adam.

Mimo to zdaje sobie sprawę, że jego zastępca trafił w samo sedno. Co za irytujący gnojek, myśli, a w jego głowie zaczyna kiełkować niepokój.

- A jak tam z Rom? – pyta Jamie.
- Wiesz to lepiej ode mnie, stary. Twoja żona nadal się z nią przyjaźni.
- Chodziło mi o ciebie. Jak się czujesz, kiedy znowu z nią rozmawiasz?
- Normalnie.
- Tak po prostu?

Adam czuje na sobie badawcze spojrzenie Jamiego.

– No dobra, dziwnie, skoro tak cię to interesuje. Jakby nic się nie zmieniło, a zarazem wszystko się zmieniło – odpowiada. – Jaki jest ten jej facet?

– Całkiem miły, ale trochę nudny. Niepodobny do ciebie.

– W jakim sensie?

Z domu wychodzi dwóch techników. Detektywi odsuwają się na bok, żeby ich przepuścić.

– To piękniś dumny ze swojego wyglądu... – mówi Jamie.

– Czuję się urażony.

– ...uprzejmy, sympatyczny. Ma pracę, z której codziennie wraca do domu.

– Czym się zajmuje?

– Jest fizjoterapeutą. Poznali się w szpitalu. No i ma figurę modela. Wpędza mnie w kompleksy. – Jamie poklepuje się po wydatnym brzuchu.

– Widzę, że dobrze go znasz.

– Trochę. Wpadli do nas na kolację.

– Tylko raz?

Jamie ociąga się przez chwilę.

– Kilka razy – odpowiada niechętnie.

Adam milczy. Rozmyśla o nowym facecie swojej byłej. Nie uważał Romilly za kobietę, która przywiązuje wagę do wyglądu, ale widocznie mylił się co do niej. Zresztą mylił się w wielu innych kwestiach.

Naciąga kaptur i wchodzi z powrotem do domu. Technicy skończyli fotografować miejsce zbrodni, a doktor Ross znów przystąpił do oględzin. Denat spoczywa teraz na białej

foliowej płachcie, a na jego przedramionach czerwienią się podłużne rany. Adam nie potrzebowałby opinii patologa, żeby wskazać przyczynę śmierci; widać to od razu.

– Ile czasu musiało upłynąć, zanim się wykrwawił? – pyta.

– Trochę to trwało – mówi doktor, nie podnosząc wzroku, i dotyka jednej z ran. – Wyglądają groźnie, ale nie są głębokie. Krew powinna zakrzepnąć. Zastanawiam się... – Zawiesza głos i uważnie ogląda ręce i ramiona martwego mężczyzny. – No tak. Jest tutaj.

Adam pochyła się i podąża wzrokiem za jego palcem. Na skórze denata widnieje mały zaczerwieniony ślad po igle. Jest ledwie zauważalny.

– Przypuszczam, że analiza toksykologiczna wykaże dużą ilość antykoagulantu – dodaje Ross. – Na przykład heparyny albo warfaryny.

– To jakaś trutka na szczury?

Patolog parska śmiechem.

– A niby jak miałyby je zabijać, nadinspektorze Bishop? To środek przeciwzakrzepowy, rozrzedza krew. Facet nie miał szans, nawet gdyby nie oberwał w głowę – wyjaśnia, po czym wraca do oględzin. – Tu jest jeszcze jeden. I tutaj.

– Co takiego?

– Ślady wkłuć. Chociaż te są dużo wyraźniejsze, jakby...

Adam czuje, że zaczyna kręcić mu się w głowie, więc szybko się prostuje i odwraca wzrok. Zaciska powieki na kilka sekund, a gdy znów otwiera oczy, napotyka zdziwione spojrzenie Jamiego.

Tymczasem patolog kontynuuje swój wywód.

– ...po znacznie grubszej igle. Wbitej prosto w żyłę. Dziwne... Zastanawiam się... – Milknie i w skupieniu bada rękę denata. – Po co komu taka gruba igła? – mamrocze do siebie.

Adam chrząka.

– A jak poważny był uraz głowy? – pyta, starając się odwrócić uwagę doktora Rossa od śladów wkłuć.

– Doszło do wgniecenia kości czaszki. Przyjrzę się temu dokładniej w prosektorium, ale myślę, że kiedy facet znalazł się na tym krześle, jego mózg już nie funkcjonował.

Adam szepcze słowa podziękowania i odsuwa się od zwłok. Daje znak swojemu zastępcy, po czym obaj wychodzą na zewnątrz i idą do furtki. Znalazłszy się na ulicy, po drugiej stronie taśmy otaczającej miejsce zbrodni, Adam natychmiast zapala papierosa.

Wciąż nie opuszcza go niepokój. Nie żyje kolejna ofiara. Czy wolno mu ignorować ewentualny trop, nawet jeżeli wydaje się niedorzeczny?

– Załóżmy, że Romilly ma rację – zaczyna i widzi, jak Jamie uśmiecha się dyskretnie i szybko poważnieje. – Tak, tak, wyszło na twoje, ty zarozumiały gnojku. Może powinienem dać mojej byłej większy kredyt zaufania.

– Lepiej bym tego nie ujął, szefie.

Adam ignoruje uszczypliwy ton sierżanta.

– A więc jeśli istnieje jakiś związek między tymi sprawami, to wszystko zaczęło się w dziewięćdziesiątym piątym od numeru dwudziestego. Potem w sobotnią noc znaleźliśmy kolejne numery, od szesnastego do dwunastego, plus ten

dzisiaj, choć nie ma tu nigdzie żadnych znaków. – Przerywa i unosi dłoń, gdy widzi, że jego zastępca chce coś powiedzieć.

– Wiem, o czym myślisz. Dlaczego dwadzieścia, tak? Dlaczego nie zaczął od piętnastu, od dziesięciu albo od jakiejś innej liczby?

– Ta liczba musi coś oznaczać – odpowiada wolno Jamie.

– No właśnie. Dlatego wracaj do komendy i zagoń naszych analityków do roboty. Niech ustalą, co takiego ma w sobie liczba dwadzieścia. Co symbolizuje w literaturze albo w muzyce.

– Pod względem matematycznym?

– Pod każdym względem. Przyda nam się kilka teorii – mówi Adam. – I zadzwoń do dyspozytora, żeby wysłał patrol do starego domu. Niech się tam dobrze rozejrzą.

Jamie kiwa głową. Już trzyma w ręku kluczyki od samochodu.

– A co ty będziesz robił, szefie?

– Muszę zadzwonić.

Adam patrzy, jak jego zastępca odchodzi, po czym wyjmuje komórkę z kieszeni, odnajduje numer w książce telefonicznej i zastyga w bezruchu.

Jeśli Romilly ma rację, jeśli wszystko zaczęło się od śmierci czterech kobiet przed trzydziestu laty, to sytuacja wygląda gorzej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Sprawa, która ma decydujący wpływ na jego karierę, po której jeszcze kilka dni temu tyle sobie obiecywał, niespodziewanie nabiera osobistego wymiaru.

Nawet jeżeli tamten człowiek siedzi za kratkami, jego spuścizna daje o sobie znać. Prześladowe go niczym złowieszczy, posępny cień. Jest bliżej niż kiedykolwiek wcześniej.

Rozdział 20

Elijah waży w dłoni ciężką figurę. Stawia króla na nowym polu i cofa dłoń, kończąc ruch. W szachach urzeka go wszystko. Wieże, piony i skoczki rzeźbione w twardym drewnie. Skomplikowane posunięcia. Ten moment, w którym plan się sprawdza i staje się jasne, że zostały tylko trzy ruchy do mata.

Nienawidzi przegrywać, ale teraz gra z samym sobą. Podejmuje szybkie decyzje, zamienia kolory i nawet nie zawraca sobie głowy obracaniem szachownicy. Dookoła panuje zgiełk – gdzieś wybucha kłótnia, padają ciosy, interweniują strażnicy – ale on jest do tego przyzwyczajony. Wewnętrzny rytm więzienia jest jak bicie serca.

Ktoś klepie go w ramię. Za jego plecami stoi strażnik.

– Kto wygrywa, doktorku? – pyta.

– Oczywiście ja. Chcesz się zmierzyć? Jaki mamy wynik? Dwanaście do jednego.

Strażnik uśmiecha się do niego. Wie, że Elijah pozwolił mu wygrać. Tylko ten jeden raz.

– Nie dzisiaj – odpowiada. – Wpłynął wniosek o widzenie. Wiem, że naczelnik rozpatrzy go pozytywnie, ale chciałem to najpierw skonsultować z tobą.

Elijah z zainteresowaniem unosi brwi.

– Tak?

– Będziesz miał gościa z policji. Nadinspektor Adam Bishop.

Więzień odwraca wzrok. Spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń. Ale nadinspektor Bishop nie jest człowiekiem, którego miałby ochotę widzieć. A w każdym razie jeszcze nie teraz.

– Przekaż, że się nie zgadzam – oznajmia.

Strażnik wygląda na zaskoczonego, ale potakująco kiwa głową i odchodzi.

Elijah przesuwa królową o kilka pól do przodu.

– Szach – mówi półgłosem, zbijając kolejną figurę.

Rozdział 21

Romilly nie spała dobrze ostatniej nocy. Prześladowały ją mroczne koszmary, w których pobrzękiwanie metalowych oków przeplatało się z jękami i wołaniem o pomoc. Budziła się co godzina i leżała rozgrzana obok Phila, wpatrując się w gwiazdy wyświetlone na suficie.

Zadzwoiła do pracy i wzięła zwolnienie. Stażyści dadzą sobie radę bez niej, a jeśli będą potrzebowali pomocy, jest pod telefonem. A więc doszło do kolejnego morderstwa. Targają nią mieszane uczucia, ale znowu ma nieprzepartą chęć, by zadzwonić do Adama. Jej były mąż jest szorstki i wciąż nie chce mieć z nią do czynienia.

Kiedy się poznali, nie kryła zaskoczenia, dowiedziawszy się, jaki jest jego zawód. Detektyw w wydziale zabójstw.

– No tak – dodał, wzruszając ramionami. – Morderstwa i takie tam.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ten mężczyzna, który otworzył przed nią swoje serce i który – z czego wkrótce zdała sobie sprawę – pod nerwowym śmiechem skrywa mnóstwo słabości, potrafi bez zmrużenia oka zajmować się najbardziej brutalnymi przestępstwami. Miał w sobie coś, co pociągało ją od samego początku. Basowe pomruki, które przechodziły w jazgotliwy rechot, kiedy coś go rozbawiło. Potrafił jej słuchać – siedział wtedy z podbródkiem opartym na dłoni i zgiętą w kolanie nogą przyciśniętą do klatki

piersiowej. Domyśliła się, że trzyma nogę w takiej pozycji, żeby zasłonić się nią jak tarczą. Powoli jednak zaczął ją opuszczać. Było to fizyczne odzwierciedlenie jego psychicznych oporów.

Ich narzeczeństwo nie trwało zbyt długo, a ślub był skromny, ale udał się idealnie. Żadne z nich nie utrzymywało zażyłych stosunków z rodziną, więc zaprosili tylko garstkę bliskich przyjaciół. Byli tacy zakochani. Romilly wspomina pierwsze lata małżeństwa. Ich dwoje przeciwko całemu światu.

Po rozwodzie dbała o zachowanie pewnego dystansu w ich wzajemnych relacjach. Ilekroć próbowali odnosić się do siebie przyjaźnie czy choćby zachowywać pozory grzeczności, kończyło się to wielką awanturą, która odbijała się na otoczeniu. Najbliżej zaprzyjaźniona z nimi para, Pippa i Jamie, często obrywała rykoszetem.

– Nie chcę brać niczyjej strony, ale... – mówiła Pippa niejedną raz.

Wygląda na to, że kobieca solidarność przysłoniła jej wszystko inne. Nawet to, co zrobiła Romilly.

Za to Jamie musi być lojalny wobec Adama. Bądź co bądź jest jego podwładnym. Spędzają ze sobą całe dni. Kiedyś Adam próbował jej to wytłumaczyć. Opowiadał o braterstwie broni. O więzi, która wytwarza się w ich środowisku zawodowym. Nie zrozumiesz tego, jeśli nie pracujesz w policji, mówił. „Nie zrozumiesz” było ukrytym przesłaniem.

Teraz musi zmienić nastawienie. Romilly próbuje trzymać się na uboczu, jej myśli wciąż jednak krążą wokół tych

brutalnych morderstw. Wie, co się dzieje, ale pamięta również o tamtych wydarzeniach sprzed lat. Jak mogłaby pomóc? Próbowała przekonać Adama, chociaż powinna się od tego odciąć. Zwłaszcza biorąc pod uwagę koszmarne sny.

Widziała, jak Phil patrzył na nią przy śniadaniu. Na jego twarzy malowała się troska zaprawiona złością. Trudno mu zrozumieć, dlaczego jest taka nieustępliwa. Jednak bez względu na opinię Adama ona nadal wierzy, że to wszystko jest ze sobą powiązane. To nie może być zwykły zbieg okoliczności.

Wie, co powiedziała by Phil. Powinnaś zachować dystans. Niestety nie potrafi mu wytłumaczyć, dlaczego nie jest do tego zdolna.

Przed wyjściem do pracy Phil cmoknął ją w policzek. Miała ochotę za nim wybiec, przeprosić go. Tylko za co? Za to, że rozmawiała z byłym mężem? Że angażuje się w sprawę, która nie ma z nią nic wspólnego? Powinien mi zaufać, myśli i ogarnia ją gniew, choć w głębi serca wie, że nie o to chodzi. Phil po prostu się o nią martwi.

Ale ona nie może odpuścić. Nie ma takiego zamiaru.

Coś ją przyciąga, jakaś przemożna siła. Coś, co wypełnia jej usta cierpkim smakiem. Coś, czemu ulega, chociaż zdaje sobie sprawę, że tylko może sobie zaszkodzić. To jest jak butelka taniego białego wina. Jak kebab późno w nocy.

Wyrzuty sumienia z odległej przeszłości.

Słyszy metaliczny szcęk, gdy do skrzynki na listy coś wpada. Korzysta z okazji, by oderwać się od przytłaczających myśli, i idzie do przedpokoju. Zawartość skrzynki jest taka jak zwykle – katalogi sklepów odzieżowych, w których od lat

niczego nie kupowała, rachunki do zapłacenia. I jeszcze jeden list. Obraca w dłoni białą kopertę, a wzbierające w jej żołądku uczucie bezwładu rozchodzi się po całym ciele. Patrzy na swoje imię, nazwisko i adres wykaligrafowane czarnymi drukowanymi literami. Nie rozpoznaje charakteru pisma, ale duży okrągły stempel pocztowy w prawym górnym rogu nie pozostawia żadnych wątpliwości: Zakład Karny Jej Królewskiej Mości Belmarsh.

Jej dłonie zaczynają drżeć. Odkłada kopertę na stół, ale nie może oderwać od niej wzroku i znowu bierze ją do ręki. Wydaje się gorąca, chociaż to tylko papier z odrobiną kleju. Jakby kryła w sobie coś nie z tego świata.

Phil powiedziałby jej, żeby zaczekała na jego powrót, a wtedy razem zobaczą, co jest w środku. Za to Adam kazałby jej podrzeć list na drobne kawałki.

Ale ona nie może tego zrobić. A co powiedziałyby doktor Jones?

Z jego strony już nic ci nie grozi.

Romilly drżącymi palcami rozrywa kopertę. W środku znajdują się dwa niewielkie kawałki papieru. Pierwszy z nich to wycinek z gazety. Rozpoznaje artykuł z pierwszej strony „The Sun” z informacją o makabrycznym znalezisku pod mostem Northbrook. Jest utrzymany w typowym dla brukowców sensacyjnym tonie, choć jego autor nie musiał zbytnio się starać, skoro szczegóły sprawy są takie, a nie inne. Pierwsze zdjęcie przedstawia dzikie wysypisko, na którym między stertami śmieci kręcą się technicy w białych kombinezonach. Spośród całego mnóstwa podobnych zdjęć z miejsca zbrodni wyróżnia się tym, że widać na nim pięć

niebieskich policyjnych namiotów ogrodzonych taśmą. Jednak to druga fotografia przyprawia ją o zdumienie. Widnieje na niej Adam, który rozmawia z Jamiem przed budynkiem komendy. Podpis głosi: „Kierujący śledztwem nadinspektor Adam Bishop ze swoim współpracownikiem”.

Artykuł został starannie wycięty z gazety. Papier ma równe, gładkie brzegi. Romilly wsuwa go z powrotem do koperty i rozkłada drugą kartkę. Nagle jej serce zamiera. Czuje ucisk w piersi. Nie może nabrać powietrza i osuwa się na kolana, wciąż ściskając w dłoni list. Śnieżnobiały gruby arkusz z drogiej papeterii, a na nim krótka wiadomość zapisana czarnym atramentem. Poznaje ten charakter pisma; zna go tak dobrze jak własny.

Dwa słowa, przez które świat przed jej oczami rozplywa się we łzach. Które paraliżują jej myśli, pozbawiają tchu i odbierają siły.

Musimy porozmawiać.

Rozdział 22

O dziewiątej wieczorem Adam ogłasza koniec dnia pracy. Z jego ludzi uleciała już energia. Zbyt długo musieli na wszystko czekać – na raport z prosektorium, na wyniki analiz laboratoryjnych. Na wynik ekspertyzy daktyloskopijnej, która okazała się cholernie czasochłonna. Na razie nie mają żadnych konkretnych tropów, za którymi mogliby podążać, i należy im się chwila wytchnienia. Adam wie, że jeśli pojawi się coś istotnego, Maggie Clarke z laboratorium natychmiast do niego zadzwoni.

– Starczy na dziś! – krzyczy. – Kończcie robotę i wracajcie do domu. Nacieszyć się życiem rodzinnym. A kto nie ma ochoty, niech idzie ze mną do pubu.

Wspólną przestrzeń biurową wypełnia radosny gwar, detektywi wkładają kurtki. Ci, którzy mają żony i dzieci, w pośpiechu ruszają do wyjścia, jakby obawiali się, że szef zmieni zdanie.

– A ty czemu nie wracasz do swojej świeżo poślubionej pięknej małżonki? – zwraca się Adam do Jamiego, który wciąż stoi przy swoim biurku.

– Wyszła z koleżankami.

– Więc musisz poudawać, że jesteś jeszcze młody i masz swoje życie?

– Otóż to.

Adam parska śmiechem.

– No to chodźmy! – woła. – Stawiam pierwszą kolejkę.

Po pierwszej kolejce przychodzi druga i trzecia. Do tego pizza, czipsy i burgery – niezdrowe knajpiane żarcie do zakąszenia piwa. Do jedenastej przetrwała niewielka grupka detektywów, a wśród nich nowicjuszka w wydziale zabójstw Ellie Quinn. Młoda posterunkowa ma już zdrowo w czubie i Adam postanawia ją przekonać, żeby w następnej kolejce zamówiła coś lżejszego.

Zresztą Ellie nie jest jedyna. Jamie wlał w siebie kilka kufli i siedzi obok swojego szefa oparty o stół, bez powodzenia próbując utrzymać prosto głowę i zapanować nad opadającymi powiekami.

– ...i opowiada o tobie mojej żonie – mówi, a jego słowa zlewają się w jeden bełkotliwy ciąg. – Chyba coś jest na rzeczy.

– To tylko dlatego, że lubi mnie obgadywać.

– Może tak. A może wciąż cię kocha.

– Szczerze w to wątpię, stary – odpowiada Adam i rozgląda się po lokalu.

Pozostali jego koledzy zachowują się hałaśliwie, ale w ich głosach daje się wyczuć wymuszoną wesołość. Widział to już nieraz, tę cienką powłokę normalności okrywającą makabryczne zbrodnie, z którymi stykają się w pracy.

– A ty kiedy pomyślisz o awansie na inspektora, Jamie? – pyta, zmieniając temat. – Prosty egzamin, kilka rozmów kwalifikacyjnych i gotowe. Masz doświadczenie, pójdzie gładko.

– Miałbym cię zostawić samego? Nie dasz sobie rady beze mnie.

– Masz rację – przyznaje Adam. – Ale jakoś przeżyję.

Zdaje sobie sprawę, że polega na swoim zastępcy bardziej, niż powinien. Tak głębokie zaufanie i zależność od drugiego człowieka są dla niego niepokojące same w sobie.

– Zostanie więcej ciastek do podziału, kiedy nas opuścisz, to jedno jest pewne – dodaje, klepiąc przyjaciela po plecach. – A teraz wracaj do domu i wytrzeźwiej, zanim twoja ślubna uświadomi sobie, jak wielki popełniła błąd.

Jamie dopija jednym haustem kilka ostatnich łyków piwa, z głośnym stukotem odstawia kufel i chwiejnym krokiem wychodzi z pubu, nie oglądając się za siebie. Adam pociąga łyk ze swojej szklanki i odprowadza go wzrokiem. Czuje delikatne ukłucie zazdrości. Jamie jest takim szczęściarzem. Kochająca żona, szansa na awans. Być może dzieci. Zasługuje na to wszystko, bo porządny z niego facet. Lojalny, opanowany, rzetelny. Adam ma świadomość, że nie mógłby tego samego powiedzieć o sobie. Rozgląda się, po czym rusza w stronę baru. Ma ochotę na jeszcze jedno piwo, może kieliszek albo dwa. Cokolwiek, co odpędzi widmo zwątpienia czające się w jego umyśle.

Czas płynie nieubłaganie i przychodzi pora zamknięcia pubu. Ellie Quinn wraca taksówką do domu, garstka niedobitków przenosi się do nocnego baru, Adam zaś korzysta z okazji, żeby się urwać.

Tam, dokąd się wybiera, nie potrzebuje towarzystwa kolegów. Jest pijany, chwieje się na nogach, a alkohol tylko podsyca jego niepewność, zamiast ją ukoić. Podąża dobrze

znanym szlakiem, który przemierzał już tyle razy. Chce się oderwać od rzeczywistości, żeby nie myśleć o Romilly i katastrofie, jaką zakończyło się ich małżeństwo. A skoro na tym mu zależy, nocny klub jest równie odpowiednim miejscem, jak każde inne.

Szybko wchodzi do lokalu, mijając bramkarza, który przyzwalająco kiwa głową. Od razu kieruje się tam, gdzie płynie alkohol. Wypija kieliszek przy barze i odchodzi do stolika z butelką piwa. Mało kto potrafiłby zrozumieć, co przyciąga go w to miejsce, ale dla niego to proste. Alkohol na wyciągnięcie ręki i głośna muzyka, która zagłusza myśli. Samotne picie w domu sprawia, że jest przygnębiony i czuje się jak ostatni złamas, a tutaj przynajmniej nie tkwi w czterech ścianach i obraca się wśród podobnych sobie. Wśród ludzi, którzy nie poświęcają mu tyle uwagi, by go osądzać. Są zbyt zajęci własnymi problemami i niczego od niego nie oczekują. Żadnych zobowiązań.

Z bezpiecznej odległości obserwuje tłum. We wtorkowy wieczór towarzystwo jest inne niż w weekendy. Młodsze, głównie studenci, jak można sądzić po wiszącym na ścianie plakacie z informacją o zniżce na drinki dla posiadaczy ważnej legitymacji studenckiej. Ludzie, którzy mają mniej obowiązków i jeszcze mniej powodów, by wcześniej wstawać.

Nawet Adam zdaje sobie sprawę, że jest późno. Sprawdza wiadomości, ale z laboratorium nadal nic. Jego komórka co chwila gubi zasięg. W lokalu jest słaby sygnał, ale jemu to nie przeszkadza. Da się wytrzymać. Jeszcze jedno piwo i do domu, postanawia. Ale kiedy wychyla ostatni łyk z butelki, przysuwa się do niego kobieta z wysoką szklanką w dłoni.

– Sam jesteś? – pyta, delikatnie muskając jego rękę.

To rzadkość, ale się zdarza – zaczepki ze strony kobiet, które nie potrafią się oprzeć posępnemu urokowi stojącego w cieniu nieznanego. Jest podchmielona, ale nie pijana. Świadoma tego, co robi, chociaż jej pewność siebie wydaje się nieco wymuszona. Pod uśmiechem kryje się wrażliwość. Zresztą tutaj każdy za czymś goni. Niektórzy maskują się lepiej, inni gorzej. Nie mnie ją osądzać, myśli Adam.

Przygląda się nieznanemu. Może być ciekawie. Czuje do niej pociąg – pragnie czyjejś obecności, a jego samotność domaga się ukojenia, choćby na tę krótką ulotną chwilę.

– Chcesz mi dotrzymać towarzystwa? – pyta.

Kobieta uśmiecha się do niego.

– Znaczy napić się z tobą? Niekoniecznie. Ale znam lepsze sposoby wspólnego spędzania czasu.

Adam przesuwa dłoń po jej ręce i przygląda się twarzy okolonej burzą gęstych włosów. Dostrzega rumieńce pod delikatną warstwą makijażu. Wiadomo, o co jej chodzi, myśli. To rzadkość w tych czasach. I okazja, której nie zamierza zmarnować.

– Może przeniesiemy się w jakieś inne miejsce? – proponuje kobieta.

Damskie toalety są ładniejsze od męskich, zauważa Adam. Przy umywalkach nie ma nikogo. Nieznajoma popycha go w stronę ostatniego boksu w głębi pomieszczenia, rygluje drzwi, po czym ujmuje w dłonie jego twarz i mocno wpija mu się w usta.

Adam jest zaskoczony, ale nie protestuje. Czuje słodki smak na jej wargach. Pewnie to red bull, myśli, dlatego jest taka

pobudzona. Dotyka jej nagich ud, ledwie osłoniętych przez krótką spódniczkę, wodzi palcami po rozgrzanej i lekko wilgotnej od potu skórze. Czuje, jak zwinne dłonie wślizgują mu się pod koszulę i gmerają przy pasku od spodni.

Zza drzwi dobiegają czyjeś głosy. Słysząc rozmowę dwóch kobiet, które wchodzi do toalety. Nieznajoma chichocze cicho, nie przerywając pocałunku. Adam czuje jej dłoń w spodniach. Mocno zaciska usta, żeby nie zdradzić swojej obecności głośnym westchnieniem, ale nie wie, jak długo zdoła się opanować. Chwyta drobny nadgarstek, żeby ją powstrzymać, a ona unosi wzrok i szczerzy zęby w szelmowskim uśmiechu.

Szumi splukiwana woda, odgłos rozmowy stopniowo cichnie, aż w końcu urywa się wraz z trzaskiem zamykanych drzwi. Kobieta – niestety Adam wciąż nie zna jej imienia – odsuwa się od niego i patrząc mu w oczy, zdejmuje majtki. Układa je starannie na opuszczonej desce klozetowej. Potem chwyta za górne krawędzie ścianek działowych i podciąga się do góry. Krótką spódniczkę ma teraz zrolowaną na biodrach.

Cholera, ktoś tu nie bawi się w podchody, myśli Adam, pospiesznie wyjmując prezerwatywę z portfela. Opuszcza spodnie, po czym przyciąga nieznajomą do siebie i wchodzi w nią, a ona oplata go nogami. Całuje ją po szyi i czuje we włosach jej palce. Żadnych pytań. Dotyk gorącej skóry. Pot, ślina i totalna beztroska. Chwila zespolenia, której tak bardzo teraz potrzebował. Ma w ustach jej język, trzyma ją za tyłek.

W tej chwili skupia się wyłącznie na jednym i nie zaprzęta sobie głowy myślami o byłej żonie.

Czuje, jak w kieszeni spuszczonej do kostek spodni wibruje komórka, ale nie zwraca na nią uwagi. Wibracje ustają i po chwili zaczynają się na nowo. Wie, że powinien odebrać, ale żądza pozbawia go zdolności racjonalnego myślenia. Jest mu tak dobrze. Niezbyt wygodnie i dosyć niezręcznie, jednak lepsze to niż poczucie wewnętrznej pustki, którego doświadcza, odkąd Romilly znów pojawiła się w jego życiu. Chce teraz czuć narastający żar, napięcie, rozpalone ciało tej kobiety...

Komórka znowu się odzywa. Nie może jej dłużej ignorować.

– Cholera – mamrocze półgłosem. – Zaczekaj chwilę.

Nieznajoma odchyła się do tyłu i patrzy na niego z niezadowoloną miną.

– Adam? – rozlega się w słuchawce podniesiony głos Jamiego Hoxtona.

Coś jest nie tak.

– O co chodzi?

– Adam...

Znowu ten sam niepokojący ton. Sygnał jest słaby i połączenie się urywa. Adam znowu klnie; nie rozumie, co mówi jego zastępca.

Kobieta wzdycha ze złością, po czym odrywa się od niego, dotyka nogami podłogi i opuszcza spódniczkę. Adam nieporadnie podciąga jedną ręką bokserki i spodnie.

– Jamie? Co się dzieje?

Słyszy teraz urywane pojedyncze słowa. Nadal nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Nie ma... nie wiem... dzwoniłem...

Adam marszczy czoło.

– Posłuchaj... – zaczyna, ale wtedy na parę sekund komórka łapie zasięg i dociera do niego spójna wiadomość. To, co słyszy, sprawia, że cały jego świat gwałtownie staje w miejscu.

– Nigdzie jej nie ma! – krzyczy Jamie. – Pippa. Zniknęła.

Wcześniej

Na początku jest pas. Ulubione narzędzie każdego sadysty. Brązowa skóra spękana ze starości i wygładzona do połysku metalowa kłamra.

Chłopiec nie wie, co się dzieje, przynajmniej nie od razu. Słyszy, jak ojciec chodzi po domu. Ciężki gniewny tupot stopniowo zamienia się w miarowe kroki. A potem odliczanie. Od dwudziestu w dół, spokojnie i powoli.

Siedzi ukryty za sofą, kompletnie zdezorientowany. Nasłuchuje. Ojciec wchodzi do pokoju i zagląda za jeden z foteli, potem za drugi. Jest coraz bliżej. Tak blisko, że czuć wyraźnie dym z papierosów, którym przesiąknięte jest jego ubranie. Woń ziemi, oleju napędowego i smoły. Kwaśny odór taniego alkoholu sączącego się z porów jego skóry.

– Wyjdź, no wyjdź, gdziekolwiek jesteś.

Same słowa nie są wrogie, ale ton, jakim ojciec je wypowiada, budzi grozę. Chłopiec czuje suchość w ustach. Oddech więźnie mu w gardle.

Jedenaście. Dziesięć. Dziewięć.

Na jego kostce zaciska się silna dłoń i wyciąga go z kryjówki. Skóra głowy boli nieznośnie, gdy gwałtowne szarpnięcie za włosy podrywa go do pionu.

– Dziewięć! – woła ojciec triumfalnym tonem i wlecze jęczącego z bólu chłopca na środek pokoju. – Dziewięć. Dziewięć razy kara.

Chłopiec nie wie, czym zasłużył na karę. Nie wie, co go czeka, ale wkrótce wszystko stanie się jasne. Ciężka dłoń z impetem opada mu na kark, rzucając go na kolana, a potem boleśnie przygina jego głowę do podłogi. Czuje chłodny powiew na nagich plecach, gdy ojciec zadziera mu podkoszulek.

– Zostań tak.

Nie śmie nawet się poruszyć. W myślach powtarza zagadkową liczbę. Dziewięć. Dziewięć czego?

Podzwania metalowa kłamra. Skóra ze świstem wysuwa się z dżinsowych szlufek. Potem suchy trzask. Zaskoczenie. Piekący ból. Chłopiec krzyczy. Próbuje wstać, ale ojciec popycha go brutalnie z powrotem na miejsce.

– Osiem.

Znowu trzask. Ból. Jego plecy płoną żywym ogniem. Płynie krew. W ustach czuje metaliczny posmak. Musiał ugryźć się w język. Po policzkach ciekną mu łzy. Wciąż nie może uwierzyć w tę potworność, która spadła na niego tak niepodziewanie.

Siedem.

Sześć.

Ogarnia go odrętwienie. Jego pięści zaciskają się kurczowo. Wzywa na pomoc matkę, ale ona go nie słyszy. Leży nieprzytomna za ścianą.

Pięć.

Teraz jest gorzej. Razy spadają na rozciętą skórę. Krew tryska na ścianę. Potem będzie oglądał te rozbryzgi

i zastanawiał się, czy pochodzą z czwartego, czy z trzeciego uderzenia.

Drugiego i pierwszego nie pamięta. Traci przytomność i zapada się w czern.

Odliczanie od dwudziestu dobiega końca. Pozostaje ślad wyryty w jego skórze.

Bólem, nienawiścią i strachem.

Część 2

*Do jakiegokolwiek wstąpię domostwa, wejdę tam,
aby pomagać cierpiącym, wystrzegając się wszelkich
świadomych naruszeń prawa i szkodliwych postępów,
a zwłaszcza czynów lubieżnych wobec ciał kobiet
i mężczyzn, wolnych czy niewolników.*

Przysięga Hipokratesa

Rozdział 23

Adam był w domu Jamiego wiele razy, ale nigdy w takich okolicznościach. W zacisznej na co dzień uliczce z wypielegnowanymi ogródkami i pomalowanymi na biało furtkami jest teraz tłoczno od radiowozów. Błyskają niebieskie światła kogutów, trzeszczą krótkofalówki, padają szorstkie rozkazy. Wśród tego zamieszania Adam odnajduje swojego zastępcę. Sierżant Hoxton chodzi nerwowo tam i z powrotem po niewielkim skrawku chodnika i szarpie się za włosy.

– On ją porwał, prawda?! – krzyczy na widok szefa. – Porwał ją!

– Tego nie wiemy. – Adam, który pod wpływem szoku wytrzeźwiał w jednej chwili, kieruje przyjaciela w stronę zaparkowanej przy chodniku furgonetki i sadza go w środku. – Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

– Wróciłem do domu koło wpół do dwunastej czy jakoś tak. – Jamie rozgląda się nerwowo. – Wiedziałem, że coś się stało, kiedy tylko otworzyłem drzwi. Mogłem wtedy do ciebie zadzwonić... Powinienem...

Próbuje wstać, ale Adam go powstrzymuje, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Znajdziemy ją, tylko musisz mi powiedzieć, co widziałeś. Proszę. Wiesz, jakie to ważne.

Jamie milczy, ale słowa Adama powoli do niego docierają. Jest detektywem i zna reguły gry – zdaje sobie sprawę, jak bardzo może spowolnić śledztwo rozhisteryzowany świadek.

Robi długi urywany wdech.

– W korytarzu był straszny bałagan. Cała podłoga zabłocona, przewrócony stolik. Sam widziałeś.

Adam kiwa głową. Kiedy przybył na miejsce, zajrzał do wnętrza, w którym już pracowali technicy. Zauważył wyraźne ślady walki.

– Czy drzwi frontowe były otwarte?

– Drzwi...? Yyy... Nie, nie – odpowiada Jamie zdecydowanym tonem. – Musiałem użyć klucza, żeby dostać się do środka.

– No dobra. I co było potem?

– Zawołałem Pippę, a kiedy nie odpowiedziała, zacząłem chodzić po domu. Zaglądałem do wszystkich pomieszczeń, a potem zadzwoniłem na jej komórkę. Była w sypialni. Mags już ją wzięła. Pippa pewnie szykowała się do snu. Jej ubranie...

– Jamie znów przerywa i zaczyna szlochać, ukrywając twarz w dłoniach.

Adam kładzie rękę na jego szerokich barkach.

– Zaczekaj tu, stary – mówi.

Podchodzi do posterunku przy taśmie otaczającej miejsce zdarzenia, wpisuje się do rejestru i szybko wkłada kombinezon ochronny. Potem rusza w stronę domu. Tuż za progiem zastaje Maggie Clarke, która rozmawia z jednym z techników.

– Prowadzisz to śledztwo? – pyta szefowa ekipy kryminalistycznej. – Zakładasz, że te sprawy są powiązane?

Adam przytakuje. Chociaż nie chciałby tego mówić Jamiemu, jest to wielce prawdopodobne. Kolejna ofiara została porwana tak samo jak poprzednie. Schemat się zgadza.

– Co tu mamy?

– Jedno wielkie pobojuwisko w korytarzu, na schodach i w sypialni. Kuchenne drzwi nie były zamknięte na klucz. Prawdopodobnie tą drogą napastnik dostał się do środka i wszedł na górę.

Maggie daje znak Adamowi i prowadzi go na piętro. Zatrzymuje się przy otwartych drzwiach sypialni. Na podłodze leżą rozrzucone w nieładzie poduszki, kołdra i części garderoby.

– Na drzwiach szafy zabezpieczyliśmy rozpryski krwi, w tym jeden ułożony liniowo.

– Jakby uderzył ją kilka razy w głowę?

– Chyba można przyjąć takie założenie. Ale wciąż była przytomna. Broniła się, kiedy włókł ją na dół, stąd cały ten bajzel.

– Więc istnieje szansa, że napastnik zostawił jakieś ślady?

– Całkiem spora. Pobraliśmy próbki krwi z całego domu i zaraz pojedę do laboratorium, żeby przyjrzeć się niektórym z nich. Sprawdzimy też odciski palców.

– Informuj mnie na bieżąco – prosi Adam, po czym zegna się z Maggie i wychodzi przed dom.

A więc stąd odjechali, myśli. Zabrał ją spod samych drzwi. Wszystko na widoku. Ryzykowne zagranie. Musi być bardzo pewny siebie. Albo głupi – tego do końca nie wiadomo.

Zaciekawieni sąsiedzi wyglądają przez okna i stoją w furtkach. Niektórzy już odpowiadają na pytania mundurowych. Ktoś musiał zauważyć coś nietypowego. Zdejmując foliowy kombinezon, Adam wypatruje potencjalnych świadków. Starsza pani w szlafroku nie pozostałaby obojętna na hałasy w ciągu dnia, ale na pewno chodzi spać z kurami. Tak samo to małżeństwo seniorów. Ale jeden z domów różni się od pozostałych. Furtka wisi na obluźowanych zawiasach, w ogródku plenią się chwasty, a we wszystkich oknach pali się światło.

Adam wchodzi na teren posesji i naciska dzwonek. Po chwili jego przypuszczenia się potwierdzają. W uchylonych drzwiach pojawia się młody niechlujny mężczyzna. Jest ubrany w obcisłe džinsy i workowatą bluzę. Z wnętrza domu dobiegają dźwięki muzyki i odgłos telewizora, a w powietrzu unosi się słodkawa woń marihuany.

– Policja. – Adam pokazuje odznakę. – Mogę wejść?

Młodzieniec patrzy na niego z niepewnym uśmiechem. Widać, że się waha. Adam przewraca oczami.

– Mam gdzieś wasze zioło na własny użytek – dodaje. – Potrzebuję pomocy.

Gospodarz ogląda się przez ramię.

– To może lepiej ja wyjdę – proponuje, po czym robi krok do przodu i zamyka za sobą drzwi. – Jak mogę pomóc?

– Jesteś studentem, tak? Byłeś w domu cały wieczór?

– Byłem. – Mężczyzna pokazuje głową stojące przy ulicy radiowozy. – Co tam się stało?

– Porwano młodą kobietę. Musimy ją znaleźć, i to szybko. Może coś widziałeś albo słyszałeś?

Student marszczy czoło.

– Nie – odpowiada. – Chociaż...

– Co takiego? Każdy szczegół może mieć znaczenie.

– Stu wspominał o jakiejś furgonetce. Myślał, że to kurier, bo coś zamawiał z Amazona, więc otworzył drzwi i czekał.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

– Jasne. Chwileczkę.

Młodzieniec wchodzi do środka i wraca po kilku minutach w towarzystwie kolegi. Chłopak nie wygląda na zachwyconego perspektywą rozmowy ze stróżem prawa. Przepiękuje z nogi na nogę i stoi ze zwieszoną głową. Widać, że wypalił sporo trawki.

– Ty jesteś Stu? – pyta Adam, a gdy młodzian potakuje, przechodzi do rzeczy. – Opowiedz mi o tej furgonetce.

Stu wzrusza ramionami.

– Czarna była, taka nieduża. Stała krzywo zaparkowana na tamtym podjeździe, a potem ktoś ją przestawił na tyły. Kiedy się zorientowałem, że to nie mój kurier, wróciłem do środka – wyjaśnia. – Chris ma takie auto, kojarzysz? – mówi do kolegi, a gdy ten patrzy na niego tępym wzrokiem, zwraca się znowu do Adama: – Surferzy takimi jeżdżą. – Mruga kilka razy i jego twarz nagle promienieje. – To był volkswagen transporter!

Adam czuje się podekscytowany tym pierwszym konkretnym tropem.

– I na pewno był czarny? – dopytuje.

– Zdecydowanie w ciemnym kolorze. Na upartego mógł być nawet szary. – Stu znowu wzrusza ramionami. – Ale nie, na pewno czarny.

– Zapamiętałeś może numer rejestracyjny?

– Niestety nie.

– A widziałeś kierowcę?

– Tak, chociaż niezbyt dobrze. – Stu po raz trzeci wzrusza ramionami i Adam powstrzymuje się, żeby go nie trzepnąć. – Niezbyt wysoki. Twarzy nie widziałem, bo miał bluzę z kapturem. Nosił luźne spodnie i trampki.

– Co to były za spodnie? Dżinsy?

– Nie... coś jakby piżama. Wydało mi się to dziwne, ale...

Chłopak gubi wątek i milknie. Adam pstryka mu palcami przed nosem, próbując przywrócić go do rzeczywistości.

Stu mruga ospale.

– Niebieskie były, te spodnie – mówi. – Jasnoniebieskie.

– A ta furgonetka miała jakieś znaki szczególne? Rysy albo wgniecenia? Naklejki na szybie?

– Niczego takiego nie zauważyłem.

– Który rocznik?

– Pojęcia nie mam, człowieku. Ciemno było i nie przyglądałem się aż tak dokładnie.

– W porządku. Podeślę tu posterunkowego, żeby spisał twoje zeznania. Postaraj się do tego czasu już niczego nie

palić, dobra?

Stu kiwa głową, a Adam wychodzi na ulicę i przywołuje gestem jednego z mundurowych. Potem idzie do Jamiego. Jego przyjaciel wciąż siedzi nieruchomo w otwartych drzwiach policyjnej furgonetki. Unosi wzrok, gdy Adam kładzie mu dłoń na ramieniu. Ma pozbawioną wyrazu twarz, ale jego przekrwione oczy są pełne nadziei.

– Znalazłeś ją?

– Niestety nie, ale mamy kilka tropów. Obiecuję ci, że nie spocznę, dopóki twoja żona nie wróci do domu. A teraz zabieram cię stąd, bo technicy nieprędko skończą. Przenocujesz u mnie.

– On zachowa ją przy życiu, prawda? – mówi Jamie łamiącym się głosem, w którym słychać desperacki ton. – Tak jak tamtych?

– Na pewno. – Adam pomaga mu wstać.

Nie chce wspominać o tym, przez co musiały przejść dotychczasowe ofiary. Więzy i rozcięte żyły. Ból i strach. Powolna utrata krwi.

Nie potrafi znieść myśli, że to samo mogłoby spotkać żonę jego przyjaciela. Ale zgadza się z jego teorią. Morderca najwyraźniej chce zachować Pippę przy życiu, inaczej zamordowałby ją od razu.

Tylko na jak długo? Na to pytanie nikt nie potrafi odpowiedzieć.

Rozdział 24

Podczas jazdy radiowozem do domu Adama Jamie nie potrafi sformułować zdania. Dzieli się z przyjacielem chaotycznymi myślami i nie do końca sprecyzowanymi obawami. Przekazuje mu wskazówki dotyczące sprawy. Wie, że Adam je wykorzysta, bo jemu nie będzie teraz wolno nawet zbliżyć się do komendy. Jest osobiście zaangażowany. Jako mąż porwanej nie może brać udziału w śledztwie.

Adam wpuszcza go do domu i prowadzi do wolnego pokoju. Razem w milczeniu ścielą łóżko, naciągają prześcieradło na materac, oblekają poduszki. Jamie odnosi wrażenie, że niewiele osób tu nocowało, jeśli w ogóle ktokolwiek.

Wreszcie Adam zostawia go samego. Mówi mu, żeby trochę się przespał, ale Jamie wie, że to niewykonalne. Nie zdołałby zasnąć ze świadomością, że Pippa jest teraz w rękach szaleńca. Powracają do niego obrazy poprzednich ofiar, zakrwawione ciała i puste martwe oczy. Ich strach i cierpienie przenikają do jego myśli. Odrobina dystansu, którą zwykle udaje mu się zachować, teraz jest dla niego nieosiągalna.

Nie odbiera telefonów od teściów, których musiał już ktoś zawiadomić, że ich jedyna córka padła ofiarą porwania. Nie ma odwagi zadzwonić do matki, boi się jej przytłaczającej troski. Współczucia, którego nie jest godny.

Nie potrafiłby odpowiedzieć na ich pytania. Dlaczego poszedł do pubu? Dlaczego prosto po pracy nie wrócił do

domu? Dlaczego nie było go przy niej, kiedy potrzebowała pomocy? Był jej mężem. Policjantem. Mógł zapobiec temu, co się stało. Jego żona zniknęła, bo zamiast ją chronić, poszedł na piwo.

Ze strachu ogarniają go mdłości. Mocno zaciska powieki, ale wciąż ma przed oczami obraz żony, która wzywa go na pomoc, zagubiona i przerażona.

Widział plamy krwi w sypialni i na ścianach korytarza. Poprzewracane meble, ślady walki. Technicy nabrali wody w usta, a Adam niechętnie dzielił się szczegółami, ale on wiedział, co to oznacza. Pippa jest ranna. Broniła się. Krwawi.

Ale żyje. Sprawca porwał ją żywą i Jamie wie, że tego musi się trzymać. Kimkolwiek jest ten obłąkany skurwieli, zachował ją przy życiu.

Jamie wie również, że Adam ją znajdzie. Najbardziej inteligentny człowiek, jakiego zna; najbardziej pracowity detektyw w całym wydziale, uratuje jego żonę.

Jamie kurczowo trzyma się tych dwóch myśli, gdy leży w pokoju gościnnym w domu Adama. Zmarznięty. Samotny. Przejęty strachem.

* * *

Stoję na progu i patrzę na nią. Ma zasłonięte oczy i gdy tylko dociera do niej odgłos otwieranych drzwi, zaczyna poruszać głową w prawo i w lewo. Szuka mnie, desperacko próbuje wyczuć, gdzie jestem.

Poznać moje intencje.

Z wahaniem ruszam w jej stronę. Nie chcę tego robić. Ale wiem, że muszę.

Widzę, jak szybko oddycha, wciągając powietrze ustami zaklejonymi taśmą. Wydaje cichy jęk i odnoszę wrażenie, że chce coś powiedzieć. Delikatnym ruchem zdejmuję opaskę z jej oczu.

Patrzy na mnie zaskoczona, a po jej bladych policzkach zaczynają płynąć łzy. Jest taka piękna. Szkoda, że jej życie zakończy się w taki sposób.

Napina więzy, ale widocznie mnie nie docenia. Używam wzmacnianych opasek zaciskowych. Jeden z jej poprzedników zdołał się uwolnić i był już przy drzwiach, zanim udało mi się go złapać za włosy i powalić na ziemię. Potem się uspokoił. Z nożem w brzuchu już nie był taki waleczny.

Ale ty wciąż jesteś zdeterminowana, Pippo Hoxton.

Ciągle pojękuje, więc chwytam za brzeg taśmy i pociągam. Kiedy uwalniam ją od knebla, robi głęboki wdech i zaczyna krzyczeć. Wydaje z siebie wysokie przeciągłe zawrozczenie, które pozbawia ją energii i sprawia, że jej mięśnie jeszcze bardziej się

napinają. Potem bierze kolejny haust powietrza i znowu to samo. Jej rozbiegany wzrok błądzi po pokoju.

Obserwuję ją beznamiętnie z założonymi rękami. Po chwili krzyk zamienia się w szloch. Całą twarz ma we łzach i smarkach. Wyciągam rękę i wolno przesuwam palcem po jej policzku. Nieruchomieje i trzęsąc się ze strachu, patrzy na mnie wielkimi niebieskimi oczami.

– Przykro mi – odzywam się.

I rzeczywiście jest mi przykro. Wszelkie próby ucieczki są daremne. Opór nie ma sensu.

– Proszę, wypuść mnie. Czego ode mnie chcesz? Zrobię wszystko. Mogę zdobyć pieniądze. Czego chcesz?

– Ciebie – odpowiadam.

Mruga z niedowierzaniem, a potem znów zaczyna się szarpać. Patrząc, jak plastikowe opaski wrzynają się w skórę jej nadgarstków i kostek.

– Chcesz pić? – pytam.

Wolno kiwa głową. Tym razem myślę perspektywicznie. Jeśli chcę utrzymać ją przy życiu przez dłuższy czas, muszę zadbać, żeby była nawodniona. Powinna dużo pić, a może nawet jeść.

Idę na drugi koniec pokoju, gdzie mam przygotowaną butelkę wody i kanapkę. Gdy tylko odwracam się do niej plecami, dociera do mnie odgłos gorączkowych ruchów. Zerkam przez ramię i widzę, jak próbuje rozkołysać krzesło, żeby je przewrócić i się uwolnić. Pochodzę do niej z powrotem z butelką wody i patrzę na jej bezsilną szamotaninę, która przeradza się w atak furii. Wolną ręką chwytam ją za włosy i odchylam jej głowę do tyłu. Zaskoczona, wzdycha głośno i znowu zaczyna pochlipywać.

– Dosyć tego – cedzę przez zaciśnięte zęby, zbliżając usta do jej ucha. – Jeszcze jeden taki numer i żarty się skończą. Zrozumiałaś?

– Tak – szepcze.

Puszczam jej włosy i unoszę butelkę wody. Widzę, jak prostuje się na krześle i niecierpliwie oblizuje usta.

– Chcesz trochę? – pytam.

– Tak – mówi. – Poproszę.

– Teraz dużo lepiej.

Uśmiechając się, przykładam butelkę do jej ust i przechylam. Patrzę, jak przetyka wodę. Powtarzam to jeszcze trzykrotnie, a potem zakręcam butelkę.

– Na razie wystarczy. Nie chcemy więcej wypadków, prawda?

Już zdążyła się zsikać, pewnie ze strachu, ale nie przejmuję się tym. Takie rzeczy są wkalkulowane w ryzyko. Dam sobie radę. Muszę.

Podchodzę do stolika pod ścianą. Śledzi mnie wzrokiem i gdy widzi, że przygotowuję swój ekwipunek, znowu zaczyna paplać.

– Nie, proszę, nie, wypuść mnie, proszę, proszę.

Rozprasza mnie to jej gadanie, więc urywam kawałek taśmy, podchodzę i zaklejam jej usta. Oddycha ciężko przez nos i dygocze ze strachu.

Układam narzędzia na małej tacy ze stali nierdzewnej i zabieram ją ze sobą. Jej wzrok natychmiast skupia się na tym, co dostrzega dopiero teraz. Na igle. Długiej i lśniącej. Doskonałej.

Wyjmuję ją ze sterylnej opakowania i trzymam tak, jak mnie uczono. Pippa miota się bezsilnie na krześle, prostując i zginając palce, ale w ten sposób tylko ułatwia mi zadanie. Krew w jej ciele

płynie szybciej. Nabrzmiate żyły odznaczają się wyraźnie po wewnętrznej stronie jej przedramienia. Unieruchamiam jej rękę mocnym chwytem.

Mogę zaczynać.

Przykładam czubek igły do gładkiej nieskazitelnej skóry i naciskam.

Dzień 5
Środa

Rozdział 25

Adam jeszcze nigdy nie czuł takiej presji. Głowę rozsadza mu tępy ból, a skurcz żołądka nie opuszcza go ani na chwilę. W drzwiach staje Marsh i przygląda się biurowej krzątaninie, ale o nic nie pyta. Adam wie, że szef niebawem wróci, ale teraz jest mu wdzięczny za tę chwilę wytchnienia.

Wie również, jakie pytanie chodzi po głowie nadkomisarzowi. Czy powinieneś nad tym pracować? Sam zadawał je sobie już niejedną raz. Jest osobiście zaangażowany. Jamie to jego najbliższy przyjaciel, a Pippa przyjaźni się z jego byłą żoną. Jednak zdaje sobie również sprawę, jak pokrzepiająca jest dla Jamiego świadomość, że to on prowadzi śledztwo. I że nie spocznie, dopóki jej nie znajdzie.

Żywej lub martwej.

Przerywa na chwilę pracę i pociera opuchnięte powieki. Zeszłej nocy nie zmrużył oka i jest na nogach od dwudziestu czterech godzin.

- Wszystko w porządku, szefie?
- Co?

Obok niego stoi Ellie Quinn i czeka na odpowiedź. Adam przypomina sobie, w jakim stanie była poprzedniego

wieczoru, i dostrzega na jej twarzy spustoszenie spowodowane kacem.

– Mamy nagrania z monitoringu, na których widać naszą furgonetkę...

Adam nie czeka, aż podwładna skończy, podchodzi szybko do jej biurka i wlepia wzrok w monitor komputera.

Jego ludzie są przytłoczeni mnóstwem danych. Przeglądają nagrania z setek kamer drogowych w całym mieście i ślęczą nad wynikami wyszukiwania z rejestru kierowców i pojazdów oraz centralnego komputera policyjnego dla wszystkich volkswagenów transporterów w ciemnym kolorze. Wygląda jednak na to, że materiał z monitoringu okazał się strzałem w dziesiątkę.

– Wzięliśmy pod lupę drogi rozchodzące się od miejsca zamieszkania we wszystkich kierunkach, z założeniem że do porwania doszło między dwudziestą drugą, kiedy ofiara wysłała esemesa z informacją o powrocie do domu, a dwudziestą trzecią trzydzieści, kiedy sierżant Hoxton odkrył, co się stało – mówi Ellie, a Adam ze zniecierpliwieniem kiwa głową. – No i mamy furgonetkę jadącą na południe.

Adam wpatruje się w obraz na monitorze, z podbródkiem opartym na dłoni. Ciemny volkswagen pojawia się po prawej stronie kadru i szybko znika po lewej.

– A tutaj znowu na autostradzie.

– Skąd pewność, że to nie jakiś inny samochód?

– Widzisz? – Quinn dotyka monitora delikatnym palcem. – Ma uszkodzone lusterko po stronie kierowcy. Ale nie widać tablicy.

Adam unosi głowę.

– Nic a nic?

– Niestety. Próbowaliśmy różnych ujęć, ale jest zakryta. Może brudna. No i trop urywa się tutaj, za rondem w Clifton.

Ellie wygląda na autentycznie przygnębioną. Adam kładzie jej dłoń na ramieniu w pokrzepiającym geście. Jest zaskoczony, ale także zadowolony z tego, jak szybko jego nowa podwładna nabrała tempa i wdrożyła się w działania zespołu.

– Dobra robota, Quinn – mówi. – Oby tak dalej.

Wstaje od biurka i podchodzi do wiszącej na ścianie białej tablicy. Widnieje na niej rząd liczb zaczynających się od szesnastu, a przy każdej z nich dane ofiary.

Udało się zidentyfikować wszystkie pięć ciał znalezionych w sobotnią noc. Numer szesnaście, Patricia Sullivan, czterdzieści sześć lat, zatrudniona w opiece społecznej. Numer piętnaście, Luke Heller, nie mógł różnić się od niej bardziej. Miejskowy łachudra. Wielokrotnie aresztowany pod zarzutem posiadania narkotyków z zamiarem wprowadzenia ich do dalszego obrotu, ale zawsze były to środki należące do klasy B i w zbyt małych ilościach, by zamknąć go na dłużej.

Oprócz czasu i przyczyny zgonu zgromadzono już tyle informacji, że profile ofiar zaczynają nabierać kształtu. Ale nic ich ze sobą nie łączy. Stanowią bardzo zróżnicowaną grupę, do której należą pospolicie przestępcy i sumienni urzędnicy państwowi. Adam marszczy czoło i z dłońmi splecionymi za głową wpatruje się w nakreślone czarnym markerem litery.

Raport z sekcji zwłok Wayne'a Oxforda nie odbiega od wstępnych ustaleń doktora Rossa. Patolog miał rację co do środka rozrzedzającego krew – w organizmie denata znajdowała się znaczna ilość heparyny. Jednak mimo ponagień Adama ekspertyza śladu linii papilarnych znalezionych na butelce nie przyniosła żadnych rezultatów.

Na górze tablicy Pippa Hoxton uśmiecha się ze zdjęcia. Nie ma przypisanego numeru, co dla Adama jest powodem do radości. To oznacza, że nie jest martwa. Nie jest ofiarą.

Jeszcze.

To słowo zdaje się pulsować w jego głowie.

Obok zdjęcia znajdują się wypisane szczegóły: *VW transporter, czarny (ciemny?); jasnoniebieskie spodnie – workowate.*

Adam przypomina sobie, co powiedział naćpany student, i dopisuje obok: *Pizama?*

A może faktycznie podejrzany nosił pizamę? W końcu było późno. Tylko kto chodzi w pizamie poza domem? Pacjent, który uciekł ze szpitala? To przypuszczenie wydaje się niedorzeczne.

Adam wzdycha i podchodzi do drugiej tablicy. Na niej zespół analityków zapisuje wyniki swojej burzy mózgów na temat znaczenia liczby dwadzieścia.

Suma siedmiu liczb w ciągu Fibonacciego; liczba proniczna; liczba tetrahedralna. Różne matematyczne pojęcia, o których Adam nigdy nie słyszał. Liczba atomowa wapnia. Jedna z liczb magicznych fizyki, cokolwiek to oznacza. Symbol równowagi w numerologii i liczba sektorów na tarczy do darta.

Głupkowata gra na komórkę w App Store. Tytuły filmów, płyt i książek oraz nazwy firm zawierające liczbę dwadzieścia.

Przypadkowe pomysły i skojarzenia zanotowane na wszelki wypadek. Ale żaden z nich nie ma sensu. Żaden nie jest pomocny.

Żadnych tropów. Kompletnie nic.

Adam jest wykończony. Ciężą mu powieki i czuje lekkie zawroty głowy. Wraca do swojego biura i zamyka za sobą drzwi. Musi chwilę odpocząć. Tylko chwilę. Potem zaparzy sobie mocną kawę.

Budzi go gwar podniesionych głosów. Jakaś kobieta wykrzykuje jego imię. Otwierają się drzwi.

Wyrwany ze snu, unosi głowę i patrzy przed siebie mętnym wzrokiem. Przed nim stoi Romilly.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wszystkiego mam się dowiadywać z telewizji? – wyrzuca z siebie, po czym milknie, jakby czekała, aż dotrze do niego jej furia. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Pippa zaginęła?

Adam pociera twarz. Ogarnia go wstyd. Cholera, powinien był jej powiedzieć.

– Byłem trochę zajęty, Milly – odpowiada, pospiesznie doprowadzając się do porządku.

– Aha... No tak...

Z ciężkim westchnieniem Romilly opada na krzesło i ukrywa twarz w dłoniach. Po chwili znów spogląda na byłego męża, z trudem powstrzymując się od płaczu.

– Co się z nią stało? – odzywa się niskim chrapliwym głosem. – To ten sam facet?

– Tak podejrzewamy. Mamy kilka tropów. – Adam zawiesza głos. – Przepraszam, powinienem był zadzwonić, ale skupiłem się na śledztwie. Liczy się każda minuta.

Przygląda się byłej żonie, która milczy ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Widzi, że dzieje się z nią coś jeszcze. Coś więcej niż tylko złość czy troska o zaginioną przyjaciółkę. W przeszłości wiele razy był świadkiem, jak przeżywała tę emocję. To strach.

– O co chodzi, Milly? – pyta.

Po chwili ociągania Romilly sięga do kieszeni i wyjmuje kopertę. Trzęsą jej się ręce, gdy kładzie ją na biurku.

– Dostałam to wczoraj – wyjaśnia.

Pełen złych przeczuć, Adam omiata wzrokiem wycinek z gazety i rozkłada zgiętą na pół kartkę. Czyta.

Musimy porozmawiać.

Potem spogląda na byłą żonę.

– Zrobiłaś to? Rozmawiałaś z nim?

Romilly kręci głową i znowu spuszcza wzrok.

– A powinnam?

Głos jej się łamie i jest blada jak ściana. Adam zdaje sobie sprawę, jak trudne musi być dla niej samo to, że w ogóle bierze taką możliwość pod rozwagę.

– Nie, nie powinnaś. – Ma ochotę dotknąć jej dłoni, ale się powstrzymuje. – On chce przejąć nad tobą kontrolę. Znowu. Wyczuł, jak może do ciebie dotrzeć, i próbuje to wykorzystać.

– A jeśli on o czymś wie?

– Nie wie – odpowiada stanowczo Adam.

Jednak w głębi ducha nie jest tego do końca pewien. A jeśli Romilly ma rację? Jeśli ten obłąkany starzec rzeczywiście jest w jakiś sposób powiązany z tą sprawą? Ale przecież nie wyraził zgody na widzenie. A detektywi, którzy ponownie przeszukali jego dom, niczego nie znaleźli. Co więcej można było zrobić?

– Skąd on w ogóle wie, gdzie mieszkam? – zastanawia się Romilly. – Ma sądowy zakaz kontaktów i mój adres jest zastrzeżony.

– Pewnie zna kogoś, kto zdobył dla niego tę informację. Musi mieć jakichś znajomych. – Adam czuje wzbierający gniew. Zastanawia się, co powinien zrobić, żeby ochronić Romilly przed szaleńcem, który może ją osiągnąć nawet z więziennej celi. – To podpada pod nękanie. Zaraz jeden z moich ludzi spisze twoje zeznania. Trzeba to zgłosić.

– Nie, nie. – Romilly kręci głową. – Podejdę do recepcji. Nie powinnam was odciągać od poszukiwań. To jest najważniejsze.

Zrywa się z krzesła, zabiera z biurka wycinek i list, po czym odwraca się i wychodzi. Zaskoczony Adam reaguje dopiero po chwili.

– Romilly! – woła za nią. – Milly!

Na próżno. Zastanawia się, czy powinien za nią pójść. Zaoferować pomoc? Zapewnić, że może na niego liczyć? Ale przecież to już nie jego rola. Takie rzeczy należą do Phila.

Zawsze podziwiał ją za to, jak stawiała czoła swojej przeszłości. Jakby wcale się jej nie bała. Jakby nic nie mogło jej powstrzymać pomimo tego, co wydarzyło się przed laty. Między innymi właśnie taka jej postawa sprawiła, że się w niej

zakochał. Jego uczucie nigdy nie wygasło, a jedynie przytłumiły je troski i wątpliwości nagromadzone z upływem czasu.

Romilly ma rację. W tej chwili nic nie jest ważniejsze od ratowania Pippy. Na pewno nie oni i ich nieudane małżeństwo. Jednak nie da się zaprzeczyć, że pozostałości ich wspólnego życia utkwily w jego mózgu jak odłamki. A teraz jego podświadomość powoli wypycha je na powierzchnię.

Adam wzdycha i wychodzi ze swojego gabinetu. Jego wzrok przyciąga tablica, na której ktoś dopisał do listy kolejną propozycję. Psalm 20 z biblijnej Księgi Psalmów.

Adam nigdy nie był religijny, a Pismo Święte nie miało dla niego większego znaczenia. Mimo to patrzy teraz na słowa zapisane czarnym flamastrem:

*Niech Pan cię wysłucha w dniu utrapienia,
niech ciebie chroni imię Boga Jakuba.
I myśli o żonie swojego przyjaciela.*

Rozdział 26

Romilly wraca do samochodu. Wciąż się trzęsie. Nie posłuchała Adama i nie złożyła zeznań – musiałaby opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło, a zatem... Nie, po prostu nie może. W tej chwili to niemożliwe.

Zwłaszcza w obliczu tego, co stało się z Pippą. Informacja o porwaniu, którą usłyszała rano w lokalnych wiadomościach, była surrealistyczna, jakby żywcem wyjęta z jej najgorszych sennych koszmarów. W dodatku Adam nie odbierał telefonu, kiedy próbowała się do niego dodzwonić.

Teraz podskakuje wystraszona, gdy w jej kieszeni zaczyna wibrować komórka. Dzwoni Phil. To on poprzedniego wieczoru poradził jej, żeby zwróciła się do Adama, czym wprowadził ją w bezbrzeżne zdumienie. On będzie wiedział, co robić, stwierdził, po raz pierwszy zdając się na jej byłego męża.

– No i? – rozlega się w słuchawce głos Phila. – Co powiedział?

– Żeby się z nim nie kontaktować.

– W takim razie wszyscy jesteśmy zgodni.

Romilly nie odpowiada. Wyjmuje z kieszeni list i kładzie go na kolanach. Koperta jest teraz nieco wymięta i przybrudzona, ale działa na nią tak samo jak wtedy, gdy wyjęła ją ze skrzynki na listy.

– Rom? – odzywa się jej partner. – Czyżbym się mylił?

– Nie.

– Czyli nie wybierasz się z wizytą do więzienia?

– Nie.

– Obiecujesz? Proszę, Romilly. Wiesz, że to nie wyjdzie ci na dobre. Zadzwoń do doktor Jones, jeśli tego potrzebujesz, ale nie kontaktuj się z nim.

Romilly wyobraża sobie, jak Phil stoi na środku gabinetu z dłonią opartą na biodrze, przekonany o słuszności własnego zdania. Pamięta, jak oceniła go Pippa, gdy spotkali się po raz pierwszy. Jest taki poukładany, szepnęła z przejęciem, jakby rozsądny i logicznie myślący mężczyzna był jakimś fantastycznym stworem. Jednorożcem wśród kucyków z New Forest. Rzadko występujący na wolności, a jeszcze bardziej niezwykły, skoro dobrowolnie poddaje się usidleniu. Ale zamiast cieszyć się stabilizacją i spokojem, Romilly odnosi wrażenie, że doskonałość Phila podkreśla jej wady. W porównaniu z nim wydaje się jeszcze bardziej szalona.

– Muszę kończyć – mówi. – Chciałabym zobaczyć, co u Jamiego.

Rozłącza się, a potem podnosi kopertę i chowa ją z powrotem do kieszeni. Ma ochotę ją spalić, pozbyć się jej na zawsze, ale wie, że nigdy tego nie zrobi.

Ten kawałek papieru ma nad nią władzę. Rządzi nią tak samo jak on.

Rozdział 27

Wraca temat odcisku palca. Adam przerywa rozmowę, kiedy do sali wchodzi Maggie Clarke. Jej strój, zwykle ukryty pod białym kombinezonem ochronnym, mieni się bogactwem jaskrawych barw kwiecistych wzorów. Pstrokaczna i wyraziste, kontrastujące motywy zdają się wyrażać jej bunt przeciwko dyscyplinie i uporządkowaniu, których wymaga od niej praca.

– Powiedz mi coś pocieszającego – wzdycha Adam.

Dookoła panuje cisza, którą przerywają tylko pojedyncze szepty. Detektywi nie przestają pracować, ale wytyżają słuch w nadziei na jakąś przełomową wiadomość. Nie mogą się doczekać konkretnych tropów.

Maggie marszczy czoło.

– Przykro mi. Nie mamy niczego, co dałoby się wykorzystać.

– A ślady w domu Hoxtonów?

– Tak samo. Nic przydatnego. Ale przynajmniej Ross potwierdził, że butelka mogła posłużyć jako narzędzie zbrodni. No i mam coś więcej na temat włókien. – Maggie wręcza Adamowi zadrukowaną kartkę i mówi dalej: – Przeanalizowaliśmy skład. To jest dakron.

– To znaczy? – pyta zniechęcony Adam.

Ogarnia go frustracja. Ten odcisk palca mógł ich zaprowadzić prosto do mordercy. Do Pippy.

Szefowa sekcji kryminalistycznej spogląda na niego przepraszająco.

– Nazwa handlowa – wyjaśnia. – Ale to akurat na niewiele wam się zda. Nie udało nam się ustalić, jakiej grubości była lina. Nawet jeśli założymy, że sprawca użył jej do wiązania ofiar, nie dowiemy się, gdzie ją kupił.

Adam ponownie spogląda na wynik ekspertyzy.

– Liny wspinaczkowe, takielunek, sieci, drabiny sznurowe... – czyta na głos, przesuwając palcem wzdłuż listy.

– Nie zapominaj o branży filmowej i teatralnej.

– Cholera, Mags. Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się coś przeoczyć? – Adam wzdycha i odkłada kartkę. – A materiał DNA? Krew? Ślina? Znaleźliście coś na sierści psa?

– Na sierści psa? – powtarza Maggie ze zmieszaną miną. – Sprawdzę to. W każdym razie tymczasem nie mamy nic, ale czekamy jeszcze na próbki tkanek i płynów od doktora Rossa. Przykro mi, Bishop.

Kładzie Adamowi dłoń na ramieniu, a srebrne bransolety na jej nadgarstku cicho pobrzękują. Adam czuje przypiływ otuchy, ale nie chce, żeby ta ulotna chwila bliskości coś między nimi wskrzesiła. Już nie, myśli i odsuwa się od niej.

– Niestety nic lepszego dla ciebie nie mam – dodaje Maggie i pośpiesznie opuszcza biuro.

Adam zazdrości jej tego, że może po prostu sobie wyjść, bo wykonała swoje zadanie – a przynajmniej jego część – i zająć się następnym.

Zapada wieczór i w biurze zapalają się lampy. Detektywi przerywają pracę, żeby zamówić pizzę. Kawa leje się strumieniami. Na monitorach pojawiają się kolejne kadry z monitoringu, na których widać ciemne furgonetki o wyglądzie volkswagena transportera. Spływają notatki funkcjonariuszy prowadzących wywiad w terenie. Adam czyta je wszystkie, ale nie widzi żadnych konkretów. Czas płynie.

Dzwoni Jamie. Choć przydzielono mu koordynatora policyjnego specjalnie przeszkolonego do współpracy z rodzinami ofiar, woli porozmawiać z Adamem.

– Żadnych postępów – informuje go Adam.

Wie, że sprawa przyjacielowi zawód. Chciałby móc powiedzieć mu cokolwiek, byle nie trzymać go w niepewności.

– W porządku, stary – odpowiada Jamie beznamiętnym tonem.

– Maggie powiedziała, że jej ludzie skończyli oględziny... twojego domu. – Adam w porę gryzie się w język, żeby nie powiedzieć „miejsca zdarzenia”. – Możesz tam już wrócić.

Na linii zapada milczenie. Gdy Jamie w końcu się odzywa, głos mu się łamie.

– Nie wiem, czy chcę. Bez niej to nie jest dom.

Adam nie wie, co na to powiedzieć. Jest mu wstyd, ale czuje ulgę, gdy w drzwiach biura widzi szefa.

– Muszę kończyć – mówi. – Przyszedł Marsh.

Rozłącza się i czuje suchość w ustach. Rozpoznaje to spojrzenie, te ociężałe ruchy nadkomisarza, który idzie między rzędami biurek, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

Adam wstaje, ale jego nogi wydają się ciężkie jak betonowe bloki. Stoi nieruchomo.

– Szefie?

– Przykro mi, Adamie – odzywa się Marsh z grobową miną.

– Znalezione ciało. I jest to ciało kobiety.

Rozdział 28

Ciało znaleziono kilka minut po ósmej wieczorem na placu zabaw w peryferyjnej dzielnicy mieszkaniowej. Około godziny jazdy od komendy policji. Martwa kobieta. Ale kto to taki? I jak zginęła? Adam siedzi w radiowozie pędzącym na miejsce znalezienia zwłok i czuje wzbierającą panikę. Gorączkowo domaga się szczegółów, ale nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi na jego pytania. Brakuje mu Jamiego, który zawsze wiedział, co robić, zanim jeszcze usłyszał polecenie. Myśli o nim, czekając na nowe informacje, i modli się po cichu. Żeby tylko to nie była ona. Ale jeśli nie Pippa, to kto?

Za jego plecami siedzą na tylnej kanapie Ellie Quinn i posterunkowy Tim Lee, którzy w milczeniu czekają na rozwój wypadków. Mimo opóźnienia docierają na miejsce jako jedni z pierwszych. Zatrzymują się za ambulansem i Adam rusza biegiem w stronę kilku osób stojących w głębi parku. Światło latarek i kamizelki odblaskowe nie pozostawiają wątpliwości, że dzieje się coś poważnego.

Ratownik medyczny pochyla się zgięty wpół z rękami opartymi na kolanach. Umundurowany policjant stoi obok ciemnego kształtu rozciągniętego na ziemi. Jego kolega rozmawia z dwójką ludzi, którzy gorączkowo wymachują rękami i zerkają ukradkiem w stronę leżącej postaci.

– Nadinspektor Bishop – przedstawia się Adam, podchodząc do mundurowego. – Co tu mamy?

Funkcjonariusz odsuwa się na bok i oświetla latarką ciało. Ofiarą jest młoda kobieta. Jej martwe oczy spoglądają w niebo, a otwarte usta zastygły w krzyku, którego nikt nie usłyszał. Adam przygląda się ze skupieniem jej twarzy zmienionej nie do poznania. Za życia Pippa była zupełnie inna, zawsze tryskała energią i uśmiechała się promiennie.

Ale potem uświadamia sobie, że to nie ona. Ta kobieta ma brązowe włosy, a Pippa jest blondynką. Nie są do siebie ani trochę podobne. Gwałtowny przypływ ulgi szybko ustępuje miejsca smutkowi i poczuciu winy. Ta kobieta nie jest żoną Jamiego, ale na nią również ktoś pewnie czeka w domu.

– Znaleźli ją kwadrans po dwudziestej i zadzwonili pod numer alarmowy – relacjonuje policjant. – Tamtych dwoje. Dyspozytor chciał ich poinstruować, żeby udzielili jej pierwszej pomocy, ale powiedzieli, że to bezcelowe. Wystarczy na nią spojrzeć.

Adam bierze od niego latarkę i oświetla ciało. Ofiara leży na plecach, ma podwinięte nogi i głowę przekrzywioną pod nienaturalnym kątem. Jej klatka piersiowa jest jedną wielką raną. W blasku latarki połyskuje krew. Mnóstwo krwi. Między strzępami poszarpanej brutalnie skóry widać odsłonięte wnętrzności i żebra.

– Czy ktoś jej dotykał?

– Nie. Przyjechało pogotowie, ale ratownicy nawet się do niej nie zbliżyli. – Mundurowy pokazuje mężczyznę w zielonym kombinezonie, który wciąż stoi zgięty wpół. – Ten facet zwymiotował, a drugi wrócił do karetki. Przypomniałem sobie, że na naszym posterunku mówili

o ciałach, które znaleźliście w sobotę, więc poprosiłem dyspozytora, żeby zawiadomił wydział zabójstw.

– Świetny pomysł – przyznaje Adam, po czym obraca się do Quinn, która z dłonią przy ustach wpatruje się w zmasakrowane zwłoki. – Ellie, ściągnij tu, kogo się da. Potrzebujemy więcej ludzi. Świadkowie, monitoring, typowe czynności. Zadzwoń po techników i patologa. Quinn?

Spogląda na bladą twarz swojej nowej podwładnej. Ellie sprawia wrażenie, jakby nie słyszała, co do niej przed chwilą powiedział. Szczerze jej współczuje – prawdopodobnie właśnie pierwszy raz zobaczyła na własne oczy ofiarę brutalnego morderstwa. Żałuje, że ją ze sobą zabrał, ale teraz nie może się nad nią rozczulać.

– Posterunkowa Quinn? Wszystko w porządku? Potrzebujesz chwili, żeby ochłonać?

– Nie, szefie, nic mi nie jest. – Ellie kręci głową, próbując dojść do siebie. – Dam sobie radę.

Adam znów zwraca się do funkcjonariusza z patrolu:

– Mógłbyś pomóc posterunkowemu Lee? Trzeba ogrodzić cały teren, obstawić wszystkie bramy i ścieżki. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść.

Ellie zbiera się do odejścia, ale przystaje i ogląda się przez ramię.

– Nie przypuszczałam... – zaczyna i znowu energicznie kręci głową. – Nie przypuszczałam, że będę tak dziwnie się czuła.

Rusza dalej wolnym krokiem i wyciąga komórkę z kieszeni. Adam wie, o co jej chodzi. To, co tutaj zobaczyła, wydaje się

jej nierealne. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi? Czy taka potworność pozostała bez wpływu na jego psychikę? Morderca musi dźwigać brzemię swojego czynu. Nie może ot tak wtopić się w otoczenie. Na pewno zdradzi go nerwowe zachowanie.

Z oddali dobiega niewyraźny głos Quinn, która przez radio przekazuje szczegóły dyspozytorowi, potwierdza lokalizację i prosi o przysłanie posiłków. Adam słyszy jej słowa, ale ich znaczenie dociera do niego dopiero po chwili. Kieruje latarkę na twarz ofiary, a snop światła prześlizguje się po szklistych oczach i otwartych ustach.

– Każdego, kto jest wolny. – Quinn powtarza zgłoszenie. – Tak, na osiedle w Monk's Hill. PO dziesięć... – Przerywa i zwraca się do stojącego obok posterunkowego: – Jaki tu jest kod pocztowy?

PO10. Adam przesuwając światło i po raz pierwszy jego uwagę przyciąga znak na czole martwej kobiety. Przygląda się głębokim nacięciom, w których połyskuje krew.

Liczba dziesięć. Dwie skrzyżowane linie wycięte z nienawistną furią w skórze ofiary.

Rozdział 29

Wszystko dzieje się tak wolno. Tak cholernie wolno. Adam nagłym tonem wydaje rozkazy mundurowym, którzy przybywają na miejsce zbrodni w małych grupkach. Tej nocy w mieście wiele się dzieje i rezerwy są skromne. Technicy już zabierają się do pracy, ale park jest zbyt duży. Mrużąc oczy, Adam przygląda się mapie na ekranie smartfona. Pięć alejek rozchodzących się w różne strony i mnóstwo miejsc, w których sprawca mógłby się ukryć, jeśli wciąż tu jest, chociaż to mało prawdopodobne.

Teren został ogrodzony i biało-niebieska taśma trzepocze w podmuchach mroźnego wiatru. Ellie Quinn kończy rozmowę z dyżurnym w komendzie i chowa komórkę.

– W tej chwili analitycy przeglądają nagrania z monitoringu – melduje Adamowi, stojąc ze zwieszoną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki.

– Świetnie. A tamtych dwoje, którzy znaleźli ciało?

– Nie ma z nich większego pożytku. Są przerażeni i zmęczeni. Pojechali na posterunek, żeby złożyć zeznania, ale z rozpytania wynika, że nie zauważyli tutaj nikogo podejrzanego. – Ellie zerka w stronę dużego niebieskiego namiotu, którym osłonięto ciało. – Trudno będzie nie zauważyć tego faceta, prawda?

Adam przytakuje. Na podstawie stanu zwłok można stwierdzić, że sprawca jest cały we krwi. Krew na ubraniu, na

dłoniach, na twarzy... Ktoś taki rzuca się w oczy.

Stan psychiczny też może go zdradzić. Nie da się tak okrutnie zmasakrować drugiego człowieka i spokojnie pójść sobie dalej, jak gdyby nigdy nic. Ogarnięty paniką i zdesperowany sprawca musi zwrócić na siebie uwagę gorączkowym zachowaniem.

– A co ty byś zrobiła?

Ellie patrzy na szefa z niedowierzaniem.

– Co? Gdybym bestialsko zadźgała kobietę w parku?

– Tak.

– Myślę, że uciekłabym tam, gdzie czuję się bezpiecznie. Do domu albo w jakieś dobrze znane miejsce.

– To ma sens.

– Albo... gdybym miała nierówno pod sufitem i nadal czuła zew krwi... – Ellie zawiesza głos. – Szukałabym kolejnej ofiary.

Adam marszczy czoło.

– Miejmy nadzieję, że w grę wchodzi to pierwsze.

Adam odsyła Ellie Quinn i posterunkowego Lee z powrotem do komendy. Sam zostaje w parku i przygląda się pracy techników. Ludzie Maggie Clarke działają jak dobrze naoliwiona maszyna, a ich sprawne, zgrane ruchy przywodzą na myśl zawiły układ choreograficzny. Jednak Adam nie czuje ulgi, kiedy na nich patrzy. Z zimna drętwieją mu stopy i bolą zmarznięte dłonie, ale czerpie z tego masochistyczną satysfakcję. Uważa, że należy mu się pokuta – ofiar ciągle przybywa, a on nie potrafi powstrzymać mordercy.

Powoli wkłada biały kombinezon ochronny, rękawiczki i maseczkę, po czym podnosi połę namiotu. Czuje się oderwany od tego, co widzi przed sobą – w ciągu ostatnich kilku dni zdążył zobojętnieć. W blasku reflektorów odbitym od niebieskich polietylenowych ścian krew jest czarna, a skóra martwej kobiety przypomina białą gumę. Obok niej klęczy doktor Ross.

– Nie liczyłbym na jakikolwiek materiał – odzywa się, wskazując głową na jednego z techników, który pobiera wymaz spod paznokci ofiary. – Nie zdążyła nawet mrugnąć. Na plecach dwie głębokie rany klute, a z przodu coś, co w ogóle trudno opisać.

Wstaje i przeciąga się, kilka razy przechylając głowę na boki. Adam kuca nad ciałem i po raz pierwszy przygląda się z bliska zmasakrowanej klatce piersiowej. Wodzi wzrokiem po krwawych strzępach skóry okalających nierówne brzegi olbrzymiej rany.

– Myślisz, że... – Przerywa, by zapanować nad drżeniem głosu, po czym zaczyna jeszcze raz: – Myślisz, że to ten sam sprawca?

Ross kiwa głową.

– Mam taką nadzieję. Nie chcielibyśmy, żeby dwóch szaleńców grasowało po mieście i masakrowało ludzi – odpowiada z ponurą miną. – Użył noża albo czegoś podobnego. Postaram się to ustalić w prosektorium. Pobierzemy wymazy jak poprzednio. Mam nadzieję, że facet sam się drasnął przy okazji. Nie był szczególnie uważny.

Adam prostuje się i otwiera usta, by podziękować patologowi, gdy słyszy dobiegający z zewnątrz gwar. Czyjeś

krzyki. Znajome głosy. Pochyla się i szybko wychodzi z namiotu. Za taśmą otaczającą miejsce zbrodni stoi Jamie.

– To ona?! – krzyczy zdesperowany, gdy widzi swojego szefa.

– Nie, stary, nie! To nie ona!

Jamie chwieje się, jakby miał upaść, i stojąca obok Romilly podtrzymuje go ramieniem. Adam zadzwonił do niego, gdy tylko dokonał wstępnych oględzin, ale sierżant najwyraźniej nie był pewny, czy może mu wierzyć.

– Byłam z Jamiem, kiedy zadzwoniłeś – tłumaczy się Romilly.

– Prosiłem, żebyś trzymała się z daleka od tej sprawy. Nie możesz w niczym pomóc.

– Ale to ten sam sprawca?

– Tak przypuszczamy.

– No więc gdzie ona jest? – odzywa się zrozpaczony Jamie.

– Gdzie jest Pippa?

Adam milczy. Nie ma nic do powiedzenia. Romilly wbija w niego wzrok.

– Muszę tam iść, Adamie – mówi w końcu.

– To niczego nie zmieni.

– Zmieni i dobrze o tym wiesz.

Jamie przygląda się im z rosnącym niepokojem. Romilly dostrzega jego konsternację.

– Dostałam list – wyjaśnia. – Od niego. Chce, żebym go odwiedziła, bo musi ze mną porozmawiać.

– Więc idź do niego! – Jamie niemal krzyczy. – Proszę.

Adam kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Jamie – mówi łagodnie. – Romilly nie powinna tego robić. Jemu właśnie o to chodzi.

– A jeśli on coś wie? Przecież warto spróbować, jeśli istnieje chociaż cień nadziei, nie?

Adam słyszy desperacką nutę w głosie przyjaciela. Kiedy patrzy na minę byłej żony, nie ma wątpliwości co do jej zdania.

– Milly, tak ciężko pracowałaś, żeby się od tego uwolnić – mówi. – Teraz czujesz się o wiele lepiej.

Romilly kręci głową.

– Nic mi nie będzie. A Jamie ma rację. On może coś wiedzieć. Siedzi w więzieniu z różnymi szaleńcami. Może słyszał jakieś plotki? A jeżeli chodzi o kogoś, kto właśnie wyszedł na wolność?

– Nie podoba mi się to.

– Ale nie masz nic do gadania – odpowiada stanowczo Romilly.

Adam patrzy jej w oczy. Zdaje sobie sprawę, że ten człowiek ma na nią ogromny wpływ. Pamięta, jak dostawała ataków paniki i jak budziła się z krzykiem, gdy śniły się jej koszmary. Widział, jak płakała godzinami po sesjach z terapeutką.

– To bardzo niebezpieczny człowiek – mówi spokojnym tonem i po raz pierwszy od rozvodu chwyta jej dłoń. – Porwał pięć kobiet, które torturował i gwałcił. Cztery z nich zamordował. Będzie tobą manipulował tak jak wtedy, zresztą nigdy nie przestał tego robić.

Romilly uwalnia dłonie z jego uścisku i cofa się o krok. Spogląda na pobladłą, wykrzywioną udreką twarz Jamiego.

– Pójdę do niego – oświadcza stanowczo. – Pójdę zobaczyć się ze swoim ojcem.

Miejscowy lekarz oskarżony o cztery morderstwa

„Hampshire Chronicle”, 20 listopada 1995

Sprawa zaginięcia czterech kobiet osiągnęła smutny finał, gdy miejscowy lekarz, doktor Elijah Cole, został aresztowany w swoim domu przy Gloucester Road. Podczas przeszukania jego posesji policja odkryła częściowo rozłożone ciała trzech zaginionych kobiet – Rebekki Sparkes, Claire Charters i Nicoli Henshaw – spoczywające w płytkich grobach w zagajniku. Zwłoki czwartej kobiety, niedawno zmarłej Grace Summers, leżały w murowanym budynku gospodarczym. Znalaziono również żywą kobietę, która została przewieziona do szpitala. Lekarze określają jej stan jako stabilny. Ponieważ nie figuruje w rejestrze osób zaginionych, policja nadal poszukuje jej najbliższych krewnych. Jej nazwisko zostanie podane do publicznej wiadomości w odpowiednim czasie.

Na tym etapie policja nie wydała oświadczenia, jednak wszystkie pięć kobiet od momentu zaginięcia, czyli przez ostatnie cztery miesiące, znajdowało się w rękach Cole'a, który w tym czasie więził je, gwałcił i torturował. Podobno na jego odludnej posesji znalaziono liczne przyrządy służące do unieruchamiania ofiar, między innymi klatki, łańcuchy i kajdany.

Okoliczni mieszkańcy są w szoku, gdyż doktor Cole cieszył się wśród nich szacunkiem i zapewniał im opiekę medyczną

w swoim gabinecie przy Cannon Street. Jeden z nich wyznał: „Nie do wiary. To taki czarujący człowiek, filar naszej społeczności”.

Podobno to jedenastoletnia córka doktora Cole'a zawiadomiła policję, jednak nie znamy więcej szczegółów. Dziewczynka, którą zajęła się opieka społeczna, prawdopodobnie nie jest powiązana z morderstwami.

Dzień 6
Czwartek

Rozdział 30

Mimo upływu czasu Romilly czuje się tak samo jak przed laty, gdy wjeżdża na parking zakładu karnego Belmarsh. Przez całą dwugodzinną podróż miała ochotę zawrócić, ilekroć zbliżała się do zjazdu z autostrady. A jednak dojechała do celu. Chociaż instynkt zawzięcie protestował, jakaś wewnętrzna siła ciągnęła ją do niego. Coś kazało jej zobaczyć się z człowiekiem, który ponad ćwierć wieku temu zrujnował jej życie.

Phil zaproponował, że dotrzyma jej towarzystwa, i nie mógł zrozumieć, dlaczego się nie zgodziła. Potraktował jej odmowę osobiście i w pewnym sensie trudno mu się dziwić. Gdyby Adam złożył jej taką propozycję, prawdopodobnie nie miałyby nic przeciwko.

Zawsze odnosiła wrażenie, że Phil jej nie rozumie. Jego rodzice to normalni, sympatyczni ludzie – mama jest bibliotekarką, a ojciec emerytowanym inżynierem. Phil dorastał i chodził do szkoły w tym samym mieście, w którym się urodził. Nie ma pojęcia, co to znaczy być dzieckiem seryjnego mordercy. Nosić nazwisko, które wszystkim kojarzy się ze zbrodnią. Nie ma pojęcia, jak się czuła, gdy musiała nagle opuścić dom i nie zdążyła nawet zabrać swoich rzeczy ani ubrań; gdy zamieszkała z obcą rodziną, gdzie

wszyscy patrzyli na nią ze strachem i nieufnością; gdy wzbudzała popłoch i słyszała szeptów za plecami.

Phil widzi jej sytuację w czarno-białych barwach. Uważa, że skoro jej ojciec był złym człowiekiem, postąpiła słusznie, że się od niego odcięła. Ale to wszystko nie jest takie proste.

Adam zaś dostrzega odcienie szarości. Wewnętrzne rozdarcie między miłością do rodziców a nienawiścią. Uczucie opuszczenia, które pojawia się w jednej chwili, gdy ktoś najbliższy zawodzi nasze zaufanie w niewyobrażalny sposób.

Romilly miała sześć lat, kiedy umarła jej matka. Od tamtego czasu ojciec był całym jej światem. Nie miała innych krewnych, a jej przyjaciółki można było policzyć na palcach jednej ręki. Elijah Cole, zapracowany lekarz, wychowywał ją samotnie. Jeździła z nim na wizyty domowe i czekała w samochodzie z książką albo kolorowanką. Przesiadywała za ladą recepcyjną, a pielęgniarki i rejestratorki były jej niańkami. Ojciec starał się najlepiej, jak potrafił. Zabierał ją do parku, na basen albo na plażę. Dbał o nią na co dzień. Czasami domowe obiady bywały przypalone i niejadalne, ale takie lubiła najbardziej, bo wtedy szli na rybę z frytkami, tłustą i pyszną, którą jedli na murku okalającym park. Do dziś myśli o nim, ilekroć czuje smak soli i octu.

Trudno jej było oddzielić tę postać – ukochanego ojca – od demona, który zamordował wszystkie te kobiety. Nawet kiedy natknęła się na klucze od szopy pozostawione omyłkowo na kuchennym stole, kiedy poszła do ogrodu i otworzyła drzwi, kiedy poczuła woń ekskrementów i śmierci, nawet wtedy długo się wahała.

Z początku policjanci jej nie wierzyli. Wzięli jej zgłoszenie za głupi dowcip. Mundurowi, którzy zjawili się wkrótce, mieli pobłażliwe miny.

– Proszę wybaczyć, doktorze Cole, ale czy nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli rozejrzemy się po pańskim domu? To na pewno nic poważnego. Do szopy również chcielibyśmy zajrzeć.

Rozmawiali nawet żartobliwym tonem, sprawdzając sypialnie na piętrze, kuchnię i salon. Zobaczyli to, co było widoczne dla każdego. Normalność, przyjemną otoczkę. Zatem czy to dziwne, że Romilly tęskniła za ojcem? Czy to dziwne, że go kochała?

Ale potem ich uśmiechy znikły, gdy Elijah otworzył drzwi szopy. Wcale się nie ościagał. Spojrzał na Romilly, która przyglądała się, stojąc na środku ogrodu, i puścił do niej oko. W tej samej chwili zszokowani policjanci założyli mu kajdanki i odczytali jego prawa. Wezwali ambulans, potem sprowadzono psy tropiące, które znalazły ciała w zagajniku.

Romilly stanowczym gestem wyjmując kluczyk ze stacyjki. Przyjechała na miejsce. Zobaczy się z ojcem po raz pierwszy od jego aresztowania. Dla Jamiego. Dla Pippy.

Kiedy złożyła wniosek o widzenie, zaskakująco szybko otrzymała pozytywną odpowiedź.

– Spodziewa się ciebie – powiedział Adam z zatroskaną miną.

– Poradzę sobie – zapewniła go. – Wszystko będzie dobrze. Ale teraz nie jest tego taka pewna.

Kieruje się do wejścia dla odwiedzających, pokazuje dokumenty, zostawia swoje rzeczy w szafce depozytowej i wpisuje się do ewidencji.

– A więc przyszła pani – mówi strażnik i uśmiecha się do niej. – Doktor nie może się doczekać.

Ma pomiętą koszulę, na której ciemnieje plama od kawy. Wprowadza ją do niewielkiego pokoju, w którym stoi przykręcony do podłogi metalowy stolik i dwa plastikowe krzesła. Romilly siada twarzą do wejścia i zwilża zaschnięte usta, wypijając łyk wody ze styropianowego kubka, który podał jej strażnik. Nie może zapanować nad drżeniem dłoni, więc kładzie je na blacie, a potem wsuwa pod pachy, krzyżując ręce na piersi. Jest rozpalona i poci się z nerwów, a jej serce bije jak oszalałe.

Podskakuje wystraszona, kiedy drzwi otwierają się z metalicznym szczęknięciem. Unosi głowę i spogląda w prawie czarne oczy swojego ojca.

– Romilly! Tak się cieszę, że przyszłaś – mówi Elijah Cole z ciepłym uśmiechem.

Zachowuje się, jakby beztrąsko spacerował po parku, nie przywiązuje zbyt wiele wagi do tego, co dzieje się dookoła. Nosi dżinsy i granatową koszulę w kratę. Jego tenisówki są nieskazitelnie czyste – widać, że nigdy nie miały kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie jest skuty kajdankami.

Podchodzi do stolika i zajmuje wolne krzesło. Strażnik staje pod ścianą w głębi pomieszczenia i krzyżuje ręce na szerokiej piersi. Zwraca uwagę tylko na więźnia, jakby w pobliżu nie było nikogo innego. Romilly czuje się bardziej onieśmielona niż pokrzepiona jego obecnością.

– Nie przyszedłam tu do ciebie – odzywa się do ojca po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat. Musi odchrząknąć, bo słowa więzną jej w gardle i ma ochrypły głos. – Powiedz mi, co się dzieje z Pippą Hoxton. Co wiesz o tym mordercy?

Doktor Cole uśmiecha się szeroko.

– Zajmujesz się tą sprawą? To ciekawe. Swoją drogą miło, że pozostałaś przy swoim imieniu. Matka ci je wybrała.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie.

Romilly nie potrafiłaby zliczyć, ile razy zastanawiała się nad zmianą imienia i nazwiska. Co roku, kiedy w rocznicę aresztowania dzwoniли do niej dziennikarze. Za każdym razem, kiedy jakiś pasjonat true crime wpadał na jej trop i chciał przeprowadzić z nią wywiad. Ale w końcu dochodziła do wniosku, że nie będzie się ukrywać. Przecież nie zrobiła nic złego – tej myśli trzymała się kurczowo przez całe życie.

Postanawia spróbować jeszcze raz.

– Co wiesz o Pippie Hoxton?

Jej ojciec przechyla głowę.

– Znasz ją? – pyta. – To dla ciebie chyba coś osobistego.

– Przestań mnie zwodzić – rzuca Romilly surowym tonem.

– Albo mi powiesz, co wiesz, albo w tej chwili wychodzę.

Elijah rozpira się na krześle. Na jego twarzy pojawia się uśmiech zadowolenia.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś silna. Że coś w sobie masz. Udowodniłaś to, kiedy zadzwoniłaś na policję. Powinienem był się tego spodziewać. Popełniłem błąd.

Romilly milczy. Nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Wybaczam ci – kontynuuje ojciec.

– Ty wybaczasz mnie?

– Tak. Że wezwałaś policję. Myślałem, że gramy w jednej drużynie. Ty i ja przeciwko całemu światu. Po śmierci twojej matki.

– Zamordowałeś cztery kobiety! – Romilly podnosi głos.

Potem przypomina sobie słowa doktor Jones. „Nie pozwól mu przejąć kontroli. To od ciebie zależy, jak na niego zareagujesz. Wyłącznie od ciebie”.

– Nie chciałem ich zabijać, ale posunąłem się trochę za daleko. Nie zniosły tego. A byłoby ich więcej, gdybyś mnie nie powstrzymała. Wiedziałem, że musisz mnie powstrzymać. – Elijah zawiesza głos, po czym spogląda na córkę i dodaje: – To był sprawdzian. Zdałaś go śpiewająco.

Romilly nie odwraca wzroku, gdy ich spojrzenia się spotykają.

– A więc zostawiłeś te klucze celowo...

Zawsze się zastanawiała, co by było, gdyby nie znalazła ich tamtego dnia na kuchennym stole. Gdyby później wróciła ze szkoły. Gdyby ojciec je zauważył i schował. Jak długo by to jeszcze trwało? Ile kobiet zdążyłby zamordować?

A teraz zna odpowiedź. Jej ojciec porywałby kobiety, gwałcił je i mordował, dopóki ktoś by go nie powstrzymał.

– Oczywiście, że tak. Chyba nie sądziłaś, że byłbym tak głupi, co? – Elijah sięga nad stołem do twarzy córki, ona jednak szybko się cofa. – Moje biedactwo. Robiłaś sobie wyrzuty przez te wszystkie lata? O to, że wsadziłaś tatusia do więzienia?

– Zasłużyłeś, żeby tu trafić.

– Owszem, ale nie wiedziałem, jak bardzo mogę cię przycisnąć. Jak daleko się posuniesz. No i cóż, przerosłaś moje oczekiwania. Ale sam tego chciałem. Czułem coś, nad czym nie potrafiłem zapanować. Tak samo jak ty nie byłaś w stanie się oprzeć i przyszłaś dzisiaj mnie odwiedzić.

Romilly nie może dłużej słuchać tego głosu, który zdaje się wciągać ją w otchłań przeszłości. Ze zgrzytem odsuwa krzesło i szybkim krokiem rusza do drzwi.

– Myślisz, że jestem zamieszany w to porwanie, prawda? – dodaje doktor Cole i patrzy, jak jego córka zastyga w bezruchu i zaciska kurczowo dłoń na klamce; jak bierze głęboki wdech, próbując siłą woli zapanować nad kołataniem serca i poskromić strach. – Ale jak to sobie wyobrażasz?

– Liczby – odpowiada Romilly. – Te, które wyryłeś w futrynie.

– Myślisz, że ktoś mnie naśladuje? Kontynuuje to, co zacząłem? Dlaczego miałyby to robić? Co by na tym zyskał? – Elijah milknie na chwilę i jego twarz przybiera nieobecny wyraz. – Bo ja przynajmniej wiedziałem, że te kobiety są moją własnością. Należały do mnie. Mogłem z nimi robić, co chciałem. W tej szopie byłem królem, a one szybko się przekonały, że nie warto mi się sprzeciwić.

Romilly zaciska powieki, jakby chciała uciec w głąb siebie. Zdaje sobie sprawę, że jej ojciec celowo mówi takie rzeczy i rozkoszuje się jej reakcją. Mimo to nie może zapanować nad obrzydzeniem. Czuje się brudna, kiedy słucha jego słów. Oczywiście wiedziała o wszystkim. Wiedziona instynktem samozachowawczym już dawno przestała czytać gazety, jednak nie zdołała uniknąć doniesień medialnych o procesie.

Ani wywiadów, które pojawiły się później – „Daily Mail” zapłacił swoje pięćdziesiąt srebrników za całą prawdę prosto z ust Dobrego Doktora.

Uderza kilka razy otwartą dłonią w drzwi. Spogląda na stojącego pod ścianą strażnika, ten jednak nie reaguje.

– Zdenerwowałem cię – odzywa się Elijah. – Przepraszam.

– Masz to wszystko w dupie – warczy Romilly. – Nie obchodzi cię, że teraz giną ludzie, tak samo jak nie obchodziły cię kobiety, które zamordowałeś.

– Och, wręcz przeciwnie! Obchodzą mnie, bo ty się nimi przejmujesz. Ty i twój ukochany Adam. – Elijah kręci głową.

– Nie jest mi przykro z powodu waszego rozstania. Nie dorastał ci do pięt, ale mogłem się domyślić, że wyjdiesz za gliniarza. Zawsze podobali ci się policjanci.

Romilly naciska klamkę, ale drzwi nie ustępują. Znowu uderza w nie dłonią.

– Proszę mnie wypuścić – zwraca się do strażnika, który jednak wciąż zdaje się jej nie zauważać. – Proszę mnie wypuścić!

Klawisz spogląda na jej ojca i dopiero gdy ten przyzwalająco kiwa głową, odpina klucze od pasa i podchodzi do drzwi.

– Rób, co uważasz za stosowne – mówi doktor Cole. – Jakkolwiek szalone może się to wydawać. Nawet zepsuty zegar dwa razy w ciągu doby nie kłamie.

Ale Romilly nie odpowiada. Bez słowa pożegnania wybiega z pokoju widzeń i pędzi korytarzem do wyjścia. Byłe dalej od człowieka, który prześladował ją całe życie.

Rozdział 31

Adam odbiera telefon i od razu przechodzi do rzeczy.

– I co powiedział? – pyta, ale zamiast odpowiedzi słyszy tylko ciężki, przyspieszony oddech. – Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku – dyszy Romilly, z trudem wciągając powietrze. – A on...

Nagle przerywa i zaczyna szlochać, a Adam przeklina się w myślach za to, że nie pojechał z nią do Belmarsh. Ale przecież musi kierować śledztwem, ratować Pippę. Nie może porzucić swoich obowiązków nawet na chwilę. Siedzi teraz za biurkiem i patrzy na swoich ludzi, którzy wciąż przeglądają nagrania z monitoringu, studiują raporty z wywiadów w terenie i analizują zeznania świadków.

– Strasznie mi przykro.

– Nie, daj spokój. Dobrze zrobiłam, że do niego poszłam, ale on nic nie wie. Miałeś rację, wykorzystał okazję, żeby zabawić się moim kosztem.

– A więc nie powiedział ci nic użytecznego? – Adam nie kryje rozczarowania.

– Zupełnie nic. Ale wie, że się rozwiedliśmy. Skąd się o tym dowiedział?

Adam czuje wzbierającą falę gniewu. Stara się zapanować nad emocjami, żeby ton głosu nie zdradził jego wzburzenia.

– Strażnicy więzienni mają znajomych w policji – odzywa się w końcu. – Mógł kogoś przekupić albo uzyskać dostęp do rejestrów publicznych przez internet. Teraz powinnaś trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Niedobrze, że udało mu się podejść tak blisko.

– To była moja decyzja i nic złego mi się nie stało – odpowiada Romilly. – A jednak powiedział coś interesującego. Zapytał, co morderca zyskuje, zabijając wszystkich tych ludzi.

– Ale w jakim sensie?

– Nie wiem. Dlaczego ktoś robi coś... – Romilly przerywa i głośno przełyka ślinę. – Coś, co zapoczątkował Elijah. A może chodzi o to, co w ogóle nim kieruje?

Adam wzdycha ciężko. Każde z takich pytań rodzi nowe domysły i teorie.

– Wynaturzone uwielbienie? Chora psychika? Nie wiadomo. Ale nie to jest najbardziej intrygujące. Zastanawiam się, skąd sprawca wie o liczbach. Ty o nich wiesz, bo widziałaś je na własne oczy. Czy to oznacza, że szukamy kogoś, kto tam wtedy był?

– Dziennikarza? Policjanta?

– Ewentualnie kogoś, kto rozmawiał z twoim ojcem. Kto poznał tajemnicę u źródła. Innego więźnia?

– Najgorsze, że Elijah nie zaprzeczył niczemu, co powiedziałam.

– No oczywiście, że nie – mówi z przekąsem Adam. – Chce podsycić twoje zainteresowanie. Na tym właśnie mu zależy. W końcu zdołał cię skłonić, żebyś go odwiedziła.

Jest coraz bardziej poirytowany. Nie podoba mu się, jak doktor Cole manipuluje swoją córką, która mimo upływu lat wciąż jest podatna na jego urok.

– Ale nie tylko o to mu chodziło... – ciągnie Romilly.

Adam wyczuwa jej wahanie. Czuje ukłucie niepokoju.

– Czy twój ojciec powiedział coś jeszcze?

– Chyba tak... Kiedy byłem dzieckiem, często powtarzał różne złote myśli. Wiesz, takie popularne sentencje. Uwielbiał je. I dzisiaj też mi taką zaserwował. Coś o zegarze. Ale odniosłam dziwne wrażenie, że wybrał ją celowo.

– Co dokładnie powiedział?

– Że nawet zepsuty zegar dwa razy w ciągu doby nie kłamie.

Adam marszczy czoło. Coś mu świta. Obraca się do komputera i otwiera folder ze zdjęciami z domu Wayne'a Oxforda, które technicy załadowali do systemu. Przygląda się uważnie zakrwawionej podłodze i brunatnym rozpryskom na ścianie. Przez chwilę studiuje ten makabryczny pejzaż obłąkańczej żądzy mordy.

– Jesteś tam? – odzywa się Romilly w słuchawce.

Adam nie zwraca na nią uwagi. Przechodzi do następnego zdjęcia, potem do następnego. Ma jednak niejasne wrażenie, że coś mu umknęło. Cofa się.

Teraz to widzi. Zegar na ścianie w kuchni. Wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, bo wszystko inne było tak przerażające, tak bardzo wykraczało poza granice pojmowania normalnego człowieka.

Najzwyklejszy analogowy zegar ścienny. Tandetny i brzydki. Nie działa. Ale jego nieruchome wskazówki... Pokazują jedenaście po jedenastej.

A zatem Wayne Oxford był ofiarą numer jedenaście. Kolejny dowód powiązania, które Adam uznał za wytwór wyobraźni swojej byłej żony, jej paranoiczne rojenia.

Elijah o wszystkim wiedział.

Adam wciąż wpatruje się tępo w monitor, ale ta myśl wyrывa go z odrętwienia.

– Muszę kończyć – rzuca do telefonu i się rozłącza.

Wstaje z fotela i wybiega z biura. Detektywi odrywają się od swoich zajęć i patrzą na niego zaintrygowani.

A więc Romilly miała rację. Jej ojciec jest powiązany z tą serią morderstw. A skoro tak...

Patrol wysłany w czwartek do starego domu doktora nie zauważył niczego podejrzanego, ale Pippa zniknęła później. Osiem godzin później. I jest tylko jedno miejsce, w które mógł zabrać ją porywacz.

– Musimy jechać na Gloucester Road! – krzyczy, biegnąc w stronę wyjścia. – Natychmiast.

* * *

Gdyby nie chodziło o ciebie, odeszłaby wolno. Gdyby nie chodziło o ciebie, w ogóle by jej tutaj nie było.

W tej chwili jest spokojna. Nie rusza się. Ma związane ręce i nogi, a jej podbródek opiera się na piersi. Nie wiem, czy zasnęła, czy straciła przytomność. Dotykam jej szyi i czuję pod palcami słabe tętno. Zmęczone serce z wysiłkiem pompuje tę resztkę krwi, jaka pozostała jeszcze w jej ciele.

Igły sprawdziły się idealnie, ale tym razem wszystko toczy się wolniej. Jakby chciała to odwlec. Ma powód, aby przeżyć. Przynajmniej tak długo, jak jej pozwolę.

Mój gniew już zelżał. Zawsze ogarnia mnie błyskawicznie, jest impulsem, nad którym nie potrafię zapanować, i tym razem skupił się na tamtej dziewczynie w parku. Doprowadziła mnie do wściekłości, gdy tak sobie szła bez troski ze słuchawkami w uszach. Jak mogła być taka głupia? Taka naiwna?

Zalała mnie fala gorąca. Wydawało mi się, że stoję z boku i tylko się przyglądam, jak moja ręka wbija jej nóż w plecy. Metal zazgrzytał o kość, natrafiając na opór, ale to nie powstrzymało kolejnych ciosów, mimo że już upadła na ziemię. Serce waliło mi jak oszalałe, pot ściekał po twarzy, a z gardła wydobywał się krzyk, kiedy ostrze raz za razem wbijało się w jej pierś. Bez zastanowienia, bez wahania. To była eksplozja rozpalonej do czerwoności furii.

A potem przyszły wstyd i upokorzenie. Paniczny strach przed schwytaniem. Bo przyświeca mi tylko jeden cel.

Twój plan.

Pippa porusza się nieznacznie na krześle. Próbuje unieść głowę, ale jest zbyt osłabiona. Zerkam na swój ekwipunek. Plastikowe worki czekają na napełnienie, ale krew spływa coraz wolniej. Jej organizm słabnie i ciśnienie spada. Zaczynam się martwić. A jeżeli ją znajdą, zanim dokończę swoje dzieło?

Teraz już nie jest taka nieskazitelna. Znowu się zmoczyła. Jej ubranie jest sztywne od zaschniętego potu. Od łez, śliny, smarków i wymiocin. Dostała mdłości podczas próby karmienia na siłę. Ale nie mogę pozwolić, żeby przestała jeść i pić. Jest mi potrzebna. Muszę wykonać swoje zadanie. Muszę zobaczyć, do czego to wszystko doprowadzi. Jaki będzie koniec.

Przyglądam się jej, stojąc w bezruchu, a w mojej głowie dojrzewa pomysł.

Szybko podchodzę do stolika i chwytam przygotowaną wcześniej strzykawkę. Nakładam igłę, wypycham powietrze, a potem wkłuwam się w jej ramię. Pippa wzdryga się gwałtownie i odzyskuje przytomność.

– Co to było? – szepcze chrapliwie, patrząc na mnie z przerażeniem.

– Heparyna.

– Nie... nie... proszę...

Uderzam palcem w rurkę, żeby przyspieszyć przepływ krwi, ale dwie kaniule nie wystarczają. Rozpakowuję dwie kolejne i umieszczam je w żyłach na jej stopach. Krew wypełnia przejrzyste rurki i nieruchomieje.

Pippa znowu zaczyna szlochać i błaga mnie, żeby ją wypuścić. Zeszłej nocy modliła się do Boga, ale co jej to dało? Tutaj Bóg nie zagląda. Nie ma go przy mnie. Dawno temu zostawił mnie na pastwę losu. Radzę sobie bez niego.

Spoglądam w górę, ale nie wypatruję Boga, tylko szukam rozwiązania. Mój wzrok zatrzymuje się na grubej belce stropowej, w której tkwi wkręcony hak. Nie jest zbyt wysoko, ale wystarczy.

Przynoszę zwój liny i przerzucam ją przez hak. Teraz muszę uważać. Pochylam się nad krzesłem i ostrożnie przecinam jedną z plastikowych opasek. Pippa w mgnieniu oka odzyskuje siły. Podrywa się gwałtownie i zaczyna wymachiwać na oślep uwolnioną ręką, ale chwytam ją mocno i obwiązuję liną. Potem robię to samo z jej drugą ręką. Jej determinacja budzi mój szczerzy podziw. Miota się z obłędem w oczach i krzyczy przeraźliwie, gdy podciągam ją do góry. Wyrzywa sobie jeden z wenflonów, ale nic nie szkodzi. Później znajdę inną żyłę.

Podczas gorączkowej szamotaniny przewraca krzesło, które upada do tyłu, boleśnie wykręcając jej kostki, nadal skrępowane plastikowymi opaskami. Jednak mimo bólu wciąż skręca się konwulsyjnie.

Czekam, aż w końcu opadnie z sił i jej wiszące pod sufitem ciało zwiotczeje. Stawiam krzesło, a jej stopy znów opierają się na podłodze.

– Grawitacja – mówię. – Najlepszy sposób.

Jej gałki oczne obracają się do góry. Przypomina związaną rzeźną krowę, która przeczuwa, że koniec jest bliski. Znowu zaczyna płakać i powtarza raz za razem imię swojego męża, a jej słowa zlewają się w jedno.

– Twój Jamie cię tutaj nie znajdzie. Nie zdąży na czas.

Pochylam się i przyczepiam rurki do wenflonów w stopach. Potem jednym szarpnięciem ściągam brudne spodnie od piżamy. Umieszczam dwa nowe wenflony w żyłach udowych. Pippa krzyczy z bólu i strachu, ale nie zwracam na nią uwagi. Z zadowoleniem kiwam głową. O to chodziło.

Prostuję się i robię parę kroków do tyłu. Patrzą, jak krew spływa wężykami do przezroczystych plastikowych worków. Ciężar, który mnie przytłaczał, powoli znika. Znowu jest mi lekko. Co za ulga, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Dla ciebie.

Rozdział 32

Adam wiele razy oglądał dom doktora Cole'a na zdjęciach, w gazetach i w telewizji, ale dopiero teraz widzi go na własne oczy. Czas nie oszczędził się łaskawie z żeliwną bramą, która wisi na przerdzewiałych zawiasach. Przecięty łańcuch z kłódką z brzękiem spada na ziemię, kiedy policja wdziera się na teren posesji. Przeszukanie domu przebiega błyskawicznie – w środku rozlega się głuche dudnienie butów na schodach i powtarzające się okrzyki „Czysto!”. Potem wszyscy kierują się w stronę szopy.

Jeden z policjantów wyważa zewnętrzne drzwi. Stare drewniane listwy nie mają szans w starciu z czerwonym taranem. Ale już po wejściu do sieni Adam wie, że w budynku nikogo nie ma. Otwarte kłódki wiszą na skoblach przy wewnętrznych drzwiach, a w grubej warstwie kurzu na podłodze widać świeże ślady. I nie są to wyłącznie ślady jego kolegów. Wychodzi na zewnątrz i czeka na potwierdzenie. Nie musi długo marznąć w zacinającej mżawce. Po chwili widzi w drzwiach zasepione miny. Bolesne uczucie rozczarowania przenika go do głębi.

Nie ma jej tu. A niedawno jeszcze była.

Spóźnili się.

Dzwoni do dyspozytora i obrzuca przekleństwami patrol, który sprawdzał dom dwa dni temu. Ale mundurowi zastali

zamkniętą bramę i nie zauważyli niczego podejrzanego. Wykonali swoje zadanie. To Adam nawalił.

Powoli wkłada biały kombinezon ochronny, jakby chciał odwlec nieuniknione, ale prędzej czy później i tak musi zobaczyć efekty własnych błędów. Gdyby tylko od razu posłuchał Romilly. Gdyby nie dopuścił, żeby zaszłości między nimi stanęły mu na drodze. Czy gdyby przydzielił Pippie ochronę, morderca zostawiłby ją w spokoju? Czy poszukałby innej ofiary?

Adam wchodzi do szopy. W pomieszczeniu jest ciemno i tylko wąski pas światła wpada do środka przez otwarte drzwi. Pod podeszwami chrzęszczą grudki zaschniętego błota i żwir. W półmroku majaczą surowe ściany z pustaków i gruba warstwa izolacji w oknach, która tłumiła krzyki uwięzionych kobiet. Przez całą długość sufitu biegnie masywna belka stropowa. Coś z niej zwisa. Stara lampa naftowa. Adam przygląda się jej z bliska. Dostrzega żarówkę umieszczoną w archaicznej oprawie. Sięga do przełącznika i mruży oczy, oślepiiony jaskrawym światłem. Omiata wzrokiem brudne, zaniedbane wnętrza. Unoszący się w zatęchłym powietrzu kurz drażni jego nozdrza, a ostra woń wymiocin i moczu wywołuje instynktowny wyrzut adrenaliny – czuje, jak jeżą mu się włoski na rękach, gdy jego ciało przygotowuje się do walki lub ucieczki.

Słyszy kroki za plecami i obraca się w stronę wejścia. Na progu stoi postać w białym kombinezonie.

– Nie powinienes tu wchodzić – odzywa się znajomy kobiecy głos. – Musimy rozłożyć maty na podłodze.

– Wiem, Mags. Ale musiałem zobaczyć...

– Rozumiem.

Na środku pomieszczenia leży przewrócone na bok masywne drewniane krzesło. Na podłodze walają się kawałki plastiku i strzępy folii. Adam kuca obok. Przygląda się rozciągniętym opaskom zaciskowym i sterylnym opakowaniom po igłach. Czuje spływającą po plecach strużkę zimnego potu. Przenosi wzrok na dużą ciemną plamę.

– To krew? – pyta, spoglądając na Maggie.

Szefowa ekipy kryminalistycznej kiwa głową.

– Musimy to jeszcze potwierdzić, ale przypuszczalnie tak.

Podłoga jest upstrzona mniejszymi plamami i rozbryzgami. Niektóre z nich są ciemne, inne nieco jaśniejsze. W grubej warstwie kurzu widnieją liczne zarysowania i odciski butów. Adam unosi wzrok i jego uwagę przyciąga osadzony w ścianie metalowy pierścień. Na kilka sekund zamyka oczy i czuje się tak, jakby nawiedzały go duchy zamordowanych kobiet. To tutaj były więzione, torturowane i gwałcone, tutaj cierpiały niewyobrażalne męczarnie. Tutaj umierały w samotności.

I Pippa też trafiła w to straszne miejsce.

Więc gdzie, do cholery, teraz się podziewa?

– Czegoś nie mogę pojąć. Skoro tutaj była, dlaczego ją zabrał?

– Może wiedział, że się tu zjawisz – sugeruje Maggie.

– Od kogo?

Adamowi trudno jest uwierzyć, że ktoś z jego zespołu mógłby być zamieszany w porwanie. Kurczowo trzyma się myśli, która podsycza w nim nikłą iskierkę nadziei. Gdyby

Pippa nie żyła, morderca nie zabierałby jej ze sobą. Gdyby nie żyła, znaleźliby ją tutaj.

– Właśnie tego nie rozumiem – mówi. – Wszystkie działania sprawcy, porwania, przetrzymywanie ofiar i porzucanie ciał na wysypisku, świadczą o tym, że jest to ktoś zorganizowany, prawda?

– Jeśli spojrzymy na to z perspektywy psychologicznej, to owszem. Mamy do czynienia z kimś inteligentnym i skrupulatnym, kto na co dzień prawdopodobnie wykonuje normalną pracę. Z człowiekiem, który inscenizuje miejsca zbrodni, a może nawet kolekcjonuje trofea.

– A tamto morderstwo w parku? – ciągnie Adam. – Nie wygląda na zaplanowane. Musiał je popełnić pod wpływem impulsu. Jakby przestał nad sobą panować.

Maggie wzdycha, nie odrywając wzroku od belki stropowej i tkwiących w niej haków. Adam wie, że doktor Cole przywiązywał do nich swoje pierwsze ofiary.

– Może faktycznie puściły mu nerwy. Robi coś, co odbija się na psychice, nawet tak zwyrodnialej. – Maggie spogląda na niego ze smutkiem. – Przypuszczalnie już niedługo całkiem straci panowanie nad sobą. Tylko kto do tego czasu padnie jeszcze jego ofiarą? Obyś to nie był ty, Adamie.

– Nie uda mu się...

– Czyżby? Wystarczy na ciebie spojrzeć. Ile spałeś w ciągu ostatnich kilku dni? Dwie, może trzy godziny. To nie służy zdrowiu.

– A co tutaj służy zdrowiu? Spójrz na to – odpowiada Adam z irytacją, zamaszystym ruchem wskazując przewrócone

krzesło, krwawe plamy i brudną podłogę, na której kiedyś spoczywały udręczone ciała.

Rusza w stronę wyjścia, ale zatrzymuje się na progu. Jego uwagę przykuwają znaki, o których wspominała Romilly. Wodzi palcem po rzymskich liczbach – XX, XIX, XVIII – wyobrażając sobie, jak powstały. Co czuł morderca, który właśnie pochował kolejne ciało, gdy trzymał w ręku nóż i robił nacięcia w drewnianej futrynie? Dumę? Spełnienie? Czy w ogóle miał wyrzuty sumienia?

Brakuje numeru ostatniej ofiary, Grace Summers – numeru siedemnaście. Jej ciało znaleziono na materacu w szopie. Doktor Cole nie zdążył jej pochować. Nie zdążył zostawić po niej śladu.

Przejęty obrzydzeniem, Adam wychodzi z makabrycznej izby tortur, którą stworzył jego teść. Musi pomyśleć. Jeszcze nie wszystko stracone.

Idzie w stronę domu, nie zwracając uwagi na furgonetki ekipy kryminalistycznej i techników rozciągających biało-niebieską taśmę. Ci ludzie znajdują się na swojej robocie – kolejne miejsce zdarzenia, które trzeba zabezpieczyć – i nie potrzebują jego pomocy.

Na żwirowym podjeździe plenią się chwasty, boczną ścianę porasta bluszcz, w rzędach omszałych dachówek ciemnieją liczne wyrwy. Adam nie spodziewał się, że dom jest taki niepozorny. Zna z raportów jego dokładny opis, ale zawsze wydawał mu się większy. Jakby rozrósł się w jego wyobraźni. Zwykły dom skrywający makabryczną tajemnicę. Dom, w którym wychowała się Romilly.

Frontowe drzwi są otwarte i Adam wchodzi do środka. Chociaż kazał swoim ludziom skupić się na ogrodzie i szopie, kilku z nich rozgląda się po wnętrzu. Widocznie nie mogli się oprzeć, zwabieni mroczną legendą tego miejsca.

W ciemnej sieni unosi się woń pleśni, tapeta odchodzi płatami od ścian, a wypaczone od wilgoci deski podłogowe skrzypią przy każdym kroku. Korytarz prowadzi do kuchni urządzonej w starym stylu. Wystrój nie zmienił się od listopada 1995 roku, kiedy Cole został aresztowany. Dom przeszedł na własność banku i niszczał niezamieszkały. Podobno pasjonaci kryminalnych historii wiele razy próbowali go kupić, ale zawsze spotykali się z odmową.

– Mam nadzieję, że ktoś zrówna go z ziemią – powiedziała kiedyś Romilly.

Jednak dom nadal stoi.

Adam pochyla się i otwiera drzwiczki kredensu. Omiata wzrokiem kilka garnków i patelni – te typowe dla każdej normalnej kuchni sprzęty wydają mu się dziwnie prozaiczne w porównaniu z tym, co działo się kilkaset metrów dalej. Wyobraża sobie małą Romilly, która siedzi przy kuchennym stole i je śniadanie. Przygląda się magnesom zdobiącym drzwi lodówki. Na każdym widnieje zachód słońca i motywująca złota myśl.

Nie czekaj, aż burza minie – naucz się tańczyć w deszczu.

Wszyscy jesteśmy popękani, ale dzięki temu światło dostaje się do środka.

I złowieszczę prorocze:

Milczenie jest złotem.

Co za banał, myśli Adam, marszcząc czoło.

Wraca do sieni i wchodzi na piętro, gdzie według raportu znajdują się trzy sypialnie i łazienka. Zatrzymuje się przed drzwiami na końcu korytarza. Na wyblakłej farbie dostrzega ciemniejsze ślady po czymś, co było kiedyś przyklejone w tym miejscu. Mają kształt liter: ROM.

Obraca gałkę i otwiera drzwi. Pokój jest skromny. Łóżko z gołym materacem, stolik nocny, biurko i szafa. Nic poza tym. Kiedy dom stał się miejscem zbrodni, policja zarekwirowała wszystkie rzeczy osobiste. Przedmioty, które mogły posłużyć jako dowody rzeczowe, zostały skatalogowane na potrzeby procesu, a reszta trafiła do wielkiego hangaru. Romilly opowiadała kiedyś Adamowi o wizycie w tym dziwnym miejscu, które sprawiło na niej surrealistyczne wrażenie. Wciąż przeżywała wewnętrzny konflikt wywołany tym, co zrobił jej ojciec. Poczuli się zawstydzona i odarta z prywatności, kiedy zobaczyła swoją własność rozłożoną jak na wystawie. Miała godzinę na zabranie tego, co chciała, ale odeszła z pustymi rękami.

Adam zastanawia się, jaki los spotkał później wszystkie te rzeczy. Całe jedenaście lat życia Romilly znikło bez śladu.

Sięga do kieszeni, skąd dobiega dzwonek komórki, i spogląda na wyświetlacz. Dzwoni Marsh. Pewnie będzie chciał wiedzieć, co nowego, i każe mu jak najszybciej wracać do komendy. Adam nie odbiera. Potrzebuje czasu do namysłu.

Siada powoli na ogołoconym łóżku, kładzie dłonie na kolanach i uspokaja oddech. A więc Pippa tu była. Przewożenie ofiary porwania, nawet półprzytomnej, jest nie lada wyzwaniem. Potrzeba do tego samochodu, najlepiej

furgonetki. Tymczasem ciemnego volkswagena transportera nadal nie udało się wyśledzić.

Przydałoby się również ustalić, skąd się wzięły igły, strzykawki i kaniule, po których zostały puste opakowania na podłodze w szopie. Ze szpitala? Z gabinetu lekarskiego? Czy sprawca ma jakieś wykształcenie medyczne?

To wszystko musi się zająć. Każda informacja pozwala zawęzić pulę podejrzanych. Diagram Venna powinien wyodrębnić osoby, które mają coś wspólnego z medycyną, są niezrównoważone psychicznie i jeżdżą volkswagenem transporterem. Trzeba przeanalizować dane pod tym kątem. Znaleźć punkt przecięcia zbiorów. Osaczyć sprawcę.

Adam słyszy dobiegające z zewnątrz wołanie. Wstaje z łóżka i wygląda przez okno. Widzi techników, którzy zabezpieczają ślady w głębi ogrodu. Nie zdawał sobie sprawy, że szopa znajduje się tak blisko domu i jest tak dobrze widoczna z okna sypialni. Ile razy Romilly musiała na nią patrzeć tak jak on teraz, nie mając pojęcia, co dzieje się w środku?

Na schodach rozlega się głos posterunkowej Quinn.

– Szefie? Marsh każe ci wracać na posterunek!

Adam wzdycha. Pora się zbierać. Wychodzi z pokoju i delikatnie zamyka za sobą drzwi.

Śmierć jest tak blisko. Ociera się o nią na każdym kroku. I nikogo nie udaje mu się uratować.

Rozdział 33

Romilly wraca do rzeczywistości, dopiero kiedy za jej plecami głośno ryczy klakson wielotonowej ciężarówki. Klnie i wystraszona gwałtownie odbija kierownicą w bok, a w jej żyłach już buzuje adrenalina. Potem ostrożnie zjeżdża na zewnętrzny pas.

Ma ochotę zadzwonić do Adama i zapytać, co się dzieje, wie jednak, że nie może tego zrobić. Ma dwa nieodebrane połączenia od Phila, ale je ignoruje. Nie powinna teraz blokować linii.

Obecnie w jej życiu jest niewiele bliskich osób. Ma tylko garstkę przyjaciół, którym może zaufać. Od początku nie zamierzała ukrywać, że Elijah Cole to jej ojciec. Prędzej czy później ludzie i tak odkrywali prawdę, więc chciała jak najszybciej pozbyć się ze swojego kręgu tych, którzy nie potrafili sobie z tym poradzić. Przede wszystkim z tego powodu zachowała nazwisko. Jeśli mnie kochasz, chociaż wiesz, kim jestem, to naprawdę mnie kochasz.

Większość odpadała na tym etapie. Jest córką seryjnego mordercy i wie, jakie pytania nasuwają się w związku z tym. Sama je sobie zadawała.

Czy jest taka jak on? Ma takie same czarne oczy, taki sam nos i usta. Jest inteligentna, ma analityczny umysł i predyspozycje do nauk ścisłych. Ale bywa również uparta i szybko wpada w złość. Czuje wtedy, że jej mięśnie się

napinają, a zęby zaciskają tak mocno, jakby miały zaraz pęknąć. Zastanawia się w takich chwilach, czy jest to mroczna strona jej charakteru, którą odziedziczyła po nim.

Która może zabić.

Widziała ukradkowe spojrzenia, słyszała szepty za plecami. Natura kontra wychowanie. Czy Elijah Cole miał żądzę mordu w genach, czy nabawił się takich skłonności? Ojciec nigdy nie opowiadał jej o swoim dzieciństwie. Nie poznała dziadków, którzy umarli, zanim przyszła na świat. Czy coś mu się przydarzyło, kiedy był małym chłopcem? Doznał urazu głowy albo był ofiarą przemocy, jak wielu innych seryjnych morderców?

Czytała ich biografie, próbując znaleźć prawdę wśród domysłów i przeinaczeń. Terapia pomogła jej naprawić szkody. Długo zmieniała psychologów, aż w końcu znalazła doktor Jones. Kobieta, która ją rozumie. Dzięki której odzyskała zaufanie do ludzi. Znowu nauczyła się kochać.

Kiedy jej ojciec został aresztowany, przez tydzień żyła jak w transie. Przesłuchania na policji i przerzucanie od jednego opiekuna do drugiego. Ludzie, którzy rzekomo mieli dbać o jej dobrostan, okazywali się wścibscy i niedyskretni. Opieka społeczna umieściła ją na kilka dni w domu dziecka. Spała na obcym łóżku w wieloosobowym pokoju. Potem trafiła do rodziny zastępczej.

Nikt nie chciał adoptować córki mordercy. Najmniejsze uchybienie i musiała się pakować. Przenoszono ją do kolejnych domów i nigdzie nie zagrzała miejsca dłużej niż sześć miesięcy. Nikt nie powiedział jej, jak powinna się zachowywać. Nie istnieje poradnik, z którego nauczyłaby się

żyć z takim bagażem przeszłości. Nawiązała kontakt z tajną społecznością – krewnymi morderców – ale wydali się jej dziwni. Byli gniewni, zagubieni i twierdzili, że wciąż dostrzegają w sobie psychopatyczne skłonności. Jednak Romilly nigdy nie miała takich odczuć.

Chciała się podobać, udowodnić wszystkim, że się mylą. Dawała z siebie wszystko – skończyła szkołę, zdała maturę, dostała się na studia. Jako nastolatka wiodła spokojne, wręcz nudne życie. Kiedy studiowała medycynę, spotykała się z kilkoma mężczyznami, ale do żadnego się nie zbliżyła. Nie miała odwagi. A potem poznała Adama.

Wzdryga się, gdy dzwoni jej telefon. Odbiera natychmiast.

– Miałaś rację – mówi Adam posępnym tonem. – Pojechaliśmy do twojego starego domu.

Oddech więźnie jej w gardle. Odżywa w niej nadzieja, ale słowa Adama szybko ją rozwiewają.

– Nie ma jej tam. Ale była.

Romilly zjeżdża na sąsiedni pas i znów słyszy klakson za plecami.

– Ale gdzie? Kiedy?

– Przepraszam, Milly. Powinienem być potraktować cię poważnie. Spóźniliśmy się. Trzymał ją w szopie.

– Rany boskie. Posłuchaj...

– Muszę kończyć. Chciałem tylko, żebyś wiedziała – dodaje pospiesznie Adam i przerywa połączenie.

Nowa wiadomość dociera do niej powoli. Przeczowała, że tak będzie. Po prostu wiedziała. Ale... Ale... Jak to możliwe, żeby Elijah maczał w tym palce? Przecież siedzi w więzieniu,

jest odcięty od świata. Jak udało mu się skontaktować z kimś z zewnątrz? Czy nie istnieją procedury, które zapobiegają takim poczynaniom? Romilly nie może pojąć, jak do tego doszło.

Resztę drogi pokonuje już bez przygód i parkuje na podjeździe. Jest zaskoczona widokiem samochodu Phila. Jej partner czeka na nią w domu.

– Gdzie ty się podziewałaś? – pyta i próbuje ją przytulić.

Romilly wymyka się z jego objęć i zdejmuje kurtkę.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? – pyta.

– Bo się o ciebie martwiłem. Pojechałaś na widzenie ze swoim ojcem, a potem się nie odzywałaś. Nie odbierałaś telefonu.

– Przepraszam. Byłam... rozkojarzona. Adam...

– Zadzwoiłaś do Adama?

Twarz Phila pochmurnieje.

– Tak – odpowiada Romilly, rozdrażniona jego nieskrywaną dezaprobatą. – Jest odpowiedzialny za poszukiwania Pippy, więc owszem, zadzwoniłam do niego. Okazuje się, że miałam rację. Mój ojciec jest zamieszany w tę sprawę. Są na to dowody.

– No i?

– I co?

– Znaleźli ją?

– Nie, kurwa, nie znaleźli!

Romilly zdaje sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa wobec swojego faceta, kiedy wyładowuje na nim złość i frustrację,

ale nie może się powstrzymać. Phil robi krok w jej stronę i wyciąga rękę, żeby ją przytulić, ale ona obraca się na pięcie i odchodzi. Idzie do kuchni i zaczyna zaparzać herbatę, byle zająć czymś ręce. Kubki, czajnik, woda. Czuje, że Phil stoi w drzwiach i na nią patrzy.

– Wiem, że jest ci ciężko, ale nie możesz pozwolić, żeby to wszystko tak na ciebie działało.

– Znaczą jak?

– No... właśnie tak! Te napady złości. Zamartwianie się. Ta sprawa zawładnęła twoim życiem. Nie chodzisz do pracy. Nie śpisz. Może powinnaś umówić się z doktor Jones?

– Nie mam ochoty spotykać się znowu z moją pieprzoną terapeutką.

– To z nim nie powinnaś się spotykać.

Akurat z tym Romilly nie zamierza polemizować.

– Już więcej nie pojedę do mojego ojca – odpowiada.

Oczami wyobraźni wciąż widzi jego twarz. Jego uśmiech, który tak dobrze zna, cofa ją w czasy dzieciństwa. Odżywają w niej stare uczucia, troski, które nie pozwalają jej spać. Wyrzuty sumienia.

– Nie – mówi Phil zdecydowanym tonem. – Miałem na myśli Adama. Nie chcę, żebyś się z nim widywała.

Romilly obraca się gwałtownie.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

– On ma na ciebie zły wpływ. Te morderstwa, śledztwo, to wszystko cię wyniszcza. A poza tym jest twoim byłym...

– No i co z tego?

– To, że nadal jesteś tak spragniona jego towarzystwa. A zapewniasz mnie, że nic do niego nie czujesz.

– Odwal się, Phil.

Romilly wychodzi do salonu, ale Phil idzie za nią, niemal deptając jej po piętach.

– Powiedz mi, że się mylę.

– Mówiłam ci, że nasze małżeństwo jest skończone, ale skoro mi nie wierzysz, to i tak cię do niczego nie przekonam.

– Nie chodzi mi o wasze małżeństwo, tylko o twoje uczucia. O to, że wciąż chcesz z nim być. Wciąż jesteś w nim zakochana.

– Bzdury opowiadasz.

– Czyżby? – Phil marszczy czoło i kręci głową. – Mogę znieść twoje koszmary i strach przed ciemnością. Będę się tobą opiekował, bo wiem o tobie i twoim ojcu. Znam twoją tragiczną przeszłość.

Tragiczną przeszłość. Romilly patrzy na niego z pobłażaniem, ale ogarnia ją niesmak. Czuje się tak, jakby cierpiała na jakąś uciążliwą i nieuleczalną fobię.

– Ale to nie znaczy, że możesz sobie romansować ze swoim byłym – ciągnie Phil. – Tego nie zniosę.

– Ale ja nie...

– Jeśli mnie kochasz, zrobisz tak, jak mówię, i już więcej się z nim nie zobaczysz.

Romilly czuje falę obrzydzenia, która wzbiera w żołądku i rozchodzi się po całym ciele, uwalniając coś w mózgu. Jest tak wzburzona, że ogarniają ją mdłości.

– Nie będziesz mi, kurwa, mówił, co mam robić! – krzyczy, dźgając powietrze palcem wymierzonym w twarz Phila.

Przepycha się obok niego i biegnie korytarzem do swojego gabinetu. Zatrzaszkuje drzwi z taką siłą, że huk odbija się echem od ścian. Łzy wściekłości spływają jej po policzkach.

Jak on śmiał? Jak mógł jej tak rozkazywać? W głębi ducha wie, że zareagowała przesadnie, że Phil nie jest jej ojcem, mimo to czuje się zraniona i nie może zapanować nad złością. Kiedy zamknęła tamten rozdział życia – kiedy zostawiła za sobą rodzinny dom, ojca i tamte martwe kobiety – obiecała sobie, że nigdy do tego nie dopuści. Że będzie panowała nad emocjami.

Ale to nie jest takie proste.

Wie, że nie jest idealna. Ma więcej problemów niż przeciętna kobieta, ale wydawało się jej, że zasługuje na miłość. Że ktoś mógłby z nią być bez względu na wszystko. Bez względu na przeszłość, która prześladowuje ją na każdym kroku.

Myślała, że uda jej się z Adamem. Ale on ją odtrącił. A teraz Phil zrobił to samo, kiedy wypowiedział to jedno zdanie. Postawił jej warunek, od którego uzależnia swoją miłość. Wymaga od niej, żeby mu się podporządkowała. Żeby była posłuszna. Już kiedyś popełniła ten błąd jako dziecko i obiecała sobie, że nigdy więcej go nie powtórzy.

Romilly w głębi serca wie, że nie ma znaczenia, co zrobi i co powie, bo i tak na zawsze pozostanie córką seryjnego mordercy. I z tego powodu zawsze będzie sama.

Rozdział 34

Adam zerka z ukosa na szefa, który stoi obok niego i w milczeniu przygląda się pokrytej gąszczem notatek białej tablicy. Nadkomisarz ma kamienną minę, z której nie sposób cokolwiek wyczytać.

- Jaki będzie twój następny ruch, Bishop? – pyta.
- Możemy założyć, że Pippa Hoxton wciąż żyje...
- Możemy?

Marsh ścisza głos, bo nie chce, żeby inni detektywi obecni w sali słyszeli ich rozmowę.

- Tak – odpowiada Adam. – Bo w przeciwnym razie...

Nie chce tego mówić głośno. Bo w przeciwnym razie mieliby kolejną ofiarę tajemniczego szaleńca. Bo w przeciwnym razie Jamie nigdy by mu nie wybaczył. Bo w przeciwnym razie to wszystko nie miałyby sensu. Najmniejszego.

– Myślisz, że Cole ma z tym coś wspólnego? – odzywa się Marsh. – Nie wszystko wygląda tak samo. Przede wszystkim nowe ofiary nie noszą śladów napaści na tle seksualnym, która była charakterystyczna dla Cole'a.

- Zauważyłem. Ale jakoś nie widzę innego rozwiązania.

– A jeśli to tylko wyrachowany psychopata pokroju Cole'a? Jego opętany naśladowca? Nowy morderca, który dowiedział się skądś o liczbach i wykorzystuje salę tortur doktora stojącą

odłogiem i gotową do użytku? – Nadkomisarz marszczy czoło, a jego twarz wyraża niedowierzanie. – Tak też może być. Przecież Cole nie powiedział wam, gdzie jest Pippa, prawda?

– No nie, jednak... – próbuje protestować Adam, ale jego szef przerywa mu machnięciem dłoni.

– Nie martw się, podpiszę nakaz. Dostaniesz ewidencję odwiedzających i nagrania z więziennego monitoringu. Przekonasz się, czy Cole rzeczywiście mógł nawiązać kontakt z kimś z zewnątrz. Tylko żeby to nie odwróciło twojej uwagi od innych tropów.

Adam kiwa głową i znów wlepia wzrok w tablicę. Czyżby coś przeoczył? Czy istnieje jeszcze jakiś trop, którego nie zbadał? Ma ochotę zapytać Marsha, co on by zrobił; skorzystać z rady starszego i bardziej doświadczonego detektywa. Jego szef nie jest urzędasem mianowanym na wysoki stołek z klucza politycznego. Przepracował sporo lat w wydziale zabójstw i kierował śledztwami w wielu głośnych sprawach. Jednak Adam nie wie, jak odpowiednio sformułować pytanie. Prośba o radę byłaby równoznaczna z przyznaniem się do porażki, a on chce się wykazać, udowodnić, że potrafi pokierować tym śledztwem, i to bez niczyjej pomocy.

Ale kiedy zastanawia się nad właściwym doborem słów, podbiega do niego posterunkowa Quinn.

– Szefie – mówi zdyszana. – Mamy...

– Co macie?

– Tego faceta. Naszego sprawcę. Na nagraniu z monitoringu. Z zeszłej nocy.

Na monitorze pojawia się postać cała ubrana na czarno. Ma spuszczoną głowę, a kaptur zakrywa jej twarz. Idzie szybko i zdecydowanie, stawiając drobne kroki. Adam ogląda nagranie, przyciskając dłoń do ust.

– Spójrz w górę, spójrz w górę – szepcze.

Ma nadzieję, że choć przez ułamek sekundy mignie mu twarz tego człowieka. Że zauważy jakiś charakterystyczny znak. Logo na ubraniu. Cokolwiek, co pomoże zidentyfikować sprawcę. Jednak tajemnicza postać cały czas ma spuszczoną głowę i po chwili znika z kadru.

Ellie Quinn przewiduje kolejne pytanie szefa i włącza obraz z innej kamery. Znacznik czasu przeskakuje o dziesięć minut do przodu, ale znów widać podejrzanego. Tym razem ulica jest lepiej oświetlona. Wzdłuż chodnika ciągną się sklepowe wystawy. Z nagrania nie sposób wywnioskować, czy ubranie sprawcy jest poplamione krwią, gdyż mogła ona wsiąknąć w czarną tkaninę bluzy.

– Niech ktoś sprawdzi, czy jego twarz nie odbija się w szybie wystawowej. Patrzcie, patrzcie... – Adam wskazuje dwoje ludzi, którzy mijają podejrzanego. Przyglądają mu się, wyraźnie zaintrygowani jego wyglądem, a potem szybko odchodzą. – Oni go widzieli. Znajdźcie ich. Chcę mieć jego rysopis, i to natychmiast. I obserwujcie tego faceta. Jeśli wsiądzie do samochodu, chcę wiedzieć, dokąd pojechał. Musimy go dorwać.

W zespole buzuje energia. Nic nie mobilizuje detektywów bardziej niż myśl, że mają już podejrzanego na celowniku.

Adam sięga do kieszeni, skąd dobiega dzwonek komórki, i patrzy na wyświetlacz. Dzwoni Jamie. Spina się w sobie

i odbiera.

– Powiedz mi, proszę... Słyszałem, że byliście w tym domu.

Adam przeklina w myślach. Znowu ci cholerni reporterzy.

– To prawda – odpowiada. – Ale jej tam nie było. Przykro mi.

– A była wcześniej?

– Tak.

– Spóźniliście się – mówi Jamie beznamiętnym tonem.

– Tak, ale mamy kilka nowych tropów. Już depczemy mu po piętach.

Na linii zapada milczenie. Adam słyszy, jak jego przyjaciel cicho pochlipuje. Ten odgłos sprawia, że pęka mu serce. W słuchawce rozlega się donośne pociągnięcie nosem i szelest chusteczki, po czym Jamie znów się odzywa.

– Wracam do domu – oznajmia cicho.

– Nie musisz. Możesz u mnie zostać tak długo, jak zechcesz.

– Nie, nie. Na mnie już czas. Bałem się, że to będzie okropne, ale chcę być bliżej Pippy. A skoro to niemożliwe, to przynajmniej chcę czekać na nią w domu. Otworzyć jej drzwi, kiedy wróci. Bo ona wróci, prawda?

Adam bierze głęboki wdech i toczy wzrokiem po sali, gdzie jego ludzie, wpatrzeni w monitory, śledzą nagrania z miejskiego monitoringu.

– Wróci, Jamie – zapewnia.

Kończy rozmowę i wychodzi ze swojego gabinetu.

– Jakież postępy?

– Zgubiliśmy go, kiedy wszedł na parking przy Regent's Street, ale zaraz potem wyjechał stamtąd czarny transporter – melduje jeden z detektywów.

– Mamy rejestrację?

– Nie, tablice całkowicie nieczytelne. Ale wciąż go śledzimy.

Adam siada obok i obserwuje nagranie na monitorze. Ciemna furgonetka często znika z kadru, co jest frustrujące, ale posterunkowy spogląda na plan miasta, odczytuje głośno numery kamer i znowu udaje się ją namierzyć.

Porusza się szybko; kierowca nie przestrzega ograniczeń prędkości. Przejeżdża przez centrum i kieruje się w stronę przedmieścia. Adam zna tę okolicę – tereny wiejskie, pola uprawne. Jeżeli sprawca tam się zapuści, zgubią trop.

I rzeczywiście volkswagen wjeżdża w obszar pozbawiony monitoringu. Detektywi rozpaczliwie próbują go namierzyć, sprawdzając nagrania z kamer na pobliskich drogach, ale na próżno.

– Obserwujcie to miejsce – mówi Adam. – Ludzie łatwo ulegają przyzwyczajeniom i jeśli facet tędy wyjechał, to całkiem możliwe, że wróci tą samą drogą. A znaleźliście coś w pobliżu starego domu Cole'a?

– Tam nie ma kamer, szefie.

– No to przynajmniej sprawdźcie, czy nie pojawił się w okolicy. Macie mi znaleźć tego cholernego vana.

Detektywi przyglądają się uważnie wszystkim samochodom, które przejeżdżają przez skrzyżowania. Obraz na monitorach się rozjaśnia, kiedy docierają do porannych

nagrań. Wstaje dzień, cienie są coraz dłuższe, ale poszukiwania nadal nie przynoszą efektów. Znacznik czasu w przyspieszająco szybkim tempie zbliża się do aktualnej godziny. Sprawca musiał pojechać inną drogą. Nagle jeden z detektywów wydaje triumfalny okrzyk. Czarny volkswagen transporter znowu pojawił się w zasięgu kamer.

– Nie zgubcie mi go teraz – warczy Adam.

Spogląda na plan. Furgonetka jest na jednej z dróg łączących się z Gloucester Road. Oddala się od domu Cole'a. Czas się zgadza. Wkrótce sami tam dotarli. Pippa musi być w środku. Minęli się zaledwie o piętnaście minut.

Adam pochyła się na krzesło i opiera łokcie na kolanach. Detektywi, którzy nie zajmują się śledzeniem nagrań, stoją za plecami kolegów i patrzą w monitory. Są zbyt zaintrygowani, by skupić się na własnych zadaniach.

Volkswagen przejeżdża ulicami, które Adam zna aż za dobrze. Skręca w dzielnicę mieszkaniową i znowu znika z kadru.

– Jakie ulice są w tamtej okolicy?

– Brown Street, York Road, Robertson Avenue...

Nagle Adam uświadamia sobie, co się dzieje. To odkrycie jest jak cios między oczy, który omal nie zwała go z nóg. Ale przecież... Po co on tam wraca?

– O Boże – szepcze. – Jamie.

Rozdział 35

Jamie trzęsącą się dłonią wsuwa klucz do zamka i powoli otwiera drzwi. Jakaś jego częśćka – bardzo mała – każe mu myśleć, że Pippa czeka na niego w domu. Że zaraz zobaczy jej promienny uśmiech. Że przytuli ją i pocałuje na powitanie, a ona powie: „Jak dobrze, że już wróciłeś!”. Że poczuje dobiegającą z kuchni smakowitą woń kolacji. Ale dom jest pusty, a zastałe powietrze zalatuje stęchlizną.

Jamie zamyka za sobą drzwi i zdejmuje kurtkę. Jego kończyny wydają się ciężkie, a każdy ruch kosztuje go sporo wysiłku. Wieszka kurtkę w sieni i kładzie u podnóża schodów niewielką torbę podróżną.

Staje w drzwiach salonu. Kiedy dowiedział się, że kobieta brutalnie zamordowana w parku to nie jego żona, kamień spadł mu z serca. Jednak ulga nie trwała długo. Dociera do niego, że Pippa nadal jest w rękach porywacza. Szaleńca, który z niewyobrażalnym okrucieństwem pozbawił życia siedmioro ludzi.

Czego ten człowiek chce? Zabrał ją tam, do tamtego domu. Przetrzywał ją w tym samym budynku, w którym Cole torturował swoje ofiary. Czy Pippa zdawała sobie sprawę, gdzie jest? Czy wiedziała, jaki los spotkał te nieszczęsne kobiety, które trafiły tam przed nią? Czy wpadła w panikę? Krzyczała ze strachu? Jamie czuje skurcz w żołądku na myśl o jej udreće, nogi uginają się pod nim i ciężko opada na sofę.

Zrozpaczony, ukrywa twarz w dłoniach. Gdyby Adam tak się nie ociągał, gdyby pomoc dotarła na miejsce kilka godzin czy może nawet kilkanaście minut wcześniej, Pippa byłaby teraz bezpieczna.

Ale Adam się spóźnił. A ona zniknęła. Znowu.

Jamie ociera łzy i rozgląda się dokoła. Salon wygląda tak normalnie, że aż wydaje się dziwny. Zgiełk i zamieszanie panujące podczas oględzin miejsca zdarzenia bardziej pasowały do tego domu niż porządek. Jaki sens mają równo ułożone poduszki, gdy całe jego życie pograżyło się w chaosie? Zastanawia się, kto posprzątał po technikach, którzy zawsze zostawiają po sobie bałagan. Czyżby znalazł się ktoś życzliwy, kto chciał mu uprzyjemnić życie? Idzie do kuchni, która wygląda tak samo. Na ociekaczu nie ma naczyń, blaty lśnią czystością. Schludniej, niż kiedy tu mieszkali.

Sięga po komórkę, która zaczyna wibrować w jego kieszeni. Patrzy na ekran i zastyga w bezruchu. Odkąd zaginęła Pippa, zawsze ma mieszane uczucia, ilekroć dzwoni do niego Adam. Być może przyjaciel chce go właśnie poinformować, że znalazł Pippę całą i zdrową. Ale może mieć również do przekazania złą wiadomość. Dopóki Jamie nie odbierze, oba scenariusze są możliwe. Dylemat Schrödingera.

Przesuwa palcem ikonkę zielonej słuchawki.

– Znalazłeś ją? – pyta, nie czekając, aż Adam się odezwie.

– Nie, ale...

Jamie przerywa połączenie. Nie chce słuchać usprawiedliwień Adama. Ma do niego żal, chociaż wie, że nie powinien. Nadinspektor Bishop prowadzi to śledztwo, za wszystko odpowiada. Jest najlepszym detektywem w wydziale

zabójstw, jeśli wszystkie te raporty i pochwały mają jakiegokolwiek znaczenie. Czemu zatem nie może zamknąć tej jednej sprawy, która jest tak ważna?

Komórka odzywa się ponownie, ale tym razem Jamie ją ignoruje.

– Po prostu ją, kurwa, znajdź – mamrocze pod nosem i wycisza dzwonek.

Chowa telefon do kieszeni i powłócząc nogami, idzie na górę. Zauważa, że wszystkie pomieszczenia na piętrze są zamknięte. Dobry duszek również tutaj posprzątał, myśli. Naciska klamkę i otwiera drzwi sypialni. Już na progu czuje, że coś jest nie tak. Jeżą mu się włosy na karku, na rękach ma gęsią skórę. Zastłony w oknie są zaciągnięte i wewnątrz tonie w ciemności. I ten dziwny zapach. Nieprzyjemny. Coś cierpkiego, jakby zgnilizna.

Jamie robi krok do przodu i znów przystaje. Jego oczy przyzwyczajają się do półmroku i zaczyna rozróżniać kształty. Spogląda w stronę łóżka. Jest starannie zaścielone, ale pod kołdrą widnieje spore wybrzuszenie. Ma kształt ludzkiego ciała. Ktoś leży po stronie Pippy.

Serce Jamiego uderza coraz szybciej, a w głowie kotłują się domysły. Ona tu jest. Wróciła do domu i od razu położyła się spać, tak bardzo była zmęczona. Doszło do nieporozumienia, ale nic się nie stało...

A jednak instynkt podpowiada mu, że jest inaczej.

Jamie podchodzi bliżej. Teraz widzi włosy. Jasne, rozrzucone na poduszce. Jeszcze jeden krok. Rozpoznaje jej twarz wystającą spod kołdry.

Pippa leży na plecach i ma zamknięte oczy. Wygląda, jakby spała, ale ta pozycja jest nienaturalna. Nigdy nie zasnęłaby na wznak; zawsze zwija się w kłębek jak kot i podkłada rękę pod głowę.

Jamie wolno przechodzi na drugą stronę łóżka. Kręci mu się w głowie, a jego oddech staje się płytki i urywany. Dociera do niego, że coś jest bardzo nie w porządku. Wyciąga rękę i powoli podnosi kołdrę. Potem osuwa się na kolana, a jego ciałem wstrząsa szloch.

Przed nim leży jego żona. Pod głową ma poduszkę, jej złożone ręce spoczywają na piersi, a włosy są czyste i uczesane. Jamie chwyta jej dłoń i natychmiast ją wypuszcza, zszokowany. Jest zimna jak lód.

Pippa wygląda, jakby ułożył ją tutaj ktoś, kto o nią dbał, kto opiekował się nią z miłością. Ale nie żyje. Ma szarą skórę, a w jej ciele nie ma ani kropli krwi.

Rozdział 36

Kiedy Adam wybierał numer przyjaciela, biegł już do wyjścia z komendy, więc dotarcie na miejsce nie zajęło mu wiele czasu. W drodze ogłosił alarm i rozkazał, żeby najbliższy patrol w okolicy podjechał do Jamiego. Ktokolwiek. Ponieważ to, co zobaczył na monitorze, nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Czarny volkswagen transporter mógł jechać tylko w jedno miejsce. Pod numer dziewiąty przy Robertson Avenue. Do domu Hoxtonów.

Pędząc na sygnale, czeka na telefon. Na potwierdzenie, że mundurowi dojechali pod wskazany adres, a Jamie jest bezpieczny. Jednak nie spodziewał się takiego meldunku, jaki usłyszał.

– Dom czysty, żadnych śladów podejrzanego. – Głos w słuchawce jest niski i ściszony. – Ale ona tu jest, szefie. Pippa Hoxton. Jest w domu.

Adam wie, że to nie jest dobra wiadomość.

Wbiega po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i w ogóle nie myśli o zabezpieczaniu śladów. Na progu sypialni przystaje. Włączona lampka nocna zalewa wnętrze ciepłą, przytulną poświatą. Obok łóżka klęczy Jamie z twarzą ukrytą w dłoniach. Adam wchodzi do środka. Nie odrywając wzroku od leżącego w łóżku ciała, klęka obok przyjaciela i kładzie mu dłoń na ramieniu. Zaczyna analizować to, co widzi.

A więc morderca nie przyjechał tutaj, żeby zacząć się na Jamiego. Przyjechał, żeby odwieźć jego żonę do domu. Starannie ułożył ją w łóżku w dokładnie zaplanowanej pozycji.

Adam podnosi kołdrę, żeby lepiej się przyjrzeć. Pippa ma na sobie staromodną koszulę nocną, śnieżnobiałą i wyprasowaną. Jej ciało wygląda na świeżo umyte, a włosy są lekko wilgotne. Ale jej skóra ma jasnoszary kolor. Usta są białe. Jedna ręka leży na pościeli, druga spoczywa zgięta na piersi. Paznokcie są połamane, jednego brakuje. A na jej przedramionach widnieją dwa zaczerwienione ślady po wkluciach.

Adam odrywa od niej wzrok i spogląda na przyjaciela.

– Czy ona nie żyje? – pyta Jamie tonem pełnym rozpacz.

– Tak. Przykro mi. Nie żyje.

Jamie wybucha płaczem. Adam czuje bolesny ucisk w gardle i z trudem powstrzymuje łzy. Ogarnia go smutek pomieszany z poczuciem winy, złością i żalem.

W korytarzu słychać kroki i stłumione głosy.

– O cholera... – odzywa się doktor Ross. Stoi w drzwiach i ma już na sobie biały kombinezon ochronny. – Jamie, bardzo mi przykro, ale powinieneś już iść.

– Nie mogę jej zostawić, nie chcę...

Zwalisty sierżant zwija się w kłębek na podłodze, a jego potężnymi ramionami wstrząsają spazmy. Nikt się nie rusza; wszyscy czekają cierpliwie, przejęci jego rozpaczą. W końcu Adam obejmuje go delikatnie.

– Pippa będzie w dobrych rękach – mówi. – Zaopiekujemy się nią. A potem znów ją zobaczysz. Obiecuję.

Jamie kiwa głową i z pomocą przyjaciela wstaje z podłogi. Sięga w stronę martwej żony, po czym cofa rękę i znów ukrywa twarz w dłoniach. Do sypialni wchodzi psycholog policyjny i wyprowadza go na zewnątrz.

Adam spogląda na Rossa, który bez słowa wręcza mu kombinezon ochronny. Wkłada go pospiesznie, podczas gdy patolog powolnym ruchem unosi kołdrę, odsłaniając całe ciało. Pippa jest ubrana tylko w koszulę nocną. Ma bose stopy, na których nie widać śladów brudu.

– Umył ją – mówi Adam. – I posprzątał dom. Stworzył scenografię? Zwrócił ciało jak... coś w rodzaju prezentu.

– Możliwe – przyznaje patolog. – Albo po prostu chciał usunąć ślady. Masz jakieś pytania?

Adam kręci głową. Najchętniej by stąd uciekł, byle nie patrzeć na martwą żonę przyjaciela. Całym sobą pragnie cofnąć czas i doprowadzić tę sprawę do innego finału.

Doktor Ross nie czeka na jego odpowiedź i zaczyna oględziny. Podciąga koszulę nocną, aby odsłonić nogi denatki.

– Ślady po wkłuciach tutaj, tutaj i tutaj. – Pokazuje zaczerwienione punkty na przedramionach i stopach.

Adam mimowolnie wyobraża sobie długie cienkie igły tkwiące w żyłach Pippy. Robi mu się ciemno przed oczami. Szybko odwraca wzrok i opiera się o ścianę. Napina mięśnie i z całej siły zaciska pięści.

– Zasinienia na kostkach i nadgarstkach, prawdopodobnie od więzów – kontynuuje Ross. – Wygląda na to, że doszło do

znacznej utraty krwi.

Adam przytakuje. Słyszy głos doktora, ale nie dociera do niego ani jedno słowo. Ogarnia go fala mdłości, brzęczy mu w uszach. Wnętrze sypialni zaczyna wirować. Detektyw z trudem utrzymuje równowagę.

– Właśnie coś takiego podejrzewałem u Wayne’a Oxforda, ale wszelkie rozstrzygające ślady znikły pod nacięciami na przedramionach – mówi dalej Ross. – U niego również sprawca musiał wkłuwać się w żyły, próbując w ten sposób doprowadzić do wykrwawienia, lecz ostatecznie uciekł się do bardziej radykalnego rozwiązania.

Adam ma tego dosyć. Wypada z sypialni i przytrzymując się poręczy, zbiega na dół. Czuje na sobie zaintrygowane spojrzenia. Wie, co wszyscy o nim myślą, jak go osądzają.

Nie uratował jej. Pozwolił, żeby ten zwyrodnialec ją zabił, żeby spuścił z niej całą krew, a potem podrzucił jej ciało mężowi.

Zawiódł na całej linii.

Rozdział 37

Adam stoi przed domem Jamiego przez kilka minut, ale nie czuje upływu czasu. Postronny obserwator zobaczyłby człowieka pogrążonego w myślach – zwieszona głowa, ręce po bokach, nieruchomy w mroku zimowego wieczoru. Jednak kotłują się w nim emocje. Przepęniają go wyrzuty sumienia, poczucie klęski, gniew i żal.

W końcu prostuje się, wyjmuje komórkę z kieszeni i ostrym tonem wydaje dyspozycje swoim ludziom w komendzie. Potem wsiada do czekającego przy chodniku radiowozu i podaje adres kierowcy. Ten uruchamia silnik i odjeżdża. Prędzej czy później Romilly dowiedziałyby się o śmierci przyjaciółki, ale to on powinien przekazać jej tę tragiczną wiadomość.

Na miejscu odprawia kierowcę i naciska dzwonek przy drzwiach swojego dawnego domu. Otwiera mu dziwny mężczyzna. Jest ubrany w szary dres, ale jeden z tych eleganckich, który wygląda jak szyty na miarę. Bluza opina jego szeroką klatkę piersiową i eksponuje smukłą talię. Chociaż jest luty, jego opalenizna wygląda tak świeżo, jakby właśnie wrócił z sierpniowych wakacji na Riwierze.

Przez krótką chwilę uśmiecha się przyjaźnie, ale jego twarz szybko przybiera poważny wyraz.

- Ty jesteś Adam – odzywa się szorstkim tonem.
- Tak. Zostałem Romilly?

Romilly pojawia się za plecami mężczyzny. Ma zaczerwienione oczy, jakby przed chwilą płakała, ale na widok byłego męża robi się jeszcze bardziej smutna.

– Och, Adamie – mówi, po czym gestem zaprasza go do domu i prowadzi do salonu. – Znalazłeś ją?

– Tak – odpowiada Adam. – Nie żyje. Bardzo mi przykro... Umarła... Zamordował ją.

Wie, że mógłby lepiej się wysławić, jednak w towarzystwie Romilly zamienia się z policjanta w zwykłego człowieka. Istotę ludzką, która jak każdy potrzebuje pocieszenia, zrozumienia i troski.

Romilly wybuchła płaczem. Adam odruchowo rusza w jej stronę, ale zatrzymuje się, gdy opalony mężczyzna w szarym dresie bierze ją w objęcia i tuli.

Przez chwilę stoi zakłopotany obok nich. Kiedyś to był jego dom, jego żona. Teraz nic tu po nim.

– Przepraszam – mamrocze półgłosem. – Powinienem już iść.

– Nie, zostań. – Romilly uwalnia się z objęć swojego faceta i pospiesznie ociera łzy. – Usiądź, proszę.

Adam spełnia jej życzenie i przysiada na brzegu sofy. Romilly zajmuje miejsce obok niego, a jej partner przygląda się im z zaciętą miną, stojąc na środku salonu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Atmosfera jest napięta. Adam czuje wyraźny rozdźwięk między nimi. Czyżby to przez jego obecność? Nie ma pojęcia.

– Gdzie ona...? – zaczyna Romilly. – Czy była...?

– Jamie ją znalazł. Była w domu. Morderca zawiózł tam ciało i położył w łóżku.

– O Boże! – Romilly unosi dłonie do ust. – Biedny Jamie. Jak on się teraz czuje?

– A jak myślisz? Zdruzgotany.

– A ty? Trzymasz się jakoś?

Adam chrząka i spuszcza wzrok.

– Tak – odpowiada. – Chcę tylko dorwać tego skurwiela.

Romilly spogląda na swojego partnera.

– Phil, mógłbyś nam zaparzyć herbaty? – mówi, a gdy mężczyzna nie rusza się z miejsca, dodaje bardziej stanowczo: – Proszę.

Phil jeszcze przez chwilę mierzy nieoczekiwanego gościa surowym spojrzeniem, po czym wychodzi do kuchni.

Adam w milczeniu rozgląda się po salonie. Niewiele się zmieniło od czasu, gdy mieszkali tu razem. Te same sofy. Ten sam stolik do kawy. Meble, do których się dokładał i które zostawił Romilly, kiedy się rozstali.

Jednak zauważa też drobne różnice. Na półce stoją książki, których jego była żona nigdy by nie przeczytała. Powieści Toma Clancy'ego i Johna Grishama. Autobiografie sportowców i sławnych kobiet. Wiszący na ścianie obraz jest całkiem nie w jego guście. Na podłokietniku fotela leży przerzucony męski sweter.

– Adamie? – odzywa się Romilly. – Porozmawiaj ze mną.

Zmiany zauważalne w salonie tylko podkreślają, jak bardzo wszystko się zmieniło między nimi.

– Nic mi nie jest. – Adam zmusza się do uśmiechu. – Przywykłem do tego.

– Ale przecież zginęła twoja przyjaciółka. Twój najbliższy przyjaciel stracił żonę.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

– To nie była twoja wina.

– Czyżby? – wybucha Adam. – W takim razie czyja?

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś – odpowiada Romilly niezrażona jego tonem.

– Nieprawda. Gdybym ciebie posłuchał, gdybym tylko... Mógłbym... Zdążylibyśmy dojechać tam na czas. Wciąż się zastanawiam, co zawałem. Mogłem bardziej ponaglić laboratorium. Mogłem przydzielić więcej ludzi do analizy nagrań z monitoringu. Czy ten facet zostawia ślady, których nie zauważamy? Co robię nie tak?

Romilly wciąż wlepia wzrok w byłego męża.

– Nie obwiniaj się – mówi łagodnie. – To nie ty porwałes Pippę. Nie ty ją zabiłeś.

Adam spogląda na nią. Na twarz, którą tak dobrze zna. Romilly jest jedyną osobą, z którą potrafi szczerze rozmawiać. Poznała go w najtrudniejszym okresie jego życia, kiedy był całkowicie bezbronny i nie miał innego wyjścia, jak wyznać wszystko, co myśli. I teraz, w miejscu, które kiedyś nazywał domem, najchętniej też wyrzuciłby z siebie wszystko. Opowiedziałaby jej o tym uczuciu ssania w żołądku i napięciu, które go nie opuszcza. O tym, że nie potrafi spojrzeć Jamiemu w oczy, bo zawiódł go w najgorszy możliwy

sposób. Że marzy tylko, by dopaść tego potwora i wpakować mu nóż w bebechy.

Ale słyszy, jak w kuchni gotuje się woda. Dzwoni łyżeczka uderzająca o kubek. Romilly domyśla się, co mu chodzi po głowie, i spogląda w stronę drzwi.

– Moglibyśmy porozmawiać gdzie indziej – proponuje. – Pójść na spacer, wyrwać się stąd.

– Nie, nie. Chciałem tylko cię zawiadomić, że... że Pippa...

Adam szybko wstaje z sofy. Czuje, że zaraz się rozplacze. Nie, nie może sobie na to pozwolić. Rusza pospiesznie w stronę wyjścia. Za plecami słyszy głos Romilly. Musi pociągnąć mocno za rygiel, bo zamek w drzwiach frontowych zacina się jak zwykle.

– Dziękuję ci, Milly – mówi, odwracając się do niej, i widzi Phila, który obserwuje ich uważnie. – Będziemy w kontakcie.

Szybko wychodzi na ulicę. Zostawia za sobą dom, w którym mieszkał jako żonaty mężczyzna. Ostatnie miejsce, w którym czuł się szczęśliwy. Szczęśliwy z kobietą, którą kochał najbardziej na świecie.

Ale teraz nie może jej wpuścić z powrotem do swojego życia. Nie może jej znowu zaufać; nie po tym, co zrobiła. Na nikim nie może polegać, ani na niej, ani na swoich rodzicach. Nagle wracają wspomnienia z dzieciństwa. Siedzi przerażony w jakimś obcym pomieszczeniu, a wokół kręcą się obcy ludzie. Słyszy głos matki: „Nigdy cię nie opuszczę. Kocham cię. Obiecuję, że zawsze będę przy tobie, bez względu na wszystko”.

A jednak nie dotrzymała słowa. Tak samo jak Romilly.

Adam wciąż idzie szybko ulicą. Czuje tak silny ucisk w piersi, że prawie nie może oddychać. Mimo to nie pozwala sobie na płacz.

Usenet – archiwum

alt.true-crime.current-trials

Truthwarrior65@hotmail.com

24.02.199711:27:027 UTC

Wcale nie taka niewinna! Dlaczego o niczym nie wiedziała?

Gówno prawda! A zatem, jak orzekł sąd w Winchester, Romilly Cole nie miała pojęcia o zbrodniach swojego ojca. Dwunastoletnia Romilly, która zeznawała dziś rano na rozprawie, opisała zachowanie ojca w ciągu czterech miesięcy poprzedzających aresztowanie. Mówił, że idzie do szopy w ogrodzie, żeby popracować w swoim warsztacie stolarskim. Zawsze zamykał drzwi na klucz, bo w środku trzymał ostre niebezpieczne narzędzia. A ona niczego nie podejrzewała? Co za pieprzenie!

No dobra, pomieszczenie było dźwiękoszczelne. Ale czy izolacja była aż tak dobra? Naprawdę? Czy Romilly nigdy nie słyszała krzyków i wołania o pomoc? Nigdy nie poszła do ogrodu, żeby zobaczyć, co jej ojciec tam robi? Nigdy nie widziała, jak przywozi swoje ofiary albo grzebie ich zwłoki? Co robiła w tym czasie? Malowała paznokcie? Słuchała walkmana?

Że już nie wspomnę o dziwnych okolicznościach, w których zadzwoniła na policję. Kiedy odpowiadała na pytania obrony, była zdezorientowana, aż w końcu zalała się łzami i w efekcie

prokurator zażądał przerwy. Twierdził, że biedna dziewczynka przeżyła traumę i to nie ona jest oskarżoną. Traumę, akurat! Ona brała w tym udział! Doskonale wiedziała, co robi jej ojciec.

Powiecie, że powinienem być bardziej wyrozumiały. Możliwe, że Romilly też była ofiarą, choć sama temu przeczy. Prawdopodobnie ojciec ją zgwałcił. Zerznął ją w dupę tak samo jak te nieszczęsne kobiety. Był zarówno mordercą, jak i pedofilem. Ale torturował i zabijał swoje ofiary niemalże na jej oczach. Na tej samej posesji.

A oni mówią, że nie miała z tym nic wspólnego.

Gównu prawda!

Rozdział 38

Sierżanci i posterunkowi, których Adam tak dobrze wyszkolił, nadal pracują na pełnych obrotach. Tragiczna wiadomość nie zbiła ich z tropu. Pippa była ukochaną żoną jednego z nich i teraz robią wszystko, aby ująć tego, kto pozbawił ją życia. Jednak Adam zauważa, że nie przełożyli jej zdjęcia na tablicy. Zostało na miejscu pod napisem *Zaginiona*, podczas gdy na liście ofiar przybył numer dziewięć.

Detektywi widzą, że ich szef wraca, i wszyscy milkną. Adam przysiadła na brzegu jednego z biurek w pobliżu tablicy. Musi zebrać myśli. Jest już spokojniejszy, panuje nad emocjami. Nie ma innego wyjścia.

– Jak Jamie? – odzywa się jeden z detektywów.

Pozostali wtórują mu zgodnym pomrukiem.

– W totalnej rozsypce – odpowiada Adam. – Słuchajcie, pracujemy nad tą sprawą piąty dzień z rzędu. Na pewno jesteście przemęczeni i sfrustrowani. Ja jestem. A przed nami jeszcze długa droga. Ale Marsh wyraził się jasno: olać budżet. Teraz jest nas więcej. Róbcie sobie przerwy. Musicie być wypoczęci. Nie możemy sobie pozwolić na błędy. Kiedy dorwiemy tego typu, musimy mieć pewność, że już się nam nie wywinie.

Podchodzi do tablicy i wolno przesuwając palcem po liście nazwisk. Kiedy dociera do końca, bierze zdjęcie uśmiechniętej Pippy i przykłada je obok dziewiątki. W sali panuje cisza.

– A teraz napijcie się kawy, idźcie do toalety, wyskoczcie na papierosa. Ale szybko, bo za piętnaście minut chcę tu wszystkich widzieć z powrotem. Podsumujemy, co już mamy, a potem zastanowimy się wspólnie, co robić dalej.

Adam wykorzystuje przerwę, żeby zapalić papierosa na dachu komendy. Łamie zakaz, ale wie, że dawniej wielu detektywów przychodziło tam na dymka, co było typowe dla takich starych budynków. Nie chce iść na dół do palarni, gdzie zawsze panuje gwar. Potrzebuje spokoju.

Podpiera uchylone drzwi przeciwpożarowe i podchodzi do krawędzi dachu. Odnosi wrażenie, jakby świat w dole miał wyłączony dźwięk. Zapala papierosa i zaciąga się dymem. Przez chwilę wpatruje się w gwiazdy rozsiane na bezchmurnym niebie. Potem wychyla się nad otaczającym dach ceglanym murkiem, który sięga mu do połowy uda. Spogląda w dół na betonowy chodnik. Cztery kondygnacje, niemal pewna śmierć, gdyby teraz stracił równowagę. Obserwuje ludzi przemykających ulicami, przejeżdżające samochody; wieczorny ruch jak co dzień w środku miasta. Czuje zawroty głowy i cofa się dwa kroki.

– Zamierzasz dziś odpuścić? – rozlega się głos za jego plecami.

Adam obraca się i widzi stojącego w drzwiach nadkomisarza Marsha.

– Przepraszam, szefie – mówi. – Wiem, że tu nie wolno palić.

Marsh zbywa jego słowa machnięciem dłoni, również zapala papierosa i podchodzi do niego.

– Tylko nie mów ludziom, że też tu przychodzę. To jedyne spokojne miejsce w komendzie. – Obraca się i siada na murku plecami do przepaści. – Jak się czujesz?

– Próbuję uporządkować myśli.

– Nie mogłeś jej uratować.

– A powinienem był – odpowiada ostro Adam.

Szef zaciąga się papierosem i wydmuchuje w ciemność kłęb dymu.

– Pracuję w tym fachu od ponad trzydziestu lat – mówi. – Wiedziałeś o tym, Bishop?

– Nie.

– Odwlekam przejście na emeryturę, bo jaki miałoby to sens? Co bym robił? Grał w golfa? – Marsh przerywa i w zamyśleniu strzepuje popiół. – Ale wiesz co? Kogo obchodzi to wszystko, co robię? Już dłużej nie mogę. Te morderstwa, wszechobecna śmierć, wszystko to wytrawia mi mózg. Tak samo ludzie, których nie zdołałem ocalić.

Adam wpatruje się w niego. Przez lata wspólnej pracy ten człowiek był zawsze twardy jak skała. Nigdy nie ustępował ani na krok, motywując podwładnych. Sprawiał, że wszyscy jeszcze bardziej się starali. Kiedy przyznał się teraz do porażki, było to tym bardziej szokujące.

– Też byłem kiedyś detektywem jak ty i miałem taką sprawę – dodaje Marsh. – Jeden gnojek tłukł żonę i wszyscy o tym wiedzieli. Lekarze z izby przyjęć, policjanci z lokalnego posterunku, nauczyciele ze szkoły, do której chodziły ich dzieci. Nawet opieka społeczna była zaangażowana w tę sprawę. Ale nie mogliśmy nic na niego znaleźć, a mój

przełożony powiedział, że musimy postępować zgodnie z przepisami. Że facet kiedyś popełni błąd i wtedy go przyskrzynimy.

– Udało się?

Nadkomisarz marszczy czoło i drapie się za uchem.

– Tak. Zamknęliśmy go i dostał dożywocie. Ale dopiero kiedy podpalił dom i w ten sposób zabił żonę i dwie córeczki – odpowiada, po czym wstaje i spogląda na ulicę w dole. – Nie zginęły od razu. Umarły wskutek poparzeń. Dwa dni na intensywnej terapii. Popękana skóra, zwęglone palce, niewyobrażalny ból. Jedna z tych dziewczynek miała osiem lat. Straciła wzrok, ogień wypalił jej gałki oczne. Nie mogła nikogo zobaczyć, niczego dotknąć. Godzinami przy niej siedziałem. Czytałem jej. Książki, czasopisma, co tylko wpadło mi w ręce. Żeby dodać jej otuchy, kiedy umierała. Nigdy nie zapomnę tego dziecka. I tego odoru... – Przerywa i spogląda na Adama. – Odejdę na emeryturę, kiedy doprowadzimy tę sprawę do końca. Kiedy dorwiesz tego faceta.

Adam spuszcza wzrok i wciąga do płuc ostatnią dawkę nikotyny.

– A jeśli go nie dorwę? – pyta cicho.

– Dorwiesz. Znam cię, Bishop. – Marsh otrzepuje garnitur i chowa do kieszeni paczkę papierosów. – Na głowie staniesz, ale go dorwiesz – dodaje, po czym rusza w stronę klatki schodowej.

Adam odprowadza go wzrokiem. Upuszcza niedopałek i rozgniała go czubkiem buta. Dobrze, że chociaż on nie traci wiary, myśli, bo w tej chwili nie mam pojęcia, co robić.

Detektywi czekają w gotowości, gdy ich szef wraca do sali i podchodzi do tablicy. Wszyscy patrzą na niego i trzymają otwarte notatniki.

– Mówcie po kolei, co robicie i jak wam idzie – zaczyna Adam. – Można się wcinać, jeżeli ktoś ma jakieś pomysły.

Pierwszej udziela głosu Ellie Quinn, która referuje swoje postępy w identyfikacji wszystkich ciemnych volkswagenów transporterów uchwycionych przez monitoring. Kiedy jej słucha, zauważa kątem oka ruch przy drzwiach. Do sali wchodzi Romilly. Ma na sobie modny granatowy płaszcz, czarny sweter, dżinsy i buty z wysokimi cholewkami. Zatrzymuje się przy wejściu i posyła zaskoczonemu jej widokiem Adamowi przelotny uśmiech – rzadko się zdarza, aby ludzie z zewnątrz, zwłaszcza powiązani ze sprawą, byli dopuszczani tak blisko. Po chwili całą jej uwagę pochłania Ellie Quinn.

– ...no więc sporządziliśmy listę i zaczynamy od pojazdów zarejestrowanych w okolicy, gdzie kamery uchwyciły czarną furgonetkę – ciągnie posterunkowa. – Sprawdzamy alibi, wprowadzamy dane właścicieli do centralnego komputera, ale to żmudna robota.

– Świetnie, tak trzymać – chwali ją Adam. Ellie rumieni się i wlepia wzrok w notatki, a on zwraca się do posterunkowego Lee: – Tim, jakieś wieści z laboratorium?

Lee kręci głową.

– Maggie potwierdziła, że krew w budynku przy Gloucester Road zdecydowanie należała do Pippy Hoxton – mówi. – Ale nad resztą materiałów wciąż pracują.

– Wspominała może, czy zabrali się już do próbek z prosektorium?

– Niestety nie.

– Dopilnuj tego. I jeżeli na ciele którejś z ofiar znajdą krew sprawcy, chcę o tym wiedzieć. Jacyś nowi świadkowie morderstwa w Monk's Hill?

Posterunkowy z zawstydzeniem kręci głową i Adam zwraca się do kolejnego detektywa. Jego ludzie wciąż przeglądają nagrania z monitoringu, sprawdzają wyniki systemu automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych, prowadzą wywiad w terenie i przesłuchują osoby korzystające z dzikiego wysypiska śmieci, jednak ich działania nadal nie przynoszą efektów. Niczego godnego uwagi.

– A co ze stalkerami? – odzywa się jeden z detektywów. – Louise Edwards zgłaszała, że ktoś ją śledzi. Podejrzewamy również, że morderca włamał się do domu Stephen'a Careya. Może sprawdzilibyśmy w centralnym komputerze zgłoszenia o podobnych przypadkach?

Adam zauważa, że jego była żona przygląda się w skupieniu wiszącej na ścianie tablicy, zerka na niego, po czym z powrotem przenosi wzrok na notatki całego zespołu.

– Dobry pomysł, tak zróbcie – odpowiada, a potem zwraca się do Romilly: – Doktor Cole, dziękuję za przybycie. Czy chciałabyś coś dodać?

Romilly marszczy czoło i szybko omiata spojrzeniem zebranych, którzy patrzą na nią z zaciekawieniem.

– Tylko jedno – odpowiada powoli. – Wasz świadek wspomniał, że podejrzany miał na sobie spodnie od piżamy. Braliście pod uwagę odzież medyczną?

– Co takiego?

– Ubranie, jakiego używają lekarze i personel szpitalny. Potocznie nazywa się je pizamą. Czy ten człowiek mógł nosić coś takiego?

Salę wypełnia gwar rozmów. Adam myśli intensywnie. Dawniej nieraz widział Romilly w takim stroju – chodziła po szpitalu w różnokolorowych workowatych spodniach.

– Hej, hej! – woła, uciszając podwładnych, po czym zwraca się do Romilly: – Kto nosi takie ubrania?

– Lekarze, pielęgniarki. Głównie ludzie, którzy pracują na oddziale intensywnej opieki medycznej albo w sali operacyjnej. Może również na oddziale ratunkowym.

– Ale nie poza pracą?

– Nie, przebieramy się w szpitalu. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby zabrać sobie taki strój do domu. Sama mam w szafie kilka kompletów. Są wygodne i można je wyrzucić bez żalu.

– Cholera – mamrocze Adam.

Odzież medyczna pasuje do innych elementów układanki – do opakowań po igłach i strzykawkach, nie mówiąc o umiejętnościach niezbędnych do spuszczenia krwi. Tylko od czego zacząć?

– Lee, zdobądź listę wszystkich lekarzy i pielęgniarek zatrudnionych w tutejszych szpitalach. Quinn, sprawdź, czy na kogoś spośród nich jest zarejestrowany volkswagen transporter.

– A serwis sprzątający? – wtrąca Romilly. – Albo pracownicy administracyjni? Teoretycznie każdy może

podwędzić coś takiego z magazynu.

– Skupmy się na personelu medycznym. Szukamy kogoś o specjalistycznych umiejętnościach.

W sali znów robi się gwarno, gdy detektywi ze zdwojoną energią przystępują do pracy, tymczasem Romilly podchodzi do Adama.

– Marsh mnie tu ściągnął – wyjaśnia. – Pomyślał, że mogłabym na coś się przydać. Zresztą i tak nie potrafię znieść bezczynnego siedzenia w domu.

Adam nie jest pewien, czy jego szef zaprosił Romilly do współpracy w drodze wyjątku, czy próbuje w taki sposób zapewnić mu odrobinę wsparcia moralnego. Tak czy inaczej docenia ten gest.

– Dziękuję – mówi. – Dobrze, że się zjawiłaś.

Romilly uśmiecha się w odpowiedzi, a na jej twarzy widać zmęczenie. Adam woli nie myśleć o swoim wyglądzie. Ma napiętą skórę, pieką go wysuszone oczy. Wie, że ma tytoniowy oddech i nie pachnie zbyt zachęcająco, a kilka warstw zaaplikowanego w pośpiechu dezodorantu na niewiele się zdaje.

Z drugiego końca sali dobiega podniesiony głos:

– Pytają, o jakie zawody konkretnie nam chodzi – woła jeden z detektywów, trzymając w wyciągniętej ręce słuchawkę telefonu.

– Zajmę się tym – mówi Romilly.

Adam odprowadza ją wzrokiem i czuje przyływ energii. Odkrył nowy trop w śledztwie, ale nie tylko to jest dla niego źródłem motywacji.

Jej obecność dodaje mu siłę. Zawsze tak było.

Rozdział 39

Romilly nie wiedziała, czego się spodziewać, kiedy zjawiała się w komendzie zaledwie godzinę po wizycie Adama. Ale kiedy przyjechał, żeby zawiadomić ją o śmierci przyjaciółki, wyczytała z wyrazu jego twarzy, że buzują w nim emocje i rozpaczliwie potrzebuje rozmowy, tylko nie potrafi się otworzyć. Odżyły w niej dawne uczucia. Chciała mu pomóc, więc gdy tylko zadzwonił do niej Marsh, zostawiła Phila w domu i wsiadła do samochodu.

Ale mężczyzna, który teraz przed nią stoi, w niczym nie przypomina Adama, którego zapamiętała. Wszystkie jego dawne słabości znikły pod maską operatywności, profesjonalizmu i przywódczego stylu bycia. Jego podwładni nie wiedzą, jaki był kiedyś. Człowiek, którego poślubiła, umiał przyznawać się do błędów. Umiał prosić o pomoc i nie wstydził się słabości. Śmiał się, płakał i obejmował ją tak mocno, że nabierała wiary w siebie. Ależ jej teraz brakowało tamtego Adama.

Romilly kończy rozmowę z detektywem i robi kolejną pożyteczną rzecz, jaka przychodzi jej do głowy – idzie po kawę i herbatę dla całego zespołu. Kobieta prowadząca bufet miała już zamykać, ale daje się ubłagać i włącza ponownie ekspres. Czekać na zamówienie, Romilly wraca myślami do czasu, w którym jej małżeństwo obróciło się w ruinę.

Tamten mężczyzna był synem jednej z pacjentek. Singlem, wysokim i barczystym. Od samego początku nieprzystępnym, ale przez to jeszcze bardziej pociągającym. Okazywał jej zainteresowanie i był przystojny. Pochlebiało jej to, chociaż teraz czuje się zażenowana, że tak łatwo dała się zbałamucić.

Za to z Adamem jej się nie układało. Ciągłe się mijali, jakby ich godziny pracy były całkowicie rozstrojone, a kiedy trafiali na siebie w domu, nie przestawali się kłócić. Adam dostał awans na inspektora i stał się jeszcze bardziej arogancki, co doprowadzało ją do szewskiej pasji. Zmienił się i mówiła mu o tym, ale on twierdził, że zawsze był taki. W końcu nie wytrzymała i wychodziła do pracy. A tam spotykała jego.

Jego matka była chora, ale dochodziła do siebie. Pewnego dnia przyszedł podziękować Romilly i wręczył jej bukiet kwiatów. Zaprosił ją na drinka, a ona nie odmówiła. Poszli do pubu i jeden drink zamienił się w całą butelkę. Alkohol wprowadził ją w ten tajemniczy stan upojenia, w którym wyzbyła się zahamowań i pomyślała: pieprzę cię, Adamie. Za twardą skorupę, za kwaśne miny, za nieufne spojrzenia. Za to, że czuła się niepewna, niezaspokojona i samotna.

Tylko że nie pieprzyła Adama, tylko tamtego faceta. W hotelu niedaleko pubu. Nie miała nawet czasu zdjąć stanika. Buty i spodnie na podłodze, trochę zdawkowych pocałunków i już w niej był. Ledwie zdążyła się zastanowić nad tym, co się z nią dzieje, a on już doszedł, ściągnął kondom i opadł ciężko obok niej na łóżku.

– Muszę iść – powiedziała, machinalnie naciągając majtki.

Klepnął ją w tyłek, kiedy wstała.

– Zadzwoń do ciebie – obiecał.

Choć nie miał jej numeru.

Chwiejnym krokiem wróciła do domu. Adam już spał, kiedy położyła się obok niego, rozpaczliwie szukając ukojenia w dobrze znanej bliskości, chociaż wiedziała, że to nie ma sensu. Obrócił się do niej i położył ciężką rękę na jej talii.

– Zasiedziałaś się w pracy? – wymamrotał półprzytomny.

Pachniała tamtym mężczyzną i wiedziała o tym. Piżmowym aromatem seksu, środkiem plemnikobójczym, bezmyślnymi pchnięciami w ciemności.

– Przespałam się z kimś – odparła.

I to był koniec.

Nikt nie bierze pod uwagę wydarzeń poprzedzających chwilę niewierności. Czynników, które prowadzą do zdrady. Idziesz z kimś do łóżka i tyle. Zasługujesz na potępienie, jakby świat był czarno-biały. Z wyjątkiem Pippy wszyscy współni przyjaciele wzięli stronę Adama. Po raz drugi w życiu w Romilly poczuła się całkowicie samotna. Ale stanęła na nogi – znowu – i przetrwała sprawę rozwodową, godząc się, by Adam zabrał to, co chciał. Ale on oddalił się jeszcze bardziej. Zatrzymaj wszystko, powiedział, jakby nic, co było z nią związane, nie miało znaczenia.

Romilly ostrożnie ustawia kubki z kawą i herbatą na tacy, żeby zanieść je detektywom. Przystaje w połowie korytarza, gdy w jej kieszeni dzwoni komórka, ale ma zajęte ręce i nie może odebrać. W końcu dzwonek milknie i po chwili rozlega się sygnał esemesa z informacją o wiadomości na poczcie głosowej.

Detektywi przyjmują gorące napoje z wdzięcznością. Zostaje jeden kubek dla Adama, który właśnie rozmawia w swoim biurze przez telefon. Romilly odsłuchuje nagraną wiadomość. Phil mówi nienaturalnie spiętym głosem, jest wyraźnie zirytowany i zadaje pytania, jakby spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi. „Gdzie jesteś? Kiedy wrócisz do domu?” I to najbardziej przesiąknięte jadem, które wypluł z siebie na chwilę przed tym, zanim się rozłączył: „Jesteś z nim?”.

Adam wciąż rozmawia przez telefon. Kątem oka dostrzega Romilly stojącą w otwartych drzwiach biura. Spogląda na nią i uśmiecha się na widok kubka kawy w jej dłoni. Daje jej znak gestem, aby usiadła, a ona stawia przed nim kawę, jednak czeka na stojąco, pozwalając mu dokończyć rozmowę.

– Dziękuję – mówi były mąż, chwytając oburącz kubek. – Miło z twojej strony, że przysłaś.

– Muszę iść... – zaczyna Romilly.

Unosi rękę z telefonem, jakby to małe urządzenie mogło wyjaśnić jej zawiły dylemat – dlaczego musi wracać do swojego faceta, którego nagle ma serdecznie dość, podczas gdy były mąż budzi w niej takie pragnienie, że niemal boli ją całe ciało.

– Oczywiście – odpowiada Adam i wlepia wzrok w monitor, a jego twarz pochmurnieje.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

– Naprawdę nic mi nie jest.

Romilly obraca się w stronę drzwi. Przelotny kontakt wzrokowy i wymuszony uśmiech Adama dają jej do zrozumienia, że powinna już iść.

– Milly?

– Tak?

– Czy Pippa wspominała, że ktoś za nią chodził? Znaczy jakby ją śledził?

Romilly czuje się rozczarowana, ale czegoż mogła się spodziewać? Adam nie zamierza otworzyć przed nią serca. Nie tu, nie teraz. Nigdy.

– O niczym takim nie wspominała, ale mogę zadzwonić...

– Nie, nie trzeba. Sam zadzwonię do Jamiego. Dobranoc.

Romilly kiwa głową, a na jej twarzy wykwitają rumieńce. Czuje się odrzucona tak samo mocno jak wtedy przed laty.

Rozdział 40

Jamie ma ochotę wyjść. Wrócić do domu, rozsiąść się na sofie i obejrzeć jakąś ohydłą komedię romantyczną produkcji Netflix. Jedną z tych, które Pippa tak uwielbiała, a które jemu zawsze tak działały na nerwy. Do końca życia nie oglądałby niczego innego, gdyby tylko mógł ją w ten sposób odzyskać.

Tymczasem stoi w sieni domu Adama i słucha trajkotania psycholożki policyjnej. Nie znosi tej kobiety i wszystkiego, co się z nią wiąże. Tego, że stał się ofiarą. Że inni decydują, o czym może wiedzieć, a co lepiej zachować przed nim w tajemnicy – przekazują mu tylko strzępki informacji, z którymi ich zdaniem zdoła sobie poradzić.

– Zostaw mnie – mamrocze pod nosem, a potem powtarza głośniej: – Zostaw mnie.

Kobieta przerywa swój wywód w pół zdania i spogląda na niego.

– Ale Jamie...

– Zostaw mnie.

Chciałby to wyrzucić z siebie, wykrzyczeć jej w twarz. Wyładować na niej cały gniew, całą swoją frustrację i rozpaloną do czerwoności furję. Ale ona tylko wykonuje swoją pracę, a on nadal jest uprzejmy mimo tego wszystkiego, co go spotkało. Dlatego mówi spokojnym, lecz stanowczym tonem, a przekaz w końcu do niej dociera.

– Masz mój numer – mówi kobieta i zamyka za sobą drzwi.

Jamie stoi nieruchomo. Zamyka oczy i czuje pulsowanie w żyłach, ale jego serce wydaje się tak puste, jak ciało Pippy pozbawione krwi. Tak samo zimne i martwe.

Jest zmęczony, ale nie ma odwagi położyć się spać. Wie, że kiedy obudzi się rano, znowu będzie sobie przypominał to wszystko, co się stało.

Musi zadzwonić do rodziców Pippy. Trzeba zorganizować pogrzeb, tylko kiedy? Kiedy będzie można odebrać ciało? Przytłoczony rozpaczą, nie potrafi już udźwignąć ich żałoby.

Upuszcza kurtkę na podłogę i wchodzi do salonu. Wnętrze jest urządzone minimalistycznie, niewiele w nim sprzętów i ozdób. Żadnych akcentów, które tworzą domową atmosferę. Nie ma zdjęć, obrazów na ścianach, książek ani płyt. Kiedyś uważał Adama za szczęściarza, który może wychodzić z domu i wracać o dowolnej porze. Dzięki takiej swobodzie jego przyjaciel zaszedł wysoko w hierarchii zawodowej, podczas gdy on utknął w martwym punkcie. Ale teraz Jamie po raz pierwszy widzi, jak jest naprawdę – oto patrzy na dom człowieka, który nie ma w życiu niczego poza pracą. Samotnika, któremu brakuje sił, ambicji albo ochoty, żeby zapuścić korzenie. I dokąd zaprowadziła go ta kariera? Kiedy przyszło co do czego, nie potrafił dokonać tego jednego, co miało znaczenie. Nie udało mu się uratować Pippy. Została zamordowana, a on mógł tylko beczynn timer czekać.

Jamiego zalewa fala gniewu, która szybko łączy się z druzgoczącym smutkiem. Odkąd znalazł ciało żony, ma wrażenie, jakby niebezpiecznie balansował na krawędzi bezdennej otchłani. Przytłoczony ciężarem, opada na kolana na środku salonu i zaczyna rwać włosy z głowy. Potem

ukrywa twarz w dłoniach, a szloch, który wydobywa mu się z gardła, powoli zamienia się w nieludzkie zawodzenie.

Czuje, że rozpacz go zabija. Że nie może oddychać, że nie chce mu się żyć, że bez niej nie przeżyje.

Szlocha samotnie, zwinięty w kłębek na podłodze w salonie swojego najbliższego przyjaciela. Człowieka, który pozwolił umrzeć jego żonie.

Oddział Psychologii Klinicznej Karta informacyjna pacjenta

Imię i nazwisko pacjenta: Catherine Sutton

Data urodzenia: 05.06.1977

Pacjentka została skierowana na Oddział Psychologii Klinicznej po przyjęciu do szpitala po niedawnym traumatycznym przeżyciu. Nie wystawiono dotychczas żadnej diagnozy; była leczona wyłącznie z powodu niedożywienia i odwodnienia po wstępnej ocenie na oddziale ratunkowym. Ma zostać wypisana w oczekiwaniu na ocenę psychiatryczną i psychologiczną.

Historia

Śledztwo jest w toku, jednak policja ujawniła, że Catherine Sutton była więziona przez porywacza, który prawdopodobnie wykorzystywał ją seksualnie i torturował. Pozostałe cztery porwane kobiety nie żyją i Catherine mogła być świadkiem ich śmierci.

Obecna sytuacja

Początkowo pacjentka rozmawiała niechętnie, unikała kontaktu wzrokowego i prób nawiązania relacji. Otworzyła się dopiero podczas trzeciej sesji – zaczęła opowiadać o swojej przeszłości i wyznała, że w okresie poprzedzającym porwanie była bezdomna i utrzymywała się z żebrania i prostytutki. Z oceny

przeprowadzonej na oddziale ratunkowym podczas przyjęcia do szpitala wynika, że mogła być uzależniona od narkotyków, aczkolwiek sama tego nie potwierdza. Nie zaobserwowano u niej objawów zespołu odstawiennego.

Na ogół jest spokojna, mówi bez emocji, wykazuje oznaki otępienia psychicznego. Zgłaszała problemy z bezsennością, poczucie winy, samotność, bezradność i wyobcowanie. Mówiła, że nie ma po co żyć „teraz, kiedy to się skończyło”. Kiedy zadawałam jej pytania nakierowujące na myślenie o przyszłości, wielokrotnie kręciła głową, jakby odmawiała rozważania takiej ewentualności.

Podczas rozmów na temat śledztwa wbrew oczekiwaniom otwarcie wyrażała wrogość wobec policji i adwokatów, a jej wzburzenie narastało. Pytała o podejrzanego, ale świadomość, że przebywa on w więzieniu, tylko pogorszyła jej stan, doprowadzając do ataku paniki, który wymagał interwencji farmakologicznej. Pacjentka oświadcza, że nie będzie zeznawała na rozprawie i nie spotka się z prokuratorem.

Rozpoznanie kliniczne

Moim zdaniem chorobą podstawową jest obecnie zespół stresu pourazowego (PTSD), wtórną zaś depresja (z myślami samobójczymi) i zespół lęku napadowego. Ponadto jako jedyna ofiara, która uszła z życiem z sytuacji zagrożenia, Catherine cierpi na „syndrom ocalałego”. Do jego objawów należą silne poczucie winy, wstyd, niepokój i wycofanie społeczne, które mogą potęgować depresję.

Zagrożenia

Catherine Sutton nie ma rodziny ani nie może liczyć na niczyje wsparcie, dlatego nie ma gdzie mieszkać po wypisaniu ze szpitala. W takiej sytuacji najprawdopodobniej znajdzie się z powrotem na ulicy i istnieje znaczne ryzyko, że odbierze sobie życie. Ponadto narażanie pacjentki na dodatkową traumę poprzez przymuszanie jej do składania zeznań podczas procesu może tylko spotęgować jej stany lękowe i jest zdecydowanie niewskazane.

Zalecenia

W najbliższej przyszłości pacjentka powinna zostać objęta obserwacją i ściśle monitorowana pod kątem zagrożenia samobójstwem. Zaleca się przyjęcie na oddział psychiatryczny celem dokonania oceny pod kątem doboru metod terapeutycznych i leczenia farmakologicznego.

Ponieważ pracownik socjalny nie jest obecnie zaangażowany w sprawę, kieruję również zawiadomienie do opieki społecznej.

Dr Rebecca Forrest,
specjalista psychologii klinicznej

Rozdział 41

Adam wraca po jedenastej wieczorem. W domu panuje cisza, więc ma nadzieję, że jego przyjaciel już się położył. Jamie może być pogrążony w rozpacz, ale potrzebuje snu. Zresztą prawdę mówiąc, Adam nie potrafiłby spojrzeć mu w oczy.

Nie wie, jak mu powiedzieć, że śledztwo wciąż stoi w miejscu i nie ma żadnych nowych tropów. Nieraz przekazywał podobne wiadomości rodzinom ofiar, ale wtedy miał swobodę ruchu. Mógł powiedzieć swoje i odejść. Teraz nie może.

Wchodzi do salonu i zastaje przyjaciela rozpartego na sofie. Jamie obraca głowę i spogląda na niego mętnym wzrokiem.

– Oto wielki detektyw wraca do domu – mówi bełkotliwie i unosi szklanę do whisky w ironicznym toaście.

– Cześć.

Adam przysiadł na brzegu fotela naprzeciwko niego.

– Zamknąłeś jakiegoś podejrzanego?

Jamie chce pociągnąć kolejny łyk, ale orientuje się, że szklanka jest pusta. Patrzy na nią poirytowany i wyciąga rękę w stronę Adama.

– Mógłbyś mi nalać?

– Nie sądzisz, że już ci wystarczy?

– A ty nie sądzisz, że już dawno powinieneś być złapać tego gnoja?! – wybucha nagle Jamie. – Zanim zamordował moją żonę?!

Adam zaciska zęby. W jego głowie pojawiają się odpowiedzi i usprawiedliwienia, ale wie, że nie ma sensu się odzywać. Jego przyjaciel nie kieruje się teraz rozsądkiem, a on jest dogodnym celem dla jego wściekłości.

– Nie masz nic do powiedzenia, nadinspektorze Bishop? – ciągnie Jamie. – Żadnego gładkiego sloganu? Żadnego pustego frazesu ani słów współczucia? Ta sprawa chyba nie przysłuży się zbyttnio twojej karierze, co?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – odpowiada Adam łagodnie.

– Widocznie to za mało. Nie wystarczyło...

Jamie podnosi się z sofy i zrzuca szklankę, która spada na podłogę i toczy się po dywanie. Staje naprzeciwko Adama z zaciśniętymi pięściami. Znacznie góruje nad nim wzrostem i wagą, ale jest pijany i ledwie trzyma się na nogach.

Adam nie chce z nim walczyć. Ani teraz, ani nigdy. Wstaje, obraca się na pięcie i wychodzi z salonu. Słyszy, jak Jamie idzie za nim chwiejnym krokiem, obijając się o ściany i futryny.

– Co? Wielki Adam Bishop nie staje do walki? Zabrakło ci jaj?

Adam zdejmuje kurtkę z wieszaka, otwiera drzwi i wychodzi w mroźną noc. Jamie zostaje na progu.

– Dokąd się wybierasz? – krzyczy za nim. – Sam idziesz? Do kogo? Przecież straciłeś wszystkich, którzy cię kochali.

Adam wie, że jego przyjaciel cierpi i wyładowuje się na nim, ale nie może nie przyznać mu racji. Tak, kurwa, Jamie ma rację, myśli. Adam słyszy za plecami jego głos, który rozpływa się w ciemności. Bez zastanowienia idzie przed siebie, a nogi same niosą go tam, gdzie znajdzie samotność, chociaż wokół niego będzie pełno ludzi.

Stoi w ciemnym zakątku baru z butelką piwa w dłoni. Czuje, że anonimowość mu służy. Pierwszy kieliszek wódki w ogóle nie zrobił na nim wrażenia, a dwa kolejne jedynie lekko nim zachwiały. Słowa Jamiego wciąż rozbrzmiewają echem w jego głowie. Co mu zostało? Czego tu szuka? Przyjaźni? Przyszłej żony? Kogoś, kto pomoże mu uciszyć wyrzuty sumienia?

Jakaś kobieta idzie w jego stronę, niepewnie stawiając kroki. Ubrana w dzinsy i koszulkę z długim rękawem, nie pasuje do tego miejsca. Podchodzi bliżej i Adam ją rozpoznaje. Kobieta nieśmiało macha do niego, a on marszczy czoło.

– Ellie? Co tu robisz?

– Ja... – Ellie przerywa zakłopotana. – Musiałam gdzieś wyjść.

Adam zdaje sobie sprawę, że to niewłaściwe, chociaż alkohol otępia jego umysł.

– Lepiej wracaj do domu – mamrocze.

– A ty nie potrzebujesz towarzystwa?

Potrzebuje. Ale nie jej. Ellie jest jego podwładną, pracują razem. Są w trakcie poważnego śledztwa i powinni być wypoczęci. Mimo to mówi:

– Jasne. Czemu nie?

– Jeszcze raz to samo?

Adam macha butelką i Ellie odchodzi w stronę baru. Widać, że jest pijana, a on sam potrzebuje jeszcze paru kolejek. Uroczą z niej dziewczyna. Przyda się jako ktoś, z kim można porozmawiać. Na razie.

Ellie wraca z dwoma piwami w jednej dłoni i czterema shotami w drugiej. Z hukiem stawia całe szkło na blacie.

– Wódka?

– Pomyślałam, że musisz nadrobić zaległości. Jestem już nieźle wstawiona.

– Nie może być – mówi Adam, a Ellie parska śmiechem.

Wypijają shoty i Adam czuje w piersi dudnienie ciężkich basów z głośnika. Powoli się uspokaja. Ma świadomość, że Quinn ciągle coś mówi, ale nie zwraca na nią uwagi. Nagle orientuje się, że przerwała i czeka na odpowiedź.

– Proszę?

– Pytałam, kiedy rozwiodłeś się z doktor Cole.

– Jakieś trzy lata temu.

– I nadal się dogadujecie?

– Na ile to możliwe. – Adam czuje, że Ellie przygląda mu się badawczo. – Ale ona kogoś ma – dodaje.

– Aha. A ty jesteś singlem?

– To bardzo osobiste pytania jak na rozmowę z przełożonym, posterunkowa Quinn.

Ellie parska śmiechem. Kiedy jest pijana, nie zachowuje się przy nim tak nieśmiało jak zwykle.

– Przepraszam – mówi. – Zwykła ciekawość. Tak między nami singlami.

Chwieje się lekko i Adam kładzie jej dłoń na ramieniu, żeby ją podtrzymać. Ellie unosi wzrok, a jej duże zielone oczy patrzą na niego z przejęciem. W migoczącym świetle baru piegi na jej skórze wydają się jeszcze ciemniejsze.

– Jeszcze po jednym?

W tym momencie powinien był odmówić. Zostawić ją, wyjść z baru, wrócić do domu. Położyć Jamiego do łóżka, zostawić mu dzbanek wody i również się przespać. Ale tego nie zrobił. Pili dalej. Ellie chichotała zalotnie, ocierała się o niego całym ciałem, a jej włosy łaskotały go po twarzy, kiedy nachylał się nad nią, żeby lepiej ją słyszeć.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Po zdrowym rozsądku nie zostało śladu, kiedy go pocałowała. Kiedy jej na to pozwolił. Kiedy zatrzymali taksówkę na ulicy. Kiedy jechali do niej, a ich ręce wędrowały tam, gdzie nie powinny.

Pod drzwiami długo szukała kluczy i bełkotliwie oznajmiła, że jej współlokatorka gdzieś wyjechała. W przedpokoju zaproponowała mu kolejnego drinka, ale zaraz potem pocałowała go i pociągnęła do sypialni. Przez cały czas wiedział, że powinien to przerwać. Ale tego nie zrobił. Brnął dalej. Desperacko pragnął być blisko kogoś. Kogoś, komu się podoba i kto potrzebuje jego bliskości. Kogoś, kto nie zna jego wad, nie ma pojęcia o jego problemach i nie obwinia go za swoje problemy.

Dobrze mu z nią. Dobrze mu, gdy chwyta go za pośladki, przyciągając go bliżej. Gdy ściąga mu koszulę przez głowę. Gdy leżą na łóżku, całując się i obłapiając, a ona nie ma już spodni i właśnie pozbywa się stanika. Adam leży na niej i nagle zauważa, że jej ruchy stają się wolniejsze.

– O ja pierdołę – bełkocze Ellie, podnosząc na niego wzrok.
– Ale jestem nawalona.

Ma na wpół przymknięte oczy i oddycha ciężko. Jej powieki opadają, a palce wczepione w jego włosy rozluźniają chwyt.

I wtedy Adam to widzi. Jego świadomość cofa się o krok, pozwalając mu spojrzeć na siebie z góry. Jakby ktoś inny patrzył, co robi Adam Bishop. Widzi siebie między rozchylonymi nogami prawie całkiem nagiej kobiety. A ona leży pod nim zalana w trupa.

Zrywa się tak gwałtownie, że omal nie upada.

– Kurwa! – krzyczy.

Co ja chciałem z nią zrobić? Z kobietą, która ze mną pracuje i której teraz urwał się film?

W pośpiechu naciąga spodnie i przeczesuje dłońmi włosy, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Ellie leży na plecach z otwartymi ustami. Całkowicie nieprzytomna. Nagle zaczyna się ruszać, jej brzuch się napina, a z gardła dobiega głucho stęknienie. Adam doskakuje i szybko obraca ją na bok. Rozgląda się za jakimś naczyniem, lecz Ellie już wymiotuje gwałtownie na podłogę. Podsuwa jej kosz na papiery, gdy wstrząsa nią kolejna fala torsji. Wymiociny są wszędzie – na jej włosach, na dywanie, na jego ubraniu.

W końcu Ellie przestaje wymiotować i jęcząc, obraca się z powrotem na plecy. Wciąż ma zamknięte oczy.

Adam siedzi na podłodze i oddycha ciężko przez usta, bo unoszący się w powietrzu smród jest nie do wytrzymania. Nagle zrywa się i biegnie do łazienki. Z jego ust chlusta przetrawiony alkohol i kwaśna treść żołądka. A także cała nagromadzona w nim złość. Cierpki odór wypełnia mu

nozdrza, a obrzydliwy smak w ustach sprawia, że znowu wymiotuje, ale tym razem tylko żółcią. Kuca na wykafelkowanej posadzce, łapczywie chwyta oddech, łzawią mu oczy. Nie powinien był tyle pić. Ale to nie alkohol przyprawił go o mdłości, tylko on sam. To, co zamierzał zrobić. Człowiek, jakim się stał.

Dzień 7
Piątek

Rozdział 42

Adam budzi się na sofie z bólem pleców. Suszy go niemiłosiernie i czuje pieczenie w żołądku, które nie ma nic wspólnego z kacem. Ma na sobie wczorajsze ubranie i stoi w kuchni z dużą szklanką wody. Przygląda się zdjęciom przyczepionym do lodówki. Na wszystkich widać te same trzy kobiety, wśród nich roześmianą Ellie.

Jego koszula cuchnie wymiocinami, a w ustach ma ohydny smak.

To, co wydarzyło się zeszłej nocy, było niewybaczalne. Kiedy Ellie skończyła wymiotować, doprowadził ją do porządku najlepiej, jak potrafił, a następnie ułożył w pozycji bezpiecznej i okrył kołdrą. Potem przyniósł wiadro i ścierkę, żeby umyć podłogę. Smród był odrażający. Kilka razy zbierało mu się na wymioty, ale posprzątał wszystko, co udało mu się znaleźć. Na koniec postawił wypłukany do czysta kosz obok łóżka Ellie i wyszedł z sypialni.

Słyszy kroki i ogląda się przez ramię, gdy w drzwiach kuchni pojawia się Ellie. Staje na progu i wlepia w niego wzrok. Jest ubrana w niebieską piżamę w gwiazdki. Ma rozmazany makijaż, a jej włosy niedbale spięte w kucyk z jednej strony przylegają płasko do głowy.

– Przepraszam – odzywa się pośpiesznie Adam. – Nie chciałem zostawiać cię samej. W nocy zrobiło ci się niedobrze. Obawiałem się, że znowu możesz dostać mdłości.

– Yyy... jasne. – Ellie chrząka i na chwilę zamyka oczy. – A jak się tu znalazłeś?

– Hm... no więc... – Adam waha się, nie do końca pewien, ile może ujawnić. – Wczoraj wieczorem spotkaliśmy się w barze. Zaprosiłaś mnie do siebie.

– Czy... o cholera. Czy my...? Pamiętam, że się całowaliśmy.

– Tak, ale tylko trochę. Przepraszam.

– Ale nic poza tym?

Adam skwapliwie kręci głową.

– Nie. Zaczęłaś wymiotować.

– O Boże. – Ellie opada na krzesło i ukrywa twarz w dłoniach. – Tak bardzo cię przepraszam.

– Nie, nie masz za co przepraszać. Raczej to ja powinienem cię przeprosić. Jestem twoim szefem.

– Wiem...

Młoda policjantka wydaje przeciągły jęk i zaczyna płakać. Adam stoi przed nią zakłopotany.

– Napijesz się herbaty? – pyta. – Zaparzę ci.

Nastawia czajnik i wybiera kubek z różnorodnego zestawu w szafce nad blatem. Kiedy widzi napis *Pierwsze 25 lat masz za sobą*, zastanawia się z jeszcze większym zażenowaniem, w jakim wieku może być jego podwładna.

Przygotowuje herbatę i siada przy stole naprzeciwko Ellie, która ociera łzy rękawem piżamy i głośno pociąga nosem.

– Dziękuję – mówi, uśmiechając się blado. – Bardzo się zaprawiłam?

– Cóż, widywałem cię w lepszym stanie.

Ellie próbuje przeczesać włosy dłońmi, chwytając w palce kilka kosmyków i krzywi się z niesmakiem.

– Obrzygałam cię?

– Niewiele brakowało – odpowiada Adam z uśmiechem. – Za to przyozdobiłaś cały dywan.

– Naprawdę?

– Posprzątałem, w każdym razie próbowałem. Będziesz musiała po mnie poprawić.

Ellie znów chowa twarz w dłoniach.

– Ale mi głupio – szepcze przez palce. – Złożysz na mnie skargę?

– Skargę na ciebie? – Adam nie kryje zaskoczenia. – To ja zawiniłem. W końcu jestem twoim przełożonym. Obydwoje za dużo wypiliśmy, zdecydowanie za dużo. Umówmy się, że teraz sobie pójdę, a ty weźmiesz prysznic i zjesz śniadanie, a kiedy znowu zobaczymy się w pracy, nigdy nie będziemy z nikim rozmawiać na ten temat.

Ellie unosi głowę i spogląda na niego z wdzięcznością.

– Tak byłoby najlepiej. Dziękuję.

Adam czuje się podle, mimo to kiwa głową.

– A teraz wypij herbatę – mówi. – Dobrze ci zrobi.

Wstaje, kładzie dłoń na ramieniu Ellie, a potem wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi frontowe.

Idzie szybko, jak gdyby oddalenie się od jej domu mogło złagodzić niespokojne napięcie, które czuje w trzewiach. Zachował się jak skończony idiota. Nawet pomijając to, jak niewiele brakowało, aby uprawiali seks, nie powinni byli razem pić. Przekroczyli granice niestosownego zachowania, gdy tylko wpadli na siebie. Powinien był wrócić do domu i jej polecić to samo. Ale był tak żałośnie spragniony towarzystwa, że pozwolił, aby sprawy zaszły za daleko. Pozwolił na te pocałunki i... całą resztę. Woli nawet nie myśleć, co by było, gdyby wypił odrobinę więcej. Potrafiłby zatrzymać się w porę? Czy...?

Zgina się wpół i wstrząsany skurczami żołądka wymiotuje na chodnik. Potem, stojąc z rękami opartymi na kolanach, wydaje głośny jęk obrzydzenia i czystej nienawiści do samego siebie. Słyszy za plecami odgłos kroków i ogląda się przez ramię. Obok niego pospiesznie przechodzi kobieta w eleganckim płaszczu. Jak musi wyglądać w jej oczach? Widzi teraz siebie takim, jaki jest. Smutny samotny facet po czterdziestce, który podrywa kobiety w nocnych barach, bo przeraża go myśl o prawdziwej intymności.

Prostuje się i rusza dalej przed siebie. Nie stracił orientacji, ale nie idzie we właściwym kierunku. Uświadamia sobie, że w zamroczeniu wybrał odruchowo drogę do swojego dawnego domu. Domu, w którym mieszkał z Romilly.

Był wtedy innym człowiekiem. Nie potrafi sobie przypomnieć, czy później był jeszcze tak szczęśliwy jak z nią. I nie chodzi o błogość wywołaną upojeniem alkoholowym. Nie chodzi o zadowolenie, które czuł, kiedy spędzał wesoło czas po godzinach z kolegami z pracy. Tamto szczęście było jak blask, który wypełniał go od środka.

Droga zajmuje mu kolejne pół godziny. Na ulicach robi się tłoczno, świat budzi się do życia. Zerka na zegarek: ósma. Co teraz robi Romilly? Kiedyś o tej porze jedli razem śniadanie. Siedzieli w kuchni nad kubkami kawy i podawali sobie mleko. Pachniała szamponem i pastą do zębów, kiedy całował ją przed wyjściem do pracy. A co robi teraz ze swoim nowym facetem?

Na końcu ulicy przystaje. Przed sobą widzi dom z dwoma samochodami na podjeździe. Romilly nadal jeździ starym fordem, a jej facet volkswagenem golfem.

Adam podchodzi kilka kroków bliżej i znowu się zatrzymuje. Domyśla się, że już wstali, bo zasłony w oknach są rozsunięte. Nagle słyszy szczęk zamka w drzwiach frontowych i kuca za jednym z zaparkowanych przy ulicy samochodów. Chce pozostać niezauważony, ale nadal prowadzić obserwację z ukrycia.

Z domu wychodzi mężczyzna. Phil. Wygląda świeżo i gładko. Cholera, Jamie miał rację, myśli Adam, gość jest dużo przystojniejszy ode mnie. Zupełnie inna liga.

Phil obraca się i czeka, aż na progu pojawi się Romilly, a wtedy nachyla się i całuje ją na pożegnanie. Jest to zaledwie pospieszne cmoknięcie, lecz Adama i tak przepełnia zazdrość. Ten facet mieszka w jego domu, z jego żoną.

Adam porusza się, żeby rozluźnić napięte w nienaturalnej pozycji mięśnie. Czeką, aż Phil wsiądzie do samochodu i odjedzie.

Romilly wraca do środka i zamyka za sobą drzwi. Jest teraz sama w domu. Adam ma wielką ochotę wyjść z ukrycia, nacisnąć dzwonek, zobaczyć jej twarz. Chciałby usiąść z nią

w salonie i porozmawiać o swoich uczuciach. Zwierzyć się jej, jak gardzi sobą, bo zawiódł swojego najbliższego przyjaciela.

Chciałby jej powiedzieć, że wykorzystał biedną Ellie. I że to ona ma teraz poczucie winy; to ona czuje, że powinna go przeprosić.

Chciałby jej wyznać, że kiedy się rozstali, stracił kontakt ze sobą i stał się człowiekiem, którego nie poznaje. Człowiekiem, którym nie chce być.

Chciałby to wszystko powiedzieć jedynej osobie, która potrafiłaby go zrozumieć. Która mogłaby go przytulić i dodać mu otuchy.

Ale wie, że tego nie zrobi. Jest w nim coś, co mu na to nie pozwoli. Nie może znowu tak się zachowywać. Już kiedyś zaufał najbliższym osobom i jak na tym wyszedł? Zaufał Romilly, a ona zrujnowała ich życie dla szybkiego numerku w hotelu.

Oto, dokąd zaprowadziło go zaufanie. Oto, co dostał w zamian za swoją miłość.

Wszyscy go opuszczają. Jest sam.

Wieje zimny wiatr i Adam ciaśniej otula się kurtką. Unosi dłonie, żeby potrzeć zmarznięte policzki, i zaskoczony odkrywa, że z oczu ciekną mu łzy. Ociera je z niesmakiem, obraca się i odchodzi.

Wcześniej

Wstrzymuje oddech, gdy liczenie ustaje. Siedemnaście. Nie zdołał dłużej pozostać w ukryciu. Coraz trudniej jest mu znaleźć dobrą kryjówkę.

Szorstkie dłonie wywlekają go z szafki i ściskają za ramiona. Stoi ze wzrokiem wlepionym w podłogę. Wie, że ojciec będzie na niego patrzył i zastanawiał się, co z nim zrobić. Zerka na klamrę jego paska, który wciąż znajduje się na swoim miejscu. Ojciec zauważa jego ukradkowe spojrzenie i parska śmiechem.

– Nie dzisiaj, Eli. Nie dzisiaj.

Chwyta go za rękę i ciągnie w stronę telewizora. Zwykle zasiada w fotelu naprzeciwko i ogląda programy sportowe. Elijah wie, że właśnie o tej porze zaczyna się mecz piłki nożnej i na stoliku obok fotela stoi przygotowany kufel piwa wraz z paczką papierosów.

– Usiądź tam – mówi ojciec, wskazując na dywan.

Chłopiec zerka zmieszany na matkę, która stoi w drzwiach i nerwowo skubie płatek skóry na rozciętej wardze. Jej spojrzenie przeskakuje między mężem a synem. Mąż opadł ze stęknieniem na fotel i gestem daje jej znak. Matka podchodzi do telewizora, włącza go i w pokoju natychmiast robi się jasno. Słyszc glosy komentatorów i ryk tłumu. Mężczyzna wyjmuje papierosa z prawie pełnej paczki, zapala go i zaciąga się głęboko.

Elijah stara się być jak najciszej. Oddycha płytko i nie wykonuje żadnych ruchów. Ma nadzieję, że ojciec o nim zapomniał. Może dzisiaj nie będzie kary.

– Wyciągnij rękę.

Chłopiec ani drgnie.

Ojciec obraca się, żeby na niego spojrzeć. Jego oczy płoną gniewem.

– Powiedziałem, wyciągnij rękę – powtarza. – Połóż tutaj.

Pokazuje podłokietnik fotela. Elijah patrzy na luźne pomarańczowe nitki, na tapicerkę poplamioną curry i keczupem. W końcu wolno unosi rękę.

Jego matka robi krok przed siebie.

– Nie, Maurice, zostaw go – błaga.

Mężczyzna spogląda na nią, krzywi się pogardliwie, po czym mocno chwyta syna za nadgarstek, podciąga mu rękaw, odsłaniając blade przedramię, i przyciska do niego rozżarzoną końcówkę papierosa.

Elijah krzyczy. Słyszy skwierczenie, czuje woń tytoniowego dymu. Widzi, jak jego zwęglona skóra czernieje. Czuje piekący ból. Próbuje się wyrwać, ale ojciec trzyma mocno i obraca papieros, dopóki żar nie zgaśnie. Potem rzuca niedopałkiem w telewizor.

Elijah zwija się w kłębek na dywanie obok fotela. Wie, że lepiej nie próbować ucieczki. Matka doskakuje do niego, ale nie jest tak szybka jak ojciec. Dostaje pięścią w twarz i upada na podłogę.

– Zrób to mnie – jęczy błagalnym tonem. – Przyjmę to za niego.

– Zamknij się albo dostanie drugie tyle.

Elijah chwyta się za przypalone przedramię i ściska je mocno, próbując stłumić piekący ból, który pulsuje mu pod skórą. Spogląda na otwartą paczkę papierosów. Jeden mniej, myśli, powstrzymując szloch. Jeszcze szesnaście.

Rozdział 43

Romilly widziała Adama tego ranka. Z początku myślała, że to przywidzenie, ale kiedy wróciła do domu, wyjrzała przez okno. I tak, to był on. Wyglądał na zmarnowanego i ledwie trzymał się na nogach, ale to na pewno był on.

Kiedy Romilly zaparza herbatę, czuje dziwną mieszankę niepokoju i dezorientacji. Dlaczego Adam czaił się pod jej domem? Powinna była go zawołać, zaprosić do środka? Ale co by mu powiedziała?

Atmosfera w domu wciąż jest napięta. Phil przed wyjściem do pracy starał się zachowywać normalnie, próbował ocalić to, co zostało jeszcze z ich związku, ale nadal coś wisiało w powietrzu. Chciał, żeby przestała spotykać się z Adamem, żeby wróciła do pracy i zapomniała o byłym mężu. Żeby zostawiła policji śledztwo w sprawie Pippy. Nie mogła tego zrobić.

Obawy Phila są uzasadnione. Jak na byłego męża Adam zajmuje w jej myślach zdecydowanie zbyt dużo miejsca. Myślała o nim przed zaśnięciem i rano przy śniadaniu. Myśli również o Pippie i ledwie radzi sobie z żałobą po zamordowanej przyjaciółce, ale kiedy pojawiają się łzy, nie wystarcza jej pocieszenie ze strony Phila. Potrzebuje Adama.

W jej telefonie odzywa się sygnał przypomnienia. Tego ranka nie ma czasu dla Adama. Musi wyjść na spotkanie, którego nie powinna przegapić. Zwłaszcza teraz.

Romilly już siedzi w poczekalni, gdy zjawia się jej terapeutka. Punktualnie o wpół do dziesiątej doktor Jones wchodzi do poradni, jak zwykle uśmiechając się delikatnie. Tego dnia ma na sobie granatowe spodnie, białą bluzkę i eleganckie brązowe półbuty. Na płaskiej podeszwie, wygodne i praktyczne.

Zaprasza pacjentkę do gabinetu, siada w fotelu, zakładając nogę na nogę, i czeka z otwartym notatnikiem. Romilly rozgląda się po znajomym wnętrzu, niezmiennie schludnym i czystym. Czuje unoszącą się w powietrzu subtelną kwiatową woń.

– Drugi raz w tym tygodniu – odzywa się z nerwowym śmiechem. – Chyba masz mnie już dość.

– Musisz teraz przechodzić trudne chwile. Oglądałam wiadomości. Jak sobie radzisz?

– Dobrze – odpowiada Romilly i zauważa, że jej terapeutka przechyliła głowę, jakby chciała spytać: czyżby? – Wygląda na to, że mój ojciec nadal zabija. Zza murów więzienia, jakkolwiek to możliwe. Ktoś zamordował moją najbliższą przyjaciółkę. Kłóczę się z moim facetem, a były mąż... – Czuje ucisk w gardle i przerywa, by zebrać się w sobie. – No więc tak, bywało lepiej.

– Ale?

Owszem, jest jedno ale, które nie uszło uwagi doktor Jones. A jednak Romilly czuje coś innego.

– Cały czas, odkąd skończyłam jedenaście lat, wiedziałam, że to się stanie. Że mój ojciec znowu kogoś zabije. W koszmarnych snach widziałam, jak wraca, no i teraz...

– Okazuje się, że miałaś rację.

– Tak, czuję ulgę. – Romilly z zakłopotaniem parska śmiechem i ogarnia ją spokój. – Czuję, że nie jestem szalona.

– Może nigdy nie byłaś – mówi terapeutka. – A o co kłócisz się z Philem?

– Phil uważa, że nie powinnam już więcej widywać się z Adamem.

– A jak myślisz, dlaczego?

– Bo jest zazdrosny. Chce mnie kontrolować.

– Albo? Jaki jest inny scenariusz?

Romilly wzdycha. Zdążyła się przyzwyczaić, że gdy przedstawia coś jako niepodważalny fakt, doktor Jones podaje jej zdanie w wątpliwość.

– Że mnie kocha i się martwi – odpowiada. – Że chce mnie chronić, żebym nie ucierpiała przez całe to śledztwo.

Doktor Jones przytakuje z powagą.

– A co z Adamem? Nie dokończyłaś zdania.

– To skomplikowane.

– Więc spróbuj mi wyjaśnić.

Romilly natychmiast przypomina sobie Jamiego. Poprzedniego wieczoru chciała się z nim zobaczyć i pojechała do domu Adama. Kiedy koło ósmej wieczorem dotarła na miejsce, zasłony w oknach były zaciągnięte, a w środku panowała cisza. Zamknęła samochód i nacisnęła dzwonek. Żadnej reakcji. Spróbowała ponownie. Tym razem usłyszała zbliżające się ciężkie, powolne kroki. Otworzyły się drzwi i stanął przed nią Jamie. Miał kilkudniowy zarost, a włosy sterczały mu na wszystkie strony. Jego strój składał się z bokserek i podkoszulka, na który narzucił stary szlafrok

Adama, o wiele za ciasny. Rękawy sięgały mu do połowy przedramienia i wyglądał w nim komicznie.

Na jej widok obrócił się bez słowa i znikł w głębi domu. Romilly weszła za nim do salonu i wzdrygnęła się mimowolnie na widok panującego tam bałaganu. W nozdrza uderzył ją swąd dymu tytoniowego pomieszany z odorem potu i alkoholowymi wyziewami. Zauważyła, że Jamie, który osunął się ciężko na sofę, jeszcze nie jest zupełnie pijany, lecz niewiele mu brakuje. Wręcz emanował nieszczęściem i był smętnym wrakiem człowieka, którego znała.

Zabrakło jej słów. Chciała powiedzieć, jak wspaniałą osobą i dobrą przyjaciółką była Pippa, jak uwielbiała jej towarzystwo, ale wszystko to wydawało się niewystarczające.

– Kochałam ją – wyszeptała tylko.

Jamie uśmiechnął się blado.

– Ja też, Rom. Wiedziała o tym, prawda?

– O tak, Jamie. A żebyś ty wiedział, jak ona była w tobie zakochana.

Jamie szybko odwrócił twarz, żeby ukryć łzy, a Romilly usiadła obok niego i wzięła go w objęcia. Niezgrabnie odwzajemnił jej uścisk.

– Nie mogę trzeźwo myśleć – wyznał, patrząc na nią zaczerwienionymi oczami. – Czuję się tak, jakbym razem z nią stracił część siebie i już nigdy nie będę taki sam. Była dla mnie wszystkim, bratnią duszą, a każda chwila bez niej, praca do późna czy picie z kolegami, była stracona, nie powinienem był odstępować jej na krok. Nie pozwól, aby spotkało cię to samo.

Romilly poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Szybko pokiwała głową, bo słowa nie przeszłyby jej przez gardło. Mogłaby powiedzieć to samo o swoich uczuciach wobec Adama. Życie z nim wydawało się tak naturalne jak oddychanie. Byli jak jedna osoba, rozumieli się nawzajem bez słów i mieli świadomość tego, co każde z nich przeszło. Odkąd go straciła, już nie przeżywała niczego podobnego, a teraz, gdy znów pojawił się w jej życiu, czuje powracającą falę oddania.

Próbuje to wyjaśnić doktor Jones, ale jej wywód jest zagmatwany i bezładny.

– Nie wyobrażam sobie, jak bym się poczuła, gdyby to Adam był ofiarą – mówi. – Byłabym zdruzgotana. A teraz myślę tylko o tym, jak spieprzyłam nasze małżeństwo.

– Rozstaliście się z twojej winy, prawda?

– Poszłam do łóżka z innym mężczyzną. Zdradziłam Adama.

– A co cię do tego doprowadziło?

Romilly marszczy czoło. Czuła się zagubiona i samotna, kiedy Adam coraz bardziej się od niej oddalał.

Terapeutka odkłada notatnik, pochyla się, opierając łokcie na kolanach, i patrzy na nią.

– Myślę, że jesteś odpowiedzialna za wiele rzeczy, które się ostatnio wydarzyły – oświadcza.

Romilly czuje fizyczny ból, jakby każde z tych słów było ostrzem przebijającym jej skórę.

– Jesteś winna rozpadu małżeństwa z Adamem – ciągnie doktor Jones. – Pokłóciłaś się z Philem, ponieważ chcesz się

widywać z byłym mężem, którego najwyraźniej wciąż kochasz. Odpowiadasz nawet za śmierć Pippy. Umarła w twoim starym domu, a morderca podziwia twojego ojca albo wypełnia jego rozkazy.

Romilly już nie może powstrzymać łez, które od dawna wzbierały w jej oczach. Ale mimo wszystko ogarnia ją oburzenie.

– Nie zabiłam Pippy. To nie moja wina, że ci ludzie giną.

– No właśnie. Zastanawiam się więc, dlaczego czujesz się winna.

Romilly mruga zaskoczona, spoglądając na terapeutkę przez łyzy. Tymczasem doktor Jones rozsiada się z powrotem w fotelu i zakłada nogę na nogę.

– Kiedy mówię to na głos, brzmi niedorzecznie, prawda? – mówi dalej spokojnym tonem. – Zirytowałaś się. Wpadłaś w złość. Ale kiedy twój wewnętrzny głos mówi takie rzeczy, dajesz mu wiarę. Dlaczego?

– No bo... Nie wiem.

– Powinnaś sobie to powtarzać. Regularnie. Mówić do swojego odbicia w lustrze. Albo w samochodzie. Musisz przemawiać do siebie tak, żeby dotarło. Że nie zabiłaś tych kobiet w dziewięćdziesiątym piątym. Że nie jesteś odpowiedzialna za morderstwa, do których dochodzi teraz. Zgadza się?

Romilly kiwa głową i wydmuchuje nos w chusteczkę, którą podaje jej doktor Jones.

– I porozmawiaj z Adamem. Jeszcze nie jest za późno na odbudowę, jakkolwiek się to skończy.

Romilly wychodzi z gabinetu kompletnie skołowana. W jej głowie odbijają się echem słowa doktor Jones. Nie jesteś niczemu winna. Do tej pory jej życie upływało w poczuciu misji. Desperacko próbowała odpokutować za grzechy ojca. Była to jednak syzyfowa praca. Jako lekarka zawsze mogła komuś pomóc, uratować jeszcze jedno życie.

Nie jesteś niczemu winna.

Chciałaby uwierzyć w te słowa. Wierzy w nie. Jak miło byłoby zrzucić z siebie brzemię przeszłości i zostawić wszystko daleko w tyle. Ale jak możesz to zrobić? – odzywa się głos w jej głowie. Jak możesz, skoro wiesz, że to nieprawda?

Rozdział 44

– Nie powinno cię tu być, Bishop – mówi doktor Ross. – Jesteś osobiście związany z ofiarą.

– Obiecałem Jamiemu – odpowiada półgłosem Adam, nie odrywając wzroku od leżącego na stole sekcyjnym nagiego ciała.

Patolog unosi brwi.

– Ale ostrzegam, nie będzie taryfy ulgowej.

– Przyjąłem do wiadomości.

Adam wcale nie ma ochoty tu być. Oglądanie sekcji zwłok jest wystarczająco przykre, nawet jeżeli nie znało się denata za życia. Ale dał słowo, więc nie ma wyboru.

– Przyczynę śmierci znasz, prawda? – pyta Ross.

– Wykrwawienie?

– Niemal całkowita utrata krwi. Facet dokonał nie lada wyczynu. W jej ciele znajdowały się pozostałości heparyny jak u innych ofiar, ale mimo wszystko.

– Jak to zrobił?

Ross pokazuje czerwone pręgi wokół nadgarstków.

– Mamy tu dwa rodzaje śladów – wyjaśnia. – Te od więzów są wąskie i głębokie. Rozmiar zgodny z opaskami zaciskowymi, które znaleźliście na miejscu zbrodni. Takie same znajdują się na kostkach. Ofiara szarpała się dosyć

mocno, czego efektem są paskudne otarcia wierzchniej warstwy naskórka.

Przerywa i przygląda się Adamowi, czekając na reakcję.

– Mów dalej.

– Drugi ślad, ten tutaj, bliżej kości łódeczkowatej i końca kości promieniowej – Ross wskazuje na guzowate zgrubienia nadgarstka – powstał wskutek kontaktu z grubą liną albo czymś podobnym. Przypuszczam, że ofiara wisiała na rękach, niemal całkowicie oderwana od podłoża. Wskazuje na to uszkodzenie więzadeł stawów barkowych.

– Dlaczego jej to zrobił?

– Grawitacja – tłumaczy patolog. – W takiej pozycji krew spływała w dół i wystarczyło tylko wbić igły.

Adam zamyka oczy i z trudem przełyka ślinę. Przenika go dreszcz. Próbuje się skupić, zwłaszcza że doktor Ross nie przestaje mówić.

– Początkowo sprawca umieścił kaniule w żyłach na grzbiecie obu dłoni i pobrał trochę krwi. Ale gdy ofiara znalazła się w pozycji pionowej, wbił dwie większe igły tutaj i tutaj. – Ross pokazuje dwa ślady wkłuć na udach w pobliżu pachwiny, a potem dotyka palcem niewielkiej rany nad lewą kostką. – Wykonał również nacięcie żyły odpiszczelowej. Zwykle stosuje się taki zabieg w celu uzyskania dostępu naczyniowego u pacjentów po urazach lub w stanie wstrząsu hipowolemicznego, gdy kaniulacja jest utrudniona. Zakładam, że sprawca posłużył się tą metodą, żeby bardziej efektywnie opróżnić ciało ofiary z krwi.

– Kto mógłby zrobić coś takiego? – pyta Adam. – Czy morderca jest lekarzem?

Serce uderza mu coraz mocniej, a obraz przed oczami zaczyna się rozmywać.

– Całkiem możliwe. Nie wszyscy to potrafią. Uczy się takich zabiegów na różnych kursach, ale nie są to specjalistyczne umiejętności. Jeśli sprawca nie przejmował się zbytnio konsekwencjami ewentualnych błędów, może to być każdy, kto przewinął się przez chirurgię, urazówkę albo oddział ratunkowy. Można nawet znaleźć filmy na YouTube. Wystarczy trafić w żyłę i wprowadzić wenflon.

Adam czuje, jak po plecach ścieka mu strużka potu. Lekko się chwieje. Bierze długi głęboki wdech, ale jest już za późno. Wnętrze prosektorium wiruje, świat traci kolory. Uginają się pod nim nogi i wszystko spowija czerń.

31 lat temu

Chłopiec siedzi na szpitalnym łóżku i patrzy przez szybę na swoich rodziców. Mają zasmucone miny i zasłaniają usta dłońmi, a przed nimi stoi lekarz i coś mówi. Jest tu wielu lekarzy, ale tego jednego wszyscy słuchają. Ważny lekarz przestaje mówić, a rodzice kiwają głowami. Potem wszyscy troje spoglądają na chłopca za szybą. Mają poważne miny.

Gdy wracają na oddział, matka staje przy jego łóżku i kładzie mu dłoń na głowie. Chłopiec czuje, że znowu będzie płakała – ostatnio często płacze. Odkąd zaczęły się krwawienia z nosa i te siniaki, które nie chciały zniknąć.

Doktor coś do niego mówi, ale on go nie słucha. Nie rozumie, co się dzieje i dlaczego tak źle się czuje.

– Rozumiesz? – pyta lekarz.

– Mogę wrócić do domu? – pyta chłopiec.

Lekarz zerka na jego rodziców.

– Nie, kochanie. Pan doktor mówi, że musisz tu zostać przez jakiś czas. Będzie cię leczył, żebyś poczuł się lepiej.

Chłopiec przytakuje, ale ma inne zdanie. Nieprawda, myśli, będę czuł się jeszcze gorzej. Bolą go kości i jest ciągle zmęczony. Ból ogarnia całe jego ciało, jakby rozrastał się od środka. I nic mu się nie polepsza.

Lekarz odwraca się i rozmawia z pielęgniarką, a potem wychodzi. Gdy wraca, niesie tacę z przyborami. Chłopiec wie,

co go czeka. Ostatnim razem im zaufał, kiedy mówili, że nie będzie bolało. Ale bolało, i to bardzo. Płakał, tuląc do siebie wytartego pluszowego dinozaura, gdy wbijali mu igły w rękę. Do tych igieł podłączyli rurki i wlewali przez nie lekarstwo, po którym rzygał.

– Proszę, nie – szepcze, ściskając dłoń matki. – Nie pozwól, żeby mnie skrzywdzili, proszę.

Matka zaczyna płakać. Do łóżka wolno podchodzi ojciec.

– No już, Adamie – mówi z poważną miną. – Musisz być dzielnym chłopcem, żeby pan doktor mógł cię wyleczyć.

Chłopiec kręci głową i kurczowo ściska rękę matki. Wie, że sprawia jej ból, ale nie potrafi puścić. Zalewa się łzami i widzi wszystko jak przez mgłę.

– Proszę, nie róbcie mi tego, proszę, nie róbcie mi tego – powtarza bełkotliwie.

Słyszy głos doktora:

– Może lepiej będzie, jeśli zostaniemy z nim sami.

Czuje, jak matka próbuje uwolnić rękę. Wciąż trzyma ją mocno, ale czyjeś palce oddzielają go od niej. Krzyczy głośno, gdy w końcu musi ją puścić.

Silne dłonie zaciskają się na jego rękach. Tak mocno, że czuje pieczenie na skórze. Szamocze się, a jego histeria przybiera na sile. Prześcieradło owija się wokół jego nóg, gdy kopie na oślep.

Rodzice wyszli. Opuścili go. Całe jego ciało jest napięte, mięśnie się kurczą. Wodzi wzrokiem po stłoczonych wokół niego ludziach. Nieznajomych o twarzach wykrzywionych

szpetnym grymasem gniewu. Mężczyźni mówią coś gorączkowo, pielęgniarki wciąż próbują go unieruchomić.

I wtedy to czuje. Ostry ból w przedramieniu, gdzie igła przebija jego skórę.

– Nie trafiłem. Cholera, trzymajcie go mocniej.

Krzyczy, gdy igła znów zagłębia się w jego ciele. Ból narasta, wypełnia go do głębi, przenikając kości i stwardniałe od wysiłku mięśnie. Nagle trzymające go dłonie rozluźniają uścisk. Otwiera oczy. Jeden z lekarzy właśnie się prostuje i patrzy na niego surowo.

– Już po wszystkim. Nie było tak źle, co? – mówi. – Nie bolałoby tak bardzo, gdybyś się rozluźnił.

Chłopiec spogląda w dół i odruchowo napręża palce. Wenflon tkwi w jego skórze. Na ten widok robi mu się niedobrze, a jego serce przyspiesza. Ciało obce tak blisko jego kości, ścięgien i mięśni. Nie powinno go tam być. Jest straszne, złowrogie.

Pielęgniarka stojąca po drugiej stronie łóżka puszcza jego rękę, a on bez zastanowienia chwyta plastikową rurkę i szarpie. Czuje, jak plaster odrywa się od jego skóry i z pękniętej żyły wypływa strumień ciepłej krwi.

Silne ręce znów próbują go unieruchomić. Krzyczy i miota się na wszystkie strony. Czuje na czole szorstką dłoń, która przyciska jego głowę do łóżka. Inna zatyka mu usta, żeby go uciszyć. Nie może oddychać i ogarnia go panika. Słyszy nad sobą podniesione głosy pełne niepokoju.

I gdy jego ciało zwija się z bólu, a kolejne igły przebijają jego bladą delikatną skórę, doświadcza tylko jednego – straszliwej samotności.

Zaufał im, a oni go zostawili. Samego i bezbronnego.

Rozdział 45

Adam powoli odzyskuje przytomność, a w głowie świta mu przerażająca myśl: stało się coś złego. Gdzie ja jestem? Jak się tu znalazłem? Z daleka dobiegają dziwnie zniekształcone głosy. Czuje lekkie ukłucie paniki. Leży na zimnej podłodze, a nogi ma oparte na krześle.

– Bishop?

Czyjś głos przebija się przez ciemność. Adam otwiera oczy i widzi twarz doktora Rossa.

– Wróciłeś. To dobrze.

Ktoś chwyta go za nadgarstek i mierzy mu puls. Zirytowany wyrywa rękę. Powoli zaczyna do niego docierać, że był nieprzytomny. Opiera się na łokciu i próbuje się podnieść, ale dostaje tak mocnych zawrotów głowy, że opada z powrotem na plecy.

– Nie szalej, bo znowu mi tu zasłabniesz.

Czuje się idiotycznie, kiedy leży na zimnej wykafelkowanej podłodze w... No właśnie, gdzie? O cholera, jest w prosektorium. Ponownie próbuje usiąść i tym razem mu się udaje. Od jednego z asystentów doktora dostaje szklanekę wody i powoli wypija kilka łyków.

– Zdarzało ci się już kiedyś coś takiego? – pyta Ross.

– Kilka razy – mamrocze Adam. – Nie najlepiej reaguję na igły.

Patolog kiwa głową ze zrozumieniem.

– Typowa reakcja wazowagalna. Rzeczywiście nie najlepsza – mówi i śmieje się cicho. – Sprawa tego morderstwa zdecydowanie ci nie służy.

Adam piorunuje go wzrokiem.

– Dziękuję, że mnie oświeciłeś. – Wstaje z posadzki, ale chwieje się lekko i siada na krześle, które podsuwa mu asystent. – Zwykle umiem nad tym zapanować. Wystarczy unikać bodźców wyzwalających i stosować technikę napinania mięśni.

– A jakie są twoje bodźce wyzwalające?

Adam jest pewien, że patolog pyta raczej z zawodowej ciekawości niż ze szczerzej troski, mimo to odpowiada:

– Zastrzyki i igły, nawet samo patrzenie, jak ktoś inny jest kłuty, nawet samo słuchanie o tym...

– Czyli w zasadzie wszystko.

– Tak. – Adam wzdycha. – Kiedyś próbowałem się z tym uporać. Psychoterapia behawioralno-poznawcza, stopniowa ekspozycja, osvajanie się z bodźcami... Nic nie pomogło.

– Kiedy ostatni raz miałeś robiony zastrzyk?

– Kilka lat temu. Zwykle dawki przypominające przeciwko zapaleniu wątroby i gruźlicy. Próbowałem uderzyć pielęgniarkę, a potem zemdlałem.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko dostałeś szczepionkę.

– Tak. Mags też tam była, czekała następna w kolejce. Wzięła strzykawkę i dziabnęła mnie, kiedy leżałem nieprzytomny na podłodze.

Ross parska śmiechem.

– Brawo, Mags. No cóż, odpocznij sobie kilka godzin, dobra? – mówi i gdy widzi spojrzenie Adama, dodaje: – W każdym razie spróbuj. Opiszę wyniki sekcji w raporcie i przekażę go komuś innemu. – Zawiesza głos i jego zazwyczaj pełne dezaprobaty spojrzenie łagodnieje. – Bardzo mi przykro, Adamie. Z powodu Pippy. Przekaż moje kondolencje sierżantowi Hoxtonowi.

– Przekażę.

Adam przechodzi wolnym krokiem przez szpitalny parking, otwiera drzwi samochodu i siada za kierownicą. Kiedy wkłada kluczyk do stacyjki, jego rękaw przesuwają się w górę, odsłaniając podłużną bliznę na przedramieniu. Adam przygląda się jej po raz pierwszy od dłuższego czasu. Przesuwa po niej palcem i przypomina sobie, jak pękła mu żyła, kiedy wyrwał sobie wenflon. Pamięta, co wtedy czuł – ból, ale również triumfalny dreszczyk emocji. Bądź co bądź pokazał, że to od niego i tylko od niego zależy, co znajdzie się pod jego skórą.

Ale oczywiście było to złudne przekonanie. Miał wtedy dziewięć lat i o wszystkim decydowali jego rodzice. Płakał i błagał ich, żeby nie pozwolili go tak dręczyć, ale wszystko na nic. Nie rozumiał, że nie ma innego wyjścia. Że albo przyjmie lekarstwo, albo umrze. Zostawili go samego. Nie mogli patrzeć, jak lekarze unieruchamiają go siłą, jak podają środki uspokajające, żeby wpompować trującą chemię w jego żyły. Ale pomogło. Przeżył, tylko za jaką cenę?

Rodzice porzucili go, gdy najbardziej ich potrzebował. Gdy spędzał miesiące w izolacji przed przeszczepem komórek macierzystych, gdy dokuczały mu mdłości i zmęczenie, gdy

nie mógł jeść ani pić, gdy wypadały mu resztki włosów. Rany po zabiegach goiły się całą wieczność. Infekcje nie ustępowały. Pielęgniarki starały się, jak mogły, ale on potrzebował mamy. W nocy w chwilach najczarniejszej rozpaczyny wołał ją, ale odpowiadała mu cisza i w końcu usypiał zapłakany.

Cokolwiek zrobili lekarze, zadziałało. Ale kiedy opuścił szpital, odkrył, że coś się zmieniło. Igły i zastrzyki budziły w nim paraliżujący strach. A rodzice stali się obcy. Ojciec próbował z nim rozmawiać na ten temat, kiedy wracali do domu z wizyty kontrolnej.

– Twoja matka nie mogła sobie poradzić, kiedy widziała cię w takim stanie – powiedział, prowadząc samochód ze wzrokiem utkwionym w jezdnię. – Jest wrażliwą kobietą. Potrzebowała opieki.

Adam spojrzał na niego i zmarszczył czoło. Kilka razy otworzył i zamknął usta, zanim zdołał wydobyć z siebie głos.

– To ja potrzebowałem opieki – odezwał się w końcu cicho. Ojciec oderwał wzrok od drogi na parę sekund.

– Miałeś najlepszych lekarzy w kraju – odparł ostrym tonem. – Wspaniałe pielęgniarki. Nie brakowało ci opieki.

Adamowi łzy napłynęły do oczu. Przeczesał dłonią zmierzwione włosy. W tym momencie potwierdziło się to, co podejrzewał od czasu pobytu w szpitalu. Że jedyną osobą, na której może polegać, jest on sam.

Poszedł na studia. Odciał się. Zbudował wokół siebie skorupę, która miała go chronić niczym gruba warstwa skóry. Teraz utrzymuje z rodzicami tylko sporadyczny kontakt.

Dzwoni do nich w urodziny i święta, a ich rozmowy są krótkie i niezręczne.

Nie dopuszczał do siebie nikogo. Dopóki nie poznał Romilly.

Teraz sięga po telefon i szuka jej numeru w spisie kontaktów. Chce z nią porozmawiać, opowiedzieć jej o tym, jak zemdlął w prosektorium. Usłyszeć jej delikatny, pełen współczucia śmiech, który sprawia, że nie czuje się tak bardzo zażenowany. Przez chwilę waha się, trzymając palec nad zielonym symbolem słuchawki, ale w końcu wygasza ekran bocznym przyciskiem. Potem włącza silnik i jedzie do komendy.

Rozmowy cichną i wszyscy patrzą na niego wyczekująco, gdy wchodzi do wspólnego biura.

– Wracam z prosektorium, z autopsji Pippy Hoxton – oznajmia, stojąc w głębi sali. – Okazuje się, że na pewno szukamy kogoś z doświadczeniem medycznym. Jak idzie prześwietlanie personelu szpitalnego?

– Dostaliśmy raport z wykazem wszystkich osób, które mogły mieć dostęp do magazynów z odzieżą medyczną. Quinn sprawdza, czy na którąś z nich jest zarejestrowany volkswagen transporter.

– Quinn?

Adam spogląda na Ellie. Widzi ją po raz pierwszy od rana, gdy przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Teraz wygląda czysto i schludnie. Wprawdzie ma podkrążone oczy i ziemistą cerę, ale trzyma fason.

– Niestety żadnych trafień – mówi. – Przykro mi, szefie.

– Tim? – Adam przenosi wzrok na kolejnego detektywa. – Wiadomo już coś o użytkownikach dzikiego wysypiska?

Posterunkowy Lee szybko wertuje notatki.

– Dotarliśmy do firmy budowlanej Bob Budowniczy – mówi i na widok niedowierzającego spojrzenia szefa dodaje:

– Wiem, wiem, nie ja wymyśliłem im nazwę. Porzucone odpadki wskazują na nich, ale niedawno firma przeszła w inne ręce, a nowy właściciel twierdzi, że nie ma o niczym pojęcia.

– Świetnie – kwituje Adam z przekąsem.

Odwraca się w stronę wiszącej na ścianie tablicy, na której nie widać żadnych oznak postępów. W jego głowie pojawia się uporczywa myśl. Musi jechać do Belmarsh. Musi z nim porozmawiać.

– Szefie. – Ellie Quinn nieśmiało przerywa milczenie, po czym robi głęboki wdech i mówi dalej: – Chyba nie zakładamy, że ten facet chce zabić dwadzieścia osób, prawda? Raczej nie mógłby...

Adam zaciska zęby. Czuje suchość w ustach.

– Nie wiem – odpowiada. – Ale jego intencje wydają się jasne. I nie sądzę, aby przestał z własnej woli.

Toczy wzrokiem po sali i patrzy na swoich podwładnych, na ich przekrwione oczy i poblądłe od niedostatku słońca twarze. Zbyt wiele godzin spędzają w komendzie, ślęcząc przy komputerach. Zdaje sobie sprawę, że sam powinien wziąć prysznic i włożyć świeże ubranie. Ale nie ma ani chwili do stracenia.

Wszyscy milczą. Czekają.

– O jedno jestem gotów się założyć – dodaje na koniec Adam posepnym tonem. – Facet wie, kto będzie jego następną ofiarą. Już to wie.

Fragment książki Lucasa Richardsa *Dobry doktor – prawdziwa historia Elijah Cole'a* Rok wyd. 1998

Elijah Cole nie miał sielankowego dzieciństwa. Jak wielu seryjnych morderców, on również od najmłodszych lat regularnie doświadczał przemocy. Jego ojciec był damskim bokserem i pijakiem, a matka skromną i spokojną gospodynią domową. Niewykluczone, że można było przewidzieć, co się wydarzy, ale nikt nie zareagował, gdy w czwartek 20 czerwca 1968 roku Lucy Cole śmiertelnie ugodziła męża nożem kuchennym. Wcześniej Maurice Cole podduśił ją i pobił do nieprzytomności. Świadkiem całego zajścia był ich syn Elijah. Miał wtedy jedenaście lat.

Jednak w przeciwieństwie do podobnych przypadków Elijah Cole nie przejawiał skłonności do przemocy domowej. Wręcz przeciwnie. Kiedyś wyznał nawet: „Ponieważ miałem w pamięci, co przeszła moja matka, postanowiłem, że będę wzorowym mężem i ojcem. Że nigdy nie podniosę ręki na żonę. Że będę łagodny i serdeczny dla swoich dzieci”.

Niektórzy przypuszczają, że kiedy umarła mu żona, z rozpaczy popadł w obłąd. Zdaniem innych zawsze drzemały w nim mordercze zapędy, jednak uwielbienie dla żony zepchnęło je na dalszy plan.

Niemniej świadectwa z tamtego okresu potwierdzają, że trzymał się swojego postanowienia. Pomimo tego, co później robił w ogrodowej szopie z porwanymi kobietami, nigdy nie uderzył żony. Sąsiedzi wspominają Elijah i Joannę Cole'ów jako szczęśliwą i kochającą się parę. Ich córka Romilly dorastała otoczona troską i miłością. Chociaż Elijah Cole okazał się sadystycznym psychopata, nie można zaprzeczyć, że był przykładnym mężem i ojcem.

Rozdział 46

Adam stoi nieruchomo przed mężczyzną, którego znał z doniesień prasowych, plotek powtarzanych szeptem w komendzie i legend. Inaczej go sobie wyobrażał.

Elijah Cole pachnie mydłem i proszkiem do prania. Ma gładko ogoloną twarz. Jego włosy zaczesane starannie do tyłu są nieco rzadsze na czubku głowy, ale trzyma się lepiej niż większość mężczyzn w jego wieku. Wygląda tak, jak opisywano go przed laty – człowiek z sąsiedztwa. Życzliwy lekarz, który cieszy się nieposzlakowaną opinią.

– Nadinspektor Bishop – odzywa się. – Jakże miło cię nareszcie zobaczyć. Chociaż byłoby jeszcze milej, gdybyś w ramach uprzejmości przedtem się ogolił i wykapał.

Wyciąga dłoń na powitanie w przyjaznym geście. Adam patrzy na nią obojętnie i siada przy stole z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Och, dobra, dobra – dodaje Cole kpiącym tonem. – To było niepotrzebne. Wcale nie musiałem się z tobą spotykać.

Odpowiedź na wniosek o widzenie przyszła błyskawicznie. Tym razem pozytywna. Adam był zaskoczony.

– Wobec tego dlaczego się zgodziłeś?

Doktor przechyla głowę na bok i taksuje go wzrokiem z góry na dół. Ma niespotykane ciemne tęczęwki, a na jego cienkich wargach błąka się uśmiech.

– Z ciekawości – odpowiada. – Chciałem zobaczyć człowieka, za którego wyszła moja córka. Nie rozumiem jej decyzji, kiedy patrzę teraz na ciebie. Ale co tam... – Przerywa i parska śmiechem. – Chyba ostatni tydzień nie należał do najlepszych w twoim życiu, co?

Adam nie łyka przynęty.

– Wiesz coś o tym, co się ostatnio dzieje? – pyta spokojnie.

– O nieszczęsnej Pippie Hoxton? Wykrwawionej na śmierć? Nic a nic. – Cole z uśmiechem rozgląda się dokoła. – Nie ruszam się stąd. Mam idealne alibi.

Adam zerka na znudzonego strażnika stojącego w kącie pokoju widzeń. Ma ogoloną głowę, a jego tors, niegdyś muskularny, sflaczał od braku ćwiczeń. Jego twarz nie wyraża niczego, a na pewno nie lojalności wobec stróża prawa, który siedzi z nim w jednym pomieszczeniu.

– Z kim rozmawiałeś? – Adam znów zwraca się do Cole'a.
– Kto cię odwiedzał?

– Czy to nie ty masz za zadanie to ustalić?

– Przepływ informacji jest zbyt wolny. Można powiedzieć, że celowo utrudniany.

Doktor wzrusza ramionami.

– Nie mam z tym nic wspólnego. To nie moja wina, że biurokracja przeszkadza w policyjnej robocie – mówi, po czym robi krótką pauzę. – A jak się miewa Romilly? Odniosłem wrażenie, że wyszła stąd zdenerwowana.

– Nie przyszedłem rozmawiać o Romilly.

– Nie? To po co?

Adam milczy. Musi umiejętnie rozegrać tę partię, bo Cole nie powie mu nic wprost, ale coś może go zdradzić. Wyraz twarzy. Nieostrożnie wypowiedziane słowo albo chwila wahania. Cokolwiek.

– Wiesz, kto za tym stoi? – pyta spokojnie.

Nie odwraca wzroku, gdy Cole patrzy mu w oczy. Spoglądają tak na siebie w milczeniu i żaden z nich nie mruga.

– Przez całe życie wiedziałem, że mam szczególny dar – odzywa się doktor. – Albo charyzmę, jeśli wolisz. Kiedy chodziłem do szkoły, tylko jeden nauczyciel mnie przejrzał i nazywał cwaniakiem. Dla pozostałych byłem słodkim, czarującym i niezrozumianym chłopcem. Nigdy nie pakowałem się w kłopoty. Nigdy nie dałem się złapać. Ale ciągle stawianie na swoim sprawia, że stajesz się zepsuty, nadinspektorze Bishop. Wiesz coś o tym?

Adam milczy. Jego rozmówca raczej nie oczekuje odpowiedzi. I rzeczywiście Cole mówi dalej:

– Człowiek taki jak ty. O ujmującym wyglądzie i takiej samej osobowości. Słyszałem, jak rozmawiają o tobie klawisze i faceci, których tu wsadziłeś. Prawdziwy pies gończy z ciebie. Ambitny i nieustępliwy. Wszystko musi iść po twojej myśli. Więc jak to zniosłeś, kiedy Romilly cię zdradziła? Kiedy cię nie chciała?

Adam czuje, że jego ciało sztywnieje, ale panuje nad sobą.

– Nie przyszedłem rozmawiać o Romilly – powtarza. – Chciałbym porozmawiać o Pippie.

Cole lekceważąco macha ręką, odrzucając jego prośbę.

– Nie poganiaj mnie, detektywie. Bez pośpiechu, baw się dobrze, skoro już tu jesteś.

Adam piorunuje go wzrokiem.

– W takim razie o czym chcesz rozmawiać, Elijah?

– O tobie, nadinspektorze Bishop.

– Nie masz innych tematów?

– To niesprawiedliwe. Oczekujesz, że będę mówił, a sam nie chcesz dać niczego w zamian? Powiedz, jak się czułeś, kiedy twój najbliższy przyjaciel wrócił do domu i znalazł martwą żonę.

– Nie będziemy o tym rozmawiać.

– Czy sierżant Hoxton ma do ciebie pretensje? Obwinia cię za to, że nie uratowałeś Pippy? Czy wybaczył ci twoją niekompetencję?

Adam milczy. Zaciska zęby tak mocno, że bolą go szczęki.

– Czy Romilly czuje się zdruzgotana śmiercią przyjaciółki?
– ciągnie Cole. – Chyba że nic ci o tym nie wiadomo. Może już z tobą nie rozmawia, skoro ma nowego wspaniałego chłopaka, któremu może się wyplakiwać całą noc.

– Wiem, co kombinujesz, ale to nie zadziała – warczy Adam. – Nie dam ci tej satysfakcji.

– Satysfakcji z czego, Adamie? Że okażesz swoje uczucia? Zrzucisz maskę, którą tak starannie pielęgnujesz? – Elijah wzdycha, rozpiiera się wygodnie na krześle, po czym mówi do strażnika: – Przynieś nam kawy, dobra?

Ku zaskoczeniu Adama funkcjonariusz kiwa głową i wychodzi z pokoju. Doktor Cole odprowadza go wzrokiem,

a potem znów spogląda na gościa i szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu.

– Boisz się? – pyta drwiąco. – Właśnie zostałeś sam na sam z seryjnym mordercą.

– Za stary jesteś na takie numery, Elijah – odpowiada Adam, siląc się na lekceważący ton, lecz mimowolnie napina mięśnie. A jeśli facet ma jakąś broń? Żyłtkę albo zaostrzony plastikowy trzonek? – Ale spróbuj szczęścia.

Więzień wybucha śmiechem.

– Och, szkoda zachodu. Nie, nie, chcę tylko porozmawiać.

– No to rozmawiaj.

Cole pochyla się nad stolikiem. Jego twarz jest tak blisko, że Adam widzi mały strupek koło ucha, gdzie zaciął się przy goleniu.

– Interesuje cię Pippa? – szepcze.

– Tak.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego ją wybrałem? Dlaczego tak idealnie pasowała do mojego planu? Wiesz, jak bardzo mi się podobają bezbronne kobiety, prawda? Ile czerpię z nich radości.

Adam z trudem panuje nad drżeniem rąk. Czy Cole mówi prawdę? Czy rzeczywiście kieruje spoza murów więzienia poczynaniami mordercy, który kontynuuje jego zbrodnicze dzieło? Ale jak to możliwe? W jaki sposób się z nim porozumiewa i wydaje mu polecenia?

– Kto dla ciebie zabija?

Doktor parska śmiechem.

– Tak szybko zepsułeś całą zabawę? Dopiero zaczynamy.

– Nie uda ci się dojść do dwudziestu. Powstrzymamy cię dużo wcześniej.

Elijah Cole kręci głową.

– Co za pewność siebie. Co za arogancja – mówi z udawanym podziwem. – Zazdroszczę ci, nadinspektorze Bishop. Kiedyś też taki byłem. Myślałem, że mogę wszystko. I do pewnego stopnia mogłem. Ale nie zdołałem zapanować nad swoją córką. Koniec końców znalazłem się tutaj, bo za bardzo na niej polegałem. A ona stchórzyła.

– Romilly jest jedną z najodważniejszych osób, jakie znam.

Cole prycha pogardliwie.

– Myślisz, że wezwanie policji wymaga odwagi? Taki dobry uczynek? – pyta kpiącym tonem. – Prawdziwej odwagi potrzeba, żeby żyć tak, jak się chce, wbrew wszelkim normom prawnym, obyczajowym i moralnym. Wiedziałem, że przetrzymywanie tych kobiet w niewoli jest złe, ale chciałem tego, więc niczego sobie nie odmawiałem. Ilu znasz ludzi, którzy potrafią żyć tak, jak im się podoba?

– No i spójrz na siebie – odpowiada Adam. – Wylądowałeś za kratkami.

– Ale one zostały tu. – Cole puka się palcem w czoło. – Moje dziewczyny. Wszystko, co z nimi robiłem. Już nigdy nie będę sam. Są moje, na zawsze.

Zamyka oczy i uśmiecha się błogo, jak gdyby chciał zademonstrować swoje zadowolenie. Adam tłumi w sobie wstręt i nienawiść. Będzie musiał wysłuchiwać tych obrzydliwości, jeżeli chce dopaść zabójcę Pippy.

Doktor powoli unosi powieki.

– Czy policja odkryła, do czego używałem klatek? – pyta.

– Zamykałeś w nich swoje ofiary?

– Owszem, ale w jakim celu? To było coś więcej niż zwykłe ograniczenie swobody. – Więzień zawiesza głos i wbija wzrok w rozmówcę. – Powiedz, jak ty byś postąpił, gdybyś mógł zrobić z kobietą dosłownie wszystko, czego tylko zapragniesz? Co byś wybrał?

Adam przypomina sobie ostatnią noc z Ellie i natychmiast ogarniają go mdłości.

– Nie jestem taki jak ty. – Kręci głową.

Doktor Cole przygląda mu się z ironicznym uśmiechem.

– Czyżby? Młody mężczyzna pełen temperamentu? – mówi, po czym pochyła się znów nad blatem i dodaje ściszym niskim głosem: – Jakie są twoje najskrytsze i najmroczniejsze pragnienia?

Adam odwraca wzrok i odsuwa się z krzesłem do tyłu, żeby zwiększyć dystans. Elijah spogląda na niego gniewnie.

– Na tym właśnie polega problem z waszym pokoleniem. Brakuje wam wyobraźni. Dlatego uchylę rąbka tajemnicy specjalnie dla ciebie. Otóż klatki... – przerywa i zerka na Adama, jakby chciał się upewnić, że ten słucha go uważnie – miały trzy różne rozmiary. Jeżeli moje dziewczyny dobrze się sprawowały, zadowalały mnie i pozwalały mi się pieprzyć do woli; jeżeli się nie stawiały i nie sprawiały problemów, mogły siedzieć w większej klatce. I wcześniej wyjść. Zwykle zamykałem je na cztery godziny. A jeżeli nie... – Doktor śmieje się i Adam zaciska pięści, z trudem panując nad sobą. – Każdy przejaw buntu oznaczał dodatkową godzinę. Grace była szczególnie wojownicza. Wrzeszczała i przeklinała,

dlatego ją wiązałem, chociaż nie lubiłem stosować przymusu. Podobało mi się, kiedy były uległe, kiwały swoimi ślicznymi główkami i leżały spokojnie, kiedy je pieprzyłem. A Grace? Sporo się natrudziłem, żeby ją złamać. Raz trafiła do najmniejszej klatki na całe dwadzieścia godzin. Dzień i noc siedziała naga, zwinięta w kłębek. Nie mogła się poruszyć. Wiesz, co wtedy się dzieje z ludzkim ciałem?

Adam spogląda w stronę drzwi. Gdzie, do cholery, podziewa się ten strażnik? Dlaczego zostawił ich samych na tak długo? Jednak Cole nie zwraca teraz na niego uwagi i ze wzrokiem utkwionym w jakimś nieokreślonym punkcie kontynuuje swoją opowieść:

– Skurcze mięśni, metalowe pręty ocierające się o skórę. Brak snu, jedzenia i picia, nie licząc wiadra wody, które wylałem jej na głowę. Kiedy trzęsała się z zimna, szlochała i błagała o litość, spytałem ją, czy teraz będzie grzeczna. Ale chociaż przytaknęła, zostawiłem ją w klatce na kolejne dwadzieścia godzin. Dla pewności. – Elijah patrzy na Adama i dostrzega wyraz obrzydzenia na jego twarzy, lecz nie przejmuje się tym zbytnio. – Gdy ją w końcu wypuściłem, nie mogła utrzymać się na nogach. Pełzała po podłodze, krwawiąc i jęcząc z bólu. Obciągnęła mi i już nie sprawiała problemów. Ani wtedy, ani później. Aż do śmierci. Powiem ci, że nic na świecie nie może się równać z takim poczuciem władzy. Zwłaszcza jeśli brakowało ci go w dzieciństwie. Nie miałbyś ochoty na coś takiego, nadinspektorze Bishop? Nie chciałbyś, żeby kobieta była ci tak posłuszna?

– Nie, nie chciałbym – odpowiada Adam.

Usłyszał już dostatecznie dużo. Ten człowiek nie czuje nic i żyje własnymi wyobrażeniami o emocjach. Jedyne, co sobą

reprezentuje, to wyrachowany urok i udawana serdeczność. Cechuje go arogancki narcyzm, którego oznaki Adam dostrzega również w swojej psychice.

Adam wie, że nie może liczyć na tego szaleńca. Wróci do komendy, by razem ze swoimi ludźmi wytropić i aresztować mordercę. Wstaje i odchodzi od stolika, by znaleźć się od Cole'a jak najdalej. Jednak kiedy staje przy drzwiach, odwraca się do niego.

– Wiemy, co zrobiłeś – cedzi słowa ze złością. – Porwałeś pięć kobiet, więziłeś je i torturowałeś, a cztery z nich zabiłeś. Jesteś popierdolonym, chorym psychicznie zwyrodnialcem. Ale nie jesteś wyjątkowy. Nawet wśród seryjnych morderców nie brakuje gorszych od ciebie. I zostaniesz tu do końca życia. Nigdy nie wyjdiesz na wolność.

Naciska klamkę, ale natrafia na opór. Uderza parę razy pięścią w drzwi i słyszy za plecami szuranie odsuwanego krzesła.

– Na czym teraz stanęliśmy? – odzywa się Cole, a w tonie jego głosu jest coś onieśmielającego. – Pippa była numerem dziewięć, prawda?

Rusza w stronę Adama, który słyszy rytmiczne tupanie ciężkich butów w głębi korytarza po drugiej stronie drzwi.

– No więc ile nam zostało? Jeszcze osiem?

– Pierdol się, Elijah – szepcze Adam. – Nigdy nie zajdziesz tak daleko.

Stoi oparty plecami o twarde drzwi i słyszy metaliczny zgrzyt klucza wsuwanego do zamka. Odwraca się znów i chwyta za klamkę, ale w tej samej chwili do jego uszu dobiega odgłos cichych kroków. Zdaje sobie sprawę, że za jego

plecami stoi skazany na dożywocie seryjny morderca. Naciska kłamkę, chociaż wie, że Elijah jest zbyt blisko. Jest już za późno. Przygotowuje się na ból i w napięciu czeka, aż coś ostrego przebije jego skórę i poleje się krew. Ale Cole przyciska się do niego całym ciałem i delikatnie dotyka jego ramion.

– Mylisz się – szepcze mu do ucha. – Tak bardzo się mylisz.

Adam czuje na karku gorący oddech, a niedogolony podbródek drapie mu skórę. Słyszy cichy spokojny głos:

– Nadinspektorze Bishop, naprawdę myślisz, że zacząłem od tamtych kobiet?

Rozdział 47

Tych kilka słów sprawia, że Adam momentalnie ożywa. Odwraca się, kładzie dłonie na piersi Cole'a i popycha go z całej siły. Więzień zatacza się do tyłu i upada. Adam doskakuje do niego i przygniata go kolanem do podłogi.

– Co to, kurwa, miało znaczyć?! – krzyczy. – O kim mówiłeś?

Cole śmieje się głośno.

– O trzech innych.

Adam unosi pięść. Nie jest pewien, czy chce uderzyć, czy tylko postraszyć doktora, ale dwaj strażnicy chwytają go za ręce i wyprowadzają z pokoju widzeń.

– Jeszcze nie skończyliśmy! – protestuje Adam. – Muszę z nim porozmawiać!

– Już wystarczy – odpowiada jeden z mężczyzn z silnym szkockim akcentem, wypychając go za drzwi. – Zostaw doktora w spokoju.

– Czemu go chronisz? Nie wiesz, co zrobił ten chory zwyrol? Zamordował...

Nie udaje mu się powiedzieć nic więcej, bo uderza głową o ceglaną ścianę, gdy jeden ze strażników rzuca się na niego i przygniata mu szyję twardym przedramieniem.

– Ani słowa więcej o doktorze, zrozumiałeś?

Adam nie może oddychać i łzawią mu oczy. Drugi funkcjonariusz przygląda się im, stojąc z boku, ale nie próbuje powstrzymać kolegi.

– Zrozumiałeś?

– Tak – chrypi Adam.

Uwolniony, zatacza się na przeciwległą ścianę i ciężko dyszy, łapiąc oddech.

– A teraz wypierdalaj – warczy klawisz, po czym chwyta go za koszulę i popycha w głąb korytarza.

Adam nie może uwierzyć w to, co właśnie go spotkało. Mógłby zgłosić incydent i zabezpieczyć nagrania z kamer, ale jest tak zszokowany bezczelnością strażnika, że idzie prosto do wyjścia. Ma mętlik w głowie, gdy odbiera swoje rzeczy z depozytu. Jak to możliwe, że doktor tak ich wszystkich omotał? Jeżeli dzieją się tutaj takie rzeczy, nic dziwnego, że nie udało się wyegzekwować dziennika odwiedzin od administracji więzienia. I czy rzeczywiście mogło być więcej ofiar? Więcej ciał, których nie odnaleziono?

Kiedy Adam idzie przez parking do samochodu, zauważa, że z budynku ktoś wychodzi. Rozpoznaje drugiego strażnika, tego, który przyglądał się biernie zajściu w korytarzu. Rozjuszony zawraca, żeby się z nim rozmówić. Mężczyzna dostrzega go i odchodzi pospiesznie w przeciwną stronę, jednak Adam nie daje za wygraną. Rusza za nim i szybko skraca dystans.

– Czemu go nie powstrzymałeś?! – krzyczy. – Czemu nie zareagowałeś, kiedy tamten skurwił mnie zaatakował?!

Dogania strażnika, który nie zwraca na niego uwagi, i chwyta go za rękaw.

– Odwal się ode mnie – warczy strażnik, lecz Adam trzyma mocno. – Wy, gliniarze, gównu wiecie. Nie macie pojęcia, jak tu jest.

– Więc mnie oświeć.

Mężczyzna rozgląda się dookoła. Parking jest opustoszały i nikt ich nie obserwuje.

– W więzieniu obowiązują zasady, ale nie takie, jak myślisz. Niepisane reguły, którym podlegają wszyscy, zarówno klawisze, jak i skazańcy.

– Co to ma wspólnego z doktorem?

Strażnik jest niski i tęgi. Pochylone do przodu ramiona i przygarbione plecy. Na oko koło trzydziestki. Nie wygląda na kogoś, kto zajmuje wysoką pozycję w hierarchii służbowej.

– Wszystko – odpowiada. – Facet jest bystry. Nie sprawia kłopotów, więc naczelnik go lubi. Jeśli już, to pilnuje porządku. Wie, co zrobić, żeby utrzymać innych w ryzach. Więźniowie go szanują. Zna się na rzeczy.

– To znaczy?

– To znaczy... Była tu taka strażniczka, która bzykała się z jednym skazańcem. Cóż, zdarza się. W każdym razie Cole to odkrył, nie pytaj mnie jak, i zaczął ją szantażować. Podobno korzystał później z jej przysług, zanim cała sprawa wyszła na jaw. Przemycła dla niego różne towary, prochy, fajki i inne takie. W zasadzie wszystko. Listy i wiadomości też. Bóg jeden wie, ile syfu stąd wyniosła.

– Co się z nią stało?

– Zwolniła się z pracy. Podobno przeżyła załamanie nerwowe. Więc lepiej nie zadzieraj z doktorem,

nadinspektorze Bishop. – Strażnik wypowiada stopień i nazwisko Adama z nieskrywaną pogardą. Potem zdecydowanym ruchem uwalnia rękę i cofa się kilka kroków. – Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, chyba że szukasz guza. Bo jeśli chodzi o mnie, to ja nie proszę się o kłopoty. A teraz wypierdalaj, zanim ktoś zobaczy, że rozmawiamy.

Po tych słowach odwraca się i odchodzi pospiesznie ze spuszczoną głową. Adam nie jest zaskoczony tym, co od niego usłyszał, chociaż nie spodziewa się, aby zdołał prędko uzyskać potwierdzenie tych informacji od administracji więzienia. Czeka, aż strażnik zniknie z pola widzenia, po czym wyjmuje komórkę i wybiera numer szefa. Marsh odbiera natychmiast.

– Bishop, gdzie ty się podziewasz, do cholery?

– Przepraszam, szefie, ale właśnie... – Adam przerywa, otwierając drzwi samochodu i sadowiąc się w fotelu kierowcy.

– Właśnie byłem na widzeniu z doktorem Cole'em.

– Ale... – Nadkomisarz milknie, gdy dociera do niego, co podwładny właśnie powiedział. – Przecież o tym rozmawialiśmy. Wydałem nakaz udostępnienia ewidencji odwiedzających, ale nie powiedziałem, że możesz pierdolnąć wszystkim w samym środku śledztwa i jechać sobie na pogawędkę z facetem, który, jak dobrze wiemy, nie mógł tego wszystkiego zrobić.

– Ale on jest z tym wszystkim powiązany, szefie. O tym też dobrze wiemy.

– Bo zna kilka szczegółów sprawy, o których nie powinien wiedzieć?

– Tak, ale...

– Ale co?

Adam opowiada nadkomisarzowi o wizycie w więzieniu. O podejrzenie dokładnej wiedzy doktora Cole'a na temat śmierci Pippy i szczegółów śledztwa. O incydencie ze strażnikiem i rozmowie z jego kolegą na parkingu. A także o wyznaniu doktora dotyczącym trzech innych ofiar. Na drugim końcu linii Marsh słucha go w milczeniu.

– A zatem, Bishop, chcesz mi powiedzieć, że dawałeś się wodzić za nos jednemu z najbardziej zwyrodniałych i podstępnych seryjnych morderców, jakich mieliśmy w naszym kraju?

– Wiem, jak to wygląda, ale...

– Który, przy okazji, jest również ojcem twojej byłej żony?

– Ale szefie...

– Dosyć! – krzyczy nadkomisarz i w jego głosie daje się wyczuć całkowitą dezaprobatę. – Przeszukaliśmy cały dom i ogród z psami tropiącymi. Znaleźliśmy ciała wszystkich ofiar. Chcesz udowodnić, że Cole maczał palce w tych ostatnich morderstwach i Romilly też jest zamieszana w tę sprawę? Po co? Żebyś mógł spotykać się z byłą żoną, próbując ją odzyskać? Wiedziałem, że nie powinienem być jej wczoraj zapraszać na komendę. Ale dosyć tego, Bishop. Wracasz do śledztwa. Do sprawy Pippy Hoxton.

Adam milczy.

– Słyszysz mnie, Bishop?

– Tak, szefie.

Marsh rozłącza się i Adam sięga do stacyjki, ale nie uruchamia silnika. Wyszukuje w spisie kontaktów kolejny

numer. Numer emerytowanego detektywa. Sierżanta Davida
Shepherda.

Rozdział 48

Przez cały ranek Jamie snuje się po domu i myśli o Adamie. Czuje łupanie w głowie, gdy na chwiejnych nogach wchodzi do kuchni, napełnia dużą szklanę wodą i wraca na sofę.

Patrzy na bałagan w salonie – na puste butelki, szklanki z resztkami alkoholu, pełną popielniczkę. Chociaż boli go gardło, sięga po prawie pustą paczkę marlboro, którą zostawił Adam. Pamięta, jak wypalił kilka papierosów, czerpiąc satysfakcję z tego buntowniczego aktu i przyjmując drapanie w płucach jako swoistą pokutę. Teraz krztusi się dymem i wypija spory łyk wody.

Prześladuje go wspomnienie ostatniej rozmowy z przyjacielem. Wtedy wypowiedział wszystkie te przykre słowa z pełnym przekonaniem, ale teraz – w świetle dnia i na trzeźwo – zdaje sobie sprawę, że miał wobec niego wygórowane oczekiwania. Nikt nie zdołałby znaleźć Pippy wcześniej, włożyć więcej wysiłku w poszukiwania niż Adam. A on tak mu się odwdzieczył za jego starania.

Ciekawe, dokąd poszedł Adam po wczorajszej wymianie zdań. Gdzie spędził noc? Czy snuł się samotnie po ulicach? Nadal nie wiadomo, gdzie się podziewa. Czyżby przepadł bez wieści? Jak Pippa?

Niewiele brakuje, by wszystkie te czarne myśli zamieniły się w paniczny strach, ale nagle Jamie słyszy chrobot klucza

w zamku i kroki w sieni. Z wysiłkiem podnosi się z sofy i staje jak wryty.

Adam wygląda okropnie. Ma poszarzałą skórę, trzydniowy zarost i ciemne podkówki pod na wpół przymkniętymi oczami. Na widok przyjaciela nieruchomieje i odwraca wzrok.

– Adamie, przepraszam cię – wyrzuca z siebie Jamie. – Nie chciałem ci tego wszystkiego powiedzieć.

Adam wciąż stoi nieruchomo i wpatruje się w podłogę.

– Muszę wziąć prysznic – mamrocze. – Mam dużo roboty. Jamie chwyta go za rękę.

– Gdzie się podziewałeś? – pyta łagodnie. – Martwiłem się.

Jego troskliwy ton sprawia, że Adam spogląda na niego, a potem wzdycha, a jego usta wykrzywiają się w posępnym grymasie.

– Byłem w Belmarsh.

– Na widzeniu? U kogo? Rozmawiałeś z Cole'em?

– Tak. – Adam kiwa głową i opada ciężko na sofę. – Ten facet coś wie. To on stoi za tym wszystkim. Jestem tego pewien, tylko nie potrafię mu niczego udowodnić.

– Ale jak to możliwe?

– Nie mam, kurwa, pojęcia. Okręcił sobie wokół palca wszystkich strażników i prawdopodobnie wykorzystuje ich do przekazywania wiadomości. – Adam pociera twarz. – Muszę napić się kawy.

– Nie wstawaj. Zaparzę ci.

Jamie idzie do kuchni, nastawia czajnik i wsypuje po łyżeczce kawy rozpuszczalnej do dwóch kubków. Zerka na

przyjaciela, który wciąż siedzi zgarbiony na sofie. Trudno mu uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał, jednak poszczególne elementy zdają się tworzyć spójną całość.

Wraca do salonu i stawia parujące kubki na stoliku. Adam sięga po papierosy, wyjmuje jednego i zapala. Zaciąga się dymem i podsuwa paczkę Jamiemu.

– Chcesz? Bo chyba przypadły ci do gustu.

Jamie uśmiecha się blado.

– Nieszczególnie – mówi. – Naprawdę cię przepraszam, stary.

Adam lekceważąco macha ręką.

– Nie ma sprawy. Miałeś rację.

– Nieprawda...

– Powinienem był ją odnaleźć.

– Nie popełniłeś żadnego błędu. Żadnego. Musisz się skupić na schwytaniu tego skurwiela. Teraz tylko to się liczy.

Adam wolno kiwa głową.

– Nie tylko – dodaje po chwili.

Wtajemnicza przyjaciela we wszystkie szczegóły sprawy – mówi mu o heparynie, igłach i podejrzanym, który prawdopodobnie ma wykształcenie medyczne. Relacjonuje mu również przebieg widzenia z Cole'em. Jamie słucha go z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Było ich więcej? Jeszcze trzy ofiary? – pyta z niedowierzaniem. – Ale gdzie są ciała?

– Marsh twierdzi, że to wszystko bzdury i dałem się zmanipulować.

– A ty co o tym wszystkim sądzisz?

Adam wzrusza ramionami i wpatruje się z zadumą w smużkę dymu z papierosa.

– A kogo to obchodzi?

Jamie widział już przyjaciela w takim stanie – po rozwodzie z Romilly. Apatycznego, wycofanego, wypranego z emocji. Adam przyjął jego przeprosiny, ale ich relacje bezpowrotnie się zmieniły. Teraz już nie mówi mu, jak się czuje i co myśli, a przed wczorajszą kłótnią byłby się przed nim otworzył.

Otwiera usta, żeby jeszcze coś dodać, gdy komórka jego przyjaciela wydaje krótki sygnał przychodzącej wiadomości. Adam patrzy na ekran i gasi papierosa w popielnicze.

– Pora na mnie – oznajmia, wstając z sofy.

– Ale...

– Muszę wziąć prysznic. Później pogadamy.

Adam przez chwilę spogląda na bałagan w salonie, po czym kręci głową i wychodzi.

Jamie odprowadza go wzrokiem. Co ja najlepszego zrobiłem? – myśli. Teraz, kiedy tak bardzo potrzebuję jego wsparcia, kiedy on potrzebuje mnie, wszystko spieprzyłem. Muszę to naprawić.

Zabiera ze stolika popielniczkę i dwie butelki po winie. Postanawia zacząć od porządków.

Rozdział 49

Zapada już zmrok, kiedy Adam jedzie drogą przez przedmieście. Całkiem tu ładnie, myśli, mijając szkołę i kościół w małej miejscowości. W takiej okolicy mógłbym pewnego dnia zamieszkać. Jednak szybko odpędza tę myśl. Nie w tym świecie. Nie w tym życiu.

Wjeżdża na asfaltowy podjazd przed zadbanym wiejskim domem i wyłącza silnik. Podchodzi do drzwi frontowych, przy których stoją para gumowców i miska dla psa. Naciska dzwonek i po chwili otwiera mu starszy mężczyzna.

– Nadinspektor Bishop?

– Sierżant Shepherd?

Gospodarz wyciąga rękę na powitanie, uśmiechając się przyjaźnie.

– Mów mi David. Zapraszam do środka. Mam nadzieję, że lubisz psy.

Podbiega do nich wielki czarny labrador z wywieszonym jęzorem. Entuzjastycznie merda ogonem i natychmiast zostawia na spodniach Adama lśniąca strużkę śliny.

– Och, przepraszam cię – mówi Shepherd, odciągając psa.

– Obrzydliwa bestia, ale bardzo go kochamy.

– Nic nie szkodzi. – Adam pochyła się z uśmiechem, by podrapać psa za uchem.

Przechodzą do przytulnego salonu. W kominku buzuje ogień. Labrador z przeciągłym westchnieniem kładzie się koło paleniska.

– Czego się napijesz? – pyta sierżant.

– Kawy.

Gospodarz wychodzi, a Adam rozsiada się w wygodnym fotelu. Ciepło kominka i sielska atmosfera podmiejskiego domu sprawiają, że powieki zaczynają mu ciążyć. Nie pamięta, kiedy ostatni raz porządnie się wyspał. Zanim to wszystko się zaczęło. Tydzień temu. Zanim znaleziono ciała na wysypisku. Od tego czasu bezradność i troska zżerają go od środka.

– Śledziłem wiadomości i zastanawiałem się, czy zadzwonisz. – Shepherd wyrywa go z zadumy, stawiając kubek kawy na stoliku, po czym siada naprzeciwko w fotelu. – Słyszałem, że byliście w domu na Gloucester Road.

– Wybacz, że zawracam ci głowę.

– Nic nie szkodzi. Emerytura jest, no cóż... – Shepherd wzrusza ramionami. – Gliniarski instynkt nigdy nie zanika. Myślisz, że Elijah Cole maczał w tym palce?

Adam jest zaskoczony, bo jego szef nie podzielił się z prasą takimi szczegółami. A jednak stary detektyw miał głowę na karku.

Ćwierć wieku temu David Shepherd był jednym z pierwszych funkcjonariuszy, którzy zjawili się w domu doktora. Nie kierował śledztwem – ten wątpliwy zaszczyt przypadł w udziale inspektorowi Frankowi Langstonowi, ale on już od dawna nie żył. Shepherd, który miał wówczas niewiele ponad trzydzieści lat, prowadził czynności

rozpoznawcze w terenie. A teraz cieszy się emeryturą w uroczym domku na przedmieściu. Ciepłe kapcie, pies, kominek. Mimo to jest zainteresowany śledztwem. Siedzi pochylony do przodu, czekając w napięciu na odpowiedź.

– Tak uważamy – mówi Adam. – Zna szczegóły, o których nie wie nikt oprócz nas i samego sprawcy.

– Albo ma wtyczkę w komendzie.

– Niewykluczone, ale nie wiem, kto mógłby to być. Ufam swoim ludziom. – Adam zawiesza głos. Nie jest pewien, czy o wszystkim powinien mówić, jednak cieszy się, że może porozmawiać z kimś, kto go rozumie. – Cole za tym stoi. Albo ktoś popełnia te morderstwa, żeby mu zaimponować. Tak czy inaczej, Cole świetnie się bawi.

Stary detektyw kiwa głową.

– Wcale bym się nie zdziwił. Ten podstępny skurwiol nigdy nie lubił przegrywać. Na początku odsiadki sprowokował wiele bójek, bo oszukiwał w pokerze i blackjacku. Znał to miejsce na wylot i wszystkich trzymał w garści, zarówno personel, jak i innych więźniów. Czarował swoich faworytów, innych szantażował.

Adam opowiada, czego się dowiedział od strażnika na parkingu, a Shepherd kiwa głową.

– To do niego podobne. Rozpuszcza plotki i knuje intrygi, żeby zaspokoić swoje potrzeby. Pogrywał sobie z psychiatrami, którzy mieli go zbadać. Prędzej czy później każdy rezygnował. Był mądrzejszy od nich, to nie ulega wątpliwości.

– To ich opinia?

– Jasne, że nie. – Shepherd prychnął kpiąco. – Jednak Cole z pewnością tak uważał i jestem skłonny się z nim zgodzić. Przez pierwszych kilka lat za kratkami uchodziły mu na sucho różne wybryki. Słyszałem, że prowadził coś w rodzaju darmowej poradni lekarskiej, a nawet zdiagnozował raka u córki jednego z klawiszów. Podobno uratował jej życie – mówi, a Adam przypomina sobie strażnika, który tego ranka rzucił nim o ścianę. – Znasz tamtą sprawę z dziewięćdziesiątego piątego?

– Tak, przejrzałem wszystkie akta. Ale interesują mnie rzeczy, których tam nie ma. – Adam wie, że śledczy nie wspomnieli o rzymskich liczbach wyrytych w drewnianej futrynie. Co jeszcze pominęli? – O czym wtedy myślałeś? Jakie miałeś podejrzenia?

– W związku z czym?

– Przypuszczałeś, że było więcej ofiar?

– Myślę, że na pewno by było, gdyby jego córka nas nie zawiadomiła. O niczym nie mieliśmy pojęcia, dopóki nie zjawiliśmy się na miejscu. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Cole mógłby zrobić coś takiego. – Shepherd wolno kiwa głową. – Zajmowałem się w tym czasie sprawami zaginięć. Cztery kobiety w zbliżonym wieku, o podobnej budowie ciała, więc domyślaliśmy się, że coś jest na rzeczy. Ale doktor był poza wszelkimi podejrzeniami.

– Myślałem, że porwał pięć kobiet.

– Owszem, ale wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o Catherine Sutton. Była bezdomna i nikt nie zauważył, kiedy zaginęła. Nasza jedyna ocalała.

– Co się z nią stało?

– Nie żyje – odpowiada sierżant ze smutną miną. – Zniknęła dziesięć dni po tym, jak wyciągnęliśmy ją z tego piekła. Nie mogliśmy jej znaleźć i dopiero później... Myślę, że życie na ulicy było jej mocną stroną, więc wtopiła się w otoczenie. Przepadła bez śladu. Od czasu do czasu sprawdzałem w systemie, czy nie wylądowała gdzieś na dołku. – Przerywa i pociera oczy. – W końcu trafiłem. Niezidentyfikowana kobieta. Wyłowiono ją z rzeki, a była tam od jakiegoś czasu, więc niewiele dało się ustalić. A zawsze łudziłem się, że zmieniła nazwisko i zaczęła nowe życie. Wyszła za męża, urodziła dzieci. – Śmieje się cicho. – Chybiony optymizm i tyle. Liczyłem na szczęśliwe zakończenie. Nie wiadomo, co jej się stało. Przypuszczam, że przedawkowała. Albo zabił ją alfons i porzucił zwłoki. Dziewczyny z ulicy zwykle tak kończą. – Znowu robi pauzę i spogląda na Adama. – A Romilly Cole? Co z nią? Domyślam się, że przesłuchaliście ją jeszcze raz.

– Tak – potwierdza Adam z uśmiechem. – Pomaga nam w śledztwie. Wszystko u niej w porządku. Została lekarką.

– Tak, słyszałem. Dziwne, że poszła w ślady ojca. Można by pomyśleć, że nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Zawsze mnie to zastanawiało.

– Co takiego?

– Nie mogliśmy pozbyć się wrażenia, że Romilly kłamie.

Labrador wydaje przeciągły jęk, po czym wstaje z legowiska przed kominkiem i kładzie się obok swojego pana. Detektyw wyciąga rękę i drapie go za uchem. Adam czeka w milczeniu. Z jednej strony pragnie poznać odpowiedź, z drugiej boi się tego, co może usłyszeć.

Shepherd wzdycha.

– Nie powinienem w ogóle o tym wspominać – mówi. – To nie jest w porządku. Niczego nie zdołaliśmy udowodnić, ale coś w jej zeznaniach się nie zgadzało. To trwało tak długo, a ona niczego nie zauważyła?

Adam przypomina sobie sypialnię Romilly w jej rodzinnym domu. Okno z widokiem na ogród.

– Ale powiedziała, że o niczym nie miała pojęcia, tak?

– Zgadza się. Zresztą jaki byłby z tego pożytek, gdyby udało się nam wykazać, że o czymś wiedziała? Miała jedenaście lat i jej życie legło w gruzach. A my zamknęliśmy mordercę. Dowodów było aż nadto, żeby dostał dożywocie, więc po co narażać dziewczynę na dodatkowy stres?

– W jakim była stanie przez tych kilka dni, kiedy to się działo?

– Zszokowana. Oszołomiona. Zapłakana. Trudno się dziwić, bo w końcu jej ukochany ojciec trafił do więzienia za porwanie, tortury, gwałt i zabójstwo. A miał na nią ogromny wpływ. To było widać. Zrobiłaby dla niego wszystko. Pozostaje pytanie, czy rzeczywiście zrobiła.

– Ale co miałyby zrobić? – pyta Adam.

Shepherd kręci głową.

– Nie była jedyna – kontynuuje niechętnie. – Wszyscy w jego otoczeniu, nawet niektórzy z naszych detektywów, dali mu się omotać. Był taki uprzejmy, dowcipny i błyskotliwy. Zresztą sam z nim rozmawiałeś.

– Dziś rano. Ale wcale nie był taki miły.

Emerytowany sierżant przytakuje.

– Od tej strony też go poznaliśmy. W mgnieniu oka zamieniał się w potwora. Dwa oblicza seryjnego mordercy. Ale przez trzynaście lat prowadził gabinet lekarski i kiedy siedział w areszcie, dostawaliśmy listy od jego pacjentów, którzy pisali, jak wielki popełniliśmy błąd i jak bardzo doktor Cole im pomógł. Przed sądem stali ludzie z transparentami zapewniającymi o jego niewinności. Miałem ochotę pokazać im zdjęcia z tej szopy albo ich tam zabrać. Nigdy nie zapomnę tego miejsca. Tego smrodu. – Shepherd na chwilę zamyka oczy, zagłębiając się we wspomnieniach. – Kiedy tam przyjechałem, ofiar już nie było, ale nawet puste wnętrze wyglądało przerażająco. Niemal czułem smak ich strachu. Coś lepkiego i gęstego wisiało w powietrzu. Po powrocie do domu wziąłem prysznic, a zaraz potem drugi. To przywarło do mojej skóry, woń śmierci. Całe cierpienie tych nieszczęsnych kobiet... Jeśli uważasz, że Cole ma coś wspólnego z twoją aktualną sprawą, jakkolwiek nieprawdopodobnie i absurdalnie to brzmi, przypuszczalnie tak jest. – Detektyw nachyla się do przodu i spogląda na Adama z zaciętą miną. – Ten człowiek to diabeł – dodaje. – Diabeł wcielony.

Rozdział 50

Adam dziękuje Shepherdowi za rozmowę i wstaje z fotela. Kiedy już wychodzi, emerytowany detektyw zatrzymuje go przy drzwiach.

– Nie odpowiedziałem na twoje najważniejsze pytanie – mówi. – To, które jest powodem twojej wizyty.

Adam zastanawia się przez chwilę, o co sierżantowi chodzi. W końcu sobie przypomina.

– Inne ofiary?

– No właśnie. I nie, nie sędzę, aby Cole miał na sumieniu kogoś jeszcze.

– Ale w jego domu...

– Nie, tam wszystko sprawdziliśmy. Liczby wycięte we framudze dały nam do myślenia, więc kiedy znaleźliśmy tylko trzy ciała, przeszukaliśmy całą posesję setki razy. Psy, georadar i różne takie. Zrywaliśmy podłogi, wierciliśmy w betonie. Nic więcej tam nie ma. Zapewniam cię.

Adam kiwa głową.

– Dziękuję – powtarza i ściska gospodarzowi dłoń.

– Miło mi, że mogłem pomóc – mówi Shepherd. – Polecam się na przyszłość. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co działo się w tym domu i kto tam jeszcze był, musisz spytać ją. Jego córkę. Porozmawiaj z Romilly Cole.

Romilly opowiedziała mu o swoim ojcu niemal od razu, kiedy się poznali. „Zrozumiem, jeśli to cię odstraszy, ale chcę być wobec ciebie uczciwa”, oznajmiła. Adam przytaknął i wysłuchał jej opowieści. O tym, jak dorastała w tym domu i jak się czuła, kiedy wyszły na jaw potworne zbrodnie jej ojca.

Poprosiła, żeby przeczytał artykuły prasowe z tamtego czasu i przyszedł do niej, gdyby miał jakieś pytania. Ale on zrobił coś więcej. Odnalazł akta tamtej sprawy i zapoznał się ze wszystkimi raportami detektywów Shepherd i Langstona. Przystudiował transkrypty z procesu i oświadczeń nagranych na taśmie. Po ogłoszeniu wyroku Elijah przyznał się do popełnionych czynów i przez kilka tygodni opowiadał o nich szczegółowo w pokoju przesłuchań. Wszystko brzmiało wiarygodnie z wyjątkiem jednego. Jak ona mogła o tym nie wiedzieć?

Bez zastanowienia skręca w stronę swojego dawnego domu. Parkuje na podjeździe, naciska dzwonek i słyszy zbliżające się kroki. Romilly otwiera drzwi. Ma na sobie niebieską dżinsową koszulę rozpiętą pod szyją, a jej rozpuszczone falujące włosy opadają luźno na ramiona. Adam zastyga w bezruchu, kiedy widzi uśmiech na jej twarzy. Nie chce niszczyć tego pięknego obrazu, który widzi przed sobą. Ona jednak wyczuwa, że coś jest nie tak, i wyraz jej twarzy się zmienia.

– O co chodzi? – pyta.

Zaprasza go do środka i proponuje herbatę albo kawę, ale on odmawia i prosi ją, żeby usiadła. Nie odrywając od niego wzroku, Romilly wolno opada na krzesło. Adam siada naprzeciwko niej.

– Chciałbym, żebyś była ze mną szczerą – zaczyna, marszcząc czoło. – Wiedziałaś?

Zapada milczenie. Jest tak cicho, że Adam słyszy miarowy oddech swojej byłej żony.

– Proszę... – odzywa się po chwili, a w myślach dodaje: po prostu mi to powiedz.

– Dlaczego teraz do tego wracasz? – pyta spokojnie Romilly.

– Dziś rano widziałem się z twoim ojcem.

– No i?

– Powiedział, że było więcej ofiar.

– A ty mu uwierzyłaś?

– Posłuchaj, pojechałem tam, do twojego rodzinnego domu. Wczoraj. Nie zdawałem sobie sprawy, że ze swojego pokoju miałaś widok na ogród. Jak to możliwe, że nigdy niczego nie zauważyłaś? Elijah musiał przechodzić pod twoim oknem, kiedy prznosił swoje ofiary. – Adam próbuje dotknąć dłoni Romilly, ale ona cofa rękę. – Proszę, zrób to dla nich. Dla tych kobiet.

– Czy ty naprawdę myślisz, że coś zataiłam? Nie, tak jak powiedziałam wtedy śledczym, niczego nie widziałam. O niczym nie miałam pojęcia. – Twarz Romilly oblewa się rumieńcem, a po jej policzkach zaczynają płynąć łzy. – Kto jak kto, ale ty nie powinieneś mieć wątpliwości. Wszystko ci powiedziałam.

Adam patrzy na nią. Wierzy jej, musi jej uwierzyć. Woli nawet nie myśleć, że jej zapewnienia mogłyby mijać się z prawdą.

– Przepraszam – mówi. – Nie powinienem był o to pytać, ale to śledztwo, ten człowiek... Doprowadza mnie do obłądu. Zapomnij, nie było tematu. – Przerywa i spogląda na zegar. Jest dziewiąta wieczorem. Późno. – Czy... twój facet jest w domu?

– Nie, wyjechał na kilka dni do przyjaciela.

– Teraz? – Adam nie kryje zdziwienia.

To dla niego niepojęte, że Phil mógł zostawić swoją kobietę samą, kiedy dzieją się takie rzeczy.

– Tak... – Romilly wzdycha. – Pokłóciliśmy się. Powiedział, że potrzebuje trochę przestrzeni.

– O co poszło?

Z ust Romilly wydobywa się krótki chrapliwy śmiech.

– O ciebie. Zawsze kłócimy się o ciebie.

– O mnie? – pyta zaskoczony Adam.

Jego była żona uśmiecha się smutno.

– Phil nie rozumie, dlaczego nie potrafię trzymać się z dala od tego śledztwa. Dlaczego nie potrafię trzymać się z dala od ciebie. – Zawiesza głos i przygryza wargę. – Twierdzi, że wciąż jestem w tobie zakochana.

Adam czuje, jak zasycha mu w gardle. Chrząka i z trudem przełyka ślinę.

– A jesteś?

– Jeszcze masz jakieś wątpliwości?

Romilly patrzy na Adama, a on dostrzega w jej brązowych oczach wyraz niemal desperackiego wyczekiwania. Wie, że

powinien jakoś zareagować, odpowiedzieć jej, i chce to zrobić. Bardzo tego pragnie, ale...

– Muszę już iść, Milly – mówi i zrywa się z krzesła.

Słyszysz jej ciche westchnienie pełne żalu i frustracji.

– Jasne, idź. Uciekaj tak jak zawsze.

– Ale ja nie... Muszę zająć się śledztwem. I nie umiem...

– Czego nie umiesz? Powiedzieć, jak się czujesz?

Adam odwraca się błyskawicznie.

– Znowu ci zaufać. Po tym, co zrobiłaś.

– Boże... – Romilly czerwienieje ze złości. – Tak, popełniłam błąd. Tak, to z mojej winy się rozeszliśmy. Ale wcześniej...

– Wcześniej, zanim mnie zdradziłaś?

– Właśnie tak. Ale ja przynajmniej potrafię się do tego przyznać. A ty... Ty udajesz, że wszystko było między nami w porządku. Że kochaliśmy się i byliśmy szczęśliwi, podczas gdy ty cały czas się ode mnie odsuwałeś.

– Ale to nie tak...

– Owszem, właśnie tak. Mężczyzna, za którego wyszłam, był otwarty i... rozmawiał ze mną. Mówił mi, jak się czuje, kiedy był zdenerwowany, zmartwiony albo... albo kiedy cierpiał. Ale się zmieniłeś. – Romilly wymierza w Adama palec w oskarżycielskim geście. – Nie jesteś już tamtym mężczyzną. Stałeś się arogancki i głupi. Pieprzysz się, z kim popadnie, i marnujesz sobie życie. Otoczyłeś się murem i myślisz, że wszystko jest w porządku, ale żyjesz na niby. Proszę, chcę odzyskać męża. Chcę ciebie...

Adam energicznie kręci głową. Nie może sobie na to pozwolić. Nie w tej chwili.

Odwraca się i wychodzi szybko na ulicę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Ona nie ma racji, myśli, wsiadając do samochodu. Nic mi nie jest. Owszem, nie opowiadam na okrągło o swoich uczuciach, jak robią niektórzy, ale to nie oznacza, że mam problem. Kiedyś jej zaufałem i jak to się skończyło? Podobnie jak z moimi rodzicami wiele lat temu. Zostałem sam.

Nie, wszystko ze mną w porządku, powtarza sobie. Mogę bez niej żyć. Nie kocham jej. To koniec.

Wyciąga papierosa i zapala, ale bolesny ucisk w klatce piersiowej nie ustępuje. Wciąż czuje ten ból, który przenika go do głębi.

* * *

Rozmawiałeś z nim. A więc nadszedł odpowiedni czas.

Muszę działać szybko.

Przyspieszam kroku, bo robi się zimno. Na ulicy nie ma zbyt wielu przechodniów, zwłaszcza tutaj, gdzie nie wszędzie dociera światło latarni i cienie czają się między drzewami. Nikt mnie nie widzi. Tak jak ty działałam w pojedynkę.

Docieram na miejsce i okrążam dom. Tylne furty są otwarte, stary zamek pokrywa rdza. Zawiasy nie skrzypią. Przeciskam się obok kubłów na śmieci i szklanych opakowań do recyklingu, starannie ustawionych w sterty. Mieszkają tu młodzi ludzie, o czym świadczą etykiety na butelkach po winie. Tanim i paskudnym, które na długo pozostawia nieprzyjemny smak w ustach.

Stoję w głębi ogrodu i w oknie kuchennym widzę kobietę, która głośno śpiewa, przekrzykując muzykę. Obraca głowę w stronę salonu i woła do kogoś. Ktoś jej odpowiada. W domu są trzy osoby, ale mnie nie widzą. Nikt mnie nie zobaczy.

Kobieta napełnia kieliszki winem i wychodzi z kuchni. Roześmiana i beztroska. Nie jest ładna, ale na swój sposób urocza. Wychodzę z cienia i kładę dłoń na klamce tylnych drzwi. Nie są zamknięte na klucz. Kolejny znak. Pewnie myślą, że w grupie jest bezpiecznie. Jakże się mylą.

Wchodzę do kuchni. Na blacie stoją garnki i talerze, kuchenka jest uwalana resztkami sosu. Muzyka jest tu głośniejsza. Żwawy

radosny rytm działa mi na nerwy.

Przystaję w sieni i nastuchuję. Trzy młode kobiety trajkoczą i co chwila wybuchają śmiechem. Doskonale się bawią. Jak ja ich nienawidzę. Sprawiają, że jeszcze bardziej cię kocham. Za twoją skromność i dojrzałość.

Opuszczam tę beztroską imprezę i ostrożnie wchodzę na górę. Stopnie skrzypią, ale nikt mnie nie słyszy. Wiem, który pokój należy do niej – dzięki wczorajszej obserwacji świateł w oknach – i kieruję się w jego stronę.

Otwieram drzwi i czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności. Łóżko jest niezaścielone, a na podłodze walają się tandetne pstrokate ciuchy. W powietrzu unosi się woń perfum. Tutaj muszę się przyczołgać. Rozglądam się w poszukiwaniu kryjówki. Pod łóżkiem nie ma miejsca, a szafa jest zapchana, więc stoję za drzwiami i czekam. Nieruchomo. Cierpliwie.

Tak jak zawsze.

Wspomnienia sprzed lat pojawiają się i znikają. Zapach nowych mebli z płyty wiórowej. Siedzę w swojej kryjówce pod biurkiem i słyszę głośny radosny okrzyk: „Szukam!”. Wstrzymuję oddech, chociaż z podniecenia mam ochotę się roześmiać, kiedy słyszę zbliżający się odgłos ciężkich kroków. A potem widzę zmarszczki w kącikach twoich oczu, które uśmiechają się wesoło. To były szczęśliwe czasy. Tęsknię za nimi.

Koszmarne sny przypominają mi, jak się teraz czuję. Chodzę pustymi ulicami i rozglądam się gorączkowo jak zagubione dziecko, porzucone i zapomniane. Przytłacza mnie samotność, ze strachu ściska mnie w żołądku, a kiedy się budzę, moja twarz jest mokra od łez.

Staram się o nich nie myśleć. O swoich ofiarach. Wiem, że zasłużyły na śmierć, że są marionetkami systemu, który nie potrafi ochronić niewinnych. Że takie było ich przeznaczenie. A jednak wciąż słyszę ich krzyki i błagania o litość.

Ale teraz nadszedł czas.

Muzyka cichnie. Słyszę śmiechy i kroki na schodach. „Dobranoc. Śpij dobrze”. Drzwi się otwierają i oślepia mnie blask włączanej lampy. Ale czekam w ukryciu. Obserwuję ją, jak pojawia się i znika z pola widzenia, nucąc półgłosem jakąś melodię. Zaczyna się rozbierać, a ja patrzę na jej młode ciało, jędrne i nieskazitelne. Mój oddech przyspiesza. Dotykam ukrytego w kieszeni noża, przesuwając opuszką po ostrzu. Wyciągam rękę, gdy czuję lekkie pieczenie, i widzę, jak z małej ranki powoli sączy się krew. Wkładam palec do ust i nie przestaję obserwować.

Patrzę na nią, kiedy zdejmuje stanik i wkłada koszulkę nocną, a potem idzie do łazienki. Jej pewność siebie i młodzieńcza swoboda budzą we mnie taką nienawiść, że z wściekłością zgrzytam zębami. Wychodzę ze swojej kryjówki, z trzaskiem zamykam drzwi, przekręcam tkwiący w zamku klucz i chowam go do kieszeni.

Teraz nikt nie będzie nam przeszkadzał. Koniec odliczania. Szukam!

Wchodzę do łazienki, a ona zauważa moje odbicie w lustrze i zaskoczona upuszcza szczoteczkę do zębów.

– Co ty tu...? – zaczyna, ale na widok noża milknie.

Bierze głęboki wdech, żeby zacząć krzyczeć, i właśnie wtedy postanawiam zaatakować. Robię krok naprzód i wyprowadzam cios, celując w środek tułowia. Ona to widzi i próbuje się osłonić, ale nie jest wystarczająco szybka. Krzyczy z bólu i strachu, kiedy

ostrze rozcina jej przedramię. Spanikowana, wymachuje okaleczoną ręką, a krew tryska na umywalkę i lustro.

– Proszę, nie – mówi błagalnym tonem.

Ale jej błagania na nic się nie zdadzą. Czytała akta, widziała zdjęcia poprzednich ofiar, więc wie, co ją czeka. To tylko kwestia czasu.

Robi krok do tyłu, jakby chciała przede mną uciec, ale za jej plecami znajduje się jedynie wnęka prysznic. Zaczyna płakać i cofa się, wyciągając ręce przed siebie. Szlocha jeszcze bardziej, gdy zamykam za sobą drzwi łazienki.

– Przepraszam cię – mówi, chociaż nie wiem, za co.

Osuwa się na dno brodzika, a krew ścieka strużkami po jej skórze i znika w kratce odpływu. Leży zwinięta w kłębek na białych kafelkach, a jej pozycja nie ułatwia mi zadania.

– Nie chcę cię zranić bardziej, niż to konieczne – mówię, a ona patrzy na mnie wielkimi zielonymi oczami. – Wiesz, że to nieuniknione. Wcale nie musisz cierpieć.

– Proszę, nie chcę umierać.

– I tak wszyscy umrzemy – odpowiadam.

Łzy płyną jej po policzkach. Spogląda w stronę drzwi i domyślam się, co jej chodzi po głowie.

– Przychodzę tylko po ciebie. Ale jeśli zaczniesz krzyczeć i one tu przybiegną, też będą musiały umrzeć. A tego nie chcesz, co?

– Nie – odpowiada cicho, zaciskając powieki.

– W takim razie wstań.

Zaczyna głośno zawodzić, jej ciało dygocze. Czuję woń moczu, który spływa po jej nogach.

– Proszę...

– Wstań – powtarzam. – A zrobię to szybko.

Ona jednak ani drgnie. Wciąż siedzi z kolanami pod brodą, szlocha i bełkocze żalosne frazesy. Ogarnia mnie złość.

– Mam cię pokroić na kawałki? Tego chcesz? – pytam i czuję, jak wzbiera we mnie napięcie. – Bo tak zrobię. Poszatkuje twoje ręce. Odetnę ci palce, jeden po drugim. A potem uszy i nos. Wyłupię ci oczy, i to wszystko na żywca.

– Nie. – Kręci głową.

– Wiesz, jak cierpiały tamte ofiary? Wyobrażasz sobie ich wrzaski?

Nie odpowiada, tylko dalej głośno chlipie, potykając smarki i łzy.

– Chcesz, żeby ciebie spotkało to samo?

– Nie.

– No to wstań.

Z jej ust wydobywa się przeciągły jęk pełen smutku, udręczenia i strachu. Wolno wyciąga ręce i opiera się o ściany. Początkowo jej dłonie się ześlizgują, bo kafelki są mokre od krwi, ale w końcu wstaje. Szczęka zębami i drży na całym ciele. Jej spojrzenie przeskakuje z noża na moją twarz i z powrotem.

Zadaję szybki cios i nóż wchodzi w jej miękki brzuch jak w masło. Dłonie mam całe we krwi, kiedy mocno dopycham ostrze. Dotrzymuję słowa, chociaż to nigdy nie jest bezbolesne. Widzę cierpienie w jej oczach, czuję napięcie w mięśniach. Ale nie męczy się długo. Nie miała szans.

Nogi uginają się pod nią i powoli osuwa się z powrotem na podłogę. Wyciągam nóż i z rany bucha krew.

Chwytam ją za rękę i wywlekam spod prysznic na środek łazienki. Opiera się lekko i pojękuje, więc jeszcze raz wbijam jej nóż w pierś. Trafiam w serce i czuję, jak ostrze ciężko przechodzi przez twardy mięsień. Musiało też zawadzić o płuco, bo widzę bąbelki powietrza w strumieniu krwi, który rozlewa się szybko po posadzce. Przyglądam się jej. Teraz leży nieruchomo. Nie żyje. Zadanie wykonane.

Dla ciebie wszystko.

Rozdział 51

Gdy Adam wraca do pracy, w komendzie panuje cisza, która przynosi mu ukojenie. Przez chwilę siedzi w swoim gabinecie, a potem wychodzi do open space-u. Pracuje tam tylko dwóch posterunkowych – pozostali wrócili już na noc do swoich domów.

Nie poczynili zbyt dużych postępów pod jego nieobecność. Adam wie, że w skrzynce odbiorczej czekają na niego raporty z poszczególnych odcinków śledztwa, ale nie spodziewa się żadnych rewelacji. Gdyby któryś z detektywów dokonał przełomowego odkrycia, natychmiast by do niego zadzwonił.

Jego komórka wydaje krótki dźwięk. Wiadomości od Jamiego: *Idę spać. Kolację masz w lodówce.* Ta na pozór błaha informacja mówi wszystko – jego przyjaciel, który przeżywa żałobę i nie powinien być sam, troszczy się o niego. Adam widzi, jak bardzo Jamie się stara, ale wciąż słyszy jego przykre słowa. Czuje się zdradzony. Zraniony jego niesprawiedliwym osądem.

Wraca za biurko i zaczyna przeglądać pocztę. Ma wrażenie, że jego ciało jest puste – zarówno żołądek, jak i głowa pozbawiona motywacji i myśli – ale czyta raport po raporcie, nie przyswajając ich treści. Dociera do końca i zaczyna jeszcze raz od nowa. Patrzy na salę, gdzie wciąż pracuje posterunkowy Lee.

– Tim! – woła przez otwarte drzwi. – Dostaliśmy z laboratorium wyniki ekspertyzy DNA?

– Nie.

– Do kurwy nędzy! – Adam podnosi słuchawkę telefonu i roztrzęsioną od wzbierającej wściekłości dłonią wybiera numer. – Maggie, gdzie są moje wyniki DNA?

– Mnie też miło cię słyszeć, Bishop – odpowiada Maggie Clarke i milknie na chwilę, a w tle słyhać stłumioną rozmowę. – Nie dostaliśmy materiału z prosektorium. Wściekasz się na niewłaściwą osobę.

Adam przeklina głośno i wykonuje kolejne połączenie. Przez całą minutę krzyczy na asystentkę patologa, która odbiera telefon i przyjmuje na siebie pierwszą falę gniewu, po czym wreszcie przekazuje słuchawkę szefowi.

– Dlaczego podnosisz głos na mój personel, nadinspektorze Bishop? – pyta doktor Ross tonem pełnym pogardy. – O co chodzi?

– O próbki od Wayne’a Oxforda. Te, które laboratorium miało sprawdzić pod kątem ewentualnego DNA mordercy. Gdzie one, kurwa, są?

– Wysłaliśmy je we wtorek, zaraz po sekcji.

– Laboratorium ich nie dostało.

– Cóż, jeżeli ktoś zawalił, to nie my. Wyżywaj się na kimś innym.

Adam ma tak napięte mięśnie, że z trudem udaje mu się usiedzieć w miejscu.

– Więc mówisz, że zginęły? Cenne próbki, dzięki którym moglibyśmy schwytać mordercę, ot tak wyparowały w drodze

do Maggie Clarke?

Na linii zapada cisza, którą przerywa jedynie ciężkie dyszenie doktora Rossa.

– Odpierdol się, Bishop – odzywa się wreszcie patolog.

Cedzi słowa przez zęby, a jego ściszony głos kipi wściekłością, lecz Adam nic sobie z tego nie robi.

– Jeśli odkryję, że zrobiłeś to celowo...

– Ty zarozumiała kutasie! – Ross krzyczy tak głośno, że w słuchawce aż brzęczy. – Ty nigdy nie popełniasz błędów, co? A może wszystkie porażki przytrafiają ci się z twojej winy? Twój rozwód. Śmierć żony Hoxtona. Całe to śledztwo, które stoi w miejscu. Kto tu jest wspólnym mianownikiem? Może nie jesteś taki wspaniały, za jakiego się uważasz?

– To nie ja zgubiłem próbki...

– Nie, ale idę o zakład, że Maggie Clarke nie kiwnie palcem, żeby je odnaleźć.

Po tych słowach Ross przerywa połączenie. Adam zastyga na chwilę ze słuchawką przy uchu, a potem wolno opuszcza rękę. Jego złość ustępuje miejsca innym emocjom. Przerażeniu. Niepewności. Gorzkiej nienawiści do samego siebie.

Zdaje sobie sprawę, że jego zawodowe relacje z Maggie nie wróciły do normy po ich krótkiej przygodzie. We wrześniu zeszłego roku wybrali się po pracy do pubu z większą grupą kolegów i trochę za dużo wypili. Była jeszcze jedną kobietą na jego długiej liście podbojów. Bynajmniej nie był z tego dumny.

Ale ona nie chciała tego ciągnąć, powiedziała mu wprost. Jej życie jest wypełnione po brzegi pracą, a wolny czas spędza

na łonie natury. Maggie to krzepka kobieta. Ma silne ręce i umięśnione nogi, ponieważ dużo spaceruje po nadmorskich ścieżkach, a długim godzinom spędzonym na plaży zawdzięcza głęboką opaleniznę. Jest konkretna i twardo stąpa po ziemi. Po prostu nie miała dla niego czasu. Ale skąd Ross o nich wiedział? Ludzie w komendzie plotkują o wszystkim.

Odgłos kroków wyrywa go z zamyślenia. Wciąż jeszcze lekko skonsternowany, unosi wzrok. W drzwiach stoi posterunkowy Lee.

– Szefie – mówi, po czym ciężko przełyka ślinę i bierze szybki wdech. – Musisz tu przyjść.

– Mamy kolejną ofiarę – stwierdza Adam beznamiętnie.

Tim Lee mruga kilka razy. Jego oczy szklą się od łez.

– Tak. Ellie nie żyje.

Adam niewiele pamięta z tego, co wydarzyło się później. Tylko wyrywkowe sceny, których znaczenia nie przyswaja, gdy automatycznie wykonuje kolejne czynności. Mundurowi przy drzwiach, rozpięta biało-niebieska taśma. Odbijające się w oknach błyski kogutów. Znajomo wyglądający dom, rozhisteryzowane współlokatorki, które płaczą i tulą się do siebie. Szelest białego kombinezonu ochronnego, ciepło własnego oddechu pod maseczką i spocone dłonie w lateksowych rękawiczkach.

Powoli wchodzi po schodach. Każdy krok kosztuje go wiele wysiłku, a nogi ciąży mu tak bardzo, jakby był pijany. Przypomina sobie to miejsce. Przypomina sobie, jak całował Ellie i wsuwał ręce pod jej ubranie. Jak czuł jej ciało, młode i ciepłe. Pełne życia.

Czuje na sobie spojrzenia techników, gdy wchodzi do pokoju. Ktoś pokazuje mu drogę do łazienki. Staje na progu, ale nie wchodzi dalej. Ellie leży na podłodze. Wszędzie jest pełno krwi.

Czerwień pokrywa całą posadzkę wyłożoną białymi kafelkami, rozlewając się wokół muszli i odpływu umywalki. Ściany pod prysznicem są pokryte smugami, zaciekami i rozpryskami. Rozmazane ślady palców tworzą biegnące w dół równoległe linie.

Adam cofa się i odwraca wzrok. Nie chce patrzeć na jej ciało, na głębokie cięcia i śmiertelne rany. Nie chce sobie wyobrazić ostatnich chwil jej życia. Czuje ssanie w pustym żołądku i przyciska palce do ust, przypominając sobie jej pocałunek, jej bezbronność i piękno.

Do pokoju wchodzi dwaj kolejni technicy z zestawami do pobierania materiału dowodowego i nagle Adam uświadamia sobie, że zeszłej nocy zostawił w domu Ellie mnóstwo śladów. Moje odciski palców są wszędzie, myśli, a w łóżku jest pełno moich włosów, komórek naskórka i śliny. Zdejmuje foliowy kaptur i maseczkę, żeby móc uzasadnić obecność swojego materiału biologicznego. Ma nadzieję, że później jakoś się wytłumaczy z niedopatrzenia. Jednak jeden z techników od razu reaguje.

– Hej, co robisz? Zanieczyszczasz miejsce zbrodni.

– Racja, przepraszam.

Adam naciąga z powrotem kaptur i szybko wymyka się z pokoju. Nie ma zamiaru czekać. Wraca do samochodu. Zdiera z siebie kombinezon, a potem siedzi nieruchomo i patrzy na dom Ellie, dysząc ciężko.

Myśli o mordercy, wystarczająco zuchwałym, by zakraść się do środka, wejść niepostrzeżenie na piętro i zadźgać młodą kobietę, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. A potem zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu, niezauważony przez nikogo. Współlokatorzy znalazły ciało Ellie, kiedy przyszły spytać, czy napije się gorącej czekolady. Była sama dziesięć minut, może piętnaście. Łut szczęścia, pewność siebie czy może coś więcej?

Zauważyła nadjeżdżający samochód. Rozpoznaje go – to elegancki jaguar E-type nadkomisarza Marsha. Podchodzi do niego i puka w szybę po stronie pasażera, a potem siada w fotelu, gdy jego szef odblokowuje zamek.

– Czy to posterunkowa Quinn? – pyta Marsh.

Adam przytakuje. Czuje suchość w ustach.

Nadkomisarz spogląda w stronę domu otoczonego biało-niebieską taśmą, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

– Szefie... – zaczyna Adam. – Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o ostatnią noc.

Rozdział 52

– Ja pierdolę, Bishop.

Marsh wydaje pełne frustracji westchnienie.

Adam opowiedział mu o wypadzie do baru. O tym, jak natknął się na Ellie. Jak pojechali do jej domu. Nie wdaje się w szczegóły, ale to wystarczy. Kontakty intymne z podwładną są surowo zakazane. Oznaczają jeszcze większe kłopoty, gdy padła ofiarą morderstwa.

– Ja pierdolę – powtarza Marsh. – Będziesz musiał złożyć oświadczenie, żebyśmy mogli cię wykluczyć z kręgu podejrzanych, ale wiesz, że zaangażuje się w to wydział wewnętrzny. Przeprowadzą dochodzenie i nie wiadomo, jakie syfy przy okazji wyjdą na jaw. Co jeszcze powinienem wiedzieć, nadinspektorze Bishop?

– Już nic. – Adam smętnie kręci głową. – Naprawdę nic, przysięgam.

Marsh wzdycha.

– Wracaj do domu. Ogarnę czynności na miejscu, a rano porozmawiamy.

– Jestem zawieszony?

– Nie, ale... rany boskie, nie wiem. Już samo to, że nie udało ci się uratować Pippy Hoxton, jest wystarczająco niekorzystne, a coś takiego... Posunąłeś się o krok za daleko. Nie ma mowy, żebyś dalej prowadził to śledztwo.

– Rozumiem, szefie.

Adam bez słowa otwiera drzwi samochodu i wysiada. Oddala się kilkanaście metrów od domu Ellie Quinn. Na tyle daleko, by zniknąć w mroku. A kiedy jest pewien, że nikt go nie widzi, wybucha płaczem.

Rozdział 53

Romilly nie spodziewała się wizyty Adama, zwłaszcza w takim nastroju. Kiedy na niego patrzy, nie ma wątpliwości, że wydarzyło się coś bardzo złego. Przypomina sobie dzień, w którym się poznali – dziś tak samo jak wtedy, gdy zobaczyła go na szpitalnym korytarzu, stoi przed nią zgarbiony, ze zwieszoną głową, a na jego twarzy maluje się wyraz przygnębienia.

– Zginęła kolejna ofiara – mówi cicho, gdy widzi jej pytające spojrzenie. – Ktoś z mojego zespołu. Odsunęli mnie od śledztwa.

– O Boże, tak mi przykro.

Romilly bez wahania obejmuje Adama i tuli go mocno. Czuje, jak z początku jego mięśnie się napinają, ale potem cały się rozluźnia, opiera głowę na jej ramieniu i zaczyna płakać. Stoją długo w otwartych drzwiach i Romilly nie ma odwagi się poruszyć. W końcu jego ciało przestaje dygotać i znowu staje się spięte. Powoli odsuwają się od siebie i wchodzą do salonu.

– Jak to się stało? – pyta Romilly, gdy siedzą obok siebie na sofie.

– Nie mam pojęcia, ale jakoś ją dopadł. – Adam ociera łzy z twarzy i chrząka głośno. – Byłem na miejscu zbrodni. Wszędzie pełno krwi.

– A dlaczego nie możesz dalej prowadzić śledztwa?

Adam wzrusza ramionami, ale jego gest wydaje się wymuszony. Widać, że coś ukrywa. Romilly nie naciska.

– Dobrze się czujesz? – pyta łagodnie.

Jej były mąż kręci głową.

– Wszystkie te ofiary... – Unosi wzrok i na ułamek sekundy napotyka jej spojrzenie. – Przepraszam cię. Za wszystko, co wydarzyło się między nami. Za to, że nie ma już ciebie w moim życiu.

– Ależ ciągle jestem.

– Nie. Ty i ja... Zniszczyłem to dawno temu. Wiem, że rozstaliśmy się przeze mnie.

– Nieprawda. To ja...

– Nie, Milly – protestuje Adam drżącym głosem. – Przespałaś się z tamtym facetem z mojej winy. Tak długo byłem dla ciebie okropny. Odpychałem cię. Nasze małżeństwo umarło na długo przed... przed tym. Miałem dogodną wymówkę, mogłem zwalić winę na ciebie. – Nagle podrywa się z sofy, energicznie kręcąc głową. – Nie powinienem był tu przychodzić. Przepraszam cię.

Rusza w stronę wyjścia, ale Romilly dogania go w sieni i chwyta za rękę.

– Nie, nie – mówi. – Dobrze, że przyszedłeś. Zawsze możesz na mnie liczyć. Zawsze. I nie przesłyszałeś się wcześniej. Mówiłam jak najbardziej poważnie.

Wciąż trzyma dłoń na jego przedramieniu, gdy ich spojrzenia się spotykają. Obydwoje zastygają w bezruchu, a potem Adam podchodzi do niej, ujmuje w dłonie jej twarz i całuje w usta.

Romilly dobrze pamięta jego zapach i smak. Nic się nie zmieniło. Nawet nie próbuje się opierać. Bycie z nim wydaje się tak naturalne, tak bardzo na miejscu, że poddaje mu się całkowicie. Wodzi dłońmi po jego plecach i karku, wplata mu palce we włosy. Nogi uginają się pod nią, a każde doznanie wydaje się spotęgowane. Czuje w ustach jego język, jego ostry zarost drapie jej wargi.

Prowadzi go z powrotem do salonu. Opadają na sofę. Kiedy się całują, Romilly od czasu do czasu unosi powieki. Zauważa, że Adam też otwiera oczy i patrzy na nią. Uśmiecha się do niej i na chwilę odrywa usta od jej ust.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – pyta chrapliwym głosem.

Romilly kiwa głową.

Tak, chce tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chce jego. Chce go rozebrać do naga. Chce poczuć go w sobie.

– Tak – odpowiada i zdecydowanym ruchem ściąga mu koszulę przez głowę.

Romilly dokładnie pamięta moment, w którym poznała Adama. Tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Miała wtedy na sobie znoszony jasnoniebieski strój chirurgiczny i szare trampki, które kiedyś były białe. Pracowała jako stażystka i zmęczona długim obchodem zatrzymała się przy automacie ze słodyczami. Trzymając garść monet, zastanawiała się, czy wybrać twirl, czy kitkat, gdy zauważyła mężczyznę siedzącego w korytarzu na plastikowym krześle. Jego pozycja nie różniła się od tej, którą przyjmuje większość ludzi w szpitalu – zgarbione plecy, łokcie na kolanach, twarz w dłoniach. Ale potem usiadł prosto, potarł powieki i spojrzał na nią.

Wystarczył ułamek sekundy, by Romilly poczuła się zaintrygowana. Jeszcze nie widziała tak intensywnie niebieskich oczu i tak idealnego kształtu nosa.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Nieznajomy pokiwał głową, a po jego twarzy przemknął słaby uśmiech.

– Tak... Nie. Nie wiem.

Romilly zrobiła krok w jego stronę.

– Która odpowiedź jest prawidłowa?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Właściwie to... – zaczął, ale głos mu się załamał, więc zacisnął szczęki, a jego spojrzenie uciekło w stronę sufitu.

– Mogę jakoś pomóc? Odbynam staż na tym oddziale. – Romilly zauważyła szpitalną opaskę na jego nadgarstku. – Jest pan pacjentem?

– Byłem. Właśnie dostałem wypis.

– To co pan tu jeszcze robi? Większość ludzi nie może się doczekać, żeby opuścić to miejsce.

Nie miała pojęcia, dlaczego usiadła obok niego i ciągnęła tę rozmowę. Powinna wrócić do domu i wyspać się przed kolejnym dwunastogodzinnym dyżurem, ale było w nim coś, co kazało jej się zatrzymać. Nieznajomy tak bardzo nie pasował do tego miejsca. Wydawał się silny i pełen życia, ale jego postawa i zachowanie mówiły coś innego. Bał się.

Widziała już takich ludzi jak on. Zagubionych i niezdolnych do rozmowy. Smutnych i zdesperowanych. Ludzi, którzy po powrocie do domu wypijają litr wódki i łykają całą fiolkę tabletek nasennych.

Mężczyzna spojrział na nią, a potem znowu szybko odwrócił wzrok.

– Proszę się nie krępować.

– Oni mówią, znaczy lekarze, że wszystko jest ze mną w porządku – odezwał się, nadal wbijając wzrok w podłogę i rozciągając rękaw swetra. Ten machinalny gest zdradzający dzieciinną bezradność wydawał się dziwny; nie pasował do mężczyzny takiego jak on. – A jednak nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak, tylko nikt tego nie zauważa.

– Rozumiem. Jakie ma pan objawy?

– Osłabienie. Ciągłe poczucie zmęczenia. Krwawienie z nosa. Takie same jak wcześniej.

– Wcześniej?

– W dzieciństwie. Kiedy miałem dziewięć lat, chorowałem na raka. Ostrą białaczkę limfoblastyczną.

– I obawia się pan, że choroba wróciła?

– Ja to wiem.

Romilly namyślała się przez chwilę.

– Mam pomysł – powiedziała. – A może wezmę pańską kartotekę, przejrzę wyniki badań i wszystko panu wyjaśnię? Robię specjalizację z onkologii. To moja działka.

– Mogłaby pani to zrobić?

– Oczywiście. – Wskazała drzwi szpitalnego bufetu w głębi korytarza. – Spotkajmy się tam za pół godziny. Wtedy porozmawiamy.

Mężczyzna uśmiechnął się, tym razem bardziej naturalnie.

– Byłoby wspaniale, dziękuję. – Wyciągnął do niej rękę. – Adam Bishop.

Podawała mu dłoń. Poczowała jego mocny uścisk i delikatną skórę.

– Romilly Cole.

Wróciła przez podwójne drzwi na oddział, podeszła do recepcji i poprosiła o jego kartotekę.

– Czy to nie jego właśnie wypisaliśmy? – spytał lekarz za kontuarem. – Na co ci on?

– Zawodowa ciekawość – skłamała. – Może pasować do jednego z badań, o których czytam.

– Wątpię. Nic mu nie jest poza lekką hipochondrią.

Romilly otworzyła skoroszyt i powiodła palcem po kolumnach liczb.

– Jaka jest historia choroby?

– Ostra białaczka limfoblastyczna w dzieciństwie. Pomogła mu chemia i przeszczep szpiku. Podawali mu wszystko, co się dało. Szczególnie ciężki przypadek, ale wyszedł z tego. Całkowita remisja. Dopóki nie pojawił się kilka dni temu. Gorączka, pocenie, mdłości. Typowe objawy, ale jak widzisz – lekarz wskazał na kartę informacyjną – wszystkie wyniki w normie.

Romilly pokiwała głową.

– Dzięki. Mogę to pożyczyć? – spytała, unosząc w dłoni kartotekę.

Kolega przytaknął.

– Hej, Rom – zawołał za nią, kiedy już szła w stronę wyjścia. – Tylko nie zbliżaj się do niego z igłą. Nawet nie wspominaj przy nim o zastrzykach. Głęboka trypanofobia.

Ten facet wydaje się coraz bardziej interesujący, pomyślała Romilly, marszcząc czoło. Oczywiście z zawodowego punktu widzenia.

Obawiała się, że w kafeterii nikogo nie zastanie, ale zobaczyła go w głębi sali.

– Czego się pani napije? – spytał, wstając od stolika, kiedy do niego podeszła. – Może zamówię kawę?

– Nie, nie trzeba...

– Nalegam. Przynajmniej w taki sposób mogę się odwdzińczyć. Na pewno jest pani bardzo zapracowana.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję. W takim razie americano z gorącym mlekiem.

Przyglądała mu się, kiedy składał zamówienie. Był ubrany w dżinsy, brązowe buty i granatowy sweter, a jego kurtka wisiała na oparciu krzesła. Miał szerokie ramiona i miły uśmiech. Przystojny, pomyślała. Nie uszło jej uwagi, że do podobnego wniosku musiała dojść dziewczyna za barem, która zachichotała zalotnie, wydając mu resztę.

Adam postawił na blacie dwa parujące kubki i usiadł naprzeciwko niej.

– No więc czy moje dni są policzone?

Zadał pytanie swobodnym tonem, ale jego uśmiech był wymuszony.

– Mówiąc krótko, nie, panie Bishop.

– Nie?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i sięgnął po kawę. Zauważyła, że trzęsą mu się ręce. Położyła skoroszyt na stoliku i wyjęła z niego kartkę z wynikami badań.

– Proszę spojrzeć. – Nachyliła się w jego stronę, pokazując palcem na wydruk. – To liczba białych krwinek. Mieści się pan w normie, która wynosi od czterech do dziesięciu tysięcy. A to wynik aspiracji szpiku kostnego. Też zupełnie normalna liczba i morfologia komórek.

– Więc nie ma nawrotu?

– Zdecydowanie nie. Przypuszczam, że źródłem pańskich objawów była zwykła grypa połączona z dosyć uciążliwym stanem lękowym.

Adam wyprostował się na krześle i potarł twarz dłońmi.

– Pewnie wyszedłem na durnia.

– Wcale tak nie uważam – zapewniła go. – To zrozumiałe, że pan się boi. Zwłaszcza po tak traumatycznych przeżyciach, jakie pan przeszedł w młodym wieku.

– Minęło pewnie ze dwadzieścia lat, ale wszystko pamiętam dokładnie, jakby to było wczoraj. Zwłaszcza kiedy znów tu trafiłem. Nie przypominam sobie, żebym od tamtego czasu był w szpitalu. Chyba że w związku z pracą.

– A czym się pan zajmuje?

– Jestem detektywem w wydziale zabójstw.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– To bardzo absorbująca praca. Dlaczego pan ją wybrał?

– Zabrzmi banalnie, ale chciałem pomagać ludziom – odpowiedział z uśmiechem. – Wspierać ich w najgorszych

chwilach życia i czynić je lepszym.

– Więc czemu nie został pan lekarzem?

Adam roześmiał się pogodnie.

– Nie byłem wystarczająco bystry. No i... – Zawiesił głos. – Również z innych powodów.

Ze strachu przed igłami, pomyślała, ale nic nie powiedziała.

– A pani dlaczego wybrała taki zawód?

– Wcale tego nie planowałam. W gruncie rzeczy chciałam zostać kimś innym, byle nie lekarką. Ale medycyna ma sens. Nauka o funkcjonowaniu ludzkiego ciała. Nic mnie tak bardzo nie fascynowało jak biologia człowieka. Nadal fascynuje. I podobnie jak pan chciałam robić coś dla ludzi. Sprawiać, żeby ich życie stawało się lepsze.

Adam wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, który całkowicie zmienił jego twarz.

– No cóż, dzisiaj właśnie pomogła pani mnie, doktor Cole – powiedział, po czym wskazał na puste kubki po kawie. – Jeszcze po jednej?

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Chętnie, ale teraz ja zapłacę.

Spędziła z nim kilka godzin. Wypiła tyle kawy, że drżały jej ręce, ale nie mogła się oderwać od tego człowieka. Nikt nie przykuwał jej uwagi tak jak on. Miała za sobą kilka związków i wzbudzała zainteresowanie wśród kolegów z pracy, jednak lekarze stanowili szczególną kastę. Byli inteligentni i zdawali sobie z tego sprawę. Ich wywyższanie się i pretensjonalne zachowanie były męczące. Natomiast ten mężczyzna dzielił się z nią swoimi najgłębszymi obawami, chociaż znali się tak

krótko. I nie chodziło tylko o kwestie medyczne. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie; o tym, jak wpłynęła na niego choroba w tak młodym wieku i jak zmieniły się od tego czasu jego relacje z rodzicami.

Dysfunkcyjne relacje rodzinne nie były jej obce, ale nie powiedziała mu o tym. Jeszcze nie podczas tej pierwszej rozmowy, dopiero później. Przyjął to ze spokojem. Znał sprawę, bo wszyscy ją znali, więc nie musiała mu wiele wyjaśniać.

Kiedy siedziała z nim w tej szpitalnej kafeterii, nareszcie mogła się oderwać od przeszłości.

– Już nie dam rady wypić kolejnej kawy – powiedziała ze śmiechem.

– Możemy się jeszcze zobaczyć? – spytał i jego twarz przybrała zatroskany wyraz. – To nie jest wbrew zasadom, prawda? Znaczący nie jesteś moim lekarzem czy coś?

Pokręciła głową.

– Nie, nie jestem twoim lekarzem. Chociaż bardzo bym chciała.

I tak się zaczęło. Umówili się i znowu ją zauroczył. Rozmawiali, żartowali i dzielili się spostrzeżeniami, które wydawały się nie do pomyślenia na pierwszej randce. Całowali się. Uwielbiała go całować – i robić z nim wszystko inne.

Oczywiście zauważała niepokojące sygnały. Gdy po raz pierwszy zaprosił ją na spotkanie z kolegami z pracy, przez chwilę obserwowała go, stojąc z boku. W ich towarzystwie był bardziej pewny siebie – częściej przeklinał i głośniejsze się śmiał.

– Kim był tamten facet? – spytała go później, kiedy jechali samochodem. – Gdzie się podział mój Adam?

– To wciąż byłem ja. Ale jak miałbym się przy nich zachowywać? To nie są ludzie, przed którymi otwiera się serce co kilka sekund – odparł i chwycił ją za rękę. – Przy tobie mogę być sobą. Tylko przy tobie.

Jednak powoli tamten obcy Adam zaczął dominować. Coraz mniej z nią rozmawiał i miała wrażenie, jakby rósł między nimi mur. Wznosił się powoli, cegła za cegłą, aż w końcu przestała poznawać mężczyznę, z którym dzieliła życie. Czuła, jak się od niej oddala, i wreszcie... Cóż, wystarczyła chwila słabości i było po wszystkim.

Teraz wszystko to wydaje się jej śmieszne. Adam jest takim samym mężczyzną jak wtedy, tylko boryka się z problemami, a ona nie zadała sobie trudu, żeby mu pomóc. Kładzie mu głowę na piersi i wsłuchana w rytm jego serca postanawia, że już nie pozwoli, aby to się powtórzyło. Czuje na skórze jego dłoń, która ześlizguje się z biodra i wędruje po krzywiźnie brzucha. Przez chwilę wyobraża sobie, że Adam gładzi ją po ciężarnym brzuchu, a w jej ciele rozwija się nowe życie. W normalnym świecie.

Teraz leży na wznak obok niej i w błogim roztargnieniu nawija na palec kosmyk jej włosów.

– Nie powinienem był cię opuszczać – szepcze.

– Hm? – Romilly unosi głowę i spogląda na niego.

– Zamiast odchodzić, powinienem był bardziej o nas zawalczyć.

– Ale nie wiadomo, co by z tego wyszło. Może potrzebowaliśmy trochę swobody, a ty i tak miałaś do mnie wrócić.

– Może... To co teraz będzie?

– Chcę być z tobą.

– A twój chłopak?

Romilly wzdycha ciężko, jednak wie, że odpowiedź jest prosta.

– Z nim już koniec i on to rozumie, w przeciwnym razie by tu został – mówi. – Będę musiała z nim porozmawiać. Nie wiem... To trochę potrwa. Ale wszystko będzie dobrze. A co z tobą?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, opiera się na łokciu i patrzy na niego. Adam się uśmiecha.

– A co ma być? – pyta.

Romilly uderza go lekko w pierś.

– Nie pogrywaj ze mą, Bishop. Zostajesz?

Tym razem Adam odpowiada bez wahania:

– Tak, na zawsze. Już nigdy cię nie opuszczę.

– Ale co będzie z twoją pracą?

– Jutro porozmawiam z Marshem. Przypuszczam, że mnie zawieszą.

– Przecież to bez sensu.

– Niezupełnie – wzdycha Adam i opowiada jej o wszystkim, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Romilly słucha, wciąż leżąc w jego objęciach. Nie wie, co powiedzieć, jednak nie wstaje z sofy. Jeśli sobie z tym

poradzą, już nic ich nie rozdzieli.

– Nie jesteś na mnie zła? Nie uważasz mnie za... skończonego gnojka?

Romilly przytula go mocniej.

– Posłuchaj, nieważne, co było. Cokolwiek teraz postanowisz, będę przy tobie. Już zawsze – mówi, po czym dodaje, powtarzając jego słowa: – Nigdy cię nie opuszczę.

Adam pochyla się i całuje ją w czoło, długo przyciskając usta do jej skóry.

– Nigdy? – pyta z szerokim uśmiechem. – A twoja praca? Twoi pacjenci?

– Mogę kierować ich leczeniem z domu. W samych majtkach.

– A zakupy? Musimy coś jeść.

– Zamówimy dostawę z Tesco – odpowiada Romilly. – Damy sobie radę. W lodówce mam piwo. Czego chcesz więcej?

Podnosi się i go całuje. Nie tak jak wcześniej, ale niespiesznie i zwyczajnie. Wie, że wszystko będzie dobrze. Niczego więcej nie pragnie.

Rozdział 54

Adam budzi się w środku nocy. Obraca się na plecy i patrzy na sufit skąpany w niebieskiej poświacie. Uświadamia sobie, że tęsknił za tymi gwiazdami z dziecięcej lampki nocnej. Dawniej, kiedy nie mógł spać, bo śledztwo grzęzło w martwym punkcie albo morderca okazywał się zbyt przebiegły, leżał wpatrzony w obracający się wolno Układ Słoneczny i słuchał spokojnego oddechu Romilly.

Bez niej wszystko straciło sens. Po rozwodzie nic w jego życiu nie zmieniło się na lepsze. Przestał o siebie dbać, nie przejmował się własnym zdrowiem. Bo i po co? Strach przed nawrotem choroby był niczym w porównaniu z bardziej nieuchwytnymi i okrutnymi wrogami – wstrętem do siebie i samotnością.

A teraz mimo wszystko zdaje sobie sprawę, że leży w łóżku, w którym zeszłej nocy spał inny mężczyzna. Patrzy na Romilly, która śpi na boku, odwrócona plecami do niego. Wodząc delikatnie palcem po jej ramieniu, zastanawia się, czy mówiła prawdę, czy zostawi Phila i wróci do niego. Czy zaryzykuje i znowu mu zaufa?

A czy on potrafi jej zaufać? Jej zdrada w gruncie rzeczy nie miała większego znaczenia. Była pretekstem, obłudną wymówką, żeby mógł odejść. Ponieważ od wielu miesięcy oddalał się od niej coraz bardziej.

Miał takie same obawy jak Shepherd. Nie opuszczało go niepokojące przeczucie, że Romilly nie mówi mu prawdy. A jeżeli okłamywała go w tej sprawie, to co jeszcze mogła ukrywać? Nie robił tego świadomie, ale czuł, że stopniowo się wycofuje, wznosząc wokół siebie mur, który miał go ochronić przed zranieniem. Reagował w taki sam sposób, jak na rodziców przed laty.

Gazety rozpisywały się o genetyce; o tym, czy zło może być wrodzone i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Adam nigdy nie wierzył w takie bajdy – stawiał na twarde dowody, działania i ich konsekwencje. Ale fakt pozostawał faktem. Jej ojciec był seryjnym mordercą.

Romilly zawsze mówiła, że nie chce mieć dzieci. Że jej kariera zawodowa jest zbyt ważna, że nie odzywa się w niej instynkt macierzyński, a nawet nie czuje się zdolna do bycia matką. Adamowi to odpowiadało. Nigdy nie marzył o założeniu rodziny. Nawet nie wyobrażał sobie siebie w roli męża, dopóki nie poznał Romilly.

Ale teraz, gdy leży obok niej, rozkoszując się ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, zaczyna się zastanawiać, czy była wobec niego całkiem szczerą. Czy po prostu nie chce mieć potomstwa, czy wie, że coś się w niej kryje, w jej krwi, w jej genach? Jakieś zło, którego nie powinna przekazywać dalej?

Wieczorem powiedział, że nigdy jej nie opuści, że zostanie z nią na zawsze. Pod wpływem nastroju chwili, gdy ich nagie ciała leżały tak blisko siebie, mówił jak najbardziej poważnie. Ale teraz w ciemności poziom endorfin spada. Wracają wątpliwości.

Dociera do niego, że nic się nie zmieniło. Nadal jej nie wierzy. Nadal nurtuje go, co się wydarzyło wtedy przed laty. I jak dużo wiedziała Romilly.

Rozdział 55

Elijah Cole leży w swojej celi z rękami pod głową i wpatruje się w ciemność. Słyszy dobiegające zza ścian pomruki i chrapanie współwięźniów, ciężkie kroki i metaliczne podzwanie kluczy – odgłosy, które w ciągu ostatnich dwudziestu lat stały się dla niego codziennością tak jak kiedyś śpiew ptaków i śmiech.

Jego łóżko jest wygodne, a poduszka miękka. Sam zajmuje celę przeznaczoną dla dwóch osób, ale zasłużył sobie na te luksusy. Dzisiaj zrobili mu rewizję. Przetrzęsnęli wszystkie jego rzeczy, zajrzeli pod materac i do książek. Jednak naczelnik odszedł zniesmaczony, mamrocząc coś pod nosem. Elijah uśmiecha się na to wspomnienie. Wiedział zawczasu, że przyjdą, więc oczywiście nie mogli znaleźć niczego. Za kogo oni go uważają?

Jest człowiekiem zahartowanym w ogniu piekielnym. Doskonale pamięta, jak matka pokazała mu, że w każdej chwili można odzyskać władzę nad swoim życiem. Wystarczy ostry nóż i okrzyk wściekłości.

Tego dnia, tego ostatniego dnia czuł się dumny z siebie. Dwa. Doszedł do dwójki. Zmieniał kryjówki i użył podstępu, żeby zmylić ojca, który chodził po domu, stąpając ciężko i odliczając. Ostatecznie i tak na nic się to nie zdało – ojciec go znalazł, złapał za włosy i zawlókł do kuchni.

Ale tylko dwa. Dwa mógł wytrzymać, cokolwiek by to było. Dwa uderzenia pasem. Dwa papierosy zgaszone na skórze. Nawet dwa ciosy pięścią w brzuch, skoro wcześniej dostał pięć. Ale nie docenił swojego ojca. Psychopatycznego okrucieństwa, które teraz płynie w jego żyłach.

Ojciec powolnym ruchem wyjął nóż z drewnianego bloku, po czym podszedł do matki, która leżała skatowana na podłodze i ze świstem wciągała powietrze.

– Wybieraj – rozkazał.

Matka spojrzała na niego. Oczy miała wielkie z przerażenia.

– Co mam wybrać? – wybełkotała zakrwawionymi ustami, w których brakowało wybitego zęba.

– Cokolwiek. Dwie rzeczy. Ucho i palec. Oko i kciuk. Co mam usunąć?

Chłopcu zaparło dech. Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

– Wybieraj – powtórzył ojciec. – Albo obetnę mu wszystko.

Podszedł z powrotem do swojego jedenastoletniego syna i pchnął go brutalnie na kuchenny stół. Jedną ręką przycisnął mu głowę do blatu, a drugą chwycił jego dłoń i szarpnął mocno. Elijah wrzasnął przeraźliwie, gdy ostry ból przeszył wyrwane ze stawów palce.

A potem nóż uderzył z impetem.

Elijah słyszy odgłos zbliżających się kroków. Siada na łóżku i dotyka bosymi stopami podłogi. Czeka. Kroki zatrzymują się przed jego drzwiami. Powoli odsuwa się rygiel i otwiera się klapa.

– Doktorze – rozlega się szept.

Elijah rozpoznaje twardy dialekt z Glasgow. Uśmiecha się i wstaje. Wiedział, że się doczeka. Przysługa za przysługę. Pewnej nocy strażnik podzielił się z nim obawami o zdrowie córki. Objawy były typowe. Po wizycie u lekarza – prawdziwego – udało się szybko zdiagnozować nowotwór i uratować dziewczynkę. Teraz strażnik z chęcią spłaca dług wdzięczności, spełniając jego życzenia. Wsuwa coś przez szczelinę. Doktor czuje pod palcami miękki stary papier.

– To jest ta książka, którą chciałeś – odzywa się strażnik.

Potem kłapa w drzwiach się zamyka, a odgłos kroków stopniowo cichnie w głębi korytarza. Elijah siada z powrotem na łóżku, trzymając książkę w dłoniach. Jest gruba i ciężka. *Wojna i pokój* Tołstoja. Otwiera ją w połowie i w ciemności dostrzega podłużny kształt skrytki wyciętej w bloku kartek. W środku coś leży. Doktor wsuwa palce w zagłębienie i wyjmuje telefon komórkowy. Spodziewał się nowszego modelu. Otwiera kłapkę i naciska guzik z boku obudowy. Ekran ożywa, napełniając wnętrze celi błękitną poświatą.

Przedpotopowy, ale może być.

Gdy komórka łapie zasięg, doktor wpisuje numer, który zna na pamięć. Wysyła krótką wiadomość. Polecenia, które zostaną wypełnione co do joty. Wciela w życie kolejny element planu i ponieważ zna mechanizmy ludzkich zachowań, przynajmniej we własnym mniemaniu, potrafi przewidzieć, co się teraz wydarzy.

Wkłada telefon z powrotem do skrytki i kładzie się na łóżku. Czas na sen, na rozmyślania i fantazje. We wspomnieniach wraca do dziewcząt. Do swojej ulubionej

Grace Summers. Najczęściej właśnie do niej ma teraz słabość, gdy leży w ciemności. Jest stary, ale wciąż odczuwa popęd.

Inne dziewczyny szybko się poddały. Widział, jak gaśnie światło w ich oczach, kiedy pozwalały mu na wszystko, czego chciał. Gdy leżały pod nim bezwładnie i gdy płakały zwinięte w kłębek na brudnym materacu. Przestały jeść i pić. Nie musiał ich zabijać. Same chciały umrzeć i dążyły do tego w jedyny sposób, jaki znały. A Grace? Och, jak ona walczyła, jak krzyczała. Wiązał ją, wieszał pod sufitem na całe dni, a ona po tym wszystkim potrafiła jeszcze splunąć mu w twarz. Ale nawet kiedy miała pokancerowane ciało, wolał ją od innych. Czuł, jak jej krew miesza się z jego spermą, kiedy ją pieprzył. Patrzył, jak łyzy żłobią ślady na jej pokrytej brudem twarzy, a potem bił ją do nieprzytomności.

Najdłużej utrzymywał ją przy życiu. Grace umarła ostatnia. Wziął winę na siebie, ale to nie była jego sprawka. Zabił ją ktoś inny.

Utrzymywał to w tajemnicy. Przez dwadzieścia sześć lat.

Dzień 8
Sobota

Rozdział 56

Po przebudzeniu Adam czuje aromat kawy. Otwiera oczy, gdy Romilly wraca do łóżka. Przygląda włosy, pociera szczecinę na podbródku i podnosi się do pozycji półleżącej. Romilly przygląda mu się, trzymając w dłoniach parujący kubek. Rozczochrana, w podkoszulku i figach, już dawno tak bardzo mu się nie podobała.

– Jakie plany na dziś?

Adam sięga po stojący na szafce nocnej kubek i wypija łyk. Kawa jest taka, jak lubi.

– Muszę porozmawiać z Marshem. – Wzdycha ciężko. – Dowiedzieć się, jak duże mam kłopoty.

Romilly pochmurnieje.

– Z iloma kobietami spałeś? – pyta, po czym od razu kręci głową. – Wiem, nie powinno mnie to interesować, ale chciałabym wiedzieć. Jak sobie radziłeś, odkąd się rozstaliśmy?

– Z kilkoma.

– Z kilkoma?

– No... było ich trochę. – Adam marszczy czoło. – Widzisz, nie do końca pamiętam. Ostatnich kilka lat trochę mi się rozmyło. – Zerka na nią, żeby zobaczyć, jak reaguje na te

zwierzenia, ale jej twarz ma beznamiętny wyraz. – Nie ma czym się chwalić, ale byłem samotnym mężczyzną, który próbował sobie poukładać w głowie pewne sprawy.

– I udało ci się?

– Raczej nie, nie sędzę.

Adam czuje, że czar miłosnych uniesień przysł. W milczeniu popijając kawę, zastanawia się, czy Romilly nie żałuje tego, co zrobili ostatniej nocy. Czy nie zmieniła zdania na temat ich wspólnej przyszłości.

– Nie byliśmy wtedy razem – odzywa się w końcu Romilly.

– To nie ma znaczenia. Liczy się to, że teraz jesteś ze mną. I zostaniesz, mam nadzieję.

Wyciąga do niego rękę. Adam uśmiecha się i ujmuje jej dłoń. Ich palce się splatają. W świetle dnia wszystkie obawy, które prześladowały go w nocy, wydają się nieistotne. Nie ma znaczenia, co było przed laty. Liczy się ona. Tu i teraz. Ścisła mocno jej dłoń, a potem odstawia kubek i przyciąga ją do siebie.

– Zostanę – mówi. – Tak długo, jak będziesz mnie chciała.

Romilly unosi głowę i całuje go.

– Tak, ale...

– Kiedy wraca Phil?

– Jutro. Wtedy mu powiem.

Adam kiwa głową.

– Przepraszam cię.

– Za co?

– Za to, że będziesz musiała to zrobić. Za to, że się rozstaliśmy. Za... w ogóle za wszystko.

– Ja też cię przepraszam.

Adam nie jest pewien, co jego była żona miała na myśli. Czy zdradę, czy to, że ułożyła sobie życie. Ale nie zamierza drażnić tematu. Wstaje z łóżka i nagi idzie do łazienki. Przy drzwiach ogląda się przez ramię na Romilly, która odprowadza go wzrokiem.

– Przyłączysz się? – pyta.

Biorą razem prysznic. Adam klęczy przed nią i strumienie gorącej wody spływają mu po plecach, podczas gdy ona dochodzi, oparta dłońmi o kafelki. Potem wstaje, obraca ją i szybko wchodzi w nią od tyłu, trzymając ją mocno za biodra i całując rozgrzaną mokłą skórę jej karku.

Gdy później jedzą śniadanie, Adam stara się nie zwracać uwagi na płatki owsiane, składnik porannej diety innego mężczyzny. Szoruje zęby jej szczoteczką i zbiera się do wyjścia.

Poranek jest zimny. Lodowaty wiatr smaga ich wściekle, gdy stoją razem w otwartych drzwiach frontowych i Romilly obejmuje się skrzyżowanymi rękami. Adam przypomina sobie noc na dzikim wysypisku i porzucone ciała, od których wszystko się zaczęło.

– Milly... – zaczyna niepewnie. Chce ją zapytać, czy jako dziewczynka na pewno nie zauważyła niczego podejrzanego; czy miała pojęcie, co dzieje się w jej ogrodzie. Ale zamiast domagać się od niej prawdy i szczerości, pyta: – Gdzie mogą być kartoteki pacjentów twojego ojca?

Wciąż ma w pamięci wzmiankę doktora Cole'a o trzech innych ofiarach. Jeżeli kobiety uwięzione w szopie nie były pierwsze, to kogo zabił przed nimi?

Romilly marszczy czoło.

– To policja ich nie zabezpieczyła? A w ogóle dlaczego pytasz?

– Nie, nie mamy ich. Ale mogłyby się przydać w śledztwie.

– W takim razie muszą być w jego starym gabinecie. Wiem, że były spakowane, ale chyba nikt ich stamtąd nie zabrał. Wciąż mam klucz.

Romilly wchodzi do domu i po chwili wraca, trzymając w dłoni niewinny kawałek metalu. Wręcza go Adamowi, który pochyła się i całuje ją na pożegnanie.

– Zadzwoń do ciebie – mówi i rusza do samochodu.

Adam wie, gdzie jest gabinet doktora Cole'a. Wszyscy to wiedzą. Stanowi element lokalnego folkloru. Jest to miejsce, które ludzie pokazują sobie palcami, gdy przejeżdżają obok. Z zewnątrz wygląda całkiem normalnie. Zabita deskami niepozorna witryna między salonem pielęgnacji paznokci a sklepem charytatywnym. Przed budynkiem ciągnie się rząd miejsc parkingowych. Adam wjeżdża na jedno z nich.

Formalnie już nie zajmuje się tym śledztwem i nie powinien się tu kręcić. Jednak ma nikłą nadzieję, że jeśli uda mu się znaleźć coś przydatnego, nieco zrehabilituje się w oczach Marsha.

Wysiada z samochodu, rozgląda się i wkłada klucz do zamka. Początkowo natrafia na opór, ale potem stary mechanizm zaczyna się obracać. Gdy naciska kłamek, wita go

powiew zimnego powietrza. Podmuch wiatru podnosi kurz z podłogi. Adam wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Wnętrze tonie w mroku i jedynie przez szczeliny między deskami w oknach sączy się trochę światła. W kącie stoi kilka metalowych krzeseł, a naprzeciwko wznosi się wysoki drewniany kontuar, przy którym recepcjonistki rejestrowały pacjentów. Na ścianie wisi kilka starych plakatów. Wystrój jak w każdej innej poczekalni lekarza rodzinnego w Anglii.

Po obu stronach korytarza za recepcją ciągną się rzędy drzwi. Adam otwiera pierwsze z brzegu. Mieści się za nimi pokój badań, pusty, jeśli nie liczyć zardzewiałej leżanki. Sąsiednie pomieszczenie wygląda tak samo. W końcu otwiera drzwi, na których wisi tabliczka z napisem *Tylko dla personelu*. Na środku pomieszczenia piętrzą się kartonowe pudła z dokumentami. Zapewne kartoteki wszystkich pacjentów doktora Cole'a, myśli. Tyle na temat ochrony danych osobowych. Podnosi wieczko stojącego najbliżej pudła i wyjmuje ze środka brązową kopertę. W niej mieszczą się formularze pokryte ręcznym pismem. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, czy Cole rywalizował z doktorem Shipmanem, tutaj znalazłby odpowiedź.

Adam wyjmuje komórkę, żeby zorganizować transport dokumentów w bezpieczne miejsce, lecz nagle jego uwagę przyciągają dziwne odgłosy. Głuche uderzenia, które powtarzają się raz za razem. Zaintrygowany marszczy czoło i idzie tam, skąd dochodzi hałas. W długim korytarzu świszcze wiatr, chociaż wcześniej powietrze było nieruchome. Przecież nikogo nie powinno tu być. Może jakiś bezdomny schronił się przed zimnem?

– Halo! Jest tu kto? – woła.

Robi jeszcze kilka kroków i widzi tylne drzwi kołyszące się na zawiasach. Zatrząskują je podmuchy wiatru, a przeciąg otwiera ponownie i uderzają z impetem o zewnętrzną ścianę budynku. Adam przyciąga je. Zapadka zamka jest zepsuta, więc niedługo pozostaną na swoim miejscu.

Stoi nieruchomo i znów nasłuchuje. Wszędzie jest cicho. Czy drzwi były otwarte cały czas, czy jednak ktoś zakradł się do środka?

I wtedy to słyszy. Szuranie butów i pociąganie nosem. Teraz już wie, że nie jest sam. Dotyka komórki spoczywającej w kieszeni. Powinien to zgłosić. Wezwać wsparcie. Ale przecież nie będzie się wygłupiał. Nic strasznego się nie dzieje. Jest dorosłym mężczyzną, detektywem wydziału zabójstw. Mundurowi z prewencji mieliby ubaw i opowiadali, że był zbyt wystraszony, żeby samodzielnie przeprowadzić rozpoznanie.

Znowu słyszy te dziwne odgłosy. Zbiera się w sobie i zdecydowanym krokiem rusza na spotkanie intruza.

Rozdział 57

Romilly czuje, że jednak dawny Adam znowu zaczął dochodzić do głosu. Już nie uśmiechał się tak ochoczo i zawahał się, zanim pocałował ją na pożegnanie. Dzielący ich mur jeszcze nie całkiem runął.

Stara się odpędzić ponure myśli i jedzie do szpitala, gdzie rzuca się w wir pracy. Jej uwagę pochłaniają wyniki testów laboratoryjnych, zabiegi i raporty stażystów. Ale nawet kiedy bada pacjentów, nie może przestać o nim myśleć. Wciąż słyszy jego śmiech, wciąż ma przed oczami jego uśmiechniętą twarz. Gdy wspomina, co robili w nocy i rano, rumieni się zawstydzona i na nowo ogarnia ją pożądanie. Kochała Phila, ale nigdy tak na nią nie działał. Za to Adam sprawia, że jej ciało i mózg reagują błyskawicznie, zanim pojawi się myśl.

Powinna uporządkować sprawy z Philem i nie chodzi wyłącznie o Adama. Wysyła mu krótką wiadomość. *Musimy porozmawiać.* Jeszcze trzyma komórkę w dłoni, gdy rozlega się dzwonek. Bierze głęboki wdech i odbiera.

– No to porozmawiajmy.

Ton jego głosu jest cierpki i obcy.

– Phil, ja...

– Rozumiem, że wróciłaś do Adama.

– Tu nie chodzi o niego. – Romilly puszcza nerwy i próbuje zapanować nad emocjami. – Ale ty i ja... Bardzo mi przykro.

Na linii zapada cisza.

– No tak, mnie również – odzywa się w końcu Phil. – Wpadnę po swoje rzeczy, kiedy znajdę chwilę. – Znowu milknie i oddycha ciężko, by na koniec dodać ze złością: – Pewnie nie mogłaś się go doczekać. Pieprzona wariatka.

Rozłącza się, a Romilly oszołomiona wlepia wzrok w gasnący ekran telefonu. Może i jestem wariatką, myśli, ale przynajmniej mogę sobie spojrzeć w oczy.

W porze lunchu idzie do szpitalnej stołówki. Stojąc w kolejce, otwiera wiadomość, którą wcześniej wysłała do Adama. Prostą i banalną: *Myślę o Tobie x*. Jednak nie dostała odpowiedzi. Uświadamia sobie, że Adam nawet jej nie odczytał – obok tekstu nie pojawiły się dwa małe niebieskie znaczki.

Marszczy czoło i dzwoni do niego. Czeka z komórką przyciśniętą do ucha, ale po piątym sygnale rozlega się komunikat poczty głosowej.

– Chcesz za to zapłacić, moja droga?

Starsza kobieta przy kasie wskazuje na kanapkę i paczkę czipsów.

– Tak, tak, przepraszam. – Romilly szybko przykłada kartę do czytnika.

– Problem z facetem?

– Coś w tym rodzaju.

Po wyjściu ze stołówki przystaje w korytarzu i wybiera inny numer. Jamie Hoxton odbiera natychmiast.

– Wszystko w porządku, Rom? Słyszałem o Ellie.

– Tak, ale... widziałeś się dzisiaj z Adamem?

- Dzisiaj? Nie. Nie wrócił na noc do domu.
 - Był u mnie.
 - Rozumiem – odzywa się Jamie po dłuższej chwili. – Czy to znaczy...?
 - Tak... chyba tak. Nie wiem. Ale posłuchaj, martwię się o Adama. Nie odbiera telefonu.
 - Pewnie jest w komendzie. Coś go zaabsorbowało.
 - To niemożliwe. Jest zawieszony.
 - Co? Dlaczego?
 - Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia – mówi Romilly. Z początku myślała, że przedłużyło się spotkanie z Marshem, ale potem przypomniała sobie rozmowę na progu. – Kiedy Adam wychodził dziś rano, spytał mnie, gdzie są kartoteki pacjentów mojego ojca. Powiedziałam mu, że w gabinecie.
 - Myślisz, że tam pojechał?
 - Całkiem możliwe. Ale może też być u Marsha. Mógłbyś to sprawdzić? Proszę...
 - Oczywiście. Nie martw się, Rom. Wszystko będzie dobrze.
- Jamie rozłącza się, a Romilly ściska komórkę w dłoni i czeka. Jest na siebie zła o swoje obawy. Na pewno Jamie ma rację, myśli. Spotkanie z nadkomisarzem się przedłużyło, a Adam ma wyciszony sygnał.
- Jest w drodze do swojego gabinetu, gdy dzwoni jej telefon.
- Nie ma go w komendzie – mówi Jamie.
 - Nie siedzi u Marsha?
 - Nie. Kiedy rozmawiałem z Timem, szef był ze wszystkimi w sali. – Jamie zawiesza głos. – Zaraz u ciebie będę.

– Musimy jechać do gabinetu.

– Nigdzie nie ruszaj się beze mnie, proszę – mówi Jamie błagalnym tonem, a w jego głosie słychać przerażenie. – Obiecuj mi to.

– Dobrze. Tylko się pośpiesz. Jestem w szpitalu.

Rozłącza się i rusza biegiem do gabinetu, żeby zabrać torebkę.

Proszę, żeby tylko nic ci się nie stało, myśli z każdym krokiem. Nie mogę cię stracić, Adamie. Nie teraz.

Rozdział 58

Jamie przeklina swojego powolnego vauxhalla corsę. Teraz przydałby się radiowóz, myśli, jadąc przez miasto w kierunku szpitala. Na szczęście Romilly już czeka na niego przed głównym wejściem i siada w fotelu pasażera, ledwie tylko samochód się zatrzymuje.

– A jeśli coś mu się stało? – pyta zatrwożona.

– Nic mu nie jest, możesz być spokojna – zapewnia ją Jamie, ale jego słowa nie brzmią przekonująco nawet dla niego.

Jadą w milczeniu. Romilly siedzi pochylona do przodu i klnie, ilekroć trafiają na czerwone światło albo muszą się wlec za powolnym kierowcą.

– Patrz – woła, pokazując palcem, gdy wjeżdżają na parking przed przychodnią. – To jego samochód.

Jamie parkuje obok bmw Adama. Wysiada, próbuje otworzyć drzwi, ale są zamknięte.

– Myślisz, że Adam tam jest? – Spogląda na zabite deskami okno.

Romilly bez słowa rusza w stronę budynku. Naciska klamkę. Drzwi ustępują. Przystaje na progu i ogląda się przez ramię, a potem wchodzi do środka.

Jamie idzie za nią. Od razu zauważa, że niedawno ktoś był w tym pomieszczeniu. Na pokrytej grubą warstwą kurzu

podłodze widać ślady butów, a w powietrzu unosi się ledwie wyczuwalny zapach. Jakby ktoś swoją obecnością poruszył zastałe od dawna, zatęchłe powietrze. Zdaje sobie sprawę, że powinni zachować większą ostrożność i przynajmniej założyć ochraniacze na buty, ale w tej chwili priorytetem jest odnalezienie Adama.

Romilly otwiera drzwi z napisem *Tylko dla personelu*. Porusza się pewnie, jakby była u siebie. Idąc za nią, Jamie zastanawia się, jakim przeżyciem jest dla niej wizyta w tym miejscu. Miejscu, w którym pracował jej ojciec, a ona bawiła się jako mała dziewczynka.

Na środku pomieszczenia piętrzy się sterta kartonowych pudeł. Jedno z nich jest otwarte, a z leżącego obok wieczka znikła warstwa kurzu. Jest to jak dotąd jedyny ślad Adama.

Romilly spogląda wymownie na Jamiego, po czym bez słowa wychodzi, by kontynuować poszukiwania. Nawołuje Adama po imieniu, a Jamie modli się w duchu, by przyjaciel odpowiedział, ale w przychodni panuje cisza. Rusza w ślad za Rom, zagląda do kolejnych pomieszczeń. Wszystkie są puste. Dochodzi do końca korytarza. Wiatr szarpie drzwiami pożarowymi, uderzając nimi o ścianę. Na progu stoi Romilly i czemuś uważnie się przygląda.

– Patrz. – Pokazuje mu jakiś ciemny kształt na podłodze.

Jamie pochyla się i sięga niepewnie. Dotyka czegoś wilgotnego, po czym unosi rękę i przygląda się czerwonej plamie na czubku palca.

– Ale jak to możliwe? – mówi niemal do siebie. – Jak mu się udało dopaść Adama?

Romilly jest blada jak ściana.

– Adam panicznie boi się igieł – wyjaśnia. – To jest chorobliwy lęk.

Jamie robi szybki wdech, a jego ręka sama wędruje do kieszeni.

– O kurwa – mamrocze, wyciągając komórkę.

Rozdział 59

Pierwsza rzecz, na którą zwraca uwagę, to zimny beton pod jego bosymi stopami. Między palcami czuje ostre ziarenka piasku. Jest ciemno. Tak ciemno, że nic nie widzi.

Jest mu zimno, a kiedy porusza głową, wszystko zdaje się wirować. Zawroty głowy są tak silne, że nieruchomieje i zaciska powieki. Po chwili znów otwiera oczy, a jego wzrok przyzwyczajają się do ciemności. Widzi kontury mebli, stół i drewniane krzesło.

W powietrzu unosi się dziwna woń, wilgotna i słona, jak zapach wodorostów.

Usiłuje sobie przypomnieć, gdzie był i co robił. Mgliście pamięta opuszczony gabinet doktora Cole'a, ale instynkt mu podpowiada, że teraz znajduje się w zupełnie innym miejscu. Zastanawia się, gdzie jest. I jak się tu znalazł. Jest oszołomiony. Kompletnie skołowany.

Próbuje nabrać głęboki haust powietrza, ale nie może otworzyć ust. Jakby były czymś zaklejone. Chce to zerwać, ale nie może unieść ręki. Czuje, jak ogarnia go pierwsza fala paniki.

Próbuje poruszyć nogami, też na próżno. Są do czegoś mocno przywiązane. Ale do czego? Do krzesła? Pochyla głowę i mruży oczy, starając się dojrzeć coś w ciemności. Ma na sobie koszulę i spodnie, które włożył tego ranka u Romilly, ale jest mu zimno w stopy. Nie ma butów ani skarpet.

Ile upłynęło czasu? Czy wciąż jest ten sam dzień? Nie ma pojęcia. Ból w głowie pulsuje w rytmie rozszalałych uderzeń serca. Ktoś musiał go ogłuszyć. Ale kto? Chyba nie...

O Boże.

I wtedy to czuje. Twardy metal pod skórą, który wdziera się w jego ciało niczym pasożyt gotów wyssać z niego krew. Zaczyna mu się kręcić w głowie. Ogarnia go dobrze znane uczucie paniki. Poci się, dygocze i jest bliski omdlenia.

Szarpie mocno więzy. Na próżno. Napina mięśnie, żeby zachować przytomność, jednak panika go nie opuszcza. Nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o igłach, które tkwią w jego stopach i przedramionach. Robi mu się niedobrze. Musi się uwolnić, musi uciekać, zanim... zanim... Krew odpływa w dół, wszystko się rozmywa. Głowa opada mu na klatkę piersiową.

Powoli odzyskuje przytomność. Czyjaś dłoń lekko klepie go po policzku. Jakiś głos raz za razem powtarza jego imię.

– Obudź się, Adamie – mówi. – Już czas.

Adam otwiera oczy i mruga kilka razy. Teraz znajduje się w jasno oświetlonym pomieszczeniu – pod sufitem wisi lampa naftowa z zamontowaną w środku żarówką, podobna do tej w szopie przy Gloucester Road. Tam, gdzie umarła Pippa.

Gwałtownie unosi głowę i rozgląda się spanikowany dookoła. Widzi wszystko jak przez mgłę. Próbuje się poruszyć, ale nadal jest mocno skrepowany. Za to może otworzyć usta, więc wciąga łapczywie głębokie hausty powietrza.

Nagle zamiera.

Powoli odzyskuje ostrość widzenia i dostrzega znajomą postać. Ktoś stoi przed nim ze strzykawką w jednej ręce i plastikowym workiem na krew w drugiej.

– Jakże miło znów cię widzieć.

Adam usiłuje coś powiedzieć, ale z jego wysuszonego i obolałego gardła wydobywa się tylko chrapliwy jęk. Próbuje ponownie i tym razem udaje mu się przemówić.

– To ty? To nie możesz być ty.

Część 3

*Mój szatan, długo więziony w klatce,
wyrwał się na swobodę z opętańczym rykiem.*

R.L. Stevenson, *Doktor Jekyll i pan Hyde*,
przeł. T.J. Dehnel

Rozdział 60

W sali panuje cisza. Nikt się nie rusza, a spojrzenia wszystkich są utkwione w nadkomisarzu Marshu. Jamie stoi pod ścianą, a żołądek kurczy mu się ze strachu. Zerka na Romilly, jej bladą twarz, podkrążone oczy i zmarszczone czoło. Domyśla się, że sam wygląda podobnie. Kiedy patrzy na swojego szefa, czerpie otuchę z jego pewności siebie i wieloletniego doświadczenia, które emanują z jego niewzruszonej postawy.

– Posłuchajcie mnie uważnie – zaczyna Marsh. – Oto co wiemy. Dziś rano około dziewiątej Adam Bishop pojechał do dawnego gabinetu doktora Cole'a, przypuszczalnie żeby poszukać dokumentacji jego pacjentów. Przed budynkiem stoi jego samochód, ale po Bishopie ślad zaginął. – Obraca się do tablicy i nie przerywając wywodu, zapisuje kilka ledwie czytelnych słów. – Biorąc pod uwagę modus operandi sprawcy oraz los poprzednich ofiar, mamy niewiele czasu. Załóżmy, że mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Czyli do jutra rana.

Jamie nie ma pojęcia, co się stanie potem. Czy jego przyjaciel skończy jak Pippa? Martwy i bez kropli krwi w żyłach? Czy spotka go coś innego? Coś gorszego?

– Laboratorium wykonało analizę w ekspresowym tempie – ciągnie Marsh. – Mamy potwierdzenie, że ślad znaleziony na miejscu zdarzenia to krew Bishopa. Odciski opon na tyłach

posesji są identyczne z tymi, które zabezpieczyliśmy na dzikim wysypisku w zeszłym tygodniu, wiemy zatem, że za porwaniem stoi ten sam sprawca.

– Ale jak to się stało? – pyta ktoś z sali, wyrażając te same obawy, z którymi Jamie zmagał się rano.

Marsh zwraca się do wszystkich obecnych.

– Bishop cierpi na chorobliwy lęk przed igłami – oznajmia.
– Właśnie ze względu na tę fobię nasz sprawca obrał go sobie za cel. Teraz zamierza ją wykorzystać.

W sali rozlegają się pomruki zaskoczenia.

Marsh nie był zachwycony, kiedy dowiedział się o tym od Jamiego.

– I nie uznał za stosowne, aby napomknąć o tym istotnym fakcie? – krzyczał do słuchawki.

Jamie nic nie odpowiedział. Był tego samego zdania. Doszły go słuchy, że jego przyjaciel zemdłał podczas rutynowego szczepienia, ale kiedy go spytał, co się stało, ten zbył go śmiechem. Nic wielkiego, powiedział, reakcja alergiczna i tyle. Co za głupi, zarozumiały dupek z tego Bishopa. A teraz będzie po nim, jeżeli pomoc nie nadejdzie w porę.

– No więc będziemy działać na dwóch płaszczyznach – kontynuuje Marsh, wskazując swoje notatki na tablicy. – Po pierwsze, analizujemy materiał dowodowy z poprzednich morderstw. Coś nas wreszcie naprowadzi na ślad tego skurwiela. Tim, przyciśnij laboratorium w sprawie zaległych wyników. Rich, prześwietlaj dalej właścicieli furgonetek. Musi coś wypłynąć. A po drugie...

Nadkomisarz zawiesza głos. Jamie wie dlaczego. Jego szef nigdy nie był zwolennikiem teorii Adama zakładającej udział doktora Cole'a w serii tajemniczych morderstw.

– Bishop uważał, że nasz sprawca pozostaje pod wpływem Elijah Cole'a, który w jakiś sposób kieruje jego działaniami – mówi dalej Marsh. – Ponieważ wiemy, że morderca przetrzymywał Pippę Hoxton na terenie posesji doktora i porwał Bishopa z jego gabinetu, jestem skłonny zgodzić się z tym założeniem. Czy wszystko jasne? – pyta, ale nikt z obecnych się nie odzywa. – Zatem dobrze. Z jakiegoś powodu wciąż nie przekazano nam rejestru widzeń z Belmarsh, więc poproszę komendanta głównego, żeby użył swoich wpływów. Kartoteki pacjentów Cole'a trafiły do naszego magazynu. Niech ktoś je przejrzy jeszcze dziś. Proszę o listę wszystkich, którzy przewinęli się przez ten gabinet.

– Czy chce pan, żebym pojechała do Belmarsh i z nim porozmawiała?

Spojrzenia detektywów kierują się w stronę Romilly. Każdemu przyszło na myśl takie rozwiązanie, ale nikt nie śmiał go zaproponować.

– Nie – odpowiada nadkomisarz zdecydowanym tonem. – Wszyscy mają trzymać się z dala od tego popaprańca. I tak nam nie powie, gdzie jest Adam, a ja nie zamierzam dawać mu satysfakcji, płaszcząc się przed nim i prosząc o łaskę. Czy to jasne? – pyta, a Romilly wolno kiwa głową. – Sierżant Hoxton będzie koordynował poszukiwania jako mój zastępca. Jeżeli coś się pojawi, choćby najmniejszy drobiazg, od razu macie mi o tym meldować.

Robi krótką pauzę, a napięcie w sali rośnie. Wszyscy są zdeterminowani i gotowi do działania.

– To jest wasze główne... nie, wasze jedyne zadanie. Nikt nie śpi, nikt nie sra, nikt nie idzie do domu, dopóki na to nie pozwolę. – Marsh omiata wzrokiem salę, przez chwilę patrzy Romilly w oczy, a potem zwraca się do swoich podwładnych:
– W tej chwili najwyższym priorytetem jest odnalezienie nadinspektora Bishopa. I macie znaleźć go żywego.

* * *

Jest tu. Nareszcie.

Taki przystojny, taki odważny. Tak cholernie wściekły, że muszę go znowu zakneblować.

Kiedy odkrył, kim jestem, zaczął krzyczeć na całe gardło, a na to nie mogę pozwolić. Bynajmniej nie jest uradowany moim widokiem. Gorączkowo przekręca głowę z boku na bok, kiedy próbuję zakleić mu usta. Wrzeszczy i przeklina. Łapię go za włosy i odchylam mu głowę do tyłu, ale nawet wtedy nie przestaje się miotać. Muszę użyć całej swojej siły, owijając go taśmą, raz, drugi i trzeci, żeby nie miał szans się uwolnić. Teraz wpatruje się we mnie tymi pięknymi niebieskimi oczami, a jego nozdrza rozszerzają się z każdym oddechem.

Puszczam go, a on znowu się szarpie, ale krzesło wciąż stoi. Jest ciężkie i masywne, więc nie zdoła go przewrócić. Szybko sobie to uświadamia i nieruchomieje, żeby oszczędzać siły. Wydaje nieartykułowany odgłos, głośnie stęknienie, jakby chciał ze mną rozmawiać. Uśmiecham się do niego.

– Chyba już dosyć się nagadałeś, nie sądzisz? – mówię. – Teraz moja kolej.

Oglądam rozcięcie na jego czole, w miejscu, gdzie oberwał ode mnie w przychodni. Krew zaczyna krzepnąć, tworząc wilgotną lepłą maź. Dotykam rany palcem i uciskam lekko. Adam jęczy, a jego oczy wędrują do góry, a potem znów kierują się na mnie.

Skupiam uwagę na kaniulach tkwiących w jego rękach. Odkąd odzyskał przytomność, starał się nie patrzeć w ich kierunku, ale teraz podchodzę do niego od tyłu, znów chwytam go za włosy i pochylam jego głowę w dół. Wydaje cichy jęk sprzeciwu i mocno zaciska powieki. Ma bladą twarz, a jego skóra jest lepka od potu. Znowu zaczyna ciężko dyszeć, a taśma na jego ustach wydyma się i opada.

– Przyjrzyj się, Adamie – mówię, po czym dodaję ostrzejszym tonem: – Patrz!

Adam porusza głową na boki w geście przeczenia. Jego odmowa doprowadza mnie do wściekłości. Próbuję jeszcze raz, ale też na próżno. W dłoni zostaje mi kępka wyrwanych włosów.

Puszczam go, a on od razu się prostuje. Podchodzę do stolika pod przeciwległą ścianą i biorę do ręki niewielki skalpel. Zdejmuję sterylne opakowanie i światło odbija się od ostrza ze stali nierdzewnej. Adam ma znowu otwarte oczy i wpatruje się we mnie. Podchodzę do niego.

– Widzisz to? – pytam i nie doczekawszy się reakcji, powtarzam dużo głośniej: – Widzisz?

Jego głowa unosi się i opada. Spoglądam na zegar. Właśnie minęło południe.

– Rób, co ci każę, a unikniemy problemów. Otworzę te zaworki, popłynie krew i wszystko dobrze się skończy. Lekko i bezboleśnie. Umrzesz jak Pippa Hoxton.

Oczywiście to kłamstwo. Pippa umierała w bólu i strachu, kiedy wisiała pod sufitem niczym świnia w rzeźni, ale on nie musi o tym wiedzieć.

– Wątpię, żeby twoi ludzie zdążyli przyjść ci z pomocą, ale przynajmniej nie będziesz cierpieł. Jeśli jednak nie zechcesz

współpracować, jeśli będziesz sprawiał problemy...

Przysuwam mu ostrze tak blisko twarzy, że patrzy na nie zezem. Potem opuszczam skalpel.

Jego ręce spoczywają na podłokietnikach w takiej pozycji, że dłonie są obrócone wnętrzem do góry. Dzięki temu mam łatwiejszy dostęp do miękkiego ciała na jego przedramionach i w zgięciach łokci. Bez trudu dostrzegam siateczkę niebieskich linii. Ładne męskie żyły, które zdają się na mnie czekać. Pod wpływem stresu jego serce bije mocniej, dlatego są wypełnione krwią i odznaczają się wyraźnie. Wodzę po nich skalpelem tam i z powrotem, a potem naciskam. Przez chwilę czuję opór, ale ostrze szybko przebija bladą skórę.

Adam wydaje zduszony okrzyk bólu. Jego mięśnie napinają się, gdy zwiększam siłę nacisku, zanurzając ostrze głębiej. Niewielkie nacięcie ma około dwóch centymetrów, a jego brzegi lekko się rozchylają. Cofam dłoń ze skalpelem, żeby Adam mógł dobrze się przyjrzeć.

Widzę przerażenie w jego oczach, gdy mrugając nerwowo, patrzy na strużkę krwi, która zaczyna wyciekać z rany, zalewa drewniany podłokietnik i skapuje na podłogę.

– Będziesz utrudniał, a załatwię to w taki sposób. Poszatkuje twoje żyły kawałek po kawałku. Obedrę cię ze skóry, nie zważając na twoje wrzaski.

Jego spojrzenie przeskakuje na kaniulę tkwiącą w przedramieniu i z powrotem na moją twarz.

– W taki sposób szybciej się wykrwawisz. Nie ma szans, żeby pomoc przybyła na czas.

Adam znowu jęczy; wydaje krótkie przerywane odgłosy. Patrę na łzy wzbierające w jego oczach, na pierś falującą

w gorączkowym oddechu i już wiem, że się poddał. Widzę, że próbuje coś powiedzieć, więc nacinam taśmę skalpelem i powoli odrywam ją od jego ust.

Adam robi kilka łapczywych wdechów, a potem unosi wzrok i spogląda mi w oczy.

– Zrozumiałeś? – pytam cicho.

– Pierdol się.

Rozdział 61

Jamie zaciska złożone dłonie, by zapanować nad ich drżeniem, ale to nie pomaga. Nerwowe skurcze żołądka również nie ustępują. Cały czas ma świadomość, że jego przyjaciel jest w rękach obłąkanego mordercy. Że umiera powoli w straszliwych męczarniach. A czas płynie nieubłaganie.

Marsh nie zakwestionował jego powrotu do pracy, godząc się na odstępstwo od obowiązujących zasad. Jednak zniknięcie Adama stało się sprawą osobistą dla wszystkich. Należało zmobilizować każdego, włącznie z Romilly. W normalnych okolicznościach nikt nie dopuściłby jej do śledztwa ze względu na powiązania ze sprawą, ale istnieje szansa, że mogłaby coś dostrzec – nawet z pozoru nieistotny drobiazg – tak jak wcześniej rzymskie liczby na ścianie.

W tej chwili liczy się każda pomoc.

Chociaż Ellie Quinn trafiła do wydziału zabójstw zaledwie tydzień temu, pustka po jej śmierci jest wyraźnie odczuwalna. Jamie, który przepracował z nią tylko dwa dni, wszędzie ją widzi. Jej zafascynowane spojrzenie, z którym chłonęła wiedzę na temat prowadzenia śledztwa. Notatki na tablicy zapisane jej ręką. Jej inicjały pod raportami z terenu.

Ale kiedy zabrakło Adama, uczucie pustki jest sto razy gorsze. Jamie co chwila zerka w stronę pustego gabinetu, jakby spodziewał się, że przyjaciel lada moment stanie

w drzwiach i zacznie wykrzykiwać słowa zachęty do swoich ludzi. Wie, że nie może się z nim równać, jest tylko jego lichą namiastką.

Czuje się bezużyteczny. Próbuje się skupić, lecz ilekroć zerka na monitor, tekst faluje mu przed oczami. Nie potrafi zebrać myśli.

Przy jego biurku staje posterunkowy Lee.

– Mamy ich – mówi. – Świadków z parku. Mamy ich.

Mężczyzna i kobieta, obydwójce po sześćdziesiątce. Ludzie, którzy w środę wieczorem widzieli mordercę wychodzącego z parku. Mogli zobaczyć jego twarz. Czekają w osobnych pokojach przesłuchań. Kobieta unosi głowę i niepewnie spogląda na Jamiego, który siada naprzeciwko niej z pokrzepiającym uśmiechem na twarzy. Ma krótkie siwiejące blond włosy i okulary w metalowej oprawie. Cały czas nerwowo obraca srebrne pierścionki na palcach lewej dłoni.

– Będę się streszczał, bo jak już powiedział posterunkowy Lee, mamy bardzo mało czasu. I proszę wybaczyć, że państwa rozdzieliliśmy, ale w takich okolicznościach zeznania jednej osoby zniekształcają to, co zapamiętała druga. Porównując wasze zeznania, znajdziemy zbieżne informacje, które są najbliższe prawdy.

Kobieta przytakuje z poważną miną.

– Jeśli tylko mogę jakoś pomóc...

– Co pani widziała?

– Było ciemno i widzieliśmy go tylko przez krótką chwilę. Miał kaptur na głowie i usta zasłonięte szalikiem.

– Widziała pani jego twarz?

– Tak, ale tylko częściowo. A nie zwrócilibyśmy na niego uwagi, gdyby nie te plamy. – Kobieta zawiesza głos. – Miał je na twarzy i wyglądały jak krew. Powiedziałam Grahamowi, że to niemożliwe, ale potem usłyszeliśmy w wiadomościach o tej zamordowanej dziewczynie. Dlatego do was zadzwoniliśmy.

– Mogłaby pani go opisać?

Jamie wie, że w sąsiednim pomieszczeniu mąż kobiety udziela wskazówek grafikowi policyjnemu, który tworzy portret pamięciowy sprawcy.

– Spróbuję. Nie był zbyt wysoki. Niższy od Grahama. Metr siedemdziesiąt pięć, nie więcej. I szedł dosyć szybko, ale nie stawiał wielkich kroków. O tak.

Kobieta wybija rytm dłońmi na stoliku, a pierścionki na jej palcach stukają o laminowany blat.

Mało istotne, myśli Jamie, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Dziękuję pani – mówi. – Był biały czy czarny? Miał zarost czy był gładko ogolony?

– Biały, ale to wszystko, co mogę powiedzieć. Jak już wspomniałam, większość twarzy miał zasłoniętą kapturem. I nie patrzył na nas. Szedł ze wzrokiem wlepionym w chodnik.

– Co to był za kaptur? – dopytuje Jamie. – Od bluzy czy od kurtki?

– Miał bluzę. Czarną, jak sądzę.

– Było na niej jakieś logo? Coś charakterystycznego?

Kobieta marszczy czoło, a potem jej twarz się rozjaśnia.

– Tak – mówi i znów zastanawia się przez chwilę. – Dwa trójkąty, o tutaj.

Pokazuje na prawą stronę klatki piersiowej. Jamie podsuwa jej kartkę i długopis, a ona szkicuje znak – dwa trójkąty równoboczne stykające się podstawami; jeden skierowany wierzchołkiem w górę, drugi w dół. Diament przedzielony poziomą linią.

– To bardzo pomocny szczegół – chwali Jamie, chociaż sam nie wie, w czym mógłby im pomóc ten niezbyt charakterystyczny znak. – Czy podejrzany miał przy sobie torbę albo coś w tym rodzaju?

– Torbę? Nie, nie przypominam sobie. Ale wydawał takie dziwne odgłosy.

– Odgłosy? Jakie?

– Trudno to opisać – mówi kobieta. – Jakby płakał.

Wciąż obraca pierścionki i jeden z nich ześlizguje się z jej palca. Uderza o blat stolika z metalicznym brzękiem, który drażni uszy Jamiego.

Rozlega się pukanie. Jamie spogląda na drzwi, po czym zwraca się do przesłuchiwanej kobiety:

– Nasz grafik właśnie skończył pracę z pani mężem. Zechciałaby pani rzucić okiem?

– Oczywiście.

Grafik wchodzi do pokoju i stawia laptopa na stole, a kobieta w skupieniu patrzy na monitor.

– Tak, to on – mówi. – Na ile udało nam się zapamiętać.

Jamie zerka na portret pamięciowy. Kaptur naciągnięty nisko na oczy, niewyraźny zarys nosa, szalik zasłaniający usta. Niewiele widać, ale jemu ta twarz kojarzy się z...

Marszczy czoło. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie potrafi trzeźwo myśleć.

– Przekażcie to mediom – zwraca się do grafika. – Nigdy nic nie wiadomo. Może ktoś sobie coś przypomni.

– Jamie? – W drzwiach stoi Romilly z kartką w dłoni. – Przejrzeliśmy kartoteki pacjentów mojego ojca. Chyba jest ktoś, kto mógłby nam pomóc.

Rozdział 62

Wsiadają do nieoznakowanego radiowozu i jadą na sygnale, by jak najszybciej przedrzeć się przez weekendowe korki. Siedząca w fotelu pasażera Romilly przekazuje Jamiemu szczegóły. Sandra Poole. Zatrudniona w gabinecie jako pielęgniarka. Ponownie wyszła za mąż, więc z początku trudno było ją znaleźć.

– Ona dużo wie – mówi Romilly, obgryzając paznokiec. – Pracowała nie tylko tam, ale również w szpitalu i innych praktykach prywatnych. Znała wszystkie plotki. Kto zdradza żonę. Czyje dzieciaki urywają się ze szkoły. Jeżeli ktoś może nam powiedzieć, kto był wtedy blisko mojego ojca, to właśnie ona.

Parkują przed niepozornie wyglądającym domem szeregowym i Jamie dzwoni do drzwi. Posterunkowy Lee uzgodnił telefonicznie spotkanie, więc wiedzą, że pani Poole jest w domu. Po chwili słychać kroki i za matową szybą w drzwiach pojawia się cień. Otwiera im krępa kobieta o rumianych policzkach i przerzedzonych siwych włosach.

– Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę, Romilly Cole – mówi. – Niech ci się przyjrzę. Ależ piękność z ciebie wyrosła. Wchodźcie, wchodźcie.

Jamie przedstawia się, ale gospodyni prowadzi ich do środka, wyraźnie uradowana perspektywą pogawędki z Romilly. Wykładzina w sieni jest wytarta, tapeta

sfatygowana, a z kuchni dobiega woń smażonego bekonu. Stojący na kredensie biały plastikowy odświeżacz powietrza z cichym sykiem wypuszcza aromatyczną chmurkę, od której Jamiego wierci w nosie.

Pani Poole sadza gości na sofie i Romilly delikatnie opiera się o Jamiego, gdy zbyt miękka tapicerka zapada się pod jego ciężarem.

– Napijcie się czegoś? – pyta gospodyni. – Herbaty? Kawy?

– Nie, dziękujemy – odpowiada Jamie bardziej szorstko, niż zamierzał. – Proszę usiąść.

Kobieta robi, co jej rozkazał, rumieni się, wzburzona jego tonem.

– Pani Poole... – zaczyna Romilly.

– Proszę, mów mi po imieniu.

– Sandro, pracowałaś z moim ojcem od samego początku, zgadza się?

Romilly uśmiecha się zachęcająco. Jamie jest jej wdzięczny za wsparcie. Nie wyobraża sobie, by w swoim stanie emocjonalnym zdołał sam przesłuchać tę kobietę.

– Od osiemdziesiątego trzeciego albo czwartego, tak mi się zdaje. Pamiętam, że urodziłaś się wkrótce po tym, jak zaczęłam pracę.

– W takim razie wie pani o wszystkim, co się działo w gabinecie. Kto tam przychodził i jakie krążyły plotki.

– Nie miałam o niczym pojęcia – odpowiada szybko pani Poole. – A więc o to chodzi, tak? Że nie wiedziałam o tym, co robił? Powiedziałam policji...

– Nie, nie, tym się nie przejmuj, Sandro. – Romilly znów się uśmiecha i poklepuje kobietę po ramieniu. – Ale interesuje nas, z kim doktor Cole był wtedy w bliskich stosunkach. Z kim może utrzymywać kontakt do dziś. Przychodzi ci na myśl ktoś taki?

Sandra Poole marszczy czoło.

– Nie przypominam sobie – odpowiada w końcu, a Jamie czuje gwałtowne ssanie w żołądku. – Doktor nie był szczególnie towarzyski. Miał Joannę, miał ciebie i to mu w zupełności wystarczało. Wszyscy się zachwycaliśmy, jaki z niego wspaniały mąż i ojciec. Oczywiście wtedy nie wiedzieliśmy o... o tamtych kobietach.

Milknie, a jej policzki znów się rumieniają. Romilly spogląda na nią ze współczuciem.

– Nikt z nas o nich nie wiedział – mówi pokrzepiającym tonem i starsza kobieta odwzajemnia jej uśmiech.

Jamie układa sobie w głowie kolejność wydarzeń. Elijah Cole został aresztowany przeszło ćwierć wieku temu. Jest teraz po sześćdziesiątce. Zastanawia się, jak morderca transportował ciała. Jak przewoził nieprzytomne ofiary. Jak obezwładnił porwaną Pippę. Albo Adama.

Pochyla się do przodu i opiera łokcie na kolanach.

– Czy w gabinecie bywał ktoś jeszcze? – pyta. – Ktoś młodszy? Ktoś, kogo doktor Cole widywał regularnie? Czy to mógł być nastoletni chłopiec?

Pani Poole spogląda na niego pustym wzrokiem. Jamie garbi się zawiedziony. Nagle w jego kieszeni rozlega się dzwonek komórki. Patrzy na wyświetlacz: posterunkowy Lee.

– Przepraszam. – Uśmiecha się cierpko do gospodyni. – Muszę odebrać.

Wychodząc z salonu, dotyka ikonki z zieloną słuchawką i przykłada telefon do ucha.

– Tim, powiedz, że masz dla mnie coś przydatnego. Cokolwiek.

– Dzwonili z laboratorium.

– Znaleźli próbki?

– Nie – odpowiada posterunkowy. – Ale zbadali inną. Tę pobraną z sierści psa.

Jamie przypomina sobie tego biednego zwierzaka, białego kudłatego teriera, który siedział uwięziony w szafie.

– No i? – pyta nagłym tonem.

– To był strzał w ciemno, ale okazało się, że wymaz z pyska zawiera ludzki materiał biologiczny. I to nie ofiary. Zwierzak musiał ugryźć sprawcę. – Lee robi krótką pauzę, a Jamie wstrzymuje oddech w pełnym napięciu oczekiwaniu. – Żadnych bezpośrednich trafień w bazie...

– Kurwa...

– Ale poczekaj. Wykonali kilka dodatkowych testów i coś znaleźli. Dopasowanie chromosomu w linii ojcowskiej. Do kogoś, kto figuruje w systemie.

Jamie ma wrażenie, jakby wokół niego nagle zabrakło powietrza. Dusi się i nie może złapać tchu.

– To znaczy, że...?

– Że nasz morderca jest spokrewniony z doktorem Cole'em. Elijah Cole ma jeszcze jedno dziecko.

Jamie opiera się o ścianę. Ma mętlik w głowie. Słyszy dochodzące z salonu odgłosy rozmowy.

– Jesteś pewien? – mówi powoli. – Chyba nie chodzi o...

– Sprawdzili. To nie jest Romilly Cole.

Sierżant wzdycha z ulgą. Jego uwagę przyciąga drewniana miska stojąca na komodzie. Leżą w niej drobne monety, klucze i kilka pogiętych wizytówek. Bierze w palce jedną z nich.

– I jeszcze jedno...

– Tim? – Jamie przerywa posterunkowemu. Obraca w palcach biały kartonik, a jego myśli wracają do trzeciego dnia śledztwa. – Czy skończyliśmy prześwietlać ludzi, którzy korzystali z dzikiego wysypiska?

– Tak, trafiliśmy na jedną firmę, ale nikt niczego nie widział.

– Jak się nazywa ta firma?

– Bob Budowniczy. Ale posłuchaj...

Jamie prostuje się gwałtownie i spogląda na wizytówkę.

– Na pewno?

– Takiej nazwy się nie zapomina. Ale wracając do tych wyników. Wyszło coś jeszcze. Chociaż nie wiem... To się nie trzyma kupy... Robią jakieś testy potwierdzające.

– Ale o co chodzi?

Tim Lee milczy przez chwilę.

– O chromosomy w próbce – odzywa się w końcu cicho. – To są żeńskie chromosomy.

– To znaczy co? Laboratorium pomieszało próbki z krwią Pippy albo innej ofiary?

– Nie, sierżancie, nie zrozumiałeś mnie – odpowiada Lee.
– Też o to spytałem. Są pewni, że nie mogło dojść do zanieczyszczenia. Chodzi o to, że wbrew naszym przypuszczeniom sprawca jest kobietą. Elijah Cole ma drugą córkę.

Rozdział 63

Jamie wraca do salonu, ściskając w jednej dłoni komórkę, a w drugiej pogiętą wizytówkę. Na widok jego pobladłej twarzy Romilly czuje przyływ paniki. Znaleźli Adama, myśli, Adam nie żyje. Ale kiedy napotyka spojrzenie Jamiego, ten kręci uspokajająco głową. Znowu jest zdolna zaczerpnąć tchu.

Ożywa w niej tyle dawnych wspomnień. Przypomina sobie, jak po raz pierwszy przyszła do gabinetu ojca. Jak siedziała cicho przy stoliku na zapleczu i odrabiała zadanie. Jak przysłuchiwała się rozmowom dorosłych zafascynowana plotkami, które kobiety przekazywały sobie półgłosem.

Siedzący obok Jamie robi głośny wdech. Romilly zerka na niego. Wyraźnie coś go gryzie. Pewnie trudno jest mu przyswoić nową informację, którą dostał przez telefon.

– Pani Poole...

– Sandro.

– Sandro. – Jamie uśmiecha się zdawkowo. – Skąd się to wzięło?

W wyciągniętej ręce trzyma biały kartonik z nadrukowanymi prostą czcionką słowami *Bob Budowniczy*.

– Należała do mojego męża. Był właścicielem tej firmy. – Pani Poole przenosi wzrok z wizytówki na Jamiego, a potem zwiesza głowę. – Ale umarł. Pół roku temu, na zawał, niespodziewanie. Powinnam to wyrzucić, ale... Czy chodzi wam o te ciała znalezione na wysypisku? Ktoś już do mnie

dzwonił w tej sprawie. Powiedziałam mu, że mój mąż nie żyje. Wiem, że wywoził tam śmieci, ale skończył z tym. Dawno temu. Mogę zapłacić karę...

Sandra wciąż peroruje, wymyślając pokrętne wymówki i argumenty na swoją obronę. Tymczasem Jamie siedzi pogrążony w myślach ze wzrokiem utkwionym w podłogę. W pewnej chwili spogląda znowu na panią Poole.

– Co się wydarzyło między panią a doktorem Cole'em? – pyta łagodnie.

Pani Poole raptownie milknie. Romilly nie posiada się ze zdumienia. Sandra i Elijah? Co to za pytanie?

Ale starsza kobieta jest blada jak ściana.

– O... o co panu chodzi? – jąka się. – Nic takiego się nie...

– To bardzo ważne. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Musimy poznać prawdę i nie mamy chwili do stracenia. Co się wtedy wydarzyło?

Pani Poole zaczyna dygotać, kuli się i zakrywa twarz dłońmi. Po jej uczynnym, życzliwym nastawieniu nie zostało ani śladu. Wygląda, jakby nagle się rozchorowała. Romilly wyciąga rękę i dotyka jej drżącego ramienia.

– Sandro, powiedz nam, proszę.

– Elijah... on... Joanna, twoja matka, była chora – bełkocze kobieta przez zakrywające usta palce, ale potem unosi głowę i spogląda Romilly prosto w oczy. – Kochałam go, szanowałam. Wierzyłam, że jest dobrym człowiekiem. Ale on mnie zgwałcił. Twój ojciec mnie zgwałcił.

Rozdział 64

Jamiego rozsadza niecierpliwość. Bez wątpienia stawka jest wysoka, tymczasem nieszczęsna pani Poole jest tak wzburzona, że cała się trzęsie.

Romilly siada obok niej i obejmuje ją ramieniem. W głowie kotłują się jej dziesiątki myśli, ale zdaje sobie sprawę, że musi się skupić na tym, co najważniejsze. Na odnalezieniu Adama. Jeżeli będzie się spieszyć i naciskać zbyt mocno, nic nie osiągnie.

– Co się stało, Sandro? – powtarza łagodnie pytanie.

Kobieta bierze długi przerywany wdech.

– Tamtego wieczoru pracowałam do późna – zaczyna drżącym głosem i ociera łzy chusteczką. – Elijah zjawił się w gabinecie. Wracał z pubu i był... kompletnie pijany. Bełkotał. Powiedział, że u twojej mamy właśnie zdiagnozowano raka, a ja... Chciałam go pocieszyć, ale nie w taki sposób... Nie tak, że... opierałam się, ale on...

Ukrywa twarz w dłoniach i znowu wybucha płaczem. Szlocha tak mocno, że Romilly musi domyślać się jej słów.

– Próbowalam się bronić, ale był zbyt silny. Trzymał mnie mocno. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Pamiętam tylko... to spojrzenie w jego oczach. Wiedział, że wyrządza mi krzywdę, ale nic sobie z tego nie robił.

Romilly dokonuje w myślach szybkich obliczeń. To musiało być w osiemdziesiątym ósmym. Kiedy okazało się, że jej

matka jest chora. Zanim jeszcze umarła. Zanim Elijah zaczął zabijać.

Sandra mogła go powstrzymać.

– Czemu tego nie zgłosiłaś? – pyta Romilly, z największym wysiłkiem zachowując spokojny ton.

Sandra patrzy na nią ze skruchą.

– Powiedział, że bardzo tego żałuje. Błagał mnie o wybaczenie. Miał małą córeczkę... Ciebie. – Ścisła dłoń Romilly, która powstrzymuje się, by jej nie odepchnąć. – Twoja matka była śmiertelnie chora. Co miałam zrobić?

– Powinnaś była pójść na policję.

– Nikt by mi nie uwierzył. Samotna kobieta oskarża szanowanego członka społeczności? Nie miałam szans. Chciałam zapomnieć o wszystkim i żyć dalej. Ale potem okazało się, że jestem w ciąży.

Romilly zdaje sobie sprawę, że obwinianie tej kobiety nie ma sensu. Pani Poole nie mogła wiedzieć, co planuje Elijah Cole i jakie potworności czają się w jego zwyrodniałym umyśle. Miała też rację w sprawie gwałtu. Nikt nie chciał wierzyć, że szacowny doktor jest mordercą, nawet kiedy znaleziono ciała w jego ogrodzie. Była bez szans.

– Dlaczego nigdy nie widziałam cię w ciąży? – pyta Romilly, marszcząc czoło. – Nie przypominam sobie również, żebyś miała małe dziecko.

Sandra ze smutkiem kręci głową.

– Nie potrafiłam się z tym pogodzić, przynajmniej na początku – szepcze. – Wyjechałam na jakiś czas, a po porodzie oddałam dziecko do adopcji. To była dziewczynka.

Cudowna, ale kiedy patrzyłam na jej twarz, widziałam twojego ojca. Widziałam, jak mnie trzyma, jak zmusza mnie, żebym... Nienawidziłam go i nienawidziłam tego dziecka. Dlatego je oddałam. A potem zaczęło mi się układać. Poznałam Roberta, pobraliśmy się. Zapomniałam o... o nim.

– Ale nadal pracowałam w jego gabinecie.

– Podobnie jak w wielu innych miejscach. W pogotowiu, w szpitalu, w innych przychodniach. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Chcieliśmy mieć własne dzieci, ale Robert... – Sandra tłumi szloch. – Nie było nam dane. A potem zaczęłam się zastanawiać, jaki los spotkał moją córkę. Więc postanowiłam się dowiedzieć.

– No i co się z nią stało?

– Trafiła do rodziny zastępczej, ale coś nie wypaliło. – Kobieta wbija wzrok w podłogę i obraca w zwiędłych palcach zgniecioną chusteczkę. – Zaniedbywali ją i... Boże, znęcali się nad nią. Biedactwo, miała nie więcej niż trzy lata, a spotkały ją takie okropności.

Sandra znów zanosi się płaczem. Romilly walczy ze swoimi emocjami. Ta nieszczęsna kobieta i jej niewinne dziecko. Same stały się ofiarami.

Teraz sobie ją przypomina. Ciemne kręcone włosy, nieśmiała. Rumieniła się, kiedy Elijah coś do niej mówił. Młodsza od niej – miała może pięć czy sześć lat, kiedy Elijah został aresztowany. Razem się bawiły, gdy Romilly wracała ze szkoły. Za kontuarem w recepcji albo w pustych pokojach zabiegowych. Czasami obawiała się, że ich krzyki i śmiechy rozniewają ojca, ale on uśmiechał się promiennie, a czasami przyłączał się do nich. Bawił się z nimi w chowanego.

– Musiałam ją odzyskać – ciągnie Sandra. – Opowiedziałam o wszystkim Robertowi, a on się zgodził. Zamieszkała z nami. Zawsze mówiła, że niczego nie pamięta, ale myślę, że gdzieś w głębi wiedziała.

Romilly siedzi w milczeniu. Dociera do niej, że ta dziewczynka, a teraz już kobieta, jest jej przyrodnią siostrą. Jej krew. I to ona jest morderczynią. Tyle razy zamartwiała się i zachodziła w głowę, czy geny czynią ją bardziej podatną na zbrodnicze instynkty. Czy jest podobna do ojca?

Oto ma odpowiedź. Tak.

Mają tę samą konstrukcję, to samo DNA. Gdyby nie kochająca matka, Romilly też mogłaby stać się potworem jak jej siostra.

– Wiedzieliśmy, że coś jest z nią nie tak – mówi dalej Sandra. Nie zamierza już niczego ukrywać, skoro jej tajemnica wyszła na jaw. – Zaczęło się, kiedy była nastolatką. Nie miała przyjaciół, była niespokojna i przygnębiona. Wtedy też pojawiły się napady złości. To była istna furia, nad którą nie potrafiła zapanować, wymierzona we wszystkich i wszystko, co znajdowało się w pobliżu. Demolowała dom i rzucała się na Roberta. Raz nawet wylądował przez nią w szpitalu. Ale otrzymaliśmy wsparcie. Zaburzenie eksplozywne przerywane, taka była diagnoza. Badali ją lekarze, odpowiedni specjaliści. Brała leki. – Kobieta spogląda na Romilly i po raz pierwszy uświadamia sobie powagę sytuacji. – Ale to wszystko, co się teraz dzieje, to nie może być jej sprawka. Nie posunęłaby się aż tak daleko. Ma porządną pracę, robi karierę. Jest jedną z was – dodaje, zerkając na Jamiego.

Po plecach Romilly pełźnie zimny dreszcz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jak to jedną z nas? – Jamie otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Znaczy nie policjantką. Ale ona nie byłaby zdolna... Nie jest taka... Zresztą zobaczycie, kiedy ją poznacie. Choć może już ją znacie. Pracuje w laboratorium, pomaga policji.

Romilly ma wrażenie, jakby jej żołądek zamienił się w ciężki głaz. Spogląda na Jamiego, który jest blady jak ściana.

– Nie, to niemożliwe, żeby ona robiła takie rzeczy – kontynuuje pani Poole desperackim tonem. – Zresztą sami się przekonacie. Skontaktujcie się z nią. Używa mojego panińskiego nazwiska. Clarke. Maggie Clarke.

Rozdział 65

Już nikt nie działa po omacku. Wiadomo, kogo szukać.

Patrole jadą pod adres Maggie Clarke. Uzbrojeni funkcjonariusze z jednostki taktycznej czekają w gotowości. Taktyka jest prosta – działać szybko i zdecydowanie. Ta kobieta nie boi się zabijać.

Jamie stoi w gabinecie Marsha, ściskając w dłoni krótkofalówkę niczym bezcenny talizman. Wciąż usiłuje sobie wyobrazić swoją kompetentną i pełną energii koleżankę – szefową ekipy kryminalistycznej – w roli bezwzględnej morderczyni. Jest to tak nieprawdopodobne, że nie mieści mu się w głowie.

Kiedy pędzili z powrotem do komendy, Romilly opowiedziała mu, jak zapamiętała Maggie z dzieciństwa.

– Była uroczą dziewczynką. Trochę za bardzo lgnęła do mojego ojca. A ponieważ Sandrze nie zawsze udawało się znaleźć opiekunkę, zabierała ją często do pracy...

Umilkła, kiedy obydwoje zdali sobie sprawę z katastrofalnego błędu. Morderca nie był mężczyzną. Przyjęli założenie, że osoba, która popełniła wszystkie te morderstwa, musi być silna, rośła i brutalna. Nie wzięli jednak pod uwagę, że kobieta też może spełniać te warunki.

Z głośnika krótkofalówki dobiegają trzaski. Słysząc tupot ciężkich butów na betonie. Łomotanie i krzyki. Nawoływania odbijające się echem od ścian małego domu.

Nikogo tam nie ma.

Jamie widzi, jak Marsh zwiesza ramiona, a Romilly przykłada dłonie do ust, z których wydobywa się cichy szloch.

– A furgonetka? – mówi do radia i dwa razy podaje numer rejestracyjny. – Stoi na terenie posesji?

Udało się już potwierdzić, że należący do Maggie Clarke czarny volkswagen transporter jest zarejestrowany pod tym adresem.

– Nie ma, sierżancie.

Jamie odwraca się do zespołu. Na twarzach detektywów widać zapal i gotowość do działania.

– Niech monitoring i system rozpoznawania tablic w całym mieście wypatrują tego wozu – rozkazuje. – Roześlijcie jej zdjęcie do wszystkich posterunków w promieniu stu kilometrów, żeby każdy gliniarz wiedział, kogo szukać.

– A więzienie? – odzywa się Romilly. – Na pewno będzie próbowała jakoś nawiązać kontakt z Cole'em.

– Belmarsh jest w stanie pogotowia – odpowiada Jamie, a jego szef przytakuje. – Jeżeli się tam pojawi, wpadnie w nasze ręce. Podobnie jest z domem przy Gloucester Road i gabinetem. Zostawimy również ludzi w jej domu. Wszystko jest obstawione.

– Na pewno będzie się ukrywała – mówi Romilly z desperacją w głosie. – Wywiezie Adama w jakieś nieznane miejsce.

– Ma do wyboru tylko takie, w które może zabrać nieprzytomnego człowieka – zauważa Jamie. – Ale ona nie

przestanie, dopóki nie dopnie swego. Teoria Adama okazuje się słuszna.

Marsh kiwa głową, przyznając mu rację.

– Dwadzieścia minut temu dostaliśmy ewidencję odwiedzin z Belmarsh – komunikuje, obracając w dłoniach paczkę papierosów. – Naczelnik jest w szoku. Nikt tam nie miał pojęcia, że Cole jest jej ojcem. Odwiedzała go wielokrotnie w ciągu ostatnich pięciu lat. A on odzywał się do niej. Na jej komórkę przychodziły esemesy z różnych numerów na kartę. Wszystko zaszyfrowane, ale wiemy na pewno, że utrzymywał z nią kontakt. Dlaczego służba więzienna do tego dopuściła, nie mam pojęcia. Ale zadbam, żeby przeprowadzono śledztwo w tej sprawie. Trzeba to ukrócić, żeby się nigdy nie powtórzyło.

– Więc możemy przyjąć, że Maggie Clarke ma taki sam cel jak Cole? Dojść do dwudziestu? Skoro tak, to ile jeszcze zostało?

Nadkomisarz patrzy w sufit i dokonuje w myślach szybkiej kalkulacji.

– Wliczamy ofiary Cole'a? – pyta, a Jamie kiwa głową. – W takim razie jeszcze cztery. Pięć ciał na wysypisku, Wayne Oxford, tamta kobieta w parku i... Pippa. Do tego Ellie i jeszcze trzy ofiary, które Cole rzekomo zabił na samym początku. W sumie szesnaście. Nie...

Nie licząc Adama, myśli, ale w porę gryzie się w język.

– Więc nadal będzie zabijała – dodaje i otwiera paczkę papierosów, po czym znów ją zamyka. – A teraz zacznij się spieszyć, kiedy już wie, że jesteśmy na jej tropie.

– Szefie? Chcesz zapalić? – pyta Jamie i uśmiecha się mimowolnie.

Marsh parska śmiechem.

– A żebyś, kurwa, wiedział. Przez to śledztwo moje płuca postarzeją się o dwadzieścia lat. Możemy kontynuować na dachu?

Jamie spogląda w okno i na widok zachodu słońca nachodzi go nagła ochota, by nacieszyć się tym widokiem. Chłonąc piękno natury w obliczu wszystkich potworności, z którymi się styka. Czasami odrobina wytchnienia pomaga. Pozwala się skupić, łagodzi napięcie. Choć ma świadomość, że uciekają cenne minuty, Jamie potrzebuje trochę zwolnić i zebrać myśli.

Kiwa głową.

– Prowadź.

Rozdział 66

Romilly idzie po schodach za dwoma detektywami, pozostawiając na dole zespół pracujący z zapałem przy komputerach w poszukiwaniu tropów. Kiedy Adam był jej mężem, czasami wspominał o nieoficjalnej palarni na dachu. Wyobrażała sobie, że jest tam brudno, wszędzie walają się niedopałki i cały czas siąpi deszcz. Dlatego jest zaskoczona, gdy może skonfrontować swoje wyobrażenia z rzeczywistością. Świeże czyste powietrze. Cisza. Widok na tętniące życiem miasto – miejsce, które uważa za swój dom.

Obok niej Marsh zapala papierosa, zaciąga się z błogą miną i wydmuchuje kłęb dymu. Romilly zamyka oczy i kiedy czuje zapach tytoniu, przypomina sobie schyłkowy okres swojego małżeństwa, gdy w reakcji na jej dezaprobatę Adam wciąż bardziej pogrążał się w autodestrukcyjnym nałogu. Teraz te wspomnienia sprawiają, że tęskni za nim jeszcze mocniej. Ogarnia ją bezsilność. Spogląda na zegarek – Adam zaginął osiem godzin temu. Musi wrócić do domu. Pomoc musi zdążyć na czas.

Z dołu dobiega uliczny gwar. O tej porze panuje duży ruch, ludzie wracają z pracy. Słyszą śmiechy i rozmowy. Odgłosy normalnego życia. Ta przyziemna beztroska wyzwala w Romilly irracjonalny gniew. Jak oni wszyscy mają chęć wieść swoją egzystencję, kiedy jej świat wali się w gruzy? Kiedy Adam umiera gdzieś w samotności, a wszelkie próby ocalenia go spełzają na niczym.

– Co możesz o niej powiedzieć? – pyta Marsh.

Romilly wzdycha.

– Niewiele – mówi. – Nie byliśmy ze sobą blisko, a po aresztowaniu ojca nie utrzymywałyśmy kontaktu.

Spogląda w niebo, desperacko próbując przywołać jakiegokolwiek wspomnienia.

– Pamiętam, że przez pewien czas nie chodziła do szkoły. Podobno gorzej się poczuła, tak mówiła jej matka, ale nie wdawała się w szczegóły. Powinniśmy zobaczyć jej kartotekę medyczną.

– Już do nas jedzie.

– A jej przybrany ojciec nie żyje – odzywa się Jamie. – Więc jedno źródło informacji mniej.

Marsh potakująco kiwa głową.

– Pewnie wspominał w domu przy kolacji o dzikim wysypisku, na które wywoził odpadki. Skąd mógł wiedzieć, że Maggie wykorzysta później to miejsce do własnych celów? – Przerzywa, by zaciągnąć się po raz ostatni, po czym rzuca niedopałek pod nogi i przydeptuje go butem. – Pieprzyć to. Musimy znaleźć Adama. Chciałbym już wrócić do domu, ucałować męża, zadzwonić do dzieciaków.

Jamie patrzy zaskoczony na szefa.

– Nie wiedziałem, że masz dzieci.

– Dwóch synów, już dorosłych. James studiuje fotografię, a Andy jest inżynierem. Żaden nie chciał zostać gliną.

– Rozsądne chłopaki – stwierdza Jamie.

– Nie da się ukryć – przyznaje nadkomisarz i dodaje półgłosem: – Nie uda jej się zabić jeszcze czterech osób. To

niemożliwe.

Wszyscy troje przetrawiają te słowa. Jamie stoi przy krawędzi dachu, Romilly nieco dalej, a Marsh, który przechadzał się, paląc papierosa, zatrzymuje się blisko wejścia, zwrócony plecami do drzwi.

Wszystko dzieje się tak szybko, że żadne z nich nie jest w stanie zareagować. Romilly słyszy, że Marsh wydaje dziwny odgłos. Nie jest to okrzyk, a raczej cichy jęk, świst powietrza, które gwałtownie wydobywa się z jego płuc. Obraca się i spogląda na niego. Wyraz zmęczenia na jego twarzy ustąpił miejsca zaskoczeniu; ma szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Patrzy na nią, a jego ciało wiotczeje. Nogi uginają się pod nim i upada na kolana.

A za nim stoi ona.

Ma na sobie niebieską koszulkę polo, czarne spodnie i masywne buty. Jej strój przypomina policyjny mundur, ale Romilly przypuszcza, że tak ubierają się cywilni technicy. Ich spojrzenia się spotykają.

– Wiedziałam, że was tu znajdę – mówi Maggie, a jej spierzchnięte wargi wykrzywiają się w ponurym uśmiechu. – Adam wspominał o palarni na dachu.

Ma bladą, wychudzoną twarz i kiedy Romilly na nią patrzy, czuje, jak z każdym uderzeniem rozszalałego serca w jej piersi wzbiera panika.

Przyszła sama. W takim razie gdzie jest Adam? Czy jeszcze żyje?

Co ona tu w ogóle robi? Że też miała czelność pojawić się w komendzie policji. Ta kobieta jest obłąkana. To twoja przyrodnia siostra. Romilly słyszy w głowie echo tych słów

i ma wrażenie, jakby to wszystko jej się śniło. A potem zauważa w dłoni Maggie nóż. Ostrze jest ciemne od krwi. Jej spojrzenie wędruje w dół, w stronę leżącego nieruchomo Marsha. Jest lekarką i czuje, że powinna mu pomóc, ale nie ma odwagi się poruszyć. Jedną rękę wyciąga przed siebie, a drugą wsuwa do kieszeni i chwyta kurczowo telefon.

– Nie wydestaniesz się stąd – mówi powoli. – Jesteś w komendzie policji. Rzuć nóż, zanim zrobi się nieprzyjemnie.

– Nie zamierzam stąd wychodzić. – Maggie wybucha śmiechem i Romilly widzi w niej dziewczynkę, którą znała w dzieciństwie. – Muszę zrobić to, co mi kazał.

– Kto? Cole?

– Opowiedział mi wszystko o tobie. Nie pamiętasz mnie, co?

– Bawiłyśmy się razem – odpowiada Romilly. – W gabinecie, po lekcjach.

– Owszem, bawiłyśmy się. Tak bardzo ci zazdrościłam, wiesz? Że jesteś jego córką, że poświęca ci czas. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Elijah jest również moim ojcem. A ty go zdradziłaś. Jak mogłaś?

– Był mordercą. Zamordował te kobiety w szopie.

– Nie udawaj, że jesteś taka niewinna. – Maggie znów się uśmiecha. – Że nie byłaś w to zamieszana.

– Nie byłam...

Maggie śmieje się głośno. Romilly zerka w stronę otwartych drzwi pożarowych. Wie, że musi sprowadzić

pomoc, ale jej przyrodnia siostra wciąż trzyma nóż, a ona nie zdoła jej obezwładnić.

– Gdzie jest Adam? – pyta, zmuszając się do zachowania spokojnego tonu. – Czy on jeszcze żyje?

– Być może. Nie wiadomo, ile krwi zostało jeszcze w jego ciele. Ale ty powinnaś wiedzieć, bo jesteś lekarką. No ile?

Romilly nie odpowiada. Zastanawia się, jak nakłonić tę szaloną kobietę do ujawnienia potrzebnych informacji.

– Nie... nie mam pojęcia – jąka się, usiłując sobie przypomnieć wiedzę ze studiów. – U przeciętnego mężczyzny na kilogram masy ciała przypada siedemdziesiąt pięć mililitrów krwi. Nie wiem... Proszę, powiedz nam, gdzie jest Adam.

Maggie znów wybucha śmiechem.

– Już go nie odzyskasz. Jest mój, na zawsze. Odebrałaś mi ojca, a ja odbiorę ci twojego ukochanego Adama.

– Więc tylko o to ci chodzi? – Romilly patrzy na siostrę z niedowierzaniem. – O zemstę? Jakie to małostkowe.

– Małostkowe? Przez ciebie Elijah trafił do więzienia. Przez tyle lat nie miałam pojęcia, kim dla mnie jest. Ale teraz już wiem. I muszę sprawić, żeby był ze mnie dumny. Już mnie do niego nie wpuszczą, już go nie zobaczę. Ale ty nie zobaczysz swojego Adama. Miałaś wszystko. Dorastałaś przy nim, zasiadaliście razem do stołu, całował cię na dobranoc. A wiesz, co ja miałam?

– Miałaś matkę! I przybranego ojca, który cię kochał.

– Matkę? Mówisz o kobiecie, która mnie porzuciła, gdy tylko przyszedłam na świat? Dorastałam w poczuciu, że nie

mam swojego miejsca na ziemi, że coś jest ze mną nie tak. Ale to była ich wina. Robert, ten niby tatuś, twierdził, że mnie kocha, ale nigdy nie był wobec mnie uczciwy. Pięć lat temu Elijah napisał do mnie. Wtedy się dowiedziałam.

– Że jest twoim ojcem?

– I całej reszty. Co mi zrobili ci moi przybrani rodzice. Że to oni... – Maggie zaciska powieki, a na jej twarzy maluje się cierpienie. – Ale kiedy już się dowiedziałam, wszystko stało się jasne. Elijah mnie rozumie. Zawsze łączyła nas wyjątkowa więź, ale przedtem nie wiedziałam dlaczego. A teraz odkryłam swój cel w życiu. Tylko on naprawdę mnie kocha. I straciłam go przez ciebie.

– Więc mnie zabij, skoro tak cię skrzywdziłam!

– Elijah nigdy by mi nie wybaczył, gdyby jego ukochanej córeczce spadł włos z głowy – odpowiada Maggie. – Ale jego zięć? To uczciwa wymiana.

– Więc dlaczego zabiłaś Pippę? – odzywa się Jamie.

Do tej pory stał jak skamieniały kilka metrów dalej i milczał. Romilly niemal o nim zapomniała, tak bardzo była skupiona na swojej przyrodniej siostrze i nożu w jej dłoni. Ale teraz ogląda się przez ramię.

Twarz Jamiego ma dziwny wyraz – zmarszczone czoło, ściągnięte brwi, oczy utkwione w Maggie. Z jego gardła wydobywa się głuchy warkot:

– Dlaczego Pippa? Dlaczego inne ofiary?

Maggie patrzy na niego z drwiącym uśmieszkiem.

– Bo tego chciał Elijah. Dwudziestu ofiar.

Romilly nadal nie pojmuje, o co chodzi. Jej ojciec chce śmierci dwudziestu osób? Ale dlaczego? I dlaczego akurat tych osób?

– Aresztujcie mnie. – Maggie wyciąga ręce przed siebie, ale nie wypuszcza noża. Romilly stoi nieruchomo i widzi, że Jamie również się waha, bo podejrzewa podstęp. – Zakujcie mnie w kajdanki, zamknijcie w celi. A potem ktoś orzeknie, że jestem stuknięta. Że mam nierówno pod sufitem. Wyjdę na wolność. Kilka lat w szpitalu psychiatrycznym i wypuszczą mnie wcześniej po cięciach budżetowych. Jednak doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co robię, kiedy zakradłam się do twojego domu – mówi, patrząc na Jamiego, a on zaciska szczęki. – Kiedy uderzyłam twoją żonę w głowę. Kiedy zawiozłam ją na Gloucester Road, powiesiłam na belce pod stropem i spuściłam z niej krew. Jak myślisz, sierżancie Hoxton, dlaczego w rzeźni wieszka się tak zwierzęce truchło?

Tego już za wiele. Jamie, który z każdym jej słowem dyszał coraz szybciej, kipiąc furią, w końcu nie wytrzymuje i rzuca się na nią. Jedną dłoń zaciska jej na gardle, a drugą chwyta za uzbrojoną rękę i wlecze ją niczym pies szmacianą lalkę w stronę krawędzi dachu. Nóż z brzękiem upada na beton, nogi kobiety odrywają się od podłoża, a ciało zawisa nad ulicą, na wysokości czterech kondygnacji. Zaparty nogami o niski murek, Jamie wychyla się nad przepaścią. Wystarczyłby jeden nieostrożny ruch, żeby obydwójce runęli w dół.

Maggie wydaje dziwny odgłos przypominający śmiech.

– Twoja żona wiedziała, że umrze – mówi głosem zdławionym w uścisku Jamiego. – Krzyczała i błagała...

– Ty... ty...

Jamie nie potrafi powiedzieć nic sensownego i zamiast słów z jego ust wydobywa się udręczony krzyk.

Romilly wyciąga z kieszeni telefon i wybiera numer alarmowy.

– Mówi doktor Romilly Cole. Jestem na dachu komendy policji z sierżantem Hoxtonem i nadkomisarzem Marshem. Potrzebne wsparcie, przyślijcie karetkę – informuje dyspozytora, który nie potrafi jej zrozumieć. – Tak, na dachu. Marsh jest ranny. Podejrzana tu jest.

Ani na chwilę nie odrywa wzroku od Jamiego i Maggie, którzy wiszą nad przepaścią. Jamiemu trzęsą się ręce.

Tak niewiele brakuje, by runęli w dół. Jeden nieostrożny ruch i obydwójce zginą. Jeden nieostrożny ruch i nigdy nie uda się odnaleźć Adama.

Rozdział 67

Dorwał ją. Trzyma kobietę, która zamordowała jego żonę. Zaciska dłoń na jej szyi i widzi, jak oczy wychodzą jej z orbit, a twarz staje się purpurowa. Nie jest w stanie myśleć, przepętnia go rozpalona do czerwoności furia.

Maggie patrzy mu w oczy. Jej ręce zwisają bezwładnie, nie próbuje się bronić.

– Twoja żona była taka piękna – odzywa się chrapliwym głosem.

W jego głowie pojawiają się migawki wspomnień. Pippa leżąca w łóżku obok niego, jej idealna biała skóra. Dotyk jej dłoni i leniwy uśmiech, gdy całował ją przed wyjściem do pracy. Było w niej tyle życia, tyle energii. Dlaczego nie zdołał jej uratować? Dlaczego nie zdążył na czas?

Chce, żeby Maggie zamilkła. Wychyla się kilka centymetrów dalej i wtedy słyszy za plecami głos.

– Ona właśnie tego chce! – krzyczy Romilly. – Ona chce zostać jedną z ofiar!

Jamie spogląda w dół. Upadek na beton z takiej wysokości to pewna śmierć. Widzi w dole kilka osób stojących z zadartymi głowami na chodniku. Słyszy okrzyki przerażenia.

– Przed śmiercią powtarzała twoje imię – szepcze Maggie.
– W kółko cię wołała.

Jamie czuje jej oddech, cierpką woń śmierci, która przyprawia go o mdłości. Jest mu niedobrze, ma skurcze żołądka, ale udaje mu się zapanować nad odruchem wymiotnym. Co ta kobieta zrobiła? Co zrobiła z Pippą i innymi ofiarami? Jakie cierpienia im zadała? Co zrobiła Marshowi, który leży nieruchomo kilka metrów dalej? Adamowi, który umiera samotnie, uwięziony nie wiadomo gdzie?

– Mówiła, że cię kocha. Wołała cię, ale nie przyszedłeś.

Tym razem omal jej nie puszcza. Mięśnie jego rąk omdlewają, czuje się słaby. Pippa przekonała się, że nie stanął na wysokości zadania. Umierała ze świadomością, że nie zdołał jej uratować.

– Połóż ją tutaj, proszę – odzywa się znowu Romilly. – Nie daj się sprowokować, bo jej właśnie o to chodzi. Ty, ona, Marsh i Adam. Ostatnia czwórka. Chce dobić do dwudziestu.

Jamie czuje, jak jego nogi wciskają się w niski ceglany mur. Jedyne rzecz, która chroni go przed upadkiem. Znów spogląda w dół. Jego życie bez Pippy, nędzna egzystencja, jest nie do zniesienia. Zasługuje na to, by runąć w dół razem z Maggie. Ponieść karę za swoją nieudolność.

– Umierała w bólu, sierżancie Hoxton – ciągnie Maggie. – Była przerażona. Cała we własnych rzygowinach, głównie i szczynach.

Jego rękę przeszywa skurcz. Zaczyna się trząść. Jak trudno byłoby się puścić i skoczyć? Zaczyna szlochać, łzy ciekną mu po policzkach. Jeden prosty ruch pozwoliłby mu dokonać zemsty. Może nawet znów zobaczyć Pippę. Usłyszeć jej głos, jej śmiech.

– Potrzebowała cię, a ty ją zawiodłeś.

– Jamie, nie rób tego! – odzywa się Romilly. – Co powiedziałaaby Pippa?

Jamie ogląda się przez ramię i widzi ją tuż obok. Wie, że nie zdołałaby go powstrzymać siłą; jest zbyt drobna i dużo słabsza od niego. A wystarczyłoby, żeby przestał się zapierać, żeby oderwał jedną stopę od podłoża.

Czuje na ramieniu jej dłoń, jej ciepły dotyk. To go powstrzymuje.

Słyszy w głowie głos Pippy. To jeszcze nie koniec. Każda myśl o niej wywołuje ból, który przeszywa jego rozdarte serce. Zatrzymaj się. Nie rób tego.

Z głośnym stęknieniem odpycha się kolanami od murku, odrzucając całe ciało do tyłu. Pociąga Maggie za sobą i ciska ją na beton. Z jej ust wydobywa się przeciągły jęk, który przechodzi w krzyk wściekłości i frustracji, gdy dociera do niej, że jest pokonana. Na dach wbiegają uzbrojeni mężczyźni w czarnych kombinezonach i przyciskają jej twarz do posadzki. Szczękają kajdanki.

Jamie leży na plecach. Nie może dłużej powstrzymywać płaczu. Czuje, że ciałem Romilly, która klęczy obok i trzyma go w objęciach, również wstrząsa szloch.

Kilka metrów dalej wokół Marsha tłoczą się sanitariusze, którzy gorączkowo próbują go ratować. Wykrzykują polecenia, podają sobie sprzęt.

Maggie wciąż miota się i krzyczy, kiedy dwaj funkcjonariusze prowadzą ją skutą w stronę drzwi.

– Zaczekajcie! – woła Romilly, po czym podbiega do nich i staje naprzeciwko morderczyń. – To już koniec. Powiedz, gdzie jest Adam.

Jamie unosi głowę i przygląda się im załzawionymi oczami. Czuje się całkowicie wyczerpany, jakby wszystkie siły uszły z niego, kiedy odepchnął się od krawędzi dachu. Widzi, jak kobieta, która zamordowała jego żonę, uśmiecha się ironicznie.

– Nic nie jest skończone.

– Nie wykonałaś zadania – mówi Romilly. – Zostały ci jeszcze cztery, ale już nigdy...

– Myślę, że mniej. – Maggie wskazuje głową na Marsha, który wciąż leży nieruchomo, otoczony przez ratowników. – Nie zapominajcie też o nadinspektorze Bishopie – dodaje, a jej słowa sprawiają, że wszyscy policjanci zastygają w bezruchu. – Gotowi na zabawę w chowanego? Czas start, sierżancie Hoxton.

Rozdział 68

Adam budzi się w ciemności. Od jakiegoś czasu na przemian traci i odzyskuje przytomność. Fale bólu napływają powoli, ogarniając jego kończyny. Cięży mu głowa. Zmusza się, by unieść powieki.

Jest sam.

Czuje zimno.

Jest mu tak straszliwie zimno.

Dookoła niego zastyga krew, ciemna i lepka jak smoła. Początkowo lała się z żył w jego przedramionach strumieniami, a przyspieszone tętno wzmagало krwawienie, ale teraz cieknie wolniej. Ciężkie krople spadają na podłogę. Miarowo. Nieprzerwanie.

Ile jeszcze mu zostało? Gdy wszystko spowija czerń, czas nie ma znaczenia. Patrzy, jak za deskami w oknach znika światło gasnącego dnia i zapada noc.

Nikt nie wie, gdzie jest.

Nikt go nie znajdzie.

Koniec jest już blisko. Czuje to. Wie, o czym świadczy to paniczne kołatanie serca. Oszołomienie. Pot stygnący na skórze.

Kap... kap...

Robi się coraz zimniej.

Jest zmęczony. Znów zamyka oczy i pochłania go ciemność.

Rozdział 69

Nadal nie wiadomo, gdzie jest Adam.

Ta myśl krąży po głowie Jamiego niczym mantra, która nie chce zniknąć.

Maggie trafiła do pokoju przesłuchań, ale nie powiedziała ani słowa. Nie ma też wieści ze szpitala na temat Marsha.

Jamie czuje się odrętwiały. Stoi naprzeciwko swoich ludzi, którzy milczą, czekając w napięciu. Gdy w końcu zabiera głos, informuje ich o najnowszych wydarzeniach w krótkich, treściwych zdaniach. Chciałby ich wszystkich posłać do domu, by spędzili wieczór ze swoimi rodzinami, by w gronie najbliższych znaleźli wsparcie i otuchę. Ale czeka ich jeszcze jedno zadanie.

Adam nadal jest zaginiony.

– Jak przeszukanie domu? – zwraca się do posterunkowego Lee.

– Technicy wciąż tam pracują. Ale na razie nie znaleźli niczego konkretnego.

Jamie już wie, że musi tam pojechać. Zobaczyć na własne oczy miejsce, w którym mieszkała morderczyni. A potem być może uda mu się uratować Adama.

W domu Maggie Clarke panuje niewyobrażalny bałagan i po przybyciu na miejsce Jamie zaczyna wątpić, czy ta wizyta na coś się zda. Ale mimo wszystko postanawia spróbować.

Wkłada kombinezon ochronny i gdy przestępuje próg, w nozdrza uderza go odrażający fetor. Zgnilizna i słodkawa woń rozkładu mieszają się z odorem przepoconych ubrań i ludzkich odchodów. Czuje się pewniej dzięki maseczce i rękawiczkom, gdy przyciskając ręce do piersi, wchodzi do środka.

Rozgląda się po wnętrzu. Na podłodze i wszystkich meblach walają się różne przedmioty. Przystaje w otwartych drzwiach frontowego pokoju. Jest zagracony jak cała reszta domu, ale nic szczególnego nie rzuca się w oczy. Wszystko świadczy jedynie o tym, że mieszkająca tu kobieta nie radziła sobie z życiem.

Jamie podnosi ciężki czarny but, który leżał w korytarzu, i obraca go w dłoniach. W grubym bieżniku tkwią drobne kamyki, odłamki szkła, błoto i piach. Z boku podeszwy wyczuwa coś lepkiego. Cofa dłoń i patrzy na ciemnoczerwoną plamę odcisniętą na rękawiczkę. Przejęty zgrozą, zamyka na chwilę oczy i ciężko przełyka ślinę. Nie myśl o tym, nie teraz, rozkazuje sobie, gdy podaje but jednemu z techników, który pakuje go do torebki na dowody.

Teraz musi skupić się na swoim zadaniu.

Wchodzi do kuchni, która wygląda jeszcze gorzej. To stamtąd dochodzi smród. Gruba warstwa brudu pokrywa podłogę, wszystkie blaty, krzesła i szafki. Nawet sufit jest brudny. Zdaje się, że w lodówce coś gnije. Wokół na linoleum rozlewa się wielka ciemna kałuża. Jamie robi niepewny krok w jej stronę, otwiera drzwi i zawartość żołądka podchodzi mu do gardła. Na półkach leżą plastikowe woreczki z krwią – pamiątki po ofiarach, jak przypuszcza. Niektóre przeciekają i strugi obrzydliwej gęstej mazi spływają na podłogę, gdzie

krzepną niczym zastygła lawa, która mieni się odcieniami czerni, szkarłatu i brązu.

Krztusząc się, Jamie z trudem powstrzymuje odruch wymiotny i szybko zatrzaskuje drzwi lodówki. Rozgląda się po kuchni. Omiata wzrokiem stosy talerzy i sztuców pokrytych pleśnią i zaschniętymi resztkami jedzenia. Podchodzi do stołu, na którym walają się kartki pokryte niechlujnym pismem. Pochyla się, by spojrzeć na jedną z nich, ale widzi pozbawione sensu zlepki słów. Urojenia. Bełkot. Obraz zaburzonego umysłu.

Jamie ma już dość. Na samą myśl o tym, co robiła Maggie, ogarnia go przerażenie. Szybkim krokiem wychodzi na zewnątrz. Romilly czeka na niego za biało-niebieską taśmą.

– Jakież tropy? – pyta.

– Nie wiem. W każdym razie nic oczywistego. Nie chcesz tam wchodzić. Ta kobieta... to wszystko... jest pojebane.

Romilly spogląda w stronę domu. Na jej pobladłej twarzy maluje się wyraz troski. Jamie doskonale wie, co dzieje się w jej głowie.

Nadal nie wiadomo, gdzie jest Adam.

– Wracam szukać dalej – mówi.

– Idę z tobą – odpowiada Romilly.

Jamie waha się. Chce jej to wyperswadować, ale odpuszcza. Złamali już tyle zasad, że jeszcze jedna nie robi różnicy. A co dwie głowy, to nie jedna.

– Włóż kombinezon – odzywa się po chwili.

Nie ma ochoty wchodzić znowu do środka, okrąża posesję i otwiera furtkę na tyłach domu. Romilly niepewnie idzie za

nim. Przecinają niewielki trawnik, kierując się w stronę szopy stojącej w głębi zaniedbanego ogrodu. Drewniany budynek ma tylko jedno okno. Jamie popycha drzwi, ale są zamknięte na kłódkę, więc przykłada dłoń do szyby i przyświecając sobie latarką, zagląda do wnętrza. Niewiele udaje mu się zobaczyć. Metalowy regał, skrzynki, narzędzia rozrzucone w nieładzie. Czarny kombinezon piankowy wiszący na ścianie. Kamizelka ratunkowa i kilka zwojów ciemnozielonej liny.

Romilly również stoi z twarzą przy szybie i mrużąc oczy, lustruje wnętrze szopy.

– Nie wiem, gdzie w tym wszystkim jest jakiś trop – zwraca się do niej Jamie, odchodząc od okna. – Tyle śladów, a tak mało czasu...

Zaczyna się trząść z napięcia. Jest o krok od ataku paniki. Ma wrażenie, że zaraz się udusi w kombinezonie ochronnym, czuje na twarzy własny oddech i robi mu się gorąco. Zrywa maseczkę i łapczywie wciągając powietrze, osuwa się na trawę i opiera głowę na kolanach. Romilly siada obok niego i kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – pyta cicho, a Jamie kręci głową, po czym ściąga foliowy kaptur i nerwowo przeczesuje włosy palcami. – Na grillu z okazji moich urodzin. Które to były? Chyba trzydzieste pierwsze albo trzydzieste drugie. Byliśmy kilka lat po ślubie i Adam opowiadał mi o nowym posterunkowym, który właśnie dołączył do wydziału zabójstw. Gdybyś był kobietą, miałabym powód do zazdrości. Mówił o tobie tak, jakby spotkał swoją bratnią duszę.

Jamie milczy. Nie jest pewien, dlaczego Romilly dzieli się z nim tym wspomnieniem. Jej słowa tylko pogłębiają w nim poczucie klęski – Adam tak bardzo na niego liczył, a on go zawiódł.

– Zaprosił cię wtedy wraz z połową zespołu i okazałeś się zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam – dodaje Romilly.

Jamie podnosi głowę i spogląda jej w oczy.

– A jak mnie sobie wyobrażałaś?

– Sama nie wiem... Że będziesz taki jak on? Charyzmatyczny i pewny siebie. A ty nie mogłeś bardziej różnić się od niego.

– To nie jest budujące, Rom...

– Nie, miałam na myśli coś innego. Adam potrzebował właśnie kogoś takiego jak ty. Był wtedy za bardzo wyluzowany, a ty trzymałeś go w ryzach i dbałeś o to, żeby się skupił – wyjaśnia Romilly z łagodnym uśmiechem. – Adam jest świetnym gliną dzięki tobie.

– Bzdura...

– Właśnie że nie. Jesteś tak samo inteligentny i pracowity, ale spokojniejszy, bardziej opanowany. I teraz dasz radę. Znajdziesz go.

Jamie wzdycha ciężko. Wciąż jest załamany po stracie żony.

– Tego dnia poznałem Pippę – mamrocze.

– Naprawdę?

– Tak, na tym grillu. Pamiętasz tę okropną plażę? Cholerne mewy ciągle próbowały kraść nam bułki, a wiatr sypał piachem... – Jamie nagle zawiesza głos i spogląda w stronę szopy, w której przed chwilą zobaczył kamizelkę ratunkową.

Przypomina sobie dowody zabezpieczone na dzikim wysypisku pod mostem. Ślady soli na kocu. Nylonowe włókna.

– Ofiary były więzione nad morzem – odzywa się powoli.

Romilly wbija w niego wzrok.

– Ale gdzie?

– Pomyślmy logicznie. Maggie musiałyby mieć dużą szopę albo magazyn. Dotarła tutaj szybko, więc to jest w miarę blisko. Ale na uboczu, gdzie nikt by jej nie przeszkadzał.

Jamie wyjmuje telefon i dzwoni do Tima Lee.

– Sprawdź jeszcze raz tę furgonetkę w systemie rozpoznawania tablic – mówi, gdy tylko posterunkowy odbiera połączenie. – Szukamy czarnego transportera jadącego na wybrzeże. – Spogląda nad ramieniem siedzącej obok Romilly, która na ekranie swojej komórki otworzyła mapę. – A dwadzieścia siedem w kierunku Swanwick. A trzysta dwadzieścia sześć w kierunku Calshot. M dwadzieścia siedem w kierunku Hamble.

– To nam zajmie kilka godzin – zauważa Lee.

– Wykonać! – rozkazuje Jamie podniesionym głosem, chociaż wie, że posterunkowy ma rację.

Nie mają aż tyle czasu. Potrzebują czegoś, co zawęzi obszar poszukiwań.

Wstaje z trawnika i rusza w stronę domu, wciąż trzymając telefon przy uchu. Wchodzi do sieni i rozgląda się uważnie. Jeden z butów technicy zabrali już do analizy, ale drugi wciąż leży na podłodze. Jamie podnosi go, wydłubuje tkwiący w bieżniku kamyk i bacznie mu się przygląda. Jest to kawałek krzemienia, odłupany od większej całości, ale widać na nim

ślady erozji. Ma wygładzone krawędzie, jakby przez wieki obmywały go fale.

– Szukamy kamienistej plaży – mówi do posterunkowego i nagle przypomina mu się logo na bluzie złożone z dwóch trójkątów. – I jakiegoś klubu żeglarskiego – dodaje.

Na linii zapada cisza przerywana jedynie cichymi trzaskami zakłóceń, a potem znów odzywa się Lee.

– Calshot – wypowiada tylko jedno słowo.

Jamie wypada z domu, biegnie do samochodu, by jak najszybciej wydać dyspozycje przez radio. Wszystko układa się w spójną całość. Ślady soli morskiej na kocu. Włókna liny. Zamknięty na zimę klub żeglarski.

Spogląda na zegarek. Dziesiąta wieczorem. Od porwania Adama minęło ponad dwanaście godzin.

Musi dostać się do Calshot. I to szybko.

Rozdział 70

W drodze Jamie dostaje potwierdzenie – kamery monitoringu zarejestrowały czarną furgonetkę, która zajechała przed hangar na łodzie w przystani na północnym krańcu cypla. Położony na odludziu i opustoszały. Idealne miejsce do celów Maggie.

Kilka radiowozów jadących na sygnale zatrzymuje się z piskiem opon. W przystani nie ma żywego ducha. Czarna woda pluszcze o nabrzeże, w hangarze panuje cisza, powietrze jest nieruchome. Oddział interwencyjny w czarnych kamizelkach kuloodpornych jest gotowy do akcji, ale Jamie nie może się powstrzymać. Pieprzyć procedury, pieprzyć ocenę ryzyka. W środku jest jego przyjaciel.

Pędzi ile sił w stronę budynku, a jego buty dudnią na drewnianym pomoście. Za plecami słyszy krzyki uzbrojonych policjantów, spłoszone mewy trzepoczą skrzydłami.

Pierwsze drzwi są zamknięte na klucz, ale jeden z funkcjonariuszy wyłamuje je bez trudu. Za nimi znajduje się przestronna hala z rampą do wodowania łodzi. Następne drzwi nie stawiają oporu. Jamie przestępuje próg i zatrzymuje się oszołomiony. Potem rusza dalej. Sięga do wiszącej pod sufitem gołej żarówki, przekręca ją w oprawie i światło zalewa niewielkie pomieszczenie o ceglanych ścianach. Inny funkcjonariusz, nie zważając na procedury, zrywa deski

zasłaniające jedyne okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Na środku pokoju siedzi Adam. Ręce i nogi ma przywiązane do ciężkiego drewnianego fotela, nie rusza się, a jego głowa zwisa bezwładnie na piersi.

Wszędzie jest pełno krwi.

Jego koszula i dżinsy przesiąknięte krwią są prawie czarne. Wokół niego rozlewa się wielka czerwona kałuża, cała betonowa posadzka jest upstrzona krwawymi rozbryzgami. Na czole po lewej stronie ma paskudną ranę, a zakrzepłe strużki krwi znaczą jego twarz i szyję. A jego ręce... Jamie zszokowany zakrywa usta dłonią. Skórę na przedramionach Adama pokrywają gęsto głębokie nacięcia. Niektóre jeszcze krwawią. W jego bosych stopach tkwią dwie grube igły.

Za plecami Jamie słyszy trzask krótkofalówki.

– Znaleźliśmy zaginionego. Nieprzytomny, oddycha, liczne rany. Potrzebna karetka, pospieszcie się.

Ratownicy otaczają Adama, krzątają się, wykrzykują polecenia. Jamie słyszy, jak rozmawiają półgłosem o kaniulacji – po chwili zastanowienia decydują się wykorzystać wenflony, które tkwią już w żyłach, i podłączają do nich saszetki z przezroczystym płynem.

Adam wciąż nie odzyskuje przytomności. Jamie stoi odrętwiały i obejmuje ramieniem Romilly, która ciężko oddycha, z trudem powstrzymując panikę. Słyszy helikopter i po chwili do pomieszczenia wpada jeszcze więcej ratowników. Trzymają plastikowe torebki z jasnoczerwonym płynem i zaczynają wtłaczać w żyły Adama życiodajną krew.

– On się obudzi, prawda? – szepcze Romilly.

– Tak – odpowiada Jamie, choć wcale nie jest tego pewien.

Widzi jednak, jak głowa Adama zaczyna się poruszać z boku na bok. Obejmuje Romilly jeszcze mocniej.

– Tak – powtarza. – Wszystko będzie dobrze. Wyjdzie z tego.

Ratownicy przemawiają do Adama, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Wymieniają torebkę z krwią na nową i opatrują rany na jego przedramionach. Adam trzyma już głowę prosto. Wygląda na oszołomionego i próbuje się skupić. Jeden z ratowników świeci mu w oczy małą latarką. Inny podchodzi do Jamiego i Romilly.

– Ma paskudny uraz głowy, choć po wstępnych oględzinach wygląda na powierzchowny – mówi. – Główny problem stanowi utrata krwi i skaleczenia na przedramionach. Dlatego jest w takim stanie. Dobrze, że go znaleźliście. Nie wiadomo, co mogłoby się stać.

Rozlega się jakiś hałas i ratownik ogląda się przez ramię. Adam jest już całkiem przytomny, jego ręce i nogi są wolne, ale wije się na krześle, przytrzymywany przez mężczyzn w zielonych uniformach. Romilly podbiega do niego.

– Adamie! – woła. – Adamie, przestań.

Jamie patrzy, jak Adam się miota, nie odrywając wzroku od igieł, które wciąż tkwią w jego żyłach. Jeszcze nigdy nie widział swojego przyjaciela w takim stanie. Takiej desperacji i przerażenia na jego twarzy. Zdaje sobie sprawę, że to coś więcej niż lęk wysokości czy strach przed pajakami. To głęboko zakorzeniona fobia, która przejmuje go zgrozą.

– Proszę, proszę... – jęczy cicho Adam. – Wyjmijcie je.

Romilly klęczy przed nim, ściska jego dłonie i patrzy mu w oczy.

– Dobrze, zrobię to – mówi. – Tylko siedź spokojnie.

Adam przestaje się ruszać, ale wciąż dygocze, łązy żłobią bruzdy w grubej warstwie brudu na jego twarzy. Zaciska mocno powieki, podczas gdy Romilly dezynfekuje jego skórę i kolejno usuwa wszystkie wenflony.

– Gotowe. Już ich nie ma.

Adam spogląda w dół. Chociaż widzi mnóstwo krwi i swoje okaleczone ręce, wyraźnie się rozluźnia. Pochyla się do przodu i pada w objęcia Romilly. Kładzie głowę na jej ramieniu, zamyka oczy i całkowicie nieruchomieje, a ratownicy wracają do opatrywania jego ran.

Jamiego ogarnia ulga. Odnalazł przyjaciela. Ocalił mu życie. Ale jednocześnie czuje niezadowolenie. Dlaczego poszukiwania jego żony nie zakończyły się tak pomyślnie? Dlaczego Pippa musiała umrzeć, a Adam żyje?

Odwraca się i wychodzi z hangaru na nabrzeże. Na pokrytej wodorostami kamienistej plaży panuje spokój, a ciszę zakłócają tylko krzyki mew i szum fal. Od przystani odchodzi kilka ścieżek i Jamie wybiera jedną z nich. Idzie szybko, z impetem uderzając stopami o ziemię, jakby chciał w ten sposób wyładować swój gniew. Ledwie odnalazł Adama, w pierwszym odruchu pomyślał, że powinien zawiadomić Pippę, zadzwonić do niej i powiedzieć, że jego przyjacielowi nic nie grozi. I to uczucie, które pojawiło się zaraz potem – kiedy uprzytomnił sobie, że jego żona nie żyje – było prawie tak samo bolesne jak za pierwszym razem. Wie, że tak już zostanie. Zaraz po przebudzeniu, gdy odruchowo będzie

szukał jej obok siebie. Gdy parząc herbatę, będzie wyjmował z kredensu tylko jeden kubek. Każdy zachód słońca, każde narodziny dziecka w gronie przyjaciół, każde ckliwe wspomnienie szczęśliwych chwil będzie przeżywał w samotności.

Nawet kiedy już wie, kto zamordował Pippeę, nie czuje ulgi, na którą liczył. Ta świadomość nie jest w stanie zwrócić mu żony, a jedynie podsycą jego gniew.

Zadzierą głowę i spogląda w bezchmurne nocne niebo, na gwiazdy, które świecą jasno, wyraźnie widoczne z dala od wielkomiejskiego blasku. Ten widok go uspokaja. Pippa wierzyła w Boga. Nie na tyle, by chodzić do kościoła, ale w trudnych chwilach modliła się po cichu. Była przekonana, że ktoś tam na górze wysłucha jej prośb. Jamie też na to liczy. Ma nadzieję, że jego żona zazna spokoju.

Bo przecież nad Adamem ktoś musiał czuwać. A może to tylko zasługa jego przyjaciela i dobra policyjna robota.

Jamie odwraca się i spogląda na przystań, gdzie wciąż migają niebieskie koguty radiowozów, a światło latarek przecina mrok. Prostuje się i po raz pierwszy od kilku dni znowu zaczyna myśleć o przyszłości. Uratował Adama. Jest dobrym detektywem. Cholernie dobrym. Doprowadzi to śledztwo do końca. Dopilnuje, aby Maggie Clarke trafiła do więzienia. A gdy sprawiedliwości stanie się zadość, wystąpi o awans.

Żona byłaby z niego dumna.

Rozdział 71

Adam nadal siedzi na zakrwawionym drewnianym krześle, do którego był przywiązany. Ma zamknięte oczy i maskę tlenową na twarzy. Obok klęczy Romilly i trzyma go za rękę. Słyszy rozmowy ratowników, którzy wciąż krzątają się koło niego. Domyśla się, że mają zamiar zabrać go do szpitala, i dzieli się z nim swoim spostrzeżeniem, lecz on przecząco kręci głową.

– Porozmawiaj z nim – zwraca się do Jamiego, który właśnie wchodzi z powrotem do hangaru. – Powinien go zbadać lekarz.

– Ty też jesteś lekarzem – mówi Adam.

– Odpowiedni specjalista. W szpitalu.

– Ona ma rację, stary – wtrąca Jamie.

– Proszę, pozwól się zbadać, jak należy – dodaje błagalnym tonem Romilly. – Spójrz na siebie. Przecież ty...

Urywa w pół zdania, ponieważ jest bliska płaczu. Tak niewiele brakowało, by go straciła, i nie zniosłaby, gdyby teraz coś mu się stało.

Adam wciąż siedzi ze zwieszoną głową, oczy same mu się zamykają, a każdy oddech kosztuje go wiele wysiłku. Jest osłabiony wskutek utraty krwi, która teraz wsiąka w posadzkę, krzepnie na jego ubraniu i lepi mu się do skóry.

– Musimy ją dorwać.

Jedną z informacji, które Adam przekazał tuż po odzyskaniu przytomności, było imię i nazwisko morderczynie. Nalegał, by ją ścigać, nie mógł wiedzieć, co się wydarzyło w komendzie.

– Już jest pod kluczem – zawiadamia go Jamie.

Adam patrzy na niego z niedowierzaniem i ściąga maskę tlenową.

– Macie ją? – pyta, a gdy przyjaciel kiwa głową, wyraźnie się rozluźnia. – Ale i tak nie pójdę do szpitala – dodaje, po czym przywołuje gestem ratownika, bierze od niego butelkę wody i pije łąpczywie. – Nie ma, kurwa, mowy.

– Ale potrzebujesz płynów, potrzebujesz krwi...

– Nikt nie będzie we mnie wbijał jebanych igieł! – krzyczy nagle Adam i cały sztywnieje.

– Dobra, w porządku. – Romilly może tylko sobie wyobrazić, jaką przeżył traumę, gdy musiał się zmierzyć ze swoim największym koszmarem, był uwięziony i nie wiedział, czy nadejdzie pomoc. – Ale zabierajmy się stąd, proszę.

Ratownicy przyglądają się zaniepokojeni, gdy Jamie i Romilly podpierają osłabionego pacjenta z obu stron i pomagają mu wstać. Adam początkowo z trudem utrzymuje równowagę, ale nabiera sił, gdy powłócząc nogami, kieruje się do wyjścia. Nadal ma bose stopy, jednak nie krzywi się z bólu, kiedy idzie ścieżką do samochodu. Gdy już siedzi na tylnej kanapie, wypija kolejny łyk wody, po czym odchyła głowę do tyłu i zamyka oczy. Jest blady, a jego skóra wydaje się wręcz przezroczysta w porównaniu ze śnieżnobiałym opatrunkiem na czole.

Jamie uruchamia silnik.

– No więc dokąd, szefie? – pyta.

Adam powoli unosi powieki.

– Do domu – szepcze i wyciąga rękę do Romilly. – Ty też jedziesz.

Romilly zdaje sobie sprawę, że przydałaby mu się opieka medyczna z prawdziwego zdarzenia. A przynajmniej powinien dobrze się wyspać. Chwyta oburącz jego dłoń i ściska mocno.

– No pewnie, że jadę – odpowiada z uśmiechem.

Rozdział 72

Adam czuje się okropnie. Głowa pęka mu z bólu, jest otumaniony i słaby jak dziecko. Próbuje rozluźnić mięśnie i uspokoić myśli, ale napięcie nadal go nie opuszcza. W jego żołądku wzbiera fala paniki, gdy przypomina sobie zimną posadzkę pod bosymi stopami, więzy na nadgarstkach i kostkach. Całkowitą bezradność i ostry ból, gdy igły przebijały mu skórę i zagłębiały się w żyłach. Mdłości, zawroty głowy i obrzydzenie na widok ciekącej krwi. Przerażającą świadomość, że nie może nic zrobić, aby to powstrzymać. Że jeśli pomoc nie nadejdzie, umrze na tym pustkowiu. W samotności.

Maggie dotrzymała słowa. Rozwścieczona zakneblowała go ponownie, owijając tak mocno taśmę wokół jego głowy, że poczuł ból w karku. Potem obróciła się w stronę rozłożonych na stole akcesoriów medycznych.

– Matka nauczyła mnie podstaw – powiedziała. – Jak zrobić zastrzyk i założyć wenflon. Jak udzielić pierwszej pomocy, a nawet trochę więcej. Myślała, że będę ratowała ludziom życie.

Wyjęła igłę ze sterylnej opakowania i zbliżyła ją do twarzy Adama. Jego serce zakołatało jak szalone, gdy wyobraził sobie ostry metal, który wdziera się w głąb jego ciała. Z całej siły zacisnął powieki. Weź się, kurwa, w garść, rozkazał sobie, ale na próżno.

– Opracowałam swoją metodę – mówiła dalej Maggie. – Sporo ćwiczyłam na innych. Wszystko zależy od warunków otoczenia i metabolizmu niedokrwionych tkanek, ale zakładam, że będziesz żył nie dłużej niż dobę. Myślisz, że ktoś zdąży cię znaleźć w tym czasie?

Zdąży. Na pewno zdąży, myśli Adam. Niezły miałeś tydzień, odzywa się ironiczny głos w jego głowie. Zobacz, ile osiągnąłeś. Rozwiązanie było tak blisko, a ty niczego nie zauważyłeś.

– Ale jeśli użyję tego – dodała Maggie – prawdopodobnie zostanie ci znacznie mniej czasu.

Adam uniósł powieki i zobaczył w jej dłoni skalpel, zaledwie kilka centymetrów od swojej twarzy. Światło żarówki odbijało się od lśniącej powierzchni metalu, zimnej i zabójczej. Nie mógł oderwać od niego oczu. Powiódł wzrokiem za jej ręką, gdy przyłożyła mu ostrze do przedramienia i znieruchomiła, żeby zaobserwować jego reakcję. Usiłował coś powiedzieć, choćby pokręcić głową, ale nie był w stanie nic zrobić.

Nagle poczuł przeszywający ból. Wszystkie mięśnie w jego ciele stężały, oddech uwiązał mu w piersi, a z rany pociekła krew. Z jego zakneblowanych ust wydobył się stłumiony krzyk pełen cierpienia, wściekłości i strachu.

Zamyka oczy, żeby odpędzić tamte wspomnienia. Nie może teraz o tym myśleć. Maggie zniknęła. Igiel już nie ma. Unosi rękę i delikatnie przesuwa dłonią po przedramieniu, żeby się upewnić. Rany pulsują boleśnie, ale na jego skórze nie ma nic oprócz nałożonych w pośpiechu opatrunków.

Spogląda na Jamiego, który z zaciętą, niemal pozbawioną wyrazu twarzą prowadzi samochód. Może tylko próbować sobie wyobrazić, jak czuje się jego przyjaciel, który ocalił mu życie. A on sprawił mu taki zawód. Nie może sobie tego darować.

Znów kręci mu się w głowie. Unosi butelkę do ust i wypija kolejny łyk. Jest nawodniony, a nawet przyjął dawkę cukru w postaci znalezionej w schowku batonika Mars. Każdy sposób jest dobry, żeby dostarczyć organizmowi niezbędne składniki odżywcze, bez konieczności... Byle tylko nie...

Romilly, która siedzi obok, dotyka jego dłoni i uśmiecha się do niego.

– Myślałam, że cię stracę – szepcze.

– Do tego potrzeba dużo więcej niż jakiejś wariatki o morderczych zapędach – odpowiada Adam.

Rozpiera się na siedzeniu i opuszcza szybę. Jest chłodno, a rześkie zimowe powietrze, które owiewa mu twarz, tchnie w niego życie. Cieszy go nawet blask latarni ulicznych, które podczas jazdy kreślą świetliste smugi na tle nocnego nieba.

Jest tutaj. Żywy. A Maggie Clarke już nikogo więcej nie zabije.

Dzień 9
Niedziela

Rozdział 73

Adam leży w swojej dawnej małżeńskiej sypialni w domu Romilly. Z pokoju gościnnego za ścianą dobiega pokrzepiająco głośne chrapanie Jamiego, a przez szczelinę między zasłonami wpada słabe poranne światło. Wstaje nowy dzień. Adam lubi to uczucie, które przynosi poranek; obietnicę czegoś dobrego. Nadzieję. Słyszy kroki na schodach, a po chwili otwierają się drzwi i na progu staje Romilly z tacą w rękach.

- Nie chcę słyszeć żadnych bzdurnych wykrętów – mówi.
- Musisz teraz dobrze się odżywiać i pić dużo wody.

Adam powoli siada na łóżku. Czuje, jak rany na przedramieniu naciągają się i pulsują przy każdym ruchu. W nocy, kiedy był już po kąpieli i włożył czyste ubranie, Romilly zmieniła mu opatrunki, dokładając wszelkich starań, by zrobić to bez użycia jakichkolwiek igieł. Oprócz sterylnych gazików wykorzystwała super glue i cienkie paski plastra, by złączyć ze sobą idealnie równe brzegi nacięć na jego skórze. Po tych zabiegach dzięki tabletkom przeciwbólowym Adam zasnął w ciągu kilku sekund. Zapadł się głęboko w całkowitą ciemność bez żadnych marzeń sennych; dwanaście godzin niebytu, co rano uznał za powód do zadowolenia. Jednak po

przebudzeniu wszystko go boli. Mięśnie, które tak długo były napięte, powoli się rozluźniają.

Opiera się na poduszce, a Romilly podaje mu miskę ciepłej owsianki. Je powoli, czując na sobie jej badawcze spojrzenie. Jest tak osłabiony, że oprócz tej mdłej papki nie byłby w stanie niczego przełknąć. Wspomina poprzedni wieczór. Zmęczone oczy Jamiego. Swoje próby wyparcia tego, co właśnie przeszedł. Starania Romilly, która usiłowała przekonać ich obu, by skorzystali z pomocy medycznej. Jednak jego przyjaciel nie doznał żadnych obrażeń, a on nie chciał słyszeć o wizycie w szpitalu. Mimo to wie, że obaj długo będą dochodzić do siebie po doznanych urazach psychicznych.

Od Jamiego dowiedział się, co spotkało Marsha. W milczeniu czekali na wieści, które wkrótce nadeszły – ich szef zmarł. Stracił mnóstwo krwi, gdyż wbity w plecy nóż uszkodził serce. Nie udało się go uratować. Wszyscy, włącznie z jego rodziną, otrzymali oficjalny komunikat: *Detektyw nadkomisarz John Marsh nie żyje. Zginął na służbie.*

Adam długo wpatrywał się w tę wiadomość na ekranie swojej komórki. Choć Marsh wiele dla niego zrobił i zawsze go wspierał – nie tylko jako zwierzchnik, ale również mentor i przyjaciel – nie spodziewał się, że kiedykolwiek pozna jego imię.

Zdaje sobie sprawę, że jeszcze wiele zostało do zrobienia. Maggie usłyszała zarzut wielokrotnego morderstwa i czeka w areszcie na posiedzenie sądu. Niemniej przygotowanie aktu oskarżenia będzie wymagało wiele żmudnej pracy – przedstawienia dowodów, oceny stanu zdrowia psychicznego, przesłuchań. W każdym razie to już nie jego zmartwienie – on

jest teraz ofiarą. Będzie musiał złożyć zeznania, które staną się częścią materiału dowodowego.

– Pójdiesz? – odzywa się cicho Romilly, wyrywając go z zamyślenia.

Adam spogląda na nią i odstawia miskę. Opuszcza go apetyt, kiedy przypomina sobie o przystanej poprzedniego wieczoru proście. Doktor Elijah Cole chce z nim rozmawiać. Tylko z nim. Sam na sam.

W komendzie toczyły się zażarte dyskusje. Czy powinni spełniać życzenie mordercy? Czy to jest bezpieczne? Czy warto ryzykować, nawet za cenę informacji o istotnym znaczeniu dla sprawy? W końcu zapadła decyzja. Wszystko zależy od Adama. Jest oficerem wydziału zabójstw, a także ofiarą. Ostatnie słowo należy do niego.

On jednak nie musiał się długo namyślać.

– Tak – odpowiada. – Dla własnego spokoju. Muszę się z nim spotkać i usłyszeć, co ma do powiedzenia. W przeciwnym razie zawsze będę się nad tym zastanawiał.

Romilly wzdycha przeciągle, zaciska usta i spuszcza wzrok. Zaczyna dygotać i sprawia wrażenie, jakby miała się rozplakać.

– W porządku – mówi. – Ale najpierw musimy porozmawiać. I zaangażować w to jeszcze kogoś.

Rozdział 74

Było ich cztery. Cztery zamordowane kobiety. Grace, Rebecca, Claire i Nicola. Nie wiedziała, jak mają na imię, dopóki ich roześmiane twarze nie pojawiły się na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju. Wcześniej mogła co najwyżej rozróżniać je po krzykach i płaczliwych błaganiach. Po śladach, które zostawiały na trawniku, wczepiając się palcami w darnń, gdy Elijah włókł je do szopy.

Romilly siedzi w przytulnym salonie, w kominku buzuje ogień, a obok chrapie czarny labrador. Kobieta obejmuje dłońmi kubek herbaty, ale nie unosi go do ust.

Naprzeciwko niej siedzi emerytowany detektyw i łąwi każde jej słowo z wyrazem skupienia na twarzy. Jest starszy, niż przypuszczała, ale od tamtego czasu minęło ponad ćwierć wieku. Musi być po sześćdziesiątce. W fotelu obok Adam słucha w milczeniu. Na jego poblądłej twarzy widać ślady niedawnych przejść – zielonkawy siniak na czole wokół świeżej przekrwionej rany.

W nocy Romilly słyszała, jak mamrotał przez sen, obracając głowę z boku na bok, jakby chciał się wyrwać z uścisków przerażającego koszmaru. Rano powiedział, że niczego nie pamięta, ale mu nie uwierzyła.

Teraz jednak chodzi wyłącznie o nią.

– Wiedziałam, co się tam dzieje. A pan zdawał sobie z tego sprawę, sierżancie, prawda? – mówi, a Shepherd wolno kiwa

głową. – Odkryłam to, kiedy porwał tę drugą. Rebecę? Chyba tak miała na imię? Usłyszałam jego samochód i odgłos otwieranej bramy.

Pamięta tamtą noc aż nazbyt wyraźnie. Ogród w blasku księżycy wyglądał jak oświetlona scena. Zobaczyła ojca, który niósł coś na ramieniu. Jakiś duży nieporęczny pakunek. I wtedy zobaczyła, że to coś ma głowę. Długie włosy. Miotło się gwałtownie, ale ojciec trzymał mocno. Wszedł do szopy i zamknął za sobą drzwi. Romilly czekała, ale już się nie pojawił, więc zdezorientowana poszła spać.

Rano była przekonana, że to wszystko jej się przyśniło. Ojciec siedział przy stole, na którym jak zwykle stały kubek z kawą i płatki śniadaniowe.

– Wychodziłeś dziś w nocy? – spytała.

Spojrzał na nią.

– Dlaczego tak myślisz?

Nie zaprzeczył.

– Wydawało mi się... – Przerwała i pokręciła głową. – Nieważne.

Ale nie dawało jej to spokoju przez cały dzień. Po powrocie ze szkoły podeszła do szopy i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, że Elijah je zamyka. Próbowwała zajrzeć do środka, ale okna były zasłonięte deskami. Nasłuchiwała przez chwilę. Cisza. Ze zmarszczonym czołem wróciła do domu.

Od tamtej pory czuwała w nocy. Ojciec chodził do szopy, ale zawsze był sam. Wracał po kilku godzinach, wolnym krokiem, rozluźniony.

– Co robisz tam w ogrodzie? – zagadnęła go kiedyś.

– Majsterkuję. W drewnie.

– A dlaczego zamykasz szopę?

Ojciec chwycił jej dłonie i ścisnął tak mocno, że skrzywiła się z bólu.

– Nie chodź tam nigdy, słyszysz? – wysyczał, po czym dodał łagodniej: – Trzymam tam ostre narzędzia. Mogłabyś sobie zrobić krzywdę.

Ale to nie jej działa się krzywda.

Kolejna kobieta, którą przywiózł, miotła się i krzyczała, kiedy niósł ją przez trawnik. Ugryzła go, wyrwała się i zaczęła uciekać. Była już w połowie drogi do bramy, kiedy ją dogonił, złapał za włosy i powalił na ziemię. Potem uderzył ją kilka razy pięścią, aż straciła przytomność. Romilly przyglądała się temu, zaciskając kurczowo palce na krawędzi parapetu. Patrzyła, jak ojciec niesie bezwładne ciało i zamyka za sobą drzwi szopy.

Wciąż stała przy oknie i czekała na niego, gdy wyszedł godzinę później. Ruszył w stronę domu, ale w połowie trawnika przystanął, jakby poczuł na sobie jej wzrok. Uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

Romilly wydała zduszony okrzyk, uciekła do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę. Roztrzęsiona, słyszała trzask zamykanych drzwi na dole, kroki na schodach i skrzypienie zawiasów. Potem poczuła, jak materac ugina się pod jego ciężarem, gdy usiadł obok niej.

Usłyszała, jak wypowiada jej imię, lecz nadal leżała nieruchomo. Zaczął powoli ściągać z niej kołdrę i wtedy

spojrzała na niego wielkimi z przerażenia oczami. Zastłony w oknach były rozsunięte i słaba księżycowa poświata padała na jego twarz. Policzki miał brudne od błota i czegoś jeszcze, o czym bała się myśleć.

– Romilly, co widziałaś?

Energicznie pokręciła głową.

– Nic.

– Widziałaś mnie z tą dziewczyną, prawda? – powiedział i nie czekając na odpowiedź, dodał spokojnym tonem: – No cóż, w porządku. Teraz od ciebie zależy, co będzie dalej.

– Ode mnie? – wyjąkała.

Elijah pokiwał głową.

– Jesteś wystarczająco duża, żeby samodzielnie podejmować decyzje. Wiesz, co widziałaś, i teraz możesz zawiadomić policję. Niech mnie aresztują. Tak powinnaś postąpić, czyż nie?

Jego słowa brzmiały jak sprawdzian. Romilly milczała. W końcu ojciec lekceważąco wzruszył ramionami.

– Ale co by się stało z tobą? Dokąd byś poszła?

Na to pytanie znała odpowiedź. Nieraz opowiadał jej przy stole o biednych dzieciach, które nie miały gdzie mieszkać. Trafiały do miejsc, gdzie były bite i maltretowane. Musiały sypiać w zimnych wieloosobowych salach. Mimo że miała tylko jedenaście lat, musiała słuchać mrozących krew w żyłach historii o imprezach, na których miłośnicy małych dziewczynek płacili za pieprzenie i obmacywanie młodych delikatnych ciał.

– Do przytułku – mruknęła.

– A tego nie chcesz, prawda? – spytał, a ona pokręciła głową. – W takim razie co zamierzasz zrobić?

– Milczeć.

– Udawaj, że nic się nie stało – powiedział stanowczo.

Wstał i przyglądał się jej przez chwilę, a potem nachylił się i pocałował ją w czoło.

Od tej pory co noc Romilly leżała z zamkniętymi oczami. Nie wyglądała przez okno, gdy trzaskały drzwi samochodu albo chrzęścił szpadel wgrzyzający się w ziemię. Ale w snach słyszała ich krzyki. Podświadomość niestrudzenie podsuwała jej obrazy uwięzionych kobiet. Nieprzytomnych i martwych. O całej reszcie nie miała pojęcia. Była jeszcze dzieckiem. Nie słyszała o gwałtach analnych i oralnych, fistingu i penetracji ciałami obcymi. O nadgarstkach i kostkach tak mocno otartych przez więzy, że w zakażonych ranach legły się larwy. O kobietach tak udreńczonych torturami, że popadały w katatonię.

Elijah drażnił się z nią.

– Dobrze spałaś tej nocy? – pytał przy śniadaniu.

– Tak, tato.

– Nic cię nie obudziło?

– Nie, nic.

Romilly opowiada, trzymając w dłoniach kubek wystygłej herbaty. Labrador wstaje z posłania przy kominku, podchodzi i kładzie jej łeb na kolanach. Patrzy na nią brązowymi przenikliwymi oczami, a ona głaszcze go po miękkim futrze i dopiero wtedy czuje łzy na policzkach.

Spogląda na Adama, który ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku. Nie potrafi odgadnąć, co dzieje się teraz w jego głowie. Tuż po ślubie zastanawiała się, czy mu powiedzieć. Ale jak by zareagował? Co by zrobił, dowiedziawszy się, że jego świeżo poślubiona małżonka była zamieszana w zbrodnię swojego ojca? Bała się, że go straci. Teraz też się boi, ale już nie może dłużej wytrzymać. Dusić w sobie tej mrocznej tajemnicy.

– Co się wtedy stało? – odzywa się Adam chrapliwym głosem.

Wiedziała, że klucze są sprawdzianem. Leżały na kuchennym stole, kiedy wróciła ze szkoły. Ojciec nie był nieostrożny. Nie był głupi. Podniosła je i zważyła w dłoni. W sumie pięć kluczy różnych rozmiarów. Odłożyła je z powrotem na blat, po czym znieruchomiła i spojrzała na szopę.

W zeszłym tygodniu odbył się kolejny pogrzeb. W głębi ogrodu pojawił się jeszcze jeden kopczyk zruszanej ziemi.

Bez namysłu chwyciła znowu klucze i szybko wyszła z domu. Drżącymi dłońmi wsuwała je do zamków jeden po drugim i obracała. Najpierw zewnętrzne drzwi. Klik, klik, klik. Potem wewnętrzne. Przejechała palcem po znakach wyrytych w drewnianej futrynie. XX, XIX i XVIII. Symbolizowały trzy martwe ofiary, ale wtedy tego nie wiedziała.

Nagle usłyszała szelest. Ciche stukanie w podłogę. Czyjś gorączkowy szept, który przejął jej ciało chłodem. Zadrzała, lecz nie miała zamiaru się wycofać. Musiała wiedzieć. Odryglowała dwa ostatnie zamki i otworzyła drzwi.

Zanim cokolwiek zobaczyła, jej oczy przez kilka sekund przyzwyczajały się do panującego we wnętrzu mroku. Za to od razu poczuła odrażający fetor niemytych ciał i fekaliów. I coś jeszcze. Słodkawą woń śmierci.

Potem usłyszała słaby szept.

– Proszę...

Zamrugła, wyężając wzrok. W ciemności dostrzegła czyjąś sylwetkę. Nie, dwie postacie leżące blisko siebie na materacu.

– Ona jest chora. Trzeba ją stąd zabrać.

Kobieta spojrzała na nią i wolno podniosła się z podłogi. Zrobiła krok w stronę Romilly, napełniając ją przerażeniem.

Wyglądała nieludzko. Miała chude kończyny i przetłuszczzone włosy, a jej pociemniała twarz, w której jarzyły się białka oczu, wyglądała jak trupia czaszka. Sterczące kości policzkowe zdawały się przebijać napiętą skórę, a w ustach brakowało zębów. Całe jej ciało, na którym wisiały strzępy ubrania, było pokryte zakrzepłą krwią, brudem i nie wiadomo czym jeszcze. Metalowe okowy na nadgarstkach ograniczały jej ruchy, mimo to wyciągnęła przed siebie ręce w błagalnym geście.

Romilly odskoczyła do tyłu i znalazłszy się w przedsionku, zatrzasnęła z powrotem drzwi, naparła na nie całym swoim ciężarem i przekręciła klucz w zamku. Usłyszała błagalny głos po drugiej stronie, a potem łomotanie. Kobieta krzyczała, zawodziła histerycznie i prosiła ją, żeby zadzwoniła na policję.

Jednak Romilly nic nie zrobiła. Zamknęła dokładnie zewnętrzne drzwi, pobiegła do domu i odłożyła klucze na

miejsce. Kiedy ojciec wrócił wieczorem, wziął je do ręki.

– Byłaś tam? – zapytał.

– Nie – odparła.

– Co sprawiło, że w końcu zawiadomiłaś policję? – pyta sierżant Shepherd.

– Widziałam ją w snach. Zakrwawiona błagała mnie o pomoc. Budziłam się z krzykiem. I tak jest co noc od tamtego czasu.

Emerytowany detektyw kiwa głową z poważną miną.

– Byłam skołowana, kiedy mnie przesłuchiwaliście – ciągnie Romilly. Mówi coraz szybciej, jakby chciała wyrzucić z siebie informacje tajone przez lata. – Powiedziałam, że znalazłam klucze po powrocie ze szkoły. Ale przecież mogliście się zorientować, jak długo zwlekałam z zawiadomieniem policji. Dotarło do mnie, że spieprzyłam, dlatego kłamałam. Cały czas. Powtarzałam raz za razem, że nie wiedziałam, co robi mój ojciec.

– Ale wiedziałaś.

– Tak. O wszystkim. I nic nie zrobiłam.

W salonie panuje milczenie. Ogień w kominku zaczyna przygasać, ale nikt się nie rusza, żeby dorzucić drewna.

– Te kobiety umarły przeze mnie – dodaje Romilly.

– Nie – odzywa się nagle Adam stanowczym tonem. – Miałaś tylko jedenaście lat. Byłaś dzieckiem, przerażoną i zagubioną dziewczynką. Te kobiety umarły, ponieważ twój ojciec do tego doprowadził.

– Ale gdybym wcześniej zawiadomiła policję...?

– Może coś by to dało. Ale byłaś w okropnym położeniu. Twoja matka umarła, miałaś tylko jego. I kochałaś swojego ojca.

Romilly znów zaczyna płakać.

– To prawda – przyznaje. – Ale może gdybym...

– Nadinspektor Bishop ma rację – wtrąca Shepherd. – Wiedzieliśmy, że kłamiesz. Staraliśmy się dociec prawdy, ale nie po to, żeby cię aresztować, nic z tych rzeczy. Próbowaliśmy ci pomóc. Nie chcieliśmy, żebyś została z tym piętnem na całe życie, bo sprawy tego rodzaju... – zawiesza głos i kręci głową – potrafią zniszczyć człowieka. Szczerze mówiąc, to cud, że twoje losy potoczyły się tak, a nie inaczej.

– Mam za sobą wiele lat terapii – odpowiada Romilly, śmiejąc się przez łzy.

Emerytowany detektyw zachowuje poważną minę.

– Była ci potrzebna – mówi, po czym nachyla się i chwytając jej dłonie. – Dziękuję, że do mnie przyszłaś. Że mi powiedziałaś.

– Wciąż o niej myślę. O tej kobiecie, którą tam wtedy widziałam. To była Grace, prawda? Grace Summers?

Sierżant Shepherd kiwa głową.

Romilly waha się przed kolejnym pytaniem. Zbiera się na odwagę. Ale teraz, gdy już wszystko z siebie wyrzuciła, może poznać odpowiedź.

– Wiadomo, kiedy umarła?

– Tamtej nocy. – Shepherd wzdycha ciężko. – Jak wykazała autopsja, zgon nastąpił między jedenastą a drugą w nocy. Uderzenie w głowę tępym narzędziem.

Romilly marszczy czoło.

– Ale to nie... To niemożliwe...

Milknie. Wszystko to wydarzyło się dawno temu, więc jej wspomnienia zatarły się z upływem czasu. Może się mylić. Pamięta, jak siedziała w ciemności i nasłuchiwała. Czekwała na odgłosy, które ją przerażały. Skrzypienie kuchennych drzwi, oddalające się kroki. Ale tamtej nocy ojciec został w domu.

Co prawda mógł zmorzyć ją sen. Elijah mógł wyjść inną drogą. Niemniej fakt pozostał faktem: Grace Summers nie żyła, ponieważ ona za późno zawiadomiła policję.

Emerytowany detektyw znów nachyla się w jej stronę.

– Proszę, spróbuj się od tego odciąć. Zaczynaj żyć. To jest szczęśliwe zakończenie, na które zasługujesz.

– I tyle? Nie będę aresztowana? Już po wszystkim?

Shepherd kiwa głową.

– Po wszystkim.

Romilly czuje ulgę, jakby pozbyła się przytłaczającego ciężaru. I wtedy uświadamia sobie, że nie jest taka jak ojciec. Nie jest jak przyrodnia siostra. Potrafi kochać, potrafi się troszczyć, jest zdolna do empatii. Owszem, jest trochę zagubiona, trochę popieprzona, ale kto by nie był w takich okolicznościach? Na myśl o tym, co zrobiła Maggie, ogarnia ją odraza. Była przerażona, gdy odkryła tajemnicę ojca. Jej reakcje są typowe dla każdego normalnego człowieka.

Nie jest morderczynią.

Spogląda na Adama i po raz pierwszy od kilku dni widzi uśmiech na jego twarzy.

Dzień 10
Poniedziałek

Rozdział 75

Śledztwo jest zakończone, a podejrzana siedzi w areszcie, wciąż jednak pozostaje wiele do zrobienia. Jamie wie, że nie powinien przychodzić do pracy. Powody wydają się typowe w takich sytuacjach – sprawa ma dla niego wymiar osobisty, zachodzi konflikt interesów i zbyt łatwo można by mu zarzucić manipulowanie dowodami. Jednak brakuje wyższych rangą funkcjonariuszy. Zwłaszcza teraz, kiedy zabrakło Marsha.

Śmierć nadkomisarza zaskoczyła cały zespół. Wszyscy zjawili się w komendzie, ale są przygaszeni i rozmawiają ściszymi głosami. Jamie nie może pozbyć się wrażenia, że ich szef zaraz wejdzie do sali, zażąda kawy i opieprzy jakiegoś posterunkowego, który jego zdaniem się obijał. Pomimo bezceremonialnego sposobu bycia John Marsh był wybitnym gliniarzem.

Pogrzeb ma się odbyć w przyszłym tygodniu. Jamie zamierza wziąć udział w uroczystości, podobnie jak większość jego kolegów. Wszyscy chcą oddać honory swojemu szefowi, ktoś jednak musi zostać na służbie. Poprzedniego dnia w komendzie zjawił się mąż nadkomisarza. Wysoki i szczupły jak Marsh, z zakolami i siwą brodą, stał w korytarzu ze zwieszoną głową i splatał dłonie,

układając je na różne sposoby, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Jamie aż nazbyt dobrze pamiętał ten stan ducha tuż po stracie kogoś bliskiego – rozpacz, oszołomienie, samotność – dlatego podszedł do niego, żeby się przywitać.

– Jestem sierżant Jamie Hoxton – przedstawił się, wyciągając rękę. – Pracowałem z pańskim mężem.

Mężczyzna uściśnął jego dłoń.

– Anthony Marsh-Beckett. John opowiadał o panu. Przykro mi z powodu pańskiej żony.

– Dziękuję – wymamrotał Jamie. Wciąż nie wiedział, jak reagować na wyrazy współczucia.

– Był pan tam? Kiedy zginął John?

– Tak. – Jamie nie wspomniał, że nie zwracał wtedy uwagi na Marsha, tak bardzo był zaślepiony furją; kiedy trzymał za gardło morderczynię swojej żony, myślał tylko o tym, by zadać jej ból, dokonać zemsty. – Był wspaniałym człowiekiem. Świetnym gliniarzem.

Marsh-Beckett przytaknął.

– Żył tą pracą.

– Wspomniał o panu i synach tamtego wieczoru – dodał Jamie, a mężczyzna energicznie uniósł głowę i wbił w niego wyczekujące spojrzenie. – Powiedział, że chce przejść na emeryturę, żeby spędzać z wami więcej czasu.

Anthony zaśmiał się gorzko.

– Nie wątpię, że poważnie miał taki zamiar, ale był policjantem z krwi i kości. Oszalałby, gdyby musiał siedzieć w domu.

Za ich plecami trzasnęły drzwi, rozległy się pospieszne kroki i obok nich pojawił się komendant. Na widok Jamiego stanął jak wryty.

– Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać, panie Beckett.

– Nie szkodzi – odparł Anthony z uśmiechem. – Sierżant Hoxton dotrzymywał mi towarzystwa.

Komendant posłał Jamiemu ostrzegawcze spojrzenie i odprawił go gestem dłoni. Bez wątpienia szykował się do dyplomatycznej rozmowy. Zapewne obawiał się pozwu i miał złe przeczucia związane z tym, że wysoki rangą oficer policji zginął w swoim miejscu pracy, i to z ręki poszukiwanej seryjnej morderczyni.

Jamie wzdycha i wraca myślami do papierkowej roboty. Trzeba jeszcze wiele zrobić, zanim Maggie Clarke będzie mogła stanąć przed sądem. Należy skatalogować dowody i dokładnie opisać każdy detal, aby przysięgli skazali ją bez cienia wątpliwości. A wątpliwości jest naprawdę sporo. Odcisk palca znaleziony na butelce w domu Wayne'a Oxforda przepadł, zniszczony w laboratorium. Ale nie brakuje innych, które Maggie zostawiła w pokoju Ellie Quinn albo w sieni Jamiego. Podobnie jest z próbkami krwi. Krew wielu ofiar znajduje się na ubraniach zabezpieczonych w domu Maggie, nie wspominając o makabrycznych pamiątkach w jej lodówce.

Technicy nadal przeczesują jej volkswagena transportera i z pewnością znajdą włosy, naskórek i inny materiał DNA. Maggie nawet nie starała się być ostrożna. Jamie przypuszcza, że tylko czekała na właściwy moment, żeby wypełnić swoją misję. Spełnić zachciankę Cole'a. Nie dbała o to, co stanie się z nią potem.

Wie, że dobry adwokat będzie zabiegał o uznanie jej za niepoczytalną. Będzie próbował dowieść, że ze względu na swój stan psychiczny nie była zdolna rozpoznać znaczenia czynów, które popełniała. I nietrudno w to uwierzyć. Jej psychika jest niewątpliwie chora, i to niezależnie od destrukcyjnego wpływu Cole'a, lecz w czasie, gdy mordowała swoje ofiary, chodziła do pracy i nikt nie zauważył niczego podejrzanego.

W rejestrze widzeń z Belmarsh jej nazwisko pojawia się raz za razem. Przez ostatnie pięć lat odwiedzała Cole'a co najmniej raz w tygodniu. Obsesyjna i pełna uwielbienia dla swego mistrza. Dlaczego nikt nie zwrócił na to uwagi? Ale nie była jedyna. Jamie przegląda listę leżącą przed nim na biurku. Kilku śledczych, którzy zajmowali się jego sprawą, adwokaci. Ich wizyty z biegiem czasu stają się coraz rzadsze. Następnie przewijają się nazwiska, których nie rozpoznaje. Sprawdza pierwsze z nich w policyjnej bazie danych. Żadnych wyników, więc wpisuje je w Google. Kilka przypadkowych trafień, a pod nimi link do strony true crime. A więc o to chodzi. Amatorzy niezdrowych emocji, którzy chcieli poznać swojego idola. Marszcząc czoło, Jamie sięga po długopis i robi notatkę dla kogoś, kto będzie badał ten wątek, aby się upewnił, czy nie ma sygnałów wskazujących na zagrożenie. Nie potrzebują więcej nawiedzonych akolitów.

Zaznacza jaskrawym markerem kolejne nazwisko, które wymaga sprawdzenia, gdy orientuje się, że ktoś stoi przy jego biurku. Unosi wzrok i mruga zaskoczony na widok nadinspektor Cary Elliott. Dotąd nie miał jeszcze okazji poznać tej otoczonej złą sławą bohaterki plotek z innej komendy.

– Wybacz, że przeszkadzam – mówi Cara łagodnym i pełnym smutku głosem. – Ale powiedzieli mi, że tu dowodzisz.

– Chyba tak. Z braku kogoś lepszego.

Po jej twarzy przemyka uśmiech.

– Przyszłam, żeby pomóc... no wiesz. Ogarnąć to śledztwo. Marsh... był dobrym szefem. Był dobry dla mnie. – Cara Elliott milknie, a w jej oczach wzbierają łzy. – Daj mi cokolwiek, proszę. Co tu masz?

– Rejestr widzeń z więzienia. Trzeba sprawdzić te nazwiska.

– Jasne.

Cara siada przy sąsiednim biurku i wyciąga rękę.

– Ale jako nadinspektor nie powinnaś ślęczyć w papierach.

– Dzisiaj mam wolne.

Jamie wręcza jej plik kartek. Nie ma ociągania. Nie ma prośby o kawę. Cara po prostu włącza komputer, loguje się do systemu i zaczyna stukać w klawisze. Pracuje wolno i metodycznie. Ciemne włosy ma starannie związane w kucyk, jest ubrana w wytarte džinsy i kraciastą koszulę, a na szyi ma cienki srebrny łańcuszek. Kiedy Jamie się jej przygląda, odnosi wrażenie, że wszystko z nią w porządku i wbrew plotkom, które słyszał, nie wygląda na wrak człowieka.

– Mogę ci zadać pytanie? – zagaduje. – Jak się pozbierałaś? Po tym wszystkim?

Nie musi nic więcej dodawać – nadinspektor Elliott wie, o co mu chodzi. Unosi głowę i spogląda na niego

jasnobrązowymi oczami, a potem znów wlepia wzrok w leżącą przed nią listę nazwisk.

– Chyba się nie pozbierałam – odpowiada po chwili. – Ale wróciłam do pracy. Nie utknęłam w miejscu. Pomyślałam, że jeśli nadal będę w ruchu, wszystko jakoś się ułoży.

– Ale się nie ułożyło?

Cara śmieje się cicho.

– Nie po czymś takim jak sprawa Echo Mana... Albo jak to, co macie teraz. Potrzeba dużo czasu, żeby przejść do porządku dziennego nad tym, że drugi człowiek jest zdolny do takich rzeczy. Że ma w sobie tyle nienawiści i zadaje innym tyle bólu. Zwłaszcza kiedy ma to dla ciebie osobisty wymiar. – Zerka na Jamiego. – Nie próbuj niczego przyspieszać, sierżancie Hoxton. Tyle mogę ci doradzić. Rozmyślaj, pozwól sobie na żałobę. Przeżyj i przepracuj wszystko, co się stało. I zachowaj dobre wspomnienia. Nasi bliscy znaczą więcej niż całe zło tego świata. Więcej niż wszystkie nieszczęścia, które nas spotkały. W końcu nie na darmo ich kochamy.

Jamie wie, że nie chodzi jej wyłącznie o Pippę.

– A jak teraz sobie radzisz, Caro? – pyta, ale kiedy widzi jej przeszywające spojrzenie, zaczyna się obawiać, że przesadził.

– Przepraszam, nadinspektor Elliott, nie powinienem...

– Nie, wszystko w porządku. – Cara uśmiecha się, tym razem cieplej, a wyraz jej twarzy się zmienia. – Po prostu nikt mnie o to nie pyta. Wszyscy wychodzą z założenia, że... Sama nie wiem co, szczerze mówiąc. Z początku było odrętwienie, a potem przyszedł gniew. Byłam wkurwiona na wszystko i na wszystkich. Właściwie nikogo nie powinno to dziwić, ale nie byłam przyjemna w obejściu. A teraz? Teraz mam nadzieję.

Mam nadzieję, że moje dzieci pozostaną nieświadome tego, co się wtedy wydarzyło. Że spokojnie prześpię całą noc. Mam nadzieję, że dobro w ludziach zawsze weźmie górę nad złem i że nadal będę w stanie wykonywać swoją pracę.

– Też mam taką nadzieję. Może nawet kiedyś spotkamy się przy wspólnym śledztwie.

– Może – odpowiada Cara z nieobecną miną, jakby wyrwana z transu. – A jak się miewa nadinspektor Bishop? Jest w domu czy w szpitalu?

– W domu. Dziękuję, dochodzi do siebie.

Cara kiwa głową, uśmiecha się i wraca do przeglądania listy.

Jamie nie wspomniał, że jego przyjaciel jest właśnie w drodze do Belmarsh. Zamierza odwiedzić człowieka, przez którego omal nie zginął, co raczej nie jest zalecane jako sposób na wychodzenie z traumy, ale Jamie go rozumie.

– A jeśli powie mi coś ważnego? – powiedział Adam zeszłego wieczoru, odnosząc się do jego obaw. – Może nie bez powodu chce się spotkać.

Rozmawiali, siedząc na sofie w domu Romilly, a w tle grał telewizor.

Jamie pokręcił głową.

– On tylko z tobą pogrywa. Chce ci namieszać w głowie.

– To niech próbuje. Ale i tak pójdę na wypadek, gdyby coś powiedział. Cokolwiek. Warto zaryzykować.

Jamie daje za wygraną – wie, że nie ma sensu się spierać z upartym szefem. Razem z Adamem wprowadził się do Romilly, która powiedziała, że może zostać u niej tak długo,

jak zechce. Jamie zdaje sobie jednak sprawę, że wkrótce zacznie im zawadzać. Będą potrzebowali tej przestrzeni tylko dla siebie. Nie ma ochoty wracać do domu. Mieszkać pod tym dachem, spać w tym łóżku... Zamierza sprzedać dom, zacząć powoli wszystko od nowa, bez Pippy.

A zatem na razie pomieszkuje z Adamem. Dbają o siebie nawzajem, chociaż żadnemu z nich męska duma nie pozwala się do tego przyznać. Towarzystwo Romilly też mu służy. Jamie cieszy się, że Adam do niej wrócił; ich związek zawsze miał w sobie symetrię, swoistą harmonię, której nie dało się wyjaśnić. Zeszłej nocy słyszał cichy szmer ich głosów przeplatany wybuchami śmiechu. Czuł wtedy bolesne rwanie w dole brzucha, przypominając sobie swoje szczęśliwe chwile, które odeszły bezpowrotnie.

Ale teraz skupia się na pracy. Przechodzi na kolejną stronę rejestru widzeń i zaznacza nazwiska do sprawdzenia. Zatrzymuje się przy jednym z nich, wydaje mu się znajome. Wpisuje je w Google i na monitorze pojawia się twarz popularnej aktorki. A więc ta kobieta nazywa się tak samo i tyle, mówi sobie, po czym zakreśla nazwisko i przechodzi do następnej pozycji. Jednak coś nie daje mu spokoju. Odkłada marker i marszcząc czoło, wpatruje się w listę odwiedzających. Skąd ją zna? Z akt jakiejś sprawy? Kiedyś sobie przypomni. Postanawia wrócić do tego później.

Jego komórka wydaje sygnał przychodzącej wiadomości. *Wchodzę tam* – pisze Adam. Jamie wyobraża go sobie, jak stoi przed bramą w wysokim ceglany murze i przygotowuje się na konfrontację z doktorem Cole'em. Seryjnym mordercą. Swoim teściem. Człowiekiem, który skazał go na śmierć w strachu, bólu i samotności.

Rozdział 76

Gdy Adam wchodzi do zimnego surowego pokoju widzeń, Elijah Cole siedzi już przy stole plecami do drzwi. Dwaj strażnicy stoją w przeciwległych kątach pomieszczenia i obserwują go uważnie. Inni niż poprzednim razem – Adam nigdy wcześniej ich nie widział.

Już po przekroczeniu progu zakładu karnego Adam zauważył, że coś się zmieniło. Wszystkich formalności dopełniono skrupulatnie, niczego nie pominięto. Wpłynęła skarga i z samej góry przyszły kategoryczne zalecenia. Cole stracił wszystkie przywileje, a kilku członków personelu wyleciało z pracy.

Więzień unosi głowę. Jest skuty i opiera ręce na stole, a metal kajdanek szoruje po laminowanym blacie. Napotyka spojrzenie Adama i na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Miło cię widzieć, nadinspektorze Bishop – mówi. – Jakoś tu cicho.

Adam siada powoli naprzeciwko niego. Ma wrażenie, że jego teść postarzał się dziesięć lat w ciągu trzech dni, które upłynęły od ich ostatniego spotkania. Cole wygląda na zmęczonego, ma zwiotczałą skórę, a pod lewym okiem świeży siniak i opuchliznę. Tym razem jest ubrany w typowy więzienny strój – rozciągnięte szare spodnie dresowe i taką samą bluzę. Przygaszony i sponiewierany, w niczym nie przypomina okrutnego seryjnego mordercy. Jednak Adam nie

potrafi wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia. Ostatniej nocy nie zmrużył oka i rozmyślał o czekającym go spotkaniu z człowiekiem, który ukartował cały ten potworny plan. Nie był pewien, jakiego zachowania może się po sobie spodziewać, ale teraz jest spokojny. Chce tylko usłyszeć odpowiedzi, a potem znaleźć się jak najdalej stąd.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta.

– Co takiego?

Adam wzdycha teatralnie, po czym opiera dłonie na stoliku, jakby szykował się do wyjścia.

– Dobra, dobra – mówi szybko Cole i przestaje się uśmiechać. – Chcesz rozmawiać, to porozmawiajmy.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Z nudów. Żeby zaspokoić sadystyczne skłonności. Bo mogłem? Zależy ci na zgrabnie przedstawionym motywie, tymczasem prawda jest o wiele nudniejsza. Sam nie znam odpowiedzi. Maggie zawsze była gotowa do działania i czekała na moje dyspozycje, więc wykorzystałem okazję, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Jak?

Cole obraca się w stronę strażnika, który spogląda na niego obojętnym wzrokiem.

– Moglibyśmy dostać coś do picia? – pyta. – Może kawy?

Strażnik spogląda na Adama, który przyzwalająco kiwa głową. Skazaniec uśmiecha się z zadowoleniem.

– Doskonale. Teraz możemy porozmawiać jak cywilizowani ludzie. – Obraca głowę w stronę drzwi i woła za

strażnikiem: – Tylko w porządnym kubku. Żadnego plastikowego badziewia.

– Opowiadaj dalej.

– Maggie była... Zawsze była podatna na wpływy. Wiele wycierpiała, kiedy matka ją porzuciła. Wiedziałaś o tym? – Elijah zawiesza głos w oczekiwaniu na odpowiedź, lecz Adam milczy, patrząc na niego beznamiętnie. – Zażądałem jej kartoteki, kiedy jeszcze praktykowałem w zawodzie. Że niby jako lekarz rodzinny muszę znać historię pacjentki. Gówniana wymówka, ale zadziałała. Czytało się to jak horror. Kiedy aresztowano jej zastępczych rodziców, miała całe ciało w siniakach. Ponad dwadzieścia zagojonych złamań. Głodzili ją, a kiedy narzekała, na siłę karmili ją solą. Celowo pozbawiali ją snu, zmuszając, żeby stała twarzą do ściany, aż padała z wyczerpania. Takie było jej dzieciństwo, a ludzie, którzy tak ją traktowali, wyjdą z więzienia przede mną, takie mamy popieprzone społeczeństwo.

Adam nadal nic nie mówi. Jest zdziwiony, że nawet sadystyczny morderca ma swoją moralność.

– Kiedy miała cztery lata, Sandra po raz pierwszy przyprowadziła ją do gabinetu – ciągnie Cole. – I od razu się zorientowałem. Czy dałoby się ukryć, kto jest jej ojcem? Daremny trud. Wyglądała jak Romilly w jej wieku. Była taką uroczą dziewczynką. Zagubioną i spragnioną miłości. Zauważyłem to i zaspokoilem jej pragnienie.

– Wykorzystywałeś ją?

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiada stanowczo Cole. – Nie jestem pedofilem. Ale bawiliśmy się razem w chowanego. Układaliśmy puzzle. Spędzałem z nią czas tak samo, jak

wcześniej z Rom. Jej zaburzenie przywiązania było tak silne, że nawet tak trywialne zabawy miały ogromne znaczenie.

Do pokoju widzeń wraca strażnik i stawia na blacie dwa kubki czarnej gorącej kawy.

– Dziękuję – zwraca się do niego Cole, po czym znów spogląda na Adama. – Już wtedy dostrzegałem u niej pewne objawy. Miała charakterystyczne urojenia świadczące o podatności na zaburzenia psychiczne. Była fascynująca. W tak młodym wieku potrafiła koncentrować całą uwagę na ludziach albo rzeczach. Szczerze mówiąc, to niebywałe, że tak długo udawało jej się zachowywać pozory normalności.

Adam przypomina sobie, co mówił mu Jamie o bałaganie panującym w domu Maggie.

– Nie wiem, czy jej się udawało – wtrąca. – Jak to odkryła? Że jesteś jej ojcem?

– Nie odkryła, ale zaprzyjaźniliśmy się, więc napisałem do niej z więzienia i przyszła mnie odwiedzić. W jej oczach było tyle miłości, tyle ufności. Nawet zanim jej powiedziałem. A potem poszło już z górki. Wiedziała, że w jej żyłach płynie moja krew, że ma wrodzoną skłonność do przemocy. Wystarczyło tylko wskazać jej odpowiedni kierunek.

Adam z trudem ukrywa obrzydzenie, ale musi poznać prawdę.

– Co się zmieniło?

– Zmarł jej przybrany ojciec. Przy nim znalazła stabilizację w życiu. To niewiarygodne, jak wiele może zmienić kochający rodzic. – Elijah przerywa i spogląda na Adama z uśmiechem.

– Ale pół roku temu zmarł nagle na zawał i wtedy Maggie zaczęła się rozpadać. Stałem się dla niej ważniejszy niż

kiedykolwiek. Byłem jedynym mężczyzną w jej życiu – mówi, po czym dodaje ze śmiechem: – Oprócz ciebie, rzecz jasna.

Adam prostuje się gwałtownie na krześle.

– Mnie? – warczy. – Co ja mam, kurwa, z tym wspólnego?

– Przekonałem ją, że mimo rozvodu Romilly nadal cię kocha. Że jeśli uwzględnimy ciebie w naszym planie, Maggie będzie mogła dokonać ostatecznej zemsty. Bo według niej jestem tutaj z winy Romilly. To przez Romilly nie możemy żyć razem na wolności.

Adam czuje wzbierającą falę obrzydzenia.

– Kazałeś jej zabić?

– Tak. I wskazywałem cele. – Cole unosi dłoń, pobrząkując łańcuchem kajdanek, i pokazuje na Adama. – Maggie zawsze miała obsesję na punkcie znaków. Skrawków informacji, za pomocą których wszechświat wskazywał jej drogę. Dzięki temu mogłem zrealizować swój plan.

– Ale dlaczego? – Adam z niedowierzaniem kręci głową; wszystko to wydaje mu się zbyt popieprzone, aby mogło działać naprawdę. – Dlaczego próbowałeś dojść do dwudziestu?

Elijah nie odpowiada na jego pytanie.

– Zrobiłeś to, czego się po tobie spodziewałem? – pyta. – Po naszym ostatnim spotkaniu?

Adam milczy. Wie, że Cole mówi o kartotekach swoich pacjentów, które są teraz przedmiotem osobnego śledztwa. Detektywi powoli analizują zawarte w nich informacje i sprawdzają akta pod kątem przyczyn zgonu.

– Szukamy – mówi.

Doktor z zadowoleniem kiwa głową.

– Wiedziałem, że tam pojedziesz. Do starego gabinetu. Wystarczyło, aby Maggie zaczekała.

– Na mnie?

– Tak, na ciebie. – Cole spogląda na przedramiona Adama, teraz zasłonięte rękawami koszuli. Wyciąga do niego dłoń, ale strażnik robi krok w jego stronę, powstrzymując go w pół ruchu. Elijah się uśmiecha, ma minę drapieżnika, któremu odebrano zdobycz. – Jak daleko się posunęła, Bishop? Z igłami i skalpelem? Krzyczałeś? Płakałeś, zanim nadeszła pomoc?

Adam czuje chłód, strach znowu przenika go do szpiku kości. Przypomina sobie połyskujące ostrze i zimny dotyk metalu na skórze.

– Skąd wiedziałeś?

– O twojej fobii? Maggie mi powiedziała. Po waszych rutynowych szczepieniach. Ale jak bardzo jesteś wrażliwy... Nie spodziewaliśmy się, że to tak dobrze zadziała. Spodobał mi się ten pomysł. Żaden ojciec nie przepada za swoim zięciem, prawda?

– Ale mało który skazuje swojego zięcia na śmierć w męczarniach! – krzyczy Adam, ale szybko się opanowuje. Zamyka oczy i powtarza sobie, że nie może dać temu człowiekowi satysfakcji i pokazać, jak wielki czuł strach. Że musi skupić się na tym, po co przyszedł. – Ile ich było?

Cole cicho chichocze.

– Boisz się, Bishop, że więcej niż trzy? Że byłem tak wydajny jak Shipman? Wiesz, jak długo byłem lekarzem, zanim mnie zamknęli?

Adam piorunuje go wzrokiem. Nie ma zamiaru wdawać się w gierki.

– Trzyście lat – mówi dalej doktor. – Wiesz, ilu ludziom w tym czasie pomogłem? Bo ja nie pamiętam. Ale musiały być ich setki. Może tysiące.

– No i co z tego?

– Na pewno przemawia to na moją korzyść.

– Nie zbierasz pieprzonych punktów do ułaskawienia! – wybuchają Adam, zszokowany tokiem rozumowania Cole'a. – Nie wypuszczą cię stąd, bo twoja diagnoza uratowała komuś życie. Wystarczyłoby, żebyś gwałcił, torturował i zamordował tylko jedną ofiarę, a już miałbyś pozamiatane.

– Być może. – Elijah nonszalancko przechyla głowę i zastanawia się przez chwilę. – Myślę jednak, że należy mi się trochę uznania. Mogłem zabić dużo więcej ludzi. Och, nie patrz tak – dodaje, kiedy widzi niedowierzające spojrzenie Adama. – Możesz spać spokojnie.

Unosi zaciśniętą dłoń, a potem zaczyna wymieniać nazwiska, przy każdym prostując palec.

– Ethel Grimshaw, Vera Fox i Fred Powell. W sumie trzy osoby, tak jak powiedziałem. – Wzrusza ramionami. – Ale szybko przekonałem się, że to nie moje klimaty. Zabiłeś kiedyś kogoś, nadinspektorze Bishop?

– Nie.

– A miałeś ochotę? Nie musisz odpowiadać. Wiem, że tak. Ale jesteś na to zbyt słaby. Musisz być twardy, żeby odebrać komuś życie.

– Kto był pierwszy?

– Joanna, matka Romilly – odpowiada Elijah i gdy widzi zaskoczenie na twarzy Adama, dodaje pospiesznie: – Ale to nie tak, jak myślisz. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem, więc się nie liczy. Byłem przy niej, kiedy umierała na raka, i zadbałem, żeby nie cierpiała. Pomogłem jej jako mąż i jako lekarz. Dopóki żyła, starałem się panować nad sobą i tłumić wszelkie żądze. Dla niej. Nie chciałem zniszczyć naszej rodziny, tak jak zrobił to mój ojciec.

– Zgwałciłeś Sandrę Poole.

– Ach, no tak. To drobiazg. Mogłem zrobić coś o wiele gorszego. Ale to napięcie, kiedy sprawiasz, że ktoś wydaje ostatnie tchnienie... jest doprawdy boskim doznaniem. Przez tę krótką chwilę czujesz się prawie jak Stwórca. Dlatego pomyślałem, że spróbuję jeszcze raz. Ale potem nie było już tak samo. Dawne odczucia wyblakły. Nie wiem, dlaczego Harold zadawał sobie tyle trudu. Gdzie tu zabawa?

Adam czuje obrzydzenie, słuchając tych potworności wypowiedzianych z taką beztroską. Widzi jednak, że Elijah chce mówić. Chociaż skręca go w żołądku, ma teraz okazję poznać zakres jego zbrodni i nie może zmarnować tej szansy.

– Ale te dziewczyny... – ciągnie Cole. – Dzięki nim odkryłem, co sprawia mi radość. Wcale nie ich przetrzymywanie czy zabijanie, tylko całkowita władza nad nimi. Ta wszechmoc była odurzająca. – Jego oczy połyskują, gdy zatracą się we wspomnieniach. – Były na krawędzi przetrwania, a ja decydowałem o ich życiu. O tym, co będą dla mnie...

– Więc dlaczego zostawiłeś te klucze?

– Żeby Romilly je znalazła? – Doktor parska śmiechem. – Chciałem się przekonać, na ile mogę sobie przy niej pozwolić. Okazało się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Moja mała Romilly dochowała tajemnicy. Byłem z niej dumny, że tak długo trzymała buzię na kłódkę.

– Romilly w niczym cię nie przypomina – syczy Adam przez zaciśnięte zęby. – Jest dobra i silna. Wie, ile zła wyrządziłeś, i przez całe życie próbowała to odpokutować.

– A nie zastanawiałeś się, na ile jest do mnie podobna? Co wzięło górę, natura czy wychowanie? Nie nurtuje cię to, kiedy myślisz o powiększeniu rodziny? Bo widzę, że znowu nosisz obrączkę. Nie mogłeś tak szybko się ożenić, więc to musi być symboliczny gest. No i brawo. Ale jeżeli coś się stanie, jeżeli wasze dziecko będzie miało wypadek, przewróci się, uderzy się w głowę, nie będziecie się zastanawiać? Bo ja się zastanawiałem. Nad sobą. Czytałeś którąś z tych książek o mnie i mojej przeszłości, kiedy poznałeś Romilly?

– Kilka.

– Kilka – powtarza Cole ze śmiechem. – Nie wątpię. Chłonałeś wszystkie informacje o swoim teściu i kobiecie, którą poślubiłeś. Ale większość z nich to bzdury. Pierdoły zmyślane pod publiczność.

– Chcesz powiedzieć, że miałeś idealne dzieciństwo? – pyta Adam kąśliwie.

– Oczywiście, że nie. Mój ojciec był sadystycznym pijakiem, a matka zabójczynią, ale jej akurat nie winię. Po tym, co wyprawiał z nią i ze mną... – mówi Cole niemal tęsknym tonem, a jego oczy spoglądają w dal. Z brzękiem łańcucha podwija rękaw bluzy, odsłaniając przedramię

pokryte małymi okrągłymi bliznami. – Dwudziestego każdego miesiąca przypadał dzień wypłaty. Zawsze. A wtedy ojciec się upijał. Brał pieniądze i szedł do pubu z kumplami. Wracał przed świtem, a jego krzyki słychać było już z daleka. Trzaskały drzwi, kiedy zamykał je kopniakiem. I wtedy zaczynała się zabawa, nadinspektorze Bishop. Dopiero wtedy.

Adam słucha go z takim przejęciem, że boi się nawet poruszyć.

– Ponieważ wszystko przepijał, matka miała się różnych dorywczych prac i robiła, co się dało, żeby nigdy nie zabrakło jedzenia. W kółko cerowała moje ubrania, ale jakoś dało się żyć. Baliśmy się tylko dnia wypłaty. Najpierw ojciec brał się do niej. Pamiętam jego ciężkie, powolne kroki na schodach i hałas, gdy wchodził do sypialni. Matka nigdy nie spała, czekała na niego. Wywlekał ją z łóżka, a ja uchylałem drzwi swojego pokoju i patrzyłem, jak ciągnie ją za włosy. Czasami zrzucał ją ze schodów i kopał na dokładkę. A ona zawsze starała się być cicho. Ze względu na mnie. Bo im głośniej jęczała, tym bardziej ją karał. Nie obudź sąsiadów, mówił. – Elijah przerywa i wypija spory łyk kawy. – W najlepsze dni ją gwałcił. Nawet jako dzieciak wiedziałem, co się dzieje. Ten rytmiczny stukot i jej stłumione krzyki. A jeśli był zbyt pijany i mu nie stawał, wtedy robiło się naprawdę źle. Kazał mi się ukryć, a potem liczył od dwudziestu w dół i szukał mnie po całym domu. Prosta dziecięca zabawa w chowanego. Obowiązywała jedna zasada: im dłużej udawało mi się pozostać w ukryciu, tym łagodniejsza była kara. Wiesz, jak mi poszło tamtej nocy, nadinspektorze Bishop? – pyta, wodząc palcem po przedramieniu, jakby widział swoje blizny po raz pierwszy. – Spróbujesz zgadnąć?

Adam z trudem przełyka ślinę.

– Niezbyt dobrze – odpowiada.

Doktor Cole powoli kiwa głową.

– No właśnie. Ojciec doliczył zaledwie do siedemnastu, zanim mnie znalazł. Wiesz, co to oznacza? Siedząc w swoim ulubionym fotelu, wypalał papierosa aż po filtr, a potem gasił go na mojej ręce. I tak siedemnaście razy. Wiesz, ile to trwało? Całą noc. Całą pieprzoną noc. Godzinami siedziałem w ciemności i słuchałem, jak matka płacze. Jak go błaga, żeby zostawił mnie w spokoju. Ale nie to było najgorsze. Ojciec miał inwencję. Lubił eksperymentować. Siedziałem zamknięty w szafie piętnaście godzin, aż moje podkurczone nogi i wygięte plecy pulsowały bólem. Innym razem dostałem dziewięć uderzeń pasem. No i ten ostatni raz... Dotrwałem do dwóch. I wiesz, co postanowił zrobić, kiedy mnie znalazł? Pozbawić mnie dwóch części ciała. Ucha albo oka. I palca. – Cole kładzie dłonie płasko na blacie i Adam po raz pierwszy zauważa, że w jego małym palcu brakuje ostatniego paliczka. – Myślałem, że to nie będzie trwało długo. Myliłem się. Ale mój ojciec popełnił wielki błąd. Kazał matce przynieść lepszy nóż, większy, żeby mógł mi wydłubać oko. Więc przyniosła ten nóż i wbiła mu go w serce. – Nagle Cole unosi głowę i otrząsa się z bolesnych wspomnień. – Oto co odziedziczyłem w genach – dodaje. – Co przekazałem Maggie Clarke i twojej żonie. I wszystko to odziedziczy wasze dziecko.

Adam czuje, że jego oddech staje się coraz szybszy i płytszy. Ogarnia go panika, gdy słucha o Romilly; o tych sprawach, nad którymi zastanawiał się od dawna. Ale nie może pozwolić, aby ten człowiek zawładnął jego myślami.

Musi pamiętać, że kobieta, którą kocha, nie ma nic wspólnego z tym, co zrobił Cole i co spotkało jego.

Usłyszał odpowiedzi, po które przyszedł. Poznał nazwiska ofiar. Wie, że Cole nigdy nie wyjdzie na wolność. Że umrze w więzieniu. Że będzie gnął samotnie za kratami do końca swoich dni.

Wstaje, zmuszając do wysiłku roztrzęsione nogi, po czym odchodzi od stołu, żeby zwiększyć dystans dzielący go od Cole'a. Nie może dłużej go słuchać. Ogarnia go coraz większa odraza, której towarzyszy pragnienie ucieczki. Słyszy szcęk otwieranego zamka i szybko idzie do drzwi, ale przystaje na progu.

– Nie udało ci się – mówi.

Cole obraca się na krześle i wlepia w niego wzrok.

– Co takiego?

– Dojść do dwudziestu. Zabić dwudziestu osób. Powstrzymaliśmy ciebie i Maggie. Dużo wam jeszcze brakowało.

Elijah wybucha gwałtownym śmiechem.

– Policz dokładnie, nadinspektorze Bishop. Czas pokaże. Przekonasz się.

Adam nie czeka na dalszy ciąg. Energicznym krokiem przemierza labirynt korytarzy i kiedy jest już na zewnątrz, uświadamia sobie, że przez całą drogę do wyjścia prawie nie oddychał. Odbiera swoje rzeczy z depozytu i gdy słyszy za plecami łoskot zatrzaskiwanej metalowej bramy, wciąga do płuc głęboki haust zimnego świeżego powietrza. Przecina parking, a potem stoi przez chwilę przy samochodzie oparty

o maskę i dochodzi do siebie. Jest pewien, że już nigdy więcej nie odwiedzi tego miejsca.

Siada za kierownicą, wyjmując ze schowka skrawek papieru i zaczyna pisać. Nazwiska i miejsca, włącznie z wysypiskiem, na którym wszystko się zaczęło dziesięć dni temu. Odlicza od dwudziestu w dół:

20 do 17 – cztery kobiety zamordowane w szopie

16 do 12 – ciała znalezione na wysypisku

Wayne Oxford – 11

Kobieta w parku – 10

Jego dłonie drżą, kiedy zapisuje kolejne pozycje:

Pippa – 9

Troje pacjentów – do 6

Ellie – 5

Marsh – 4

Jeszcze trzy. Trzy ofiary, których zabrakło do osiągnięcia celu. Troje ludzi, których Elijah Cole ani Maggie Clarke nie zdołają już pozbawić życia.

Adam uruchamia silnik i odjeżdża. Włącza radio, ustawia stację muzyczną i podkręca głośność. Jednak w jego głowie wciąż rozbrzmiewają słowa Cole'a. Jego śmiech. Jego drwiący ton.

Czas pokaże. Przekonasz się.

* * *

Metal uderza o metal, drzwi zatrząskują się z łoskotem. Z sąsiedniej celi dobiegają wściekłe krzyki, niewyraźne przekleństwa.

Przeniesiono mnie do więzienia dla kobiet. Z aresztu w komendzie policji trafiłam tutaj. Czuję się jak w domu. Sama ze sobą. Milczę.

Podobno mają tu przysłać kogoś, kto ze mną porozmawia. Ciekawe, o czym. Dają mi leki. Tabletki, po których jestem otepiata i wszystko miesza mi się w głowie.

Dla zabicia czasu myślę o tobie. O twoich brązowych oczach, które na mnie spoglądały. Uśmiechały się i zachęcały, żebym się w ciebie wtuliła. Czy uśmiechniesz się teraz, kiedy cię zawiodłam? Kiedy nie wykonałam zadania?

Ale próbowałam, Elijah. Naprawdę się starałam. Zawsze wiedziałeś, czego mi trzeba. Czy to był uśmiech, czy rolka dropsów, czy serdeczny uścisk. Albo i więcej, kiedy byłam starsza. Podczas widzeń strażnicy odwracali wzrok, żeby dać nam więcej swobody. Wiesz, jak to uwielbiałam, jak błagałam o więcej, klęcząc na twardej zimnej podłodze.

Byłam gotowa zrobić dla ciebie wszystko. Nadal jestem.

Słyszę strażników w korytarzu. Pęki kluczy wiszące przy pasach podzwaniają w rytm kroków ociężałych od nadmiaru ciastek i herbaty. Otwiera się klapka w drzwiach i bezcielesne oczy

wpatrują się we mnie. Lekko przymrużone w spojrzeniu pełnym dezaprobaty, którą widzę u każdego.

Wiem, że nawet gdyby pozwolili mi wyjść z celi, inne osadzone trzymałyby się ode mnie z daleka. Instykt podpowiada im, kogo można zastraszyć, a kogo należy szanować albo zostawić w spokoju. Dla ich własnego bezpieczeństwa.

Ale słyszę ich szepty. Wariatka. Nienormalna. Mordowała gliniarzy. To ostatnie z nutką podziwu i niepokoju.

Kłapa zatrzaskuje się z łoskotem. Słysząc krzyk:

– Cisza w celi numer trzy!

Teraz zostawię mnie w spokoju. Nie na długo – dziesięć minut albo coś koło tego. Ale to wystarczy.

Zabrali mi pościel, sznurówki i pasek od spodni. Wszystko, czego mogłabym użyć do odebrania sobie życia. Ale nie znają mnie; nie wiedzą, do czego jestem zdolna. Oswoiłam się z krwią, jej zapachem, ciepłem i lepką, zawieszistą konsystencją. Krwią, która zastyga na skórze niczym warstwa ochronna. Jest niepowtarzalna dla każdego z nas, utrzymuje nas przy życiu, płynie w naszych żyłach. Dlatego zachowałam trochę krwi każdej z moich ofiar. Zabiłam je, wzięłam w posiadanie. Chciałam mieć po nich jakąś pamiątkę, gdy kończyłam swoje zadanie.

Zbliżam twarz do przedramienia. Myślę o tym, co zrobiłam Adamowi; jak sprawiłam, żeby cierpiał. Udało mu się przeżyć, ale w tej chwili nic nie mogę na to zaradzić. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, jak mawiał Elijah.

Teraz rozlewa się tylko krew.

Moja skóra jest blada i delikatna. Przesuwam palcem po miękkich błękitnych liniach biegnących w kierunku nadgarstka.

Niemal czuję zapach krwi; słyszę, jak płynie w moich żyłach. Przykładam usta do przedramienia. Potem wbijam zęby.

Ból nie pojawia się od razu. Z początku czuję na języku słodkawy smak. Gęsta ciecz szybko wypełnia moje usta, ścieka mi po brodzie. Zaciskam szczęki, odrywam kawałek swojego ciała i wypluwam go na podłogę. Ostry piekący ból przeszywa moją rękę, pulsując z każdym uderzeniem serca, które wypompuje ze mnie krew. Łzy płyną mi po twarzy, ale nie zwracam na nie uwagi. Muszę zrobić, jak kazałeś. Ni mniej, ni więcej.

Spoglądam na drugi nadgarstek. Skóra jest sucha i ciepła, ale już niedługo. Rozrywam siekaczami własne ciało, wgryzam się jak najgłębiej w sieć żył i tętnic, przeżuwając je tak długo, aż czuję między zębami strzępki tkanek.

Teraz wiem, że wykonałam swoje zadanie. Nawet jeżeli mnie znajdą, już nie zdołają uratować. Kręci mi się w głowie i jestem otumaniona bólem. Kładę się na podłodze, wdychając zapach wszechobecnego środka dezynfekującego. Czuję też ostrą woń okaleczonych ciał, cierpienia i wściekłości kobiet, które były tu przede mną.

Udało się. Zrobiłam to, czego chciałeś. Słyszę cię po raz ostatni. Idę po ciebie, jak zwykleś mawiać, kiedy bawiliśmy się w chowanego.

Ale oszczędłeś.

Teraz i ja odchodzę.

Dzień 14
Piątek

Epilog

Adam naciska dzwonek obok jednej z trzech mosiężnych tabliczek przykręconych do ściany. Przed każdym z nazwisk widnieje imponujący rząd liter. Ludzie, którzy pozjadali wszystkie rozumy. Kiedy rozlega się brzęczenie zamka magnetycznego, popycha drzwi i wchodzi do niewielkiej poczekalni. W środku jest pusto i panuje cisza. Obok małego stolika kawowego stoją dwa niebieskie fotele, a na ścianie wisi kartka z wydrukowanym napisem: *Prosimy zaczekać na wezwanie do gabinetu.*

Adam kilka razy przemierza nerwowym krokiem pomieszczenie, trzymając ręce w kieszeniach. Wyjmuje komórkę i wysyła krótką wiadomość:

Robię to tylko dla ciebie x

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast:

Robisz to dla siebie. Ale przekonasz się, że warto x

A po chwili jeszcze jedno zdanie:

Ale dziękuję ci x

Romilly chodzi do tego samego gabinetu. Adam z uśmiechem na twarzy wyobraża sobie, jak później zdaje jej relację. Nigdy nie przypuszczał, że wyląduje na psychoterapii, a jednak się zdecydował. Próbując uspokoić nerwy, siada

w fotelu, zakłada nogę na nogę i krzyżuje ręce na piersi, ale po chwili zmienia pozycję. Włącza komórkę i wchodzi na portale społecznościowe, których powinien unikać.

Doniesienia o śmierci Maggie Clarke mają skrajnie odmienny wydźwięk. Dobrze się stało. Oszczędziła pieniądze podatników. Uniknęła sprawiedliwej kary. Adam ma w tej kwestii bardziej skomplikowane zdanie. Jest zadowolony, że się zabiła i już nikogo więcej nie skrzywdzi. Martwi go jednak, że Cole znowu zbliżył się o krok do osiągnięcia celu, ponieważ przez odebranie sobie życia Maggie stała się częścią jego planu.

Ale przynajmniej nikt nie będzie musiał uczestniczyć w jej procesie. Adam martwi się o Jamiego – czasem w środku nocy słyszy jego kroki i stłumiony płacz. Zdaje sobie sprawę, że przyjaciel ze względu na swoje zdrowie nie powinien dłużej zajmować się śledztwem, sam zaś cieszy się z powrotu do pracy. Ma już dość przesiadywania w domu przed telewizorem i czekania na Romilly.

Gdy słyszy odgłos otwieranych drzwi, odrywa wzrok od komórki i unosi głowę. W jego stronę idzie szczupła kobieta, stukając obcasami o posadzkę.

- Adam? – pyta, wyciągając dłoń na powitanie.
- Tak.
- Wybacz, że kazałam ci czekać. Zapraszam.

Kobieta wskazuje na otwarte drzwi i Adam przechodzi przez pogrążony w mroku korytarz do skromnie urządzonego gabinetu. Białe ściany, z jednej strony regał na książki, z drugiej biurko. Na środku wzorzystego jaskrawego dywanu dwa fotele stojące naprzeciwko siebie.

Kobieta idzie za nim. Jest ubrana w szary kostium i białą bluzkę. Prosty i elegancki strój. Nosi niewyszukaną srebrną biżuterię, a brązowe włosy ma upięte w kok. Wygląda na czterdzieści kilka lat.

– Siadaj, proszę – mówi.

Adam zajmuje miejsce w fotelu.

– Ale tu spokojnie – odzywa się, rozpoczynając rozmowę, żeby wypełnić ciszę.

– Moi koledzy dziś nie przyjmują, a ja nie mam innych pacjentów. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. – Terapeutka bierze leżącą na biurku podkładkę do pisania z przypiętą kartką i wręcza ją Adamowi wraz z długopisem. – To tylko prosty kwestionariusz. Kilka osobistych informacji na nasz użytek.

– Jasne.

Adam wpisuje imię, nazwisko i adres.

– Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Trochę jestem.

Numer telefonu. Data urodzenia.

– Nie bój się, nie gryzę.

Adam unosi wzrok i widzi, że kobieta mu się przygląda. Wykrzywia usta, próbując odwzajemnić jej uśmiech.

Kontakt w nagłych wypadkach. *Doktor Romilly Cole*, pisze, czując ogarniające go ciepło. Pokrewieństwo. Zastanawia się przez chwilę. Co powinien napisać? Ktoś więcej niż była żona. Więcej niż partnerka. Trudno mu ująć w słowa relację, która teraz ich łączy. Małżonka, wpisuje ostatecznie. Może znów nią będzie.

– Czy nie zachodzi tu konflikt interesów? – pyta. – Moja żona też jest twoją pacjentką.

Terapeutka wzrusza ramionami.

– Przeprowadzimy rozmowę wstępną i wtedy się okaże. Zawsze mogę cię skierować do któregoś z kolegów, jeśli uznamy, że tak będzie lepiej – mówi, po czym spleta dłonie i rozsiada się w fotelu. – A zatem co cię do mnie sprowadza?

Adam nie skończył jeszcze wypełniać formularza, ale odkłada go na stół.

– Panicznie boję się igieł.

– No i co w związku z tym?

– Nie rozumiem.

– Mogłeś poddać się hipnozie, która jest skuteczną metodą leczenia fobii. Mimo to wybrałeś psychoterapię i tak oto trafiłeś do mnie. Dlaczego?

Adam nie odpowiada. Rozgląda się po gabinecie, wodząc wzrokiem po grzbietach książek ustawionych na półkach i wiszących na ścianie dyplomach. Czy może zaufać tej kobiecie? Patrzy na jej dłoń odgarniającą kosmyk włosów z czoła i ten gest wydaje mu się znajomy.

– Czy już kiedyś się spotkaliśmy? – pyta.

– Nie sądzę.

– Może w mojej pracy? Jestem policjantem. Nie przesłuchiwałem cię?

– Na pewno nie. – Terapeutka zawiesza głos. – Czy zawsze robisz takie uniki, gdy padają kłopotliwe pytania?

– Tak, zawsze – odpowiada Adam z uśmiechem. Ale teraz nie o to chodzi. Coś w tej kobiecie nie daje mu spokoju. To

dlatego, że nie masz ochoty tu siedzieć, tłumaczy sobie w myślach. Przestań szukać wymówek. – Moja żona... była żona twierdzi, że mam problem z zaufaniem. Dlatego nie pozwalałam ludziom zbliżyć się do siebie.

– Zgadzasz się z jej opinią?

Adam myśli o Jamiem. O tym, jak starał się wspierać swojego najbliższego przyjaciela. Jak odtrącił Romilly i omal nie przyplącił tego życiem.

– Tak, prawdopodobnie ma rację. Myślisz, że można to jakoś naprawić?

Kobieta uśmiecha się życzliwie.

– Terapia nie służy naprawianiu – wyjaśnia. – Jej zadaniem jest sprawić, żeby to, co uległo zniszczeniu, stało się znowu piękne. Żeby przez pęknięcia w złamanym sercu mogło prześwitywać słońce.

Adam przez chwilę rozważa jej słowa. Potem marszczy czoło i wskazuje na kwestionariusz.

– Powiniennem to chyba dokończyć, prawda?

– Och, tak. Przepraszam.

Ostatnia pozycja dotyczy nazwiska terapeuty. Adam czuje pustkę w głowie i spogląda jeszcze raz na jeden z oprawionych dyplomów. *Dr Catherine Jones*. Wypełnia rubrykę wielkimi literami.

Coś zaczyna mu świtać. Synapsy w jego mózgu nagrzewają się coraz mocniej. Zamyka na chwilę oczy, a potem unosi głowę i mierzy wzrokiem siedzącą przed nim kobietę.

– Czy coś się stało?

– Nie, tylko... Jestem pewien, że kiedyś cię spotkałem.

Terapeutka wolno kręci głową.

– Pamiętałabym, nadinspektorze Bishop – mówi.

Nagle wszystko mu się przypomina. Już pamięta, jak stał przy barze, wdychając woń piwa i potu. Jak poczuł jej dłoń w spodniach, jej usta na szyi. Było ciemno, miała rozwichrzone włosy, a na twarzy mocny makijaż, ale tak... to była ona.

Adam gwałtownie unosi głowę, ale nie wstaje z fotela. Całe jego ciało przeszywa dreszcz. Czuje na sobie jej spojrzenie i zmusza się, by zachować spokój.

– Pamiętasz mnie – odzywa się doktor Jones.

Twierdzącym tonem.

– Tak.

– Często to robisz? Podrywasz kobiety w barze?

– Czasami.

– Szukasz bliskości i intymności, ale chcesz uniknąć lęku przed odrzuceniem?

– Tak – odpowiada Adam po chwili zastanowienia.

– No i widzisz? Dziesięć minut sesji i już do czegoś doszliśmy.

Adam zdaje sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Ta kobieta jest terapeutką Romilly. Ich spotkanie tamtej nocy w barze nie mogło być dziełem przypadku. Musiała go szukać.

– Coś o tym wiem – kontynuuje doktor Jones. – Ja również szukam mężczyzn. Takich, do których nie powinnam się zbliżać. Którzy są dla mnie niedobrzy. Mężczyzn, którzy chcą mnie wykorzystać. Czy ty też taki jesteś?

Adam przypomina sobie Ellie.

– Nie chcę taki być – mówi powoli.

– On też nie chciał. Powiedział mi, że nie jest złym człowiekiem. Że zabierze mnie do domu i zaopiekuje się mną.

Adam zastyga w bezruchu. Jego mięśnie się napinają, w ustach zasycha.

– I tak zrobił. Dał mi dach nad głową, jedzenie i picie, więc robiłam, czego żądał. W przeciwieństwie do innych dziewcząt.

O kurwa. Ja pierdolę...

– Dlatego przeżyłam.

To ona. Ta piąta. Ta, która przetrwała koszmarną niewolę i wróciła do normalnego świata. Sąd zakazał publikowania jej zdjęć, a ona zmieniła nazwisko i zapadła się pod ziemię.

Ale nie zniknęła na zawsze. Oto jest. Nadal żyje.

Adam mierzy ją wzrokiem. Jest drobna, siedzi niecałe dwa metry od niego. Mógłby ją obezwładnić bez trudu, gdyby zaszła taka konieczność.

– Odwiedziłam go w więzieniu – ciągnie Catherine Jones spokojnym tonem. – Tęskniłam za nim, bo jakże mogło być inaczej? Przed laty byliśmy ze sobą tak blisko. Każdy dzień z dala od niego był dla mnie udręką.

Adam patrzy na nią zaskoczony.

– Ale przecież on cię porwał i uwięził. Gwałcił cię.

– Z początku się go bałam. Groził, że mnie zabije, jeśli nie zrobię, co mi każe. Ale potem zdałam sobie sprawę, że wszystko mi jedno. Nie miałam dokąd pójść, a on dał mi nowe życie. – Jones przerywa i powoli zakłada nogę na nogę. – Tamci faceci na ulicy... To oni tak naprawdę mnie gwałcili. Nie

miałam ochoty uprawiać z nimi seksu, ale potrzebowałam pieniędzy. Na heroinę, żeby dać sobie w żyłę. Byli jak śmierzące napalone bydlęta i myśleli tylko o tym, żeby mnie wyruchać. Żeby im obciągała. Nie przejmowali się mną, bylebym robiła, za co mi płacili. A z nim było inaczej. Czułam się kochana. Ocalił mnie, doprowadził do porządku. Zapewnił bezpieczeństwo. A potem mi go odebrali.

– To dlatego nie zgodziłaś się zeznawać na jego procesie – mówi Adam, powoli uświadamiając sobie prawdę.

Ta kobieta przeszła pranie mózgu. Więziona przez długie miesiące, przywiązała się do swojego oprawcy.

– Wybieraliśmy ich razem. Elijah i ja.

– Kogo?

– Ofiary. Dilerów narkotyków. Dziwkę. Niewiernego męża. Najgorsze zakały społeczeństwa. A także ludzi, którzy nas zawiedli. Prawników. Nauczycieli. Pracowników opieki społecznej. Policjantów. – Catherine Jones uśmiecha się ironicznie. – Opowiedział mi swoją historię. Wiem, ile wycierpiał jako mały chłopiec. Jak można go winić za to, co robił? Tych dwadzieścia ofiar to zapłata za ojca. Zemsta na ludziach, którzy nas zawiedli.

Adam czuje palącą nienawiść.

– Ale ci ludzie byli niewinni – odpowiada. – Co ci zrobiła Pippa Hoxton?

Terapeutka zdaje się nie słyszeć jego słów.

– Kiedy Elijah był mały, sąsiedzi w końcu zareagowali na krzyki jego matki i zawiadomili policję. Zjawił się gliniarz. Myślisz, że aresztował jego ojca? Nie, wypił z nim piwo

w ogródku przed domem. To dlatego Elijah tak ich nienawidzi. Ja też. Nigdy nie zrobili nic, żeby mi pomóc. Tylko przymykali mnie za nagabywanie. A potem nas rozdzielili. Odebrali mi jedyne go mężczyznę, który mnie kochał.

– Elijah Cole cię nie kochał. Wykorzystywał cię.

– Trafiłam do niego jako pierwsza. – Catherine Jones mruży oczy, jakby oddawała się błogim wspomnieniom. – Dopiero później zaczął przywozić inne dziewczyny i pieprzył je na moich oczach. Ale tylko próbował wzbudzić we mnie zazdrość.

Adam nie wierzy własnym uszom. Przejęty zgrozą, nie potrafi wykrztusić słowa.

– To ja kazałam mu zamykać je w klatkach. Decydowałam o tym, czy dostaną coś do jedzenia. Czy dać im koc, żeby nie marzły w nocy. A on czasami zapraszał mnie nawet do swojego domu. Siadał ze mną przy kuchennym stole, kiedy jego córka spała. Jedliśmy razem kolację jak mąż i żona. To była nagroda, w ten sposób mi dziękował.

– Za co? – pyta Adam, choć boi się usłyszeć odpowiedź.

– Za to, że decydowałam, która będzie następna. Która powinna umrzeć. Z tych kobiet był pożytek tylko do czasu, więc kiedy stawały się zbyt chore i budziły już tylko politowanie... – Jones wzrusza ramionami. – Ale Grace... Boże, ona nigdy nie straciła nadziei. Nawet kiedy to dziecko zatrzasnęło przed nami drzwi. Wtedy coś w nią wstąpiło. Zaczęła krzyczeć, szarpać łańcuchy. Myślałam, że oderwie sobie ręce, taka była zdeterminowana. Wiesz, jak to jest? Poczucie smaku wolności, a potem wrócić do lochu? Myślałam, że to ją zabije. Ale ona zaczęła się odgrażać, że będzie

zeznawała w sądzie, że Elijah za wszystko zapłaci. Oczywiście nie mogłam do tego dopuścić.

Adam chce przełknąć ślinę, ale ma wrażenie, jakby jego usta były pełne piasku.

– Zabiłaś ją.

– Uderzyłam ją butelką w tył głowy. Padła bez walki. I słusznie zrobiłam. Zjawili się już kilka godzin później. Uwolnili mnie, tak mówili. Ale tylko mi go odebrali, ot, co zrobili. W końcu udało nam się spotkać. Nie masz pojęcia, jakie to było uczucie, kiedy znowu mogłam go zobaczyć, tam w więzieniu. Znów byliśmy razem. Mój Elijah... Chronił mnie, nie wydał. To jest dowód miłości.

Adam zerka w stronę drzwi. Przypomina sobie, że zostawił w korytarzu kurtkę z komórką w kieszeni.

– Potrzebujesz pomocy, Catherine – mówi łagodnym tonem. – Mogę ci pomóc.

– Nie możesz! Nie możesz pomóc nawet sobie, taki jesteś bezużyteczny. Elijah miał rację, nie zasługujesz na jego córkę. Ani wtedy, ani teraz. Straciłeś tyle czasu i nie udało ci się złapać Maggie, tej nieszczęsnej wariatki, która próbowała zasłużyć sobie na miłość ojca mordowaniem wszystkich tych ludzi. Ona też była moją pacjentką. Dzięki temu miałam łatwiejsze zadanie. Podsycalam jej obłąd, aż wreszcie całkiem straciła kontakt z rzeczywistością.

– Ale spójrz na siebie. Osiągnęłaś sukces, jesteś doktorem psychologii, wiesz normalne życie...

– Nazywasz to sukcesem? Nazywasz to normalnym życiem? – Catherine napina się cała, a jej twarz wykrzywia grymas złości. Szarpie bluzkę z taką siłą, że oderwane guziki

odskakują i spadają na podłogę. Adam wzdryga się mimowolnie na widok jej klatki piersiowej pokrytej bliznami, nacięciami i zadrapaniami. Niektóre są częściowo zagojone, inne świeże i zaczerwienione. – Tylko tak mogę zapanować nad tym, co dzieje się w mojej głowie. Szukałam pomocy, a kiedy na nic się nie zdała, próbowałam leczyć się sama. Ale cóż z tego, że wiem, co mi dolega? Potrafię zdiagnozować u siebie zaburzenie osobowości borderline, zespół stresu pourazowego i reaktywne zaburzenie przywiązania, ale to nie rozwiązuje mojego problemu.

Jej palce wędrują do jednej z ran, paznokcie zrywają strup, cieknie krew. Adam przygląda się temu z obrzydzeniem. Chciałby ją powstrzymać, ale nie ma odwagi się poruszyć. Śledzi wzrokiem jej dłoń, która na parę sekund znika za plecami i pojawia się w niej mały nóż. Patrzy na wymierzone w siebie srebrzyste ostrze i wie, że musi jakoś odwrócić jej uwagę. Musi się stamtąd wydostać.

– Ale dlaczego? – pyta. – Dlaczego poszłaś za mną do tego baru? Dlaczego...

– Żeby cię zaliczyć? Z ciekawości? – Catherine niespiesznie przesuwa palcem po ostrzu i na jej opuszcze wykwitają czerwone krople, przyprawiając Adama o skurcz żołądka. – Romilly mówiła tylko o tobie, a Maggie miała obsesję na twoim punkcie. Chciałam się dowiedzieć, czy jesteś wart całego tego zamieszania. Cóż, nieszczególnie. Ale Romilly... ona jest fascynująca. Nie musiałam zbytnio się starać, żeby wybrała mnie na swoją terapeutkę. Podeszłam do niej odpowiednio, wysłuchałam, okazałam współczucie, wytworzyłam normalną ludzką więź. Nie było trudno wypaść dobrze na tle tych wszystkich psychologów, którzy traktowali

ją jak przedmiot badań naukowych. Chcieli o niej pisać prace, dasz wiarę? Szarlatani. A do tego znam Elijaha i wiele rozumiem. Rozumiem miłość.

– Czego chcesz? – pyta Adam, z trudem wydobywając z siebie głos.

– Od ciebie? Niczego. Muszę tylko zrobić to, czego żądał Elijah, to wszystko.

– A czego żądał?

Catherine Jones parska śmiechem.

– A jak myślisz?

Adam zmusza się, by zaczerpnąć głęboki haust powietrza. Całe ciało ma spięte, a jego serce kołacze jak oszalałe. Jego wzrok wędruje między twarzą siedzącej przed nim kobiety a nożem w jej dłoni.

– Wiem, że już go nie zobaczę, więc co innego mi zostało?

– dodaje Catherine.

Wyciąga nóż przed siebie i wstaje. Adam błyskawicznie odskakuje do tyłu, chwytając fotel i zasłania się nim jak tarczą. Zastanawia się nad kolejnym ruchem. Mógłby przejść do ataku i spróbować ją rozbroić. Albo mógłby wydostać się z gabinetu, zamknąć ją w środku i wezwać wsparcie. Jednak Catherine blokuje mu drogę do drzwi. A w pobliżu nie ma nikogo, kto usłyszałby jego wołanie o pomoc. Tylko ich dwoje.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy – mówi detektyw. – Oddaj mi nóż.

Powoli stawia krzesło i wyciąga ręce przed siebie. Ma nadzieję, że w ten sposób załagodzi sytuację, jednak osiąga odwrotny efekt. Teraz musi uskakiwać, gdy Catherine naciera

na niego raz za razem, próbując zadać cios. Cofa się i w końcu dotyka plecami ściany. Podczas kolejnego ataku udaje mu się złapać ją za nadgarstek, ale ona uderza go w twarz podstawą dłoni i jego nos eksploduje bólem. Adam zatacza się do tyłu. W ustach czuje smak krwi i gorączkowo przeciera oczy, żeby nie stracić przeciwniczki z pola widzenia.

Patrzy na jej uzbrojoną dłoń, ale zauważa, że teraz ostrze jest czerwone. Mruga kilka razy i spogląda w dół. Ma zakrwawione dłonie. Tak, krwawi z nosa, ale... Czuje w boku tępy ból i jego spojrzenie przesuwają się niżej, gdzie na koszuli wokół niewielkiego rozdarcia wykwitła ciemna plama. Z początku nie potrafi połączyć tego, co widzi, z tym, co czuje. W końcu powoli uświadamia sobie, że to jego krew.

Chwieje się lekko na nogach i ma dziwne wrażenie, jakby wszystko poruszało się w zwolnionym tempie. Uchodzą z niego siły i osuwa się na kolana.

– Byłam przy tym – warczy Catherine. – Stałam obok i patrzyłam, jak Maggie zabija. Patrzyłam na tę babraninę, gdy ledwie udawało się jej doprowadzić sprawę do końca. Zrobiłabym to o wiele lepiej, ale Elijah się nie zgodził. Powiedział, że ma dla mnie inne zadanie. Byłam dla niego ważniejsza.

Robi krok w stronę Adama, a on bezradnie wyciąga ręce przed siebie, chociaż wie, że nie zdoła jej powstrzymać. Ostrze przesuwają się po jego palcach, rozcinając je do kości. Kolejne pchnięcie. I jeszcze jedno. Adam czuje, jak nóż znowu zagłębia się w jego brzuchu, wywołując eksplozję bólu, który niczym rozżarzony podmuch rozchodzi się po całym ciele. Podpiera się rękami i z trudem unosi głowę. Catherine stoi nad nim.

– Byłam dla niego ważniejsza – powtarza. – Byłam jego pierwszą miłością.

– Nie byłaś – mamrocze Adam resztką sił. – Nie byłaś pierwszą.

Nie może już dłużej się podtrzymywać. Ręce uginają się pod nim i upada na dywan.

Catherine marszczy czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Adam obraca się na plecy i przyciska dłonie do brzucha w bezowocnej próbie zatamowania krwotoku. Ma wrażenie, że krew wypływa zewsząd. Jest ciepła, przyjemna w dotyku.

– Jego żona. Matka Romilly... – odpowiada, z wysiłkiem wyrzucając z siebie słowa i krzywiąc się z bólu przy każdym wdechu. – Kochał ją. Bez niej był nikim. To ona była jego pierwszą miłością, nie ty.

Spogląda na Catherine, na jej bladą twarz, na dłoń wciąż zaciśniętą na rękojeści noża. Jego ręce wydają się nienaturalnie ciężkie, gdy chwyta krawędź stojącego obok fotela, próbując się podnieść. Ale wszystko na nic; każdy ruch sprawia mu ból. Patrzy na wsiąkającą w dywan szkarłatną kałużę. Jak długo jeszcze? – myśli. Ile życia mi zostało?

– Wezwij pogotowie, proszę – szepcze. – Proszę...

– Nie powstrzymuj tego. Twoje życie nie ma znaczenia. Liczy się tylko twoja śmierć. I moja.

Adam patrzy ze zgrozą, jak Catherine przyciska sobie nóż do szyi i pociąga. Jej źrenice rozszerzają się wskutek szoku, a serce wali jak oszalałe, pompując krew, która tryska silnym strumieniem. Zwiotczone ciało osuwa się na podłogę,

kończyny leżą rozrzucone bezładnie, zadarta do tyłu głowa odsłania ziejącą ranę. Skóra, mięśnie i ścięgna bez wahania rozplątane niemal do kości jednym pewnym cięciem świadczą o głębokiej determinacji.

Adam znów próbuje się podnieść. Obraz przed jego oczami zaczyna falować. Romilly wie, że tu jestem, pociesza się w myślach. Jeśli nie wrócę do domu, będzie wiedziała, gdzie mnie szukać. Ale zdaje sobie sprawę, że nie ma zbyt wiele czasu. Zostały mu minuty, może sekundy.

Próbuje unieść nogę, żeby się odepchnąć i przesunąć po podłodze, ale ma za mało siły. W końcu dociera do niego, że wszystkie te starania są pozbawione sensu. Co może osiągnąć w takim stanie? Wciąż obficie krwawi, a w ranach na jego piersi pienia się bąbelki powietrza uchodzącego z przebitych płuc. Jest taki zmęczony. Leży wpatrzony w sufit, na próżno starając się skupić wzrok na białym kłoszu, który rozmywa się i traci ostrość.

Och Milly, myśli. Byliśmy tak blisko. Tak niewiele brakowało. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro.

Wyczuwa ruch tuż obok. Ciałem Catherine wstrząsają przedśmiertne drgawki, jej powieki opadają powoli.

Dwa.

To jedyne, co przychodzi Adamowi do głowy.

Widzi twarz Romilly. Teraz wie, co jest ważne. Jego myśli są takie przejrzyste. Kciukiem prawej dłoni dotyka obrączki na palcu, czuje twardą platynę pod warstwą lepkiej krwi. Przepraszam. Próbowałem. Kocham cię. Tak bardzo mi przykro.

Słyszy jakiś hałas. Łomotanie, głuchy łoskot. Podniesione głosy. Czy ktoś tu jest, czy to tylko złudzenie? Nie jest pewien. Chce mu się spać. Jest taki senny. Ból słabnie. Odgłos uderzeń dobiega teraz z bliska. Jacyś ludzie krzątają się wokół niego. Zielone uniformy ratowników. Pochylone twarze. Wydawane ostrym tonem polecenia. Dotyk miękkich dłoni.

Adam myśli o swoim przyjacielu. Przeglądając rejestr widzeń, Jamie musiał natrafić na Catherine Jones. Skojarzył ze sobą fakty.

Prawdopodobnie za późno.

Spanikowane okrzyki. Ból.

Wnętrze gabinetu odpływa w niebyt. Adam zamyka oczy. Widzi twarz Romilly. Jej uśmiech.

Słyszy czyjś głos tuż przy uchu:

– Adamie, jeśli mnie słyszysz, ściśnij moją rękę.

Adam. Pierwszy człowiek. Ostatni, który umiera.

Ciepłe palce chwytają jego dłoń. Ktoś lekko potrząsa jego ramieniem. Ale wszystko znika w szarej mgle. Jest mu słabo.

Przepraszam. Nie dam rady.

Jeden.

W jego głowie migają obrazy. Widzi jej włosy rozsypane na białej poduszce. Jej usta. Roześmianą twarz.

Nie mogę, myśli. Nie mogę pozwolić, żeby to się tak skończyło.

Ściska palce, które wciąż dotykają jego dłoni. I trzyma mocno.

Przeżyje to. Będzie żył. Musi. Dla niej.

Podziękowania

Dedykuję tę książkę doktorowi Mattowi Evansowi. Najwyższy czas. Matt współpracuje ze mną od początku mojej pisarskiej kariery, cierpliwie i sumiennie odpowiada mi na każde pytanie i koryguje wszystkie błędy. Znajduje na to czas między obowiązkami rodzinnymi i absorbującą pracą lekarza anestezjologa. Jest moim natchnieniem – regularnie czerpię inspirację z jego praktyki zawodowej i ta powieść nie jest wyjątkiem. Dzięki, Matt, jestem twoją dłużniczką.

Dziękuję wszystkim z HarperCollins – Kathryn Cheshire, Julii Wisdom, Angel Belsey, Susannie Peden, Olivii French, Sophie Raoufi i reszcie zespołu. Współpraca z wami jest dla mnie zaszczytem i uwielbiam chwile, w których piszę te niezwykle i wspaniałe książki. Dzięki wam mogę to robić.

Dziękuję Edowi Wilsonowi i całej ekipie z Johnson and Alcock. Jestem wyjątkową szczęściarą, że mam takiego agenta jak Ed, i nie potrafię zliczyć, ile razy podtrzymywał mnie na duchu swoimi motywującymi przemowami. Dziękuję Hélène Butler – królowej praw zagranicznych.

Podziękowania należą się także Dominicowi Nolanowi. Druga powieść z reguły przysparza autorowi więcej trudności, a *Dwadzieścia* nieustannie podkopywała moją pewność siebie. Dominic pomógł mi ogarnąć fabułę i czytał pierwsze szkice. Dzięki, Dom. Współpraca z tobą daje mi nadzieję.

Moją wdzięczność zaskarbili sobie również członkowie grupy Criminal Minds – Niki, Elle, Heather, Jo, Rachael, Barry, Tim, Victoria, Fliss, Susie, Phoebe, Simon, Kate, Clare, Harriet, Liz, Rob, Adam i Polly. Jesteście cudowni! Każdego dnia poprawiacie mi humor i dotrzymujecie towarzystwa, gdy uprawiam swój niezwykły zawód. Oby wasze lamy zawsze były wełniste, a borsuki czupurne. Szczypce w górę, przyjaciele.

Dziękuję Noah Ballardowi, mojemu amerykańskiemu agentowi, oraz Matthew Martzowi, Madeline Rathle, Melissie Rechter, Rebecce Nelson i Dulce Botello oraz reszcie zespołu Crooked Lane Books, mojego wydawcy zza oceanu. Wizyta w Stanach była doniosłym wydarzeniem w mojej karierze, a praca z wami wszystkimi to czysta przyjemność.

Dziękuję Sorai Vink i całemu zespołowi HarperCollins Holland.

Dziękuję Janette Currie za redakcję i Charlotte Webb za korektę.

Ogromne dzięki dla Dana Robertsa – zawsze ci powtarzam, że ilekroć wyciągasz mnie z tarapatów fabularnych związanych z gliniarzami, jesteś cholernym geniuszem.

Dziękuję Steph Fox, najprawdziwszej CSI, za cenne rady, a zwłaszcza pomoc w sporządzeniu uproszczonego raportu kryminalistycznego; doktorowi Samowi Batstone'owi za konsultacje w dziedzinie psychologii klinicznej; Lauren Sprengel za odpowiedzi na pytania dotyczące życia więziennego; Susan Scarr za wszystko, co się tyczy farmacji (i użyczenie nazwiska Bishop); a także Charliemu Robertsonowi, Laurze Stevenson i AR.

Ale wszyscy ci eksperci służyli mi swoją wiedzą. Za wszystkie błędy, zamierzone lub nie, biorę całkowitą odpowiedzialność.

Dziękuję swojej rodzinie – Chrisowi, Benowi i Maxowi (który niemal nakłonił mnie do uśmiercenia tego biednego teriera), mamie i tacie oraz Tomowi i Mel. Kocham was.

A na koniec dziękuję wszystkim czytelnikom i blogerom, którzy kupują, czytają i promują moje książki. Bez was byłabym nikim. Uwielbiam czytać wasze komentarze i odpowiadać na pytania. Pozostańmy w kontakcie na Instagramie, Facebooku i Twitterze (@samhollandbooks).

A w odpowiedzi na wasze pytania: Nate Griffin powróci. Już wkrótce...

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz